

Joan Collins

DIABELNIE SŁAWNA

(Tłum, Monika Sujczyńska)

1999

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie potrzebuję męża, lecz żony - mruknęła Katherine Bennet, ale na tyle głośno, żeby usłyszeli to depreczający jej po piętach reporterzy. Szła prędkim krokiem krętymi korytarzami Sądu Najwyższego w Santa Monica, za nią zaś podążał Barry Lefcovitz - drogi, za to bardzo skuteczny prawnik od rozwodów - i z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru odpierał pytania dziennikarzy.

Katherine dobrze wiedziała, że na okładkach pism ilustrowanych i w dziennikach telewizyjnych jej uśmiech - zimny, przylepiony do ust, tak żeby przypadkiem nie sięgnął jasnozielonych oczu - będzie wyglądał dość wiarygodnie.

Nie chciała wydawać się zbyt szczęśliwą po tym okropnym rozwodzie.

A co do tego, że jej zdjęcie trafi na pierwsze strony gazet, okładki magazynów i do wszystkich kolumn towarzyskich od Nowego Jorku po Nowe Delhi (jak zresztą już od trzech lat), nie miała cienia -wątpliwości. Jako gwiazda telewizyjna, zaliczała się do najbardziej ezoterycznych kobiet; była tak sławna, że ludzie chcieli wiedzieć o niej jak najwięcej, a niektórzy może nawet marzyli, żeby nią być.

Rój reporterów nie odstępował jej niczym muchy padliny. Ale czyż nie padliną stała się na tej sali sądowej, gdzie sędzia, męski szowinista, skończony kretyn, zajęty wyłącznie krygowaniem się do kamer telewizyjnych i do dziennikarzy, których zresztą wpuścił na rozprawę z wielką łaską, pozbawił ją niemal wszystkich ciężko zapracowanych pieniędzy, dorobku całego życia? Dzięki ci, Boże, za Barry'ego, pomyślała Katherine, zerkając kątem oka na adwokata. Jego gęste srebrzyste włosy i rozbawione czarne oczy błyszczały chyba bardziej niż zwykle, gdy przeganiał paparazzich, fotografujących ją bez ustanku podczas tego mozolnego przepychania się po schodach do wyjścia z sądu i do chłodnego wnętrza czekającej limuzyny.

Katherine uśmiechnęła się do siebie. Ależ ten Barry Lefcovitz kochał rozgłos. Centymetry kolumn towarzyskich były mu strawą i napitkiem. Nie istniało dla niego większe szczęście od wystąpienia w popularnych programach, w których mądrzył się na temat maltretowanych żon, równouprawnienia mniejszości lub prawa kobiet do przerywania ciąży. Gdyby jednak nie podjął się przeprowadzenia jej rozwodu za marne jego zdaniem pięćdziesiąt tysięcy dolarów plus oczywiście pokrycie dodatkowych wydatków, plus całe to zainteresowanie mediów, które przypadło mu w udziale jako obrońcy jednej z najślawniejszych kobiet w Ameryce, Katherine straciłaby dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Kwota ta, łącznie z tym, co musiała dać Johnny'emu, stanowiła jej całe

oszczędności, które jak na megagwiazdę były oczywiście bardzo skromne. Katherine gwiazdą była już od przeszło trzech lat, nie zdążyła jednak jeszcze okrzepnąć finansowo.

- Jakie są twoje plany na przyszłość, Katherine? - dopytywał się mikrus w nieprzemakalnym płaszczu, ten sam, któremu wcześniej powiedziała, że nie potrzebuje męża, lecz żony.

- Wracam do pracy - odparła na tyle uprzejmie, na ile może się zdobyć kobieta w sytuacji, gdy nagle błyska jej w twarz dwadzieścia fleszy. Najwyższy czas zostawić przeszłość za sobą.

Flesze tak ją oślepiły, że musiała włożyć ciemne okulary.

- Nie, nie, Katherine. Nie rób nam tego, kotku. Pozwól nam patrzeć na te cudowne oczy.

- Napatrzyliscie się na nie dość przez ostatnie pięć dni. Teraz pozwólcie im odpocząć, panowie. I mnie również, jeśli łaska. - Za wszelką cenę starała się pokazać, że jest w dobrym humorze, choć wcale tak nie było.

- Panowie, bardzo was proszę, przepuście panią - apelował do reporterów goryl Katherine, Burt, który wraz z trzema lub czterema roslymi, zwalistymi pomagierami, liczącymi ponad metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu i na oko tyle samo w barach, torował drogę Katherine, ograniczając się do łagodnej perswazji. Ją potracano i poszturchiwano bez skrępowania, ale gdyby któryś z nich tknął kogoś palcem, z miejsca zaskarżono by go do sądu. Mieli chronić swoich klientów, unikając szarpania się z natrętnymi fotoreporterami, co tych ostatnich, a w każdym razie niektórych z nich, napawało wielkim rozczarowaniem.

Ludzie nie mają pojęcia, jak trudno być gwiazdą. Kilkakrotnie już nastąpiono na czubki jej butów, dwa razy o mały włos nie dostała w twarz aparatem foto graficznym, gdy pewien strasznie przejęty swoją rolą paparazzo szukał lepszego ujęcia, a jedwabny żakiet miała poplamiony tuszem, bo jakiś nieuważny reporter przejechał długopisem po jej rękawie. Wszystko to razem sprawiało, że czuła się okropnie sponiewierana. Jej rozwód był najświeższym, a zarazem najbardziej dramatycznym wydarzeniem w Hollywood, nic, więc dziwnego, że reporterzy dosłownie wychodzili ze skóry, żeby uzyskać jej wypowiedź, a w razie niepowodzenia wymyślą ją sami. Katherine już na samo wspomnienie o tym, co wypisywali o niej w minionym tygodniu, dostawała dreszczy.

„Katherine Bennet, lat 43, na rozprawę rozwodową przez cały tydzień przychodziła codziennie w innym stroju - donosił jeden tygodnik. - Każdej drogiej kreacji towarzyszyła nowa wymyślna fryzura oraz tyle makijażu, że wystarczyłoby go do zaopatrzenia średniej wielkości drogerii”. Przesadzali, oczywiście. Po prostu należała do dobrze ubranych,

zadbanych kobiet. Już jako mała dziewczynka zawsze pilnowała, żeby kokarda była starannie zawiązana, a skarpetki podciągnięte. Tak naprawdę, to w sądzie wystąpiła w trzech, no może w czterech klasycznych kostiumach o delikatnych od cieniach zgniłej zieleni i szarości. Plus wysoki obcas. Zawsze nosiła pantofle na wysokim obcasie, nawet do spodni. Mając tylko metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, lubiła się podwyższać do metra siedemdziesięciu dwu 1 nie bała się ewentualnego zarzutu, że ubiera się w stylu lat sześćdziesiątych.

Katherine była dumna z tego, że jest sobą. Nie starała się nikomu przypodobać, zawsze szczerze wygłaszała swoje opinie. Nosiła to, co chciała, w czym było jej do twarzy i nigdy, ale to nigdy nie czuła się z tym głupio. Z powodu tej pewności siebie i niezależności uważano ją niekiedy za zimną i zarozumiałą. Ci, którzy przy pisywali jej podły charakter, po prostu utożsamiali ją z jędzą, którą grała tak przekonująco na ekranie.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że skończyłaś raz na zawsze z mężczyznami, Kitty...?
- spytał z afektowanym uśmiechem reporter z nowojorskiego szmatławca, który jej matka czytała codziennie nie opuszczając ani słowa.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparła Katherine. Okulary maskowały znudzenie w jej oczach. - Może wybiorę safizm!

- Co? Co ona powiedziała?

- Reporter powiódł zdziwionym wzrokiem po kolegach, którzy podobnie jak on nie zrozumieli żartu Katherine i w swoich notatnikach skrętnie zapisali: „Może wybiorę sadyzm”.

- Na miłość boską, Katherine - odezwał się Barry sotto voce. - Niech ci tylko nie przyjdzie do głowy powiedzieć im, że jesteś lesbijką, bo to dopiero narobi smrodu.

Słowa Barry'ego sprawiły, że Katherine pierwszy raz od wielu dni szczerze się roześmiała.

- Przecież to tylko żart, Barry. Przyznaję, że niezbyt udany, ale daleko mi dziś do Robina Williamsa.

Ten sąd był dla niej istnym piekłem. Przez pięć dni po siedem godzin dziennie siedziała nieruchomo na twardej drewnianej ławce - przed nią sędzia, za nią banda spragnionych sensacji pismaków - starając się zachować kamienny spokój, co wcale nie jest łatwe w sytuacji, gdy człowiek ma złamane serce, a w gardle kluchę wielkości melona. W pewnej chwili podczas zeznań męża napisała do Barry'ego na żółtej kartce z notesu: „Ależ on kłamie! To wszystko to obrzydliwe kłamstwa!” Słowa te pojawiły się tego samego wieczora w dziennikach telewizyjnych jako trzecia z kolei wiadomość.

Teraz, wobec nagabywania przez reporterów i błyskania fleszy znieawidzonych aparatów fotograficznych, otwarte drzwi czarnej limuzyny wydały się jej bramą do raj. Wsiadła do niej w taki sposób, jak robi to każda kobieta w krótkiej spódniczce. Umieściła więc na siedzeniu pupę, ściskając jednocześnie nogi, które następnie zgrabnie przeniosła do środka, nie czekając, aż ta banda zdąży je sfotografować.

Dziś jednak Katherine nie zrobiła tego dostatecznie prędko. Jakiś mami fotoreporter włączył w swoim aparacie samowyzwalacz i ustawił go strategicznie na chodniku, tak że w chwili gdy Katherine chowała nogi do samochodu, flesz błysnął dwa razy, utrwalając je w pełnej krasie.

- Widzieliście skurwiela! - Burt kopnął aparat, który potoczył się z łoskotem do rynsztoka.

- Ty łobuzie! - zapiszczał czerwony na twarzy paparazzo i rzucił się ratować swój sprzęt. - Zaskarżę cię za zamach na własność osobistą, chamie.

Burt nie odpowiedział, tylko dał znak pomagierom, żeby zatrzęsęli drzwi po stronie Katherine, sam zaś wskoczył na przednie siedzenie i warknął do kierowcy:

- Ruszamy.

- O Boże, chciałabym już być jak najdalej stąd - jęknęła Katherine i opadła plecami na poduszki. Bezpieczna za przydymionymi szybami limuzyny, zdjęła okulary i głośno westchnęła.

Barry poklepał ją po ramieniu.

- Brawo, kochanie! Wygraliśmy! Ty wygrałaś! W końcu się od niego uwolniłaś, Kitty. Kiedy porównuję to, co ten drań początkowo chciał od ciebie wyciągnąć, z sumą, na której ostatecznie stanęło, myślę, że jesteś w czepku urodzona mówić zadowolony z siebie.

Znużona pokiwała głową. Tak, uwolniła się. Uwolniła się od Johnny'ego, jego kłamstw, pijaństwa i narkotyków, uwolniła się od tej upiornej sali sądowej i bez skrepowania ziewającej tłuszczy. Ale czy faktycznie była wolna? Ona i wolna? Dobre sobie.

Małżeństwo i rola telewizyjnej bohaterki negatywnej, której Ameryka z lubością nienawidziła, do pewnego stopnia chroniły Katherine przed oszczerczymi plotkami, które zawsze rozsiewano o niezamężnych i bardzo sławnych kobietach. Czy teraz, kiedy ostatecznie zerwała więzy małżeńskie z Johnnym, uda się jej żyć względnie normalnie?

Barry wysiadł przy swoim biurze w Beverly Hills. Katherine zamknęła oczy, czekając, aż Sam dowiezie ją krętą ulicą Canyon Benedict do domu, przepastnego betonowego budynku nieodparcie kojarzącego się z ogromną skrzynią cementu. Na kupno tego wybudowanego w latach trzydziestych przez jakąś dawno zapomnianą osobistość filmową

gmaszydła, które ktoś z ich inteligentniejszych znajomych ochrzcił „Bunkrem Hitlera”, namówił ją Johnny przed dwu laty, kiedy to pierwszy raz rozbiła pulę „Rodziny Skeffingtonów”.

Katherine poleciła ogrodnikom zasadzić bluszcz angielski, żeby zasłonić ponure mury, ale roślina wcale nie chciała się po nich piąć. O ich daremnych wysiłkach świadczyło tylko kilka zielonawych łat. Szofer nacisnął guzik pilota i brama otworzyła się skrzypiąc niemiłosiernie. Zupełnie zardzewiała, choć nie dalej niż przed rokiem została pokryta warstwą nowej farby. Katherine znowu ciężko westchnęła. Utrzymanie samego domu wymagało mnóstwa zachodu, a co dopiero basenu, stawu, drzew, roślin doniczkowych i ogrodowych, do pielęgnowania, których wynajmowała specjalnych ludzi. Do kompletu z kucharzem, lokajem, gospodynią, sekretarką, praczką dwa razy w tygodniu i trenerem, nie mówiąc o szoferze i o Warwicku Kingsleyu, uwielbianym przez nią, ale bardzo drogim właścicielu biura reklamowego, o Bretcie Goodmianie, który prowadził jej interesy, jednocześnie - co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości - nieźle ją obskubując. To istny cud, że w ogóle wiązała koniec z końcem. Na końcu tej listy znajdowała się nie mniej ważna od tamtych Brenda Corlew, jej wierna przyjaciółka i sekretarka, a zarazem matka chrzestna jej syna, Tommy’ego.

Co by zrobiła, gdyby nie miała Brendy? A Tommy? Ta pozornie twarda starsza dama o własnym stylu i sercu z wosku była mu drugą matką. Odkąd Katherine całe dni spędzała w studiu telewizyjnym, skąd często wracała dobrze po północy, Brenda towarzyszyła jej tylko rano, po lunchu zaś jechała do domu, żeby czekać na powrót Tommy’ego ze szkoły. Świetnie rozumiała utrapienia i męki gwiazdy telewizyjnej, ponieważ w latach pięć dziesiątych ona i Kookie Cazanowa były partnerkami w komediach sytuacyjnych, a pod względem popularności ustępowały jedynie Lucille Bali i Vivien Vance. Brenda była niemal tak samo śmieszna, prawie tak samo lubiana, ale mniej wieczna niż Kookie, która w końcu też przeszła na zasłużoną emeryturę w domu w Kentucky, tyle że żyła nie z własnych (znaczących) zasobów finansowych, lecz z tantiem całej trupy, wcześniej wykupiwszy je za marne pięć tysięcy dolarów od łebka.

Katherine i Brenda poznały się na przesłuchaniach do nowej sztuki w teatrze przed kilkunastu laty. Ujrzawszy słynną aktorkę na takim spędzie Kitty zrobiła wielkie oczy, lecz Brenda jej powiedziała:

- Choć mam trzy Nagrody Emmy, jedną Nagrodę Publiczności oraz kilka nominacji do Nagrody Tony, od dziesięciu lat walczę o pracę tak samo jak wszyscy. Taka jest telewizja. Wykorzysta cię, a potem wyrzuci jak starą szmatę. Ale my ją i tak kochamy.

Kariera aktorska Brendy jednak już się skończyła i dlatego Katherine, jak tylko otrzymała rolę Georgii Skeffington, zaproponowała jej wspólny wyjazd do Hollywood. Chwilami uważała to za najlepsze posunięcie w swoim życiu. W osobie Brendy znaleźli wsparcie duchowe oboje z Tommym, który w jej obecności czuł się chyba bardziej bezpieczny, bo mniej się złościł. Brenda miała niewyparzony język, ale jej dosadne wyrażenia maskowały wielką mądrość i dobroć, które matka i syn z czasem nauczyli się coraz bardziej doceniać.

Samochód zatrzymał się przy głównym wejściu. Sam wyskoczył i otworzył drzwi Katherine.

- Dziękuję, Sam, nie będę cię już dziś potrzebowała.

- Była tak zmęczona, że nawet wyjście z samochodu wydawało się jej nadludzkim wysiłkiem. Choć przez ostatnie dni prawie nie jadła, czuła się ciężko, jak gdyby ciało miała z ołowiu.

- Dobrze, pani Bennet. Życzę miłego wieczoru. Cieszę się, że wszystko się tak pomyślnie dla pani ułożyło.

- Dziękuję, Sam. Miałam trochę szczęścia.

Pedro otworzył lśniące drzwi frontowe, na których zaczynała się łuszczyć farba. Kiedy się wprowadzali, zaledwie dwa lata temu, drzwi pokryto tak grubą warstwą farby, że powinno wystarczyć jej na zawsze. To ta pogoda w Los Angeles.

Katherine przeszła przez szerokie foyer wyłożone marmurem i znalazła się w oślepiająco białym salonie.

- Tommy, kochanie, gdzie jesteś?

- Tommy poszedł z Brenda na mecz Lakersów, senora - Do niewątpliwych atutów Brendy należało jej zainteresowanie koszykówką. Głos należał do gospodyni Katherine, Marii, która weszła do salonu, wycierając ręce w fartuch. - Prosimy, żeby nie czekać na nich z jedzeniem, bo po meczu wpadną gdzieś, aby coś przekąsić.

Katherine pokiwała głową i rozejrzała się po pokoju. Lodowata biel grubego dywanu, ścian wytapetowanych jedwabnym adamaszkiem, sof i foteli pokrytych aksamitem niemal kłuła ją w oczy. Sterylna wystawa; projektantowi tego wnętrza nie chodziło o wygodę jego użytkowników, lecz o stworzenie oprawy dla eleganckich strojów Katherine, dekoracji do częstych sesji fotograficznych organizowanych przez tygodniki ilustrowane.

Zachodzące słońce odbiło się w nowym, złotym, wysadzonym diamentami zegarku Katherine. Była dopiero szósta.

- Na którą mam przyszykować obiad, senora? - spytała Maria.

- Och, nie jestem dziś bardzo głodna. Wystarczy, jeśli podasz mi koło siódmej jajko na miękko i grzanekę.

Maria wróciła do kuchni, skąd dobiegał śmiech; w telewizji nadawano akurat wiadomości. Ta część domu rozbrzmiewała odgłosami życia rodzinnego. Katherine chętnie by się przyłączyła, usiadła przy wyszorowanym sosnowym stole z Pedro, Marią i jej śliczną kilkunastoletnią córką, Suzy, która pomagała Katherine przy ubieraniu się i pakowaniu. Na pewno przyszli do nich na pogaduszki ogrodnik z żoną, a Sam popijając Budweisera z puszki, opowiada o tym, co się wydarzyło w sądzie. Tak, w jej domu toczyło się normalne życie, tylko jej własna egzystencja była wielką, samotną wyspą.

Po schodach wyłożonych białym dywanem weszła na piętro, gdzie mieściły się sypialnie. Wcale nie tak łatwo przyszło jej rozwieść się z Johnnym. Owszem, alkohol i narkotyki odmieniły go nie do poznania, ale Katherine robiło się bardzo smutno, kiedy w sądzie nazywano go notorycznym łgarzem, żalonym wrakiem człowieka. Instykt samozachowawczy kazał jej położyć kres temu małżeństwu, bo Johnny przynosił jej wstyd, upijając się do nieprzytomności w restauracjach lub na przyjęciach, opowiadając o niej niestworzone historie na użytek prasy. Najgorsze jednak ze wszystkiego było cierpienie na twarzy Tommy'ego, patrzącego, jak ojciec przeistacza się w pijanego bufona. Kiedyś Johnny był w miarę zrównoważonym psychicznie aktorem, ale potem wpadł w ten neurotyczny zamęt: wszelkiego rodzaju spotkania w Klubach Anonimowych Alkoholików, wizyty w poradniach, pobyty w klinikach, które zresztą wcale mu nie pomagały.

Nawiasem mówiąc, to Johnny wymyślił ten rozwód. Jego adwokocina, słynny obrońca gwałcicieli i innych degeneratów, mało jej nie rozszarpał, a Johnny nawet nie spojrział w jej stronę. Jedyne jego chwiejny chód, który miała okazję zaobserwować, gdy wychodzili dwa razy dziennie na przerwę, potwierdzał jej domysł, że wciąż pił a jeśli pił, to pewnie też brał narkotyki.

W każdym razie miała to już za sobą. Koniec dwudziestoletniego małżeństwa, koniec dwudziestopięcioletniego związku niszczonego najpierw przez narkotyki i alkohol, potem przez dwa tygodnie skakania sobie do oczu na sali sądowej. Teraz musiała wziąć się w garść i wrócić do pracy, mimo że była ledwo żywa po przebyciu tej ciężkiej próby. „Trzeba iść spać - szepnęła do siebie. - Żeby tylko udało mi się zasnąć”.

Otworzyła drzwi do sypialni i znowu pomyślała, że ten dom uosabia wszystko, co ją drażni w Holly wood. Był przytłaczający, nowobogacki, pretensjonalny. W sypialni bez trudu zmieściłby się mały odrzutowiec i zostałyby jeszcze miejsce na dwa helikoptery. Wystrój tego pokoju, podobnie jak reszty domu, był biały - do tego mnóstwo rżniętego szkła, lustra na

przemian ze ścianami pokrytymi kremową taftą, grube skóry niedźwiedzie po obu stronach olbrzymiego okrągłego łoża pokrytego narzutą z białej satyny, na której wyszyto inicjały JK. „Trzeba będzie się pozbyć tej kapy” - pomyślała, krzywiąc się z niesmakiem do wyłożonego lustrami sufitu nad łóżkiem.

Pokłóciła się z Johnnym i z dekoratorem wewnątrz o te lustra. Ale Johnny uważał, że musi w nie patrzeć w czasie ich skądinąd nieczęstego pożycia małżeńskiego. To z pewnością przeważało szalę. Właściwie nie wiadomo, co sprawiło - alkohol czy narkotyki - że jej niegdyś wrażliwy, inteligentny mąż zamienił się w rozpustnika, który potrzebował tanich chwytów, żeby się podniecić. U Katherine, jak u wielu innych kobiet, taki zboczony seks wywoływał oziębłość. Niektóre żony pewnie dla świętego spokoju się na to zgadzały. Ona też od biedy mogłaby udawać, że nie ma nic przeciwko tym lustrom. gdyby Johnny nie był przez cały czas taki nieobecny. Błagała, prosiła, groziła, ale on nie chciał rzucić alkoholu i narkotyków. Albo po prostu nie mógł.

W Nowym Jorku byli takimi sobie aktorami i jechali na tym samym wózku. Przy tym całkiem nieźle sobie radzili. Grali w awangardowych teatrach, użyczali głosów do reklam radiowych, a czasami trafiały się im jakieś małe role w telewizji. I nagle - ni z gruszki ni z pietruszki - zaproponowano jej rolę Georgii w „Rodzinie Skeffingtonów”, co przewróciło ich życie do góry nogami.

Serial „Rodzina Skeffingtonów” emitowała sieć ABN w czasie największej oglądalności. Przedstawiał on historię bardzo bogatej i bardzo skłóconej rodziny z Los Angeles, właścicieli połowy winnic i wytwórni win w Południowej Kalifornii. Głównymi postaciami serialu byli Charles Skeffington, niewzruszony jak skała patriarcha, wielokrotnie żonaty, ojciec liczego potomstwa;

Candice Skeffington, trzecia żona Charlesa, najświętsza kobieta na ekranie telewizyjnym od czasu Donny Reed; oraz Georgia, pozbawiona wszelkich skrupułów druga żona Charlesa, główny czarny charakter.

Rola Georgii była drugorzędna wobec roli Charlesa Skeffingtona, granego przez Alberta Amory'ego, jak rów nież w stosunku do roli Candice, odtwarzanej przez Eleonorę Norman. Ale i tak po trzech i pół roku trwania serialu Katherine stała się jedną z najpopularniejszych i najbardziej cenionych gwiazd telewizji; wcieleniem kobiety, której wszyscy namiętnie nienawidzili. Nie minął rok, a Katherine stała się głównym żywieniem?, ich rodziny, tym bardziej że Johnny się rozpił, czemu naprawdę nie mogła zapobiec, mimo że czuła się w jakiś sposób temu winna. Ale tak to już jest w tym zawodzie, czego oni byli klasycznym przykładem. Gdy ona zaczyna zyskiwać popularność, on idzie w odstawkę.

Chcąc mu wynagrodzić brak sukcesów w zawodzie, zgodziła się na kupno tej kupy marmuru i malachitu, na którą tak naprawdę nie było ich jeszcze stać. Johnny zajął się urządzaniem domu z pomocą znajomego dekoratora wnętrz, Traceya, codziennej butelki whisky i Bóg jeden wie ile białego proszku w nosie. Z jednej codziennej butelki bardzo prędko zrobiły się dwie, a kiedy urządzenie domu zostało skończone, skończyło się też ich małżeństwo.

Katherine zrzuciła żakiet i pantofle i zaczęła chodzić dużymi krokami po pokoju, paląc nerwowo papierosa. Skończone. Skończone raz na zawsze.

Przedtem byli dobrym małżeństwem. Oczywiście, mieli swoje wzloty i upadki, ale jakie małżeństwo ich nie ma? Wzajemne przywiązanie i ich wielka miłość do dziecka wytworzyły między nimi silną więź. Katherine zadrżała, choć w pokoju było ciepło. Żałowała, że nie ma przy niej Johnny'ego. Dawnego Johnny'ego, nie bęwała, którym stał się ostatnio.

Żałowała też, że nie ma z nią Tommy'ego. Mimo kłopotów, jakie sprawiał z racji swojego wieku, był jej oczkiem w głowie. Rozwód najwyraźniej bardzo go rozstroił, bo zrobił się dla niej opryskliwy, wręcz chamski. Matczynego ciepła szukał teraz u Brendy, z nią zaś starał się w miarę możliwości nie przebywać w jednym pokoju, ale ona tak czy owak kochała go ponad życie.

Zgasiła papierosa, weszła do garderoby i nacisnęła guzik automatycznej sekretarki. Tylko dwie osoby zostawiły na taśmie wiadomość. Jedną z nich była Vera Cribbens, jej matka, która teraz mieszkała w Nowym Jorku. Kiedyś przyjechała do Stanów, żeby wyjść za mąż. Wyszła, wcześniej owdowiała, a obecnie jej głównym zajęciem było opychanie się czekoladkami i oglądanie telewizji. Nikt bardziej od Very nie cieszył się z sukcesu Katherine i nikt bardziej od Very jej nie krytykował.

Katherine jednak rozumiała, że matka wyłącznie z dobrego serca nie może się powstrzymać od wygłaszania cierpkich uwag pod jej adresem. Szczególnie nieznośna stała się po przeczytaniu w „The Star” o szykującym się rozwodzie Katherine.

„Co ci strzeliło do głowy, żeby się z nim rozwieść, Kit-Kat? - pytała zirytowanym głosem. - To taki mensch”. Odkąd zaprzyjaźniła się z Goldsteinami, właścicielami pobliskich delikatesów, z lubością używała żydowskich wyrażenia. Matka ciągle mówiła do niej Kit-Kat. Zdrobnienie to nadała córce w dzieciństwie, od jej ulubione go batonika.

Katherine nie raz i nie dwa informowała ją o wyczynach Johnny'ego, ale Vera wierzyła tylko w to, co przeczytała w gazetach. „Ta spódnica była stanowczo za długa - mówił dalej głos matki. - Masz wspaniałe nogi, Kitty, czemu je zasłaniasz? A już zupełnie nie

mogłam znieść koloru twojej szminki. Dobra dla pokojówki. Zadzwoń do mnie, jak wrócisz, Kit-Kat” - zakończyła.

Druga wiadomość była od scenarzysty zatrudnionego przy „Skeffingtonac”, Stevena Leigha, w którym Kathe rine znalazła ostatnio powiernika. Podtrzymywał ją na duchu przez ten cały trudny czas. Chętnie wczuwał się w jej kłopoty i zawsze potrafił wymyślić jakieś sensowne rozwiązanie.

„Cześć, Kitty. Widziałem cię w wiadomościach. Czyż nie mówiłem ci, że wygrasz? Cieszę się z tego wraz z tobą. Może byśmy to jakoś uczcili? Będziesz miała dość sił, żeby przyjść do Mortonów w poniedziałek wieczorem? Myślę, że czas już pokazać miastu tę śliczną buzię, a ja ze swej strony przyrzekam ci dwie rzeczy. Po pierwsze zafunduję ci na wpół surowy stek, po drugie po wiem ci kilka słów gorzkiej prawdy”.

Uśmiechnęła się. Cały Steven. Znał mnóstwo cytatów z filmów i sypał nimi jak z rękawa.

„Założę się, że nie wiesz, z czego to jest. Jeśli jednak zgadniesz, zadzwoń”. Zamyśliła się. Oczywiście trudno coś sądzić o małżeństwach innych, ale Steven i Mandy Leighowie robili wrażenie wyjątkowo dobranej pary. Wprawdzie o Mandy mało się wiedziało, bo gdy Steven tyrał jak niewolnik po piętnaście godzin na dobę w studiu, ona siedziała w domu, wychowując ich dwie małe córeczki, i wyglądało na to, że czuła się dobrze gotując i sprzątając.

Katherine poczuła się zawiedziona, że nikt więcej nie zadzwonił. Nie kultywowała tych wylewnych znajomości, które w Hollywood nosiły dumne miano przyjaźni, jej prawdziwi starzy przyjaciele pozostali w Nowym Jorku. Ostatnio zauważyła, że niektórzy z nich się od niej odsunęli. Kiedy do nich telefonowała, wydawali się tym faktem onieśmieleni, mieli zmienione głosy, jak gdyby myśleli, że teraz, kiedy została gwiazdą, nie będzie chciała się z nimi zadawać. Mylili się, choć oczywiście nie potrafiła udawać, że jest dalej tą samą dawną Katherine, skoro przy byle wyjściu z domu - choćby do drogerii na rogu - była oblegana przez tłum łowców autografów.

Fakt, nie należała do aktorów, którym bardzo zależało, żeby ich z punktu rozpoznawano i wiwatowano na ich cześć, ale skłamałaby, twierdząc, że bycie gwiazdą nie ma swoich dobrych stron. Pewnie, że ma. Gdyby nie była gwiazdą, nie weszłaby do świata ludzi bogatych, ludzi, którzy odnieśli w życiu sukces, nie zakosztowałaby wszystkiego, co w życiu najlepsze - od podróży w prywatnych odrzutowcach po prezenty z najdroższych sklepów. Jednocześnie tęskniła za bardziej zwykłymi rzeczami, które kiedyś przyjmowała za coś tak oczywistego jak powietrze.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że na prawdziwych przyjaciół w Hollywood mogą liczyć tylko ci, którzy się tu urodzili. Miejscowi zadawali się tylko z podobnymi sobie. Owszem, miała tu różnych znajomych - Johnsonów, Hawnsów i Laskersów - czuła jednak, że się wcale nie przejęli rozpadem jej małżeństwa. Nie żeby świadomie jej źle życzyli, po prostu nie kochali tych, którym się udało. Gdyby co do czego przyszło, Steven i Brenda byli przypuszczalnie jedynymi przyjaciółmi, na których mogła liczyć.

O, jej menedżer i rzecznik prasowy, ci to otrzymali dziś mnóstwo telefonów. Od fanów dzwoniących z wyrazami sympatii, od redaktorów przymilających się o wywiad, od instytucji dobroczynnych zapraszających na przyjęcia charytatywne, które miały dla niej taki urok jak spędzenie samotnie nocy na bezludnej wyspie. Zajęli się nimi profesjonalnie, nie zakłócając jej spokoju. Szkoda, bo dziś akurat marzyła o tym, żeby ktoś zakłócił jej spokój.

Popatrzyła na te ściany, które przyprawiły ją o klaustrofobię - wyłożone jedwabiem, obwieszane lustrami, ukazywały jej postać ze wszystkich stron. Zobaczyła wszystkie niedoskonałości swojej czterdziestotrzyletniej twarzy i ciała - niedoskonałości, których inni nigdy nie oglądali. Zachciało się jej krzyknąć. W pokoju było gorąco, wcisnęła więc guzik klimatyzatora, który jak zwykle nie działał. Zatelefonowała do gospodyni.

- Mario, czemu nikt nie naprawił klimatyzacji?

- Bardzo przepraszam, señora. Ten człowiek był tu dziś. Powiedział jednak, że jest bardzo stara i wymaga mnóstwa roboty. Przyjdzie w poniedziałek.

- W poniedziałek? - krzyknęła Katherine tracąc panowanie nad swoim głosem. - Dziś jest dopiero czwartek, czy to znaczy, że mam się dusić przez cały weekend?

- Bardzo mi przykro, senora - powiedziała Maria nieśmiało. - Powiem Pedrowi, żeby zaniósł szybko pani wiatraczek.

- Co robić - odparła Katherine przez zaciśnięte zęby. - Powiedz mu, niech mi przyniesie dwa wiatraczki.

- Odłożyła z irytacją słuchawkę.

Nagle poczuła, że za chwilę się udusi. Włożywszy pośpiesznie szorty i koszulkę, wyszła do ogrodu. Lubiła zajmować się ogrodem; niewielu ludzi wiedziało - a telewizzowie nigdy by się tego nie domyślili - że weekendy spędzała na wrywaniu chwastów i podlewaniu grządek. Po raz pierwszy od wielu dni odetchnęła pełną piersią, nabierając do płuc tego czegoś, co w Los Angeles uchodziło za powietrze, choć w istocie rzeczy było brunatną zupą. Powędrowała wzrokiem nad zadymiony horyzont. Tam, gdzie jeszcze nie zdążyła dojść mgła i wyziewy z milionów samochodów, rozpościerało się blade szaroniebieskie niebo.

Trawnik przedstawiał smutny widok - przezierały przezeń ogromne łąty gołej brązowej ziemi, a chwasty włąziły na klomby. Pochyliła się nad rododendronem i stwierdziła ze smutkiem, że trzy czwarte kwiatów zwiędło, a ogrodnik nawet nie pofatygował się ich obciąć. Ach, ten ogrodnik! Płaciła mu tysiąc dolarów miesięcznie, a on wraz ze swoimi pomocnikami ograniczał się do usuwania suchych liści za pomocą hałaśliwej maszyny, która skutecznie uniemożliwiała prowadzenie rozmów w domu. Katherine podejrzewała, że wydziela ona bardziej szkodliwe -wyziewy niż samochody w Los Angeles. Kochała swój ogród, ale musiała przyznać, że panował w nim wyjątkowy bałagan. Ten ogród jest podobny do mnie, pomyślała. Na próżno topiła w nim tysiące dolarów, nie mówiąc o swoim czasie i siłach. Większość drzew, krzewów, roślin, kwiatów zwiędła w upale tego zadymionego dnia. Katherine włączyła spryskiwacze - żaden nie działał.

- Pedro! - zawołała zirytowana.

Pedro przybiegł z kuchni.

- Sen ora wołała?

- Co się stało z tymi spryskiwaczami?

- Przykro mi, senora - zaczął przepraszająco. - Nie działają jak trzeba już prawie od dwóch tygodni. Wezwałem ogrodnika, powiedział, że naprawi, ale... - Pedro wzruszył ramionami - nic nie zrobił do tej pory. Bardzo mi przykro.

- W porządku, Pedro, to nie twoja wina.

Spojrzała ze smutkiem na obumarłe resztki ulubionego krzewu kamelii. Kiedy schyliła się nad klombem, żeby wyrwać jakiś chwast, szósty zmysł kazał jej unieść głowę. Na wzgórzu naprzeciwko coś błysnęło. Katherine podniosła się, oparła ręce na biodrach i spojrzała w dal. Nie było wątpliwości - mniej więcej pięćset metrów od niej chowali się za drzewem paparazzi.

Włoskie słowo paparazzo oznacza natrętnego komara. Trudno o trafniejszą nazwę. Niemal słyszała trzask wyzwalaczy, widziała kurtki fotografów wypchane obiektywami, filmami i zapasem napojów chłodzących na długie godziny czatowania. Dziś się im udało, och, będą zachwyceni tym zdjęciem, pomyślała. Nie wystarczyły im setki zdjęć z sądu, na których była w eleganckim kostiumie. Nie, ze wszystkich zdjęć właśnie to - ukazujące ją w rozciągniętych szortach, zmiętej koszulce, ze śladami łez na twarzy - znajdzie się na okładce „National Enquirer”.

- A niech was pokręci! - krzyknęła i wróciła do domu, energicznie zasuważąc za sobą drzwi. - Czemu nie zosta wicie mnie wreszcie w spokoju?

Poszła do ogromnej nieprzytulnej części śniadaniowej, gdzie stały twarde stalowe krzesła i marmurowy stół, obecnie nakryty dla jednej osoby. Zjawił się uśmiechnięty od ucha do ucha Pedro.

- Czy sehora napije się czegoś przed obiadem?

- Tak, Pedro, napiję się. Proszę o podwójną wódkę z lodem - odparła.

Czort z dietą, czort ze spuchniętą twarzą, czort z workami pod oczyma. Czort ze wszystkim. Co jej z tego, że jest słynną gwiazdą telewizyjną, Katherine Bennet, skoro czuję się taka opuszczona, samotna, niekochana?

Miała dziś wielką ochotę się upić. Jajko na miękko smakowało tak, jak gdyby miesiąc przeleżało w lodówce, grzanka była zimna, a zielona pietruszka, którą Maria udekorowała białosrebrny talerz słynnej firmy Wedgwood, zwiędła. Katherine z irytacją odsunęła talerz, wypła wódkę, zapaliła papierosa.

- Pedro! - zawołała. - Przynieś mi jeszcze wódki.

- Si, sehora.

- Pedro, niezmiennie uśmiechnięty, zjawił się z karafką niemal natychmiast.

Ciekawe, dlaczego Pedro i Maria zawsze się uśmiechają, zastanawiała się Katherine. Może jak się pochodzi z Tijuany, to do szczęścia wystarczą trzy tysiące dolarów miesięcznie na dwoje, za darmo utrzymanie i telewizja kablowa, befsztyk pięć razy w tygodniu i wychodne, co drugi weekend. Zresztą oni nie tylko się uśmiechali. Często zdarzało się, że weszła do kuchni, a tam Pedro, Maria, Suzy i inni jej pracownicy zaśmiewali się do łez nad serami, pasztetami oraz egzotycznymi owocami, regularnie sprowadzanymi ze sklepu Gelsona, najdroższych delikatesów w Los Angeles. Jedli wszyscy niemało, za to pili wyłącznie dietetyczne napoje kupowane skrzynkami w sklepie monopolowym.

Ale ilekroć ona chciała się napić soku jabłkowego, wody Evian lub białego wina, okazywało się, że akurat „wyszły”. Oczywiście wielka skrucha i zapewnienia, że to się już nigdy nie powtórzy. Ale się zawsze powtarzało. Raz, kiedy oboje mieli akurat wychodne, przestudiowała zawartość domowej lodówki. Maczanka guacamole, sosy, lody we wszystkich możliwych smakach, kopa masła, kremowe sosy do sałatek, słowem zły sen dla kogoś, kto przestrzega niskokalorycznej diety. Zamrażarka pod sufit załadowana była mięsem: cielęciną, kurczakami, koszernymi hot-dogami, befsztykami, hamburgerami i niezliczonymi mrożonymi plackami z mięsem. Zawsze prosiła o niskokaloryczne, wegetariańskie potrawy, ale tych dziwnym trafem w lodówce było jak na lekarstwo. Spisała na kartce podstawowy zestaw interesujących ją produktów, kartkę przykleiła do ściany, a mimo to ilekroć o coś z tego poprosiła, dowiadywała się, że właśnie zabrakło w domu.

Rozmawiała na ten temat z Brendą, ale niewiele to dało. Brendą ważyła prawie sto kilogramów, uwielbiała jeść, w sklepie po prostu nie potrafiła się powstrzymać od ładowania do wózka ciastek, pizzy oraz najbardziej kalorycznych lodów.

Nie oznaczało to bynajmniej, że Katherine uważała Pedra i Marię za złych służących. Nie, nie. Znajomi często jej gratulowali takich lojalnych, życzliwych, uczciwych

pracowników. I chyba faktycznie byli uczciwi. Z braku czasu nie sprawdzała przysyłanych przez sklep Gelsona rachunków, które Pedro wręczał jej uprzejmie w każdy ostatni piątek miesiąca, a które często opiewały na absurdalne kwoty. No cóż, pięć tysięcy dolarów miesięcznie za produkty spożywcze dla normalnego domu byłoby z pewnością ciut za dużo, ale przecież jej dom do normalnych się nie zaliczał. Była gwiazdą. Wielką gwiazdą telewizyjną. A gwiazdy nie rozliczają, co do centa swoich pracowników.

Katherine wypila drugą wódkę i znużona przesiadła się na kanapę. Na środku ogromnego malachitowego stołu stało srebrne naczynie z orzechami nerkowca. Niewiele myśląc włożyła do ust pełną ich garść. Mniejsza o to, co jutro powie projektant jej strojów.

- Mam to w nosie - mruknęła. - Umieram z głodu.

Rozległ się dzwonek telefonu. Nie zwlekając sięgnęła po słuchawkę.

- Cześć, piękna. Jak się masz?

- O, to ty, Steve. Dzień dobry, kochany. Dziękuję za ciepłe słowa.

- Żałowałem, że nie mogłem ci towarzyszyć.

- To była istna paranoja. - Schyliła się i ostrożnie naląła sobie jeszcze jeden kieliszek wódki. - Chyba by ci się podobało.

- Mógłbym to wykorzystać do scen w sądzie, które będziemy kręcić w przyszłym tygodniu. Aha, poznałaś cytat?

- Nie, nie jestem w tym taka dobra jak ty, Steve.

- „Siedem dni w maju”, wszyscy to znają.

- Oprócz jednej kretynki - odparła Katherine.

- Dlaczego zaraz kretynki? Naprawdę myślisz, że jutro będziesz w stanie pracować?

- Pewnie - na chwilę przerwała, by wypić kolejny łyk wódki. - Praca mi dobrze robi.

- Uświadomiwszy sobie, że język jej się trochę płacze, zachichotała.

- A jak ta banda dawała sobie radę beze mnie?

- Jak zwykle. Kłócili się, wymyślali, robili sceny. Wszystko z wyjątkiem walki na pięści. Albert i Eleonora okropnie się szarogęsili przez ten tydzień. Nie ma co liczyć, oni cię nigdy nie pokochają. Przez ten rozgłos, jaki ostatnio zyskałaś, znienawidzili cię do imentu.

- Nie musisz mi nawet tego mówić. Ciekawe, jak się jutro zachowają. Na pewno będą triumfować, bo twarz mam szarą jak ściierka.

- Nie wierzę. Na pewno jesteś dla siebie za ostra. Dla mnie wyglądasz zawsze bardzo atrakcyjnie.

- O Boże, Steve, powiedz mi, czemu tak bardzo przeżywam ten rozwód?

- Cóż, byłaś żoną tego faceta przez dwadzieścia lat. Jesteś tylko człowiekiem.

- Pewnie masz rację. - Wzięła do ust drugą garść orzeszków.

- A Tommy? Jak on to przyjął?

- Niezbyt dobrze. Boczy się na mnie. Nie ma go tutaj, bo poszedł z Brendą na mecz Lakersów.

- Tommy jest jeszcze młody. Prędko dojdzie do siebie. Słuchaj, Kitty, nie przejmuj się niczym, weź parę tabletek valium i spróbuj trochę pospać.

- Pospać! - Spojrzała na zegarek. - Jest dopiero wpół do ósmej, a ja chrapię valium niczym orzeszki, te zresztą też, o mój Boże! - rozpląkała się.

- Nie płacz, kotku. Żaden facet nie jest tego wart.

Uśmiechnęła się przez łzy. - "Pół żartem, pół serio", prawda?

- Zgadza się. A może byś wpadła do nas?

- Nie, dziękuję, kochany. Właśnie zjadłam jajko i kilogram orzeszków. Lepiej pójść już do łóżka, nie chcę wyglądać jutro jak beczka.

- To ci nie grozi. Jesteś zawsze bardzo piękna. Pamiętaj o tym. Do zobaczenia na planie, mała.

- Dzięki, Steve. - Odłożywszy słuchawkę, sięgnęła po kieliszek i zaczęła chodzić po pokoju, przystając przy fotografiach, na których była z Johnnym i Tommym - szczęśliwa rodzina w srebrnych ramkach. Boże, jacy byli szczęśliwi. Czas zatrzymany na fotografiach.

Zagubiła się w smutnych wspomnieniach.

Nagle jej rozmyślania przerwał głośny i znajomy śmiech. To Brenda wróciła. Katherine przeszła przez salon i otworzyła wahadłowe drzwi do kuchni.

Brenda siedziała przy stole z resztą towarzystwa - Pedrem, Marią, Samem i Suzy.

- A to ci niespodzianka. Myślałam, że jesteś z Tommym. - Katherine chyba jeszcze nigdy tak nie ucieszył widok milej, pulchnej twarzy Brendy.

- Tak, ale po meczu Tommy był umówiony z kolegą - odparła Brenda. - Wróciłam więc do domu. Pedro i Maria przygotowują mi małą przekąskę.

Na stole stała miska makaronu i sałatka. Pachniało tak apetycznie, że Katherine najchętniej usiadłaby z nimi i natychmiast zjadła całą tę miskę. Była zawsze głodna, ale obie z Eleonorą musiały utrzymywać trzy kilogramy niedowagi, żeby dobrze wyglądać w strojach Maximiliana - niesłychanie obcisłych, ponieważ kamera dodaje pięć kilogramów do figury.

- Co to za kolega?

- Chłopiec, który mieszka w Westwood. Ten, którego matka ciągle bierze udział w teleturniejach - zakończyła Brenda pogardliwie.

- Todd? Pojechał z Toddem?

- Tak, Todd był z nami na meczu. Flirtował z jakimiś dziewczynami siedzącymi z tyłu. Wiesz, same zęby, włosy i chichot.

- Myślę, że Tommy jest już w takim wieku, kiedy chłopcy zaczynają się interesować dziewczętami.

- Tak, to już duży chłopiec. Za dwa miesiące skończy szesnaście lat. Jakie przyjęcie mu wydamy? Może coś w stylu „Playboya”? Z króliczkami?

- Jakże sam zechce. - Katherine uśmiechnęła się. Jak trudno się przyzwyczaić do myśli, że syn jest już prawie dorosłym mężczyzną.

- Zaczekasz na niego?

- Jasne. Nie przejmuj się nim, Kitty. Masz dość innych zmartwień. Chcesz może, żeby przećwiczyć z tobą jutrzejsze sceny?

- Nie. Dziękuję - powiedziała Katherine i pokręciła przecząco głową. - Przeczytam je w samochodzie w drodze na plan. To tylko kolejna scena z Eleonorą. Nie jest trudna, takie sceny grałyśmy już tysiące razy, tylko w innych strojach. - Pocałowała Brendę w policzek, służbie życzyła dobrej nocy.

Idąc na górę wzięła ze sobą butelkę wódki. Dziś będzie to jej jedyna towarzyszka.

Todd Evans i Tommy Bennett jechali lśniącym czarnym BMW po Van Nuys Boulevard. Za kierownicą siedział Tommy i prowadził stanowczo za szybko.

- Zwolnij, stary - zawył Todd. - Bo nas gliny przyskrzynią.

- Cykor - mruknął Tommy i ostro skręcił, żeby się nie zderzyć z motocyklistą.

Motocyklista pogroził mu pięścią. Tommy parsknął śmiechem i popił Budweisera. Piwo ściekło mu po brodzie ku słabym zaczątkom zarostu.

Todd spojrzał niespokojnie w lusterko.

- Wiesz, stary, lepiej oddaj mi kierownicę - powiedział proszącym tonem. - Jeśli tata się dowie, że pozwoliłem ci prowadzić jego samochód, będę ugotowany.

- Przypominam ci, że wygrałem zakład. Obiecałeś, że dasz mi się za to przejechać. - Tommy dopił piwo, lewą ręką zgniótł puszkę i cisnął ją przez okno. Puszka odbiła się od stoiska z gazetami, podskoczyła dwa razy i omal nie trafiła w przechodnia, który okropnie się zdenerwował. Tommy wcisnął pedał gazu. - A może by tak poderwać na wieczór ze dwie panienki?

- Ciekawe, gdzie znajdziesz takie panienki na Van Nuys Boulevard w czasie roku szkolnego?

- Może tutaj? - Tommy ruchem głowy wskazał oświetlony neonówką bar, pod którym wałęsały się nedorostki. - Głowę dam, że trafimy tutaj na jakieś panienki dumnie obnoszące swój towar. Może nawet jakieś materace z dwunastej klasy.

- No dobra, spróbujmy skwapliwie zgodził się Todd. Zgodziłby się na wszystko, żeby tylko odebrać kierownicę koledze.

Tommy skręcił na parking z piskiem opon. Todd aż podskoczył. Ojciec na pewno pozna, że ktoś się dobierał do jego BMW. Todd skończył już szesnaście lat i właśnie zrobił prawo jazdy, Tommy'emu do pełnych szesnastu lat brakowało jeszcze dwóch miesięcy. Jeśli policja przyłapie go na prowadzeniu samochodu, obaj będą mieć przymoczone.

W zatłoczonym ciemnym barze zajeżdżało piwem, papierosami i tanimi perfumami licealistek. Chłopcy nie dbałym krokiem podeszli do baru, zamówili dwa Budweisery. Udając zblazowanych zapalili papierosy i zaciągnęli się. Obaj byli wysocy, przystojni; dziewczęta, które już ich zauważyły, zaczęły chichotać. Tommy odziedziczył po matce czarne kręcone włosy i jasnozielone oczy. Nosił się jak wszyscy w jego wieku - brudne dżinsy, koszulka bawełniana, czarna skórzana kurtka. Todd miał płowe włosy, które opadały mu na czoło. Wierzył, że w okularach i marynarce tweedowej wygląda na młodsze, bardziej seksowne wcielenie Woody Allena.

Po dziesięciu minutach stania przy barze Tommy zwrócił uwagę na pewną brunetkę.

- Ta to ma czym oddychać - szepnął.

- Ekstra - przyznał Todd. - Naprawdę ekstra.

- Chyba wykonam ruch - rzekł Tommy z pewnością siebie nabytą dzięki sześciu Budweiserom. Todd zmarszczył czoło.

- E, ona jest zajęta - powiedział wskazując ruchem głowy facetów, którzy kręcili się wokół dziewczyny.

- No i co z tego? - obruszył się Tommy. - Jestem od nich wyższy.

„A także trochę młodszy” - pomyślał Todd. Jeden z tych dwóch miał co najmniej osiemnaście lat.

Tommy prędko wypił piwo, zapłacił za dwa następne, po czym niespiesznie podszedł do dziewczyny, ślicznej, mniej więcej siedemnastoletniej, z burzą kasztanowych loków i jasnymi oczyma, które przypomniały mu matkę.

Matkę, pracoholiczkę, której nic nie obchodziło, bo przejmowała się jedynie swoją karierą, ciuchami i sławą. Dla niego nie miała zupełnie czasu. Już nigdy nie będą tacy szczęśliwi jak w Nowym Jorku. Czasami Tommy winił matkę za to, że ojciec z delikatnego, miłego faceta - i znacznie lepszego od niej aktora - stał się narkomanem. Tommy starał się nie

myśleć o rozwodzie rodziców. Za bardzo go to złościło. Tak go to złościło, że chętnie by się na kimś odegrał.

- Coś cię dręczy, stary? - spytał chudy dziewiętnastolatek, zagradzając drogę Tommyemu, zanim ten doszedł do stołu, przy którym siedziały dziewczyny.

Tommy obdarzył go pogardliwym spojrzeniem.

- My się z tą panią znamy. Jesteś Jennie, prawda? - krzyknął, starając się przekrzyczeć szafę grającą.

Dziewczyna podniosła na niego niechętnie przezro czyste oczy.

- A jeśli nawet, to co z tego?

- Nazywam się Tommy Bennet. Chodzimy do jednej budy. Jestem z dwunastej klasy.

Wysoki chudzielec walnął Tommyego pięścią w klatkę piersiową.

- Powiedziałem ci, żebyś spadał, koleś - -warknął. - Więc spadaj, jajarzu.

- Zabierz ode mnie swoje śmierdzące łapy. - Tommy starał się nadać swojemu głosowi groźne brzmienie. - I to już, chامية jeden, bo oberwiesz.

- Czyżby? Oberwę? Ciekawe od kogo? Od ciebie, zdechlaku? Ty nie wycisnąłbyś nawet pryszcz na dupie.

Tommy uderzył go pięścią prosto w twarz. Teraz już wszyscy na nich patrzyli. Bijatyka w nudny czwartkowy wieczór. Super. Nareszcie coś się dzieje. Nie minęło kilka sekund, a ci dwaj zaczęli okładać się pięściami, dzie wczyny zaś, udając przerażenie, z piskiem uciekły w róg sali.

- Ty cholerny gnoju, już nie żyjesz - wrzasnął przeciwnik Tommyego.

Właściciel lokalu za barem wzniosł oczy do nieba, po czym sięgnął po telefon i wykręcił numer policji.

Katherine siedziała przed lustrem i szczotkowała włosy, tak jak uczyła ją matka, kiedy ona miała zaledwie trzy lata. Co wieczór sto pociągnąć szczotką. Katherine patrzyła na swoje odbicie w lustrze, niezbyt nim zachwycona. Cerę miała ziemistą, pełną przebarwień. Zmarszczki pod oczami, spuchniętymi od morza łez wylanych przez ostatnie miesiące, świadczyły o wyczerpaniu. Wyglądała na swoje czterdzieści trzy lata. Oczywiście Jasper potrafił tak ustawić oświetlenie, że zmarszczek nie było widać, ale zmęczenie zasnuwało jej twarz jak welon. Gdzie te iskry, gdzie to światło w jej słodkich oczach?

No cóż, musiała doprowadzić do końca wieczorny rytuał. Wklepała energicznie w twarz drogi krem, nie zapomniała o szyi, na której skóra ostatnio jak gdyby nieco zwiotczała.

Potem wstała i zagryzając zęby zrobiła sto przysiadów. Powinna je robić codziennie, ale w poprzednim tygodniu nieco się opuściła. Czuła, że mięśnie jej brzucha straciły zwykłą elastyczność, a wiadomo, że mięśnie brzucha pokrywają się tłuszczem, jeśli nie ćwiczy się ich regularnie. Chociaż była tak zmęczona, że ledwo trzymała się na nogach, sięgnęła po hantle i patrząc na swoje odbicie w licznych lustrach wykonała pięćdziesiąt wymachów każdą ręką.

W końcu, całkiem już ślaniając się na nogach, poszła do łóżka. Wczołgawszy się do swojego gniazdka między jedwabnymi prześcieradłami, ułożyła głowę na obszytej koronkami poduszce, zamknęła oczy i czekała na sen. Ale przed jej oczyma wciąż przesuwały się kolejne sceny z sali sądowej. Gdy stwierdziła, że nie zaśnie, wysunęła szufladę nocnego stolika, wyjęła z niej tabletkę nasenną, westchnąwszy z rezygnacją połknęła ją, popiła wódką, po czym położyła się na wznak i czekała, kiedy zapadnie w letarg.

Z głębokiego snu -wyrwał Katherine dzwonek telefonu. Przy interkombie był Pedro.

- Przepraszam, że budzę, senora, ale dzwonią z policji. Mówią, że muszą rozmawiać z panią osobiście.

- Z policji? - Katherine potrząsnęła głową i z trudem usiadła. - Czego chcą?

- Tego nie powiedzieli, senora - odparł Pedro, tłumiąc ziewanie. - Upierają się, że muszą z panią porozmawiać. Są na jedyńce.

- Dziękuję, Pedro. - Nacisnęła guzik drugiego telefonu. - Słucham? - spytała pełna najgorszych obaw.

- Czy pani Katherine Bennet?

- Tak.

- Jest tu u nas Thomas John Bennet. Twierdzi, że jest pani synem.

- Czy coś mu się stało? - spytała przerażona.

- Został aresztowany. Powinna pani natychmiast przyjechać na komisariat okręgu Van Nuys. Van Nuys Boulevard numer 7789.

- Zaraz tam będę - rzekła, odzyskując całkiem przytomność. - Czy z moim synem wszystko w porządku? Czy nic mu się nie stało? - zapytała nerwowo, ale połączenie zostało już przerwane.

ROZDZIAŁ DRUGI

Czwarta trzydzieści. O tej godzinie Katherine zwykle wstawała, żeby przygotować się do długiego dnia pracy na planie. Budzik zapiszczał przeraźliwie, jak gdyby chciał poderwać ją do natychmiastowego działania; wyłączyła go i stanęła pośrodku pokoju, zdezorientowana, zagubiona. Jeśli pojedzie teraz na Van Nuys Boulevard załatwić zwolnienie Tommy'ego z aresztu, do którego trafił z niewiadomego powodu (na samą myśl o tym przebiegł ją dreszcz), spóźni się do pracy. Komisariat znajduje się dokładnie w przeciwnym kierunku niż studio.

Trudna sprawa. Szefów Katherine nie wzruszały prywatne kłopoty aktorów; prawdę mówiąc, bardzo niechętnie zwolnili ją na te pięć dni rozprawy sądowej. Zmusiło to ich do kręcenia scen, w których nie występowała, co z kolei wprowadziło takie zamieszanie, że nakręcenie jednego odcinka „Rodziny Skeffingtonów” trwało aż sześć dni. Katherine wiedziała, że producent na ten i następny dzień wyznaczył realizację scen z jej udziałem. Obecność była, więc konieczna. Jednocześnie czuła, że jej miejsce jest, przy Tommym. Syn był wszystkim, co miała - szczególnie teraz, gdy się rozstała z Johnnym. Ogryzając skórki, zastanawiała się, jak postąpić. Spojrzała jeszcze raz na zegarek. Cóż, krew nie woda. Jedzie do syna. Czort ze studiem.

Rozległo się pukanie do tylnych drzwi garderoby. Weszła Maria z tacą, na której stała filiżanka czarnej mocnej kawy i szklanka soku z mango i grejpfruta.

- Czy senora życzy sobie samochód na piątą?

- Tak, ale powiedz Samowi, że zamiast do studia pojedziemy na Van Nuys Boulevard. Spytaj go, czy wie, gdzie jest tamtejszy komisariat policji.

- Si senora.

Katherine wciągnęła dżinsy, bawełnianą koszulkę, wypila duszkiem gorącą kawę. Nacisnęła szóstkę na tarczy telefonu i zaczęła, aż automat wybierze zakodowany numer.

- Halo - odezwał się czyjś zaspany głos.

- Ben?

- Ben. Co się znowu stało, Katherine? - spytał szef produkcji serialu tonem bardziej burkliwym niż zwykle.

- Chodzi o to, Ben, że mam kłopoty rodzinne i... - zawahała się. Ben składał szczegółowe raporty producentom, z których jeden chyba miał jakieś konszachty z wężącym wszędzie „The National Sun”. - ... i spóźnię się parę godzin - dokończyła szybko. - Muszę coś załatwić. To ważna sprawa rodzinna.

- Kolejna ważna sprawa rodzinna? Katherine, teraz nie ma nic ważniejszego od tego, żebyś za czterdzieści pięć minut zgłosiła się do charakteryzatorów, a o siódmej zameldowała się na planie. Przez cztery dni kręciliśmy bez ciebie. Dziś pracujemy na lotnisku, a przy tym cholernym upale lepiej, jeśli uwiniemy się z robotą jak najprędzej. Nawet mowy nie ma o tym, żebyś mogła się spóźnić.

- Występuję tylko w trzech scenach. W trzech scenach z pięciu. Chyba mogę się urwać na godzinę. Ben, to bardzo ważne.

Ale Ben był niewzruszony.

- Posłuchaj, Katherine - warknął - przez ten swój zafajdany rozwód opuściłaś już cztery dni. Zatrzymaliśmy twoje sceny, choć bez przerwy nas popędzają, żebyśmy wreszcie skończyli te dwa odcinki. Poza twoimi scenami nakręciliśmy już wszystko. Nie chcę nawet myśleć o tym, co się ze mną stanie, jeśli nie nakręcimy zaplanowanych na dziś scen plus pięciu twoich scen, których domaga się scenarzysta. Sama więc powiedz, czy może być coś ważniejszego?

- Nie może - przyznała sucho Katherine. - Dobrze, Ben. Będę na czas.

- No myślę - warknął i odłożył słuchawkę.

Katherine -wykręciła numer pokoju Brendy.

- Kto to?

- Przepraszam, że cię budzę, Brendo, ale coś strasznego przydarzyło się Tommy'emu.

- Tommy'emu? Co ty mówisz?

- Nie denerwuj się. Wiem, że zabrzmi to strasznie, ale, widzisz, dzwonił z policji. Aresztowali Tommy'ego i trzeba, żeby ktoś za niego poręczył, tymczasem ten cholerny Ben nie chce mnie zwolnić.

- Wystarczy, kochanie. Zaraz tam jadę. Za co go aresztowali?

- Tego nie chcieli powiedzieć. Nie mogłam nic od nich -wyciągnąć. Modłę się, żeby nie było to coś poważnego. Przez cały czas będę miała przy sobie telefon komórkowy, zadzwoń, więc, jak tylko się czegoś dowiesz. Masz domową książeczkę czekową?

- Mam - odparła Brenda. - Już tam jadę. O nic się nie martw. Do zobaczenia wieczorem.

Katherine, która czuła się niezdolna do żadnego ruchu, spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta piętnaście. No cóż, trzeba jechać do pracy. I to już.

Uwadze Eleonory Norman nie umknęło bynajmniej, że Katherine weszła do charakteryzatorni spóźniona, potargana, z nieobecnym wyrazem twarzy. Eleonora leżała na

skórzanej kozetce, z przymkniętymi powiekami. Na jej włosach ściągniętych mocno do tyłu widać było ciemne odrosty.

- Dzień dobry, Eleonoro - przywitała ją chłodno Katherine.

- Dzień doły, Katheryne - jeszcze chłodniej odpowiedziała ze swoim charakterystycznym „f” Eleonora i uśmiechnęła się nieszczerze.

Odkąd w pięćdziesiątym którymś roku pięcioletnia Eleonora Norman zeszła z pokładu angielskiego statku, a rychło potem zaczęła grać główne role w najgłośniejszych filmach hollywoodzkich, plotki oblepiały ją jak letnia mgła. Gubiono się w domysłach, jak do tego doszło, że główną rolę w amerykańskiej ekranizacji „Heidi” dostała nie znana nikomu, świeżo przybyła do Stanów, angielska smarkula, choć o tę rolę od miesięcy ubiegały się tysiące małych mieszkanki Ameryki od Nowego Jorku po Los Angeles.

Podobno jej mama, przedsiębiorcza, pyskata wdowa, wsadziła małą do łóżka szefa produkcji wytwórni Palladium Pictures. Wprawdzie nikt nigdy tego nie udowodnił, lecz tajemnicą poliszynela było, że wdowa Norman i jej śliczna córeczka często spędzały weekendy w dobrze strzeżonej, otoczonej wysokim murem posiadłości Fritza Pallenberga w Bel Air. Zwykle były tam jedynymi gośćmi.

Chociaż od tamtego czasu minęło trzydzieści lat i matka Eleonory dawno nie żyła, podobnie jak Fritz Pallenberg oraz większość jego kumpli, Eleonorze wciąż towarzyszył zapaszek skandalu. Nigdy nikomu nie zdradziła, co robiła ze starym notorycznym pedofilem w tamte noce w Los Angeles, których wspomnienia wracały czasem w jej snach. Budziła się wówczas spocona i do rana trzęsła się ze strachu. Na ogół jednak udawało się jej nie pamiętać o przeszłości, a Dirk, jej stały kochanek, pomagał jej w tym najlepiej, jak potrafił.

Teraz, gdy skończono jej makijaż, Eleonora przeszła do pokoju obok, do fryzjera. Nabrała do plastikowego kubka trochę bezkofeinowej kawy, sięgnęła po świeży numer „Yariety” i odszukała rubrykę towarzyską Army’ego Archarda.

„Z planu „Rodziny Skeffingtonów”, bardzo popularne go serialu sieci ABN, doszły nas słuchy, że Katherine Bennet za wszelką cenę stara się zwrócić na siebie uwagę jurorów i otrzymać tegoroczną Nagrodę Emmy. Nasz informator donosi, że w roli ognistej ślicznotki z Południa pani Bennet przechodzi samą Scarlett O’Harę. Obserwujmy panią Bennet, bo to ona zapewne w tym roku otrzyma Nagrodę Emmy”.

Eleonora zgmiotła plastikowy kubek i ze złością cisnęła go do kosza na śmieci. Zarozumiała mała! I kto to wymyślił? Przecież to ona, Eleonora, była bohaterką serialu, ona grała główną rolę kobiecą w „Rodzinie Skeffingtonów”. Oboje z Albertem byli filarami serialu, a Katherine grała drugie skrzypce. Z drugiej strony, czy Katherine ostatnio nie była

wyróżniana? Czy nie dostawała coraz ostrzejszych kwestii? Bardziej dramatycznych scen? Czy nie przesadnie skupiano się na jej charakterze? Rzuciwszy ze złością gazetę na podłogę, Eleonora wyciągnęła z torby scenariusz na następny tydzień. Prędko przeleciała go oczyma, bezgłośnie poruszając wargami. Coś nerwowo liczyła. Ale zanim doszła do końca, bardzo się zdenerwowała.

W tym odcinku przypadło Katherine przynajmniej trzydzieści, czterdzieści linijek więcej niż jej lub Albertowi. Jak oni śmieli zrobić jej coś takiego? Czy po to przez całe życie grała w filmach drugorzędne rótki u boku starych aktorek? Czy na darmo harowała jako dziecko?

Eleonora wzdygnęła się na wspomnienie monotonii i śmiertelnej nudy jej dzieciństwa. Jakże się starała, żeby wszystkich zadowolić, a zwłaszcza matkę. Rodziny nie miały żadnej, znajomych niewielu. Jeminie Norman czasami może i przemknęło przez myśl, że pozbawia córkę przyjemności będących udziałem innych dzieci - zabaw, jeżdżenia na łyżwach, towarzystwa rówieśników, ale nad jej instynktami macierzyńskimi zawsze w końcu brała górę ambicja.

Kiedy Eleonora osiągnęła pełnoletność, z zewnątrz przypominała brzoskwinie lub kremową różę, wewnątrz jednak była twarda niczym wojskowy but. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo choć publiczność nie zmiennie ją lubiła, Hollywood nie umieścił jej na liście gwiazd. Coraz rzadziej proponowano jej role w filmie. Tymczasem pieniądze się rozeszły, ponieważ rozrzutna Jemina zupełnie nie brała pod uwagę, że cudowne dzieci też dorastają. Eleonora musiała się zadowolić rótkami w telewizyjnych miniseriach i filmach tygodnia. Czasami musiała też pracować jako kelnerka lub szefowa kelnerek, co było zamaskowaną formą prostytutki. Ale o tym starała się zapomnieć.

Wraz z rolą Candice Skeffington jej los się gruntownie odmienił. Znowu była sławna i jeśli zostały jej jeszcze jakieś ambicje, to sprowadzały się one do tego, żeby nie grać drugorzędnych ról, zwłaszcza u boku wcześniej nikomu nie znanych nowojorskich aktorek, mówiących ze śmiesznym akcentem.

- Witam piękną panią. - W gabinecie fryzjerskim pokazała się dostojna, korpulentna postać Alberta Amory'ego. Jego farbowane kasztanowe włosy były przyprószone siwizną, a gruba warstwa pomarańczowej packi maskowała siateczkę zmarszczek na twarzy. Albert miał przebiegłe, głęboko osadzone oczy i sardoniczne wargi. Jego wygląd kojarzył się przede wszystkim z dębem - masywnym, brązowym, niepokonanym. - Jakie mamy dziś samopoczucie, droga Eleonoro?

- Dziękuję, bardzo dobrze. W każdym łazie miałam bardzo dobre samopoczucie, póki nie przeczytałam tego.

Albert włożył okulary i czytał powoli, a jego wyciosana w skałę twarz stopniowo przybierała coraz mniej sympatyczny wyraz.

- W dodatku w następnym odcinku dali jej ze czterdzieści linijek więcej niż mnie i dużo, dużo więcej niż tobie! - syknęła Eleonora. - Co z tym żłobimy, Al?

- Prosiłem cię, żebyś nie mówiła do mnie Al - warknął.

- Przepłaszam cię, kochany, zapomniałam. - Poklepała go po dłoni, starając się jednak nie zepsuć dzieła charakteryzatorów, które prawie, ale nie całkiem maskowało jego plamy wątrobowe. - Albelcie, mój długi, co z tym żłobimy?

- Coś wymyślimy. W końcu to my jesteśmy głównymi bohaterami tego serialu, droga Ellie. My jesteśmy Skeffingtonami. Ja jestem patriarchą, ty moją żoną. Pamiętaj, że ona tylko wżeniła się w naszą rodzinę.

Albert tak mówił o Skeffingtonach, jak gdyby rzeczywiście byli jego rodziną. Czterdzieści lat spędzone w angielskich teatrach, gdzie obsadzano go we wszystkich możliwych rolach od lokajów do królów, ukształtowało jego wygląd, który wyjątkowo predestynował go do roli Skeffingtona seniora. Sława przyszła do Alberta Amory'ego późno, nic, więc dziwnego, że postanowił nie dać jej odejść.

- Pozostaniemy bohaterami tego serialu, choćby nie wiem co - podsumował.

Podczas gdy Blackie dokonywał cudów z jej zmęczoną twarzą, Katherine uczyła się na pamięć swoich kwestii.

George Black pracował w telewizji, odkąd ktokolwiek sięgał pamięcią. W latach czterdziestych stracił oko w wypadku samochodowym, co położyło kres jego obiecującej karierze kaskadera. Studio, po zapłaceniu mu odpowiedniego odszkodowania, zgodziło się, żeby został charakteryzatorem.

Przezwisko „Blackie” wzięło się od jego czarnych włosów i oczu, smagłej cery oraz czarnej opaski na oku, która nadawała mu wygląd pirata z filmów modnych w latach pięćdziesiątych. W rzeczywistości był delikatny i dobroduszny, cierpliwie wysłuchiwał wynurzeń aktorek, poddając ich twarze codziennej transformacji. Oczywiście, miał swoje ulubienice; w tym roku zaliczała się do nich Katherine, która niejednokrotnie zwierzała mu się ze swoich zgrzyzot.

W przewidzianym na ten dzień scenariuszu Georgia Skeffington, odbywszy prywatnym odrzutowcem podróż w interesach na Alaskę, lądowała na lotnisku w Los Angeles. Katherine upoważniła projektanta kostiumów, Maximiliana, żeby tym razem sam

wymyślił jej strój. Wiedząc, że Maximilian lubi przedobrzyć, zwykle starała się czuwać nad kreacjami Georgii, ale ostatnio zupełnie nie miała na to głowy.

Gdy makijaż i fryzura Katherine były już gotowe, kierowca ze studia zawiózł ją na małe prywatne lotnisko na obrzeżach Los Angeles. Kurczowo ścisnęła telefon komórkowy, sprawdzając, co kilka minut, czy działa, ale Brenda nie dzwoniła. Jej zdenerwowanie narastało.

Był rześki kalifornijski poranek. Białe lipcowe niebo było jeszcze polukrowane zygzakowatymi obłokami, czuło się jednak nadchodzący upał.

- Podobno ma dziś niezłe przypiec - rzekł Blackie. - Mówili mi Eddie i Marcia, że wczoraj tam na dole wyparowała od gorąca woda w basenach.

- Mam nadzieję, że Maximilian projektując mój kostium, wziął pod uwagę prognozę pogody - rzekła Katherine.

Samochód wjechał na lotnisko.

Maximilian - nikt nie znał jego nazwiska - od lat uchodził za najlepszego projektanta kostiumów w Hollywood. „Rodzina Skeffingtonów” ugruntowała jego sławę. Hiszpan w średnim wieku, sam ubierał się według najnowszej mody europejskiej. Grube, czarne jak noc włosy zaczesywał gładko do tyłu i ściągał w ogon. Skórę miał zawsze mocno opaloną i prawie bez zmarszczek - Maximilian traktował swoją twarz, jak gdyby była okazem rzadkiej porcelany. Wszystko na nim błyszczało - od wypucowanych butów w kolorze kasztanów do mieniącej się chusteczki, dodającej elegancji jego oliwkowozielonemu, nieskazitelnie wyprasowanemu płóciennemu garniturowi. Prezentował krawiecką doskonałość i tego samego oczekiwał od gwiazd, które ubierał.

- Cześć. Udały się wakacje? - Witali Katherine poszczególni członkowie ekipy.

- Nie byłam na wakacjach, tylko się rozwodziłam z mężem - odpowiadała cierpliwie.

Weszła do furgonetki służącej za garderobę, gdzie czekał już na nią dumnie uśmiechnięty Maximilian.

- Corazon, przepraszam. Być może, że ta suknia jest trochę za ciepła na dziś - usprawiedliwiał się. - Z drugiej strony, pamiętajmy, że ona przylatuje z Alaski. No powiedz, podoba ci się?

Garderobiana Becky w jednej ręce trzymała długą suknię z jaskrawoczerwonego kaszmiru, na podszewce, zapinaną pod szyję, z długimi rękawami obszytymi czarnym futrem, w drugiej zaś - ciężką wełnianą pelerynkę obszytą czarnymi karakułami. Do tego dochodził karakułowy toczek, czerwone botki do kolan, rękawiczki z cienkiej czerwonej skórki oraz karakułowa mufka.

- Mufka? - Katherine zmarszczyła brwi. - Myślałam, że mufki wyszły z mody jeszcze w dziewiętnastym wieku.

- Wracają! - oznajmił triumfalnie Maximilian. - Georgia Skeffington to potwierdzi.

- Ten strój wygląda na bardzo... ciężki. - Katherine wzięła kostium z rąk Becky. - Dobry Boże, toż to waży chyba tonę!

- Corazon, tylko dziś go włożysz. Do pozostałych scen w tym odcinku zaprojektowałem dla ciebie lekkie i powiewne kreacje z szyfonu.

- Cudownie - mruknęła Katherine. - W scenach kręconych w klimatyzowanych pomieszczeniach będę ubrana w powiewne szyfonowe kreacje, a w czterdziestostopniowym upale mam się męczyć w kaszmirowej sukni na podszewce. Brawo, Maximilian.

Zauważyła, że Maximilian i Becky wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia.

- Dobrze, dobrze, przecież wiecie, że ja tylko żartowałam - rzekła z uśmiechem, żeby rozładować sytuację. - Oczywiście, że włożę ten kostium. Sztuka wszak wymaga poświęceń. Chodź, Becky, ubieram się. Tamci są już na pewno gotowi do próby. Nie każemy na siebie czekać wielkiemu angielskiemu tragikowi.

Tamci parsknęli śmiechem.

- Corazon, zakładamy się o to, ile linijek będzie dziś pamiętał ten piernik? - spytał Maximilian.

Telefon komórkowy Katherine zadzwonił w chwili, gdy przymierzała toczek.

- Kitty? - przez trzaski -w słuchawce przebił się stłumiony głos Brendy. - Dzwonię z komisariatu. Czekam tu już trzy godziny, ale te łobuzy wciąż nie chcą zwolnić Tommy'ego.

- Dlaczego? - krzyknęła Katherine. - Przecież chcemy wpłacić kaucję. Nie zgadzają się na kaucję?

- Nie; i nie chcą mi powiedzieć dlaczego - powiedziała Brenda zrozpaczonym tonem.

Rozległo się pukanie do cienkich drzwi ze sklejki.

- Na plan, Katherine. Reżyser mówi, że mamy dziś masę roboty.

- Już idę! Posłuchaj mnie, Brenda. Co Tommy właściwie zrobił?

- Wdał się w bójkę z chłopakiem w barze. Nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie to, że Tommy był pijany. Tak w każdym razie twierdzą gliniarze.

- Czy tamten chłopak złożył skargę?

- Myślisz, że mogę się czegośkolwiek dowiedzieć? - zdenerwowała się Brenda. - Widziałam Tommy'ego, wszystko jest dobrze, tylko że nie chcą go wypuścić bez prawnika i twojego poręczenia.

- O Boże, co robić?

Rozległo się kolejne, tym razem bardziej natrączywe pukanie do drzwi.

- Na miłość boską, Katherine, wszyscy czekamy na ciebie w czterdziestostopniowym upale! Kiedy wreszcie łaskawie stąd wyjdiesz? - To szalał Ben, szef produkcji.

- Chwileczkę! - zawyła Katherine. - Usiłuję wbić się w ten cholerny kostium. - Ściszyła głos. - Słuchaj, Brenda. Rano próbowałam się dodzwonić do mojego adwokata, ale okazało się, że wyjechał do Nowego Jorku. Mamy dopiero ósmą, to znaczy że w Nowym Jorku nie ma jeszcze nikogo w biurze, a ja nie znam domowego numeru jego wspólnika. W tym biurze odpowiada tylko automatyczna sekretarka. Niech to diabli. Dobrze, poproszę Stevena. Jeśli ktoś może nam pomóc, to tylko on. Wiesz, mamy tutaj prawdziwe urwanie głowy.

- Chyba nie sądzisz, że tu jest słodko, Kitty. Tommy jest naprawdę zdenerwowany. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Rozkleił się, ale równocześnie jest wojowniczy. Marzy o tym, żeby wreszcie stąd wyjść. Nie uwierzyłybyś, w jakim towarzystwie musiał spędzić całą noc. Sprzedawcy narkotyków, stręczyciele, włóczędzy. Musimy go odwszyć, zanim pozwolimy mu wejść do domu.

Ktoś walnął kilka razy pięścią w drzwi, które się otwały i ukazał się w nich, podparty pod boki, Buzz Smith, wąsaty przystojniak kojarzony z serialem „Starsky, Hutch i policjantka”. Reżyserował ten odcinek „Rodziny Skeffingtonów”

- Na rany Chrystusa, Katherine, za kogo ty się niby masz, że każesz nam na siebie tyle czekać? - wrzasnął, wchodząc do garderoby. - Upał taki, że można się wściec, ósma już dawno minęła, a my nic, tylko na ciebie czekamy. Mamy dziś do nakręcenia pięć scen. Podnieś łaskawie tyłek, bo jak nie, to zadzwonię do kierownictwa.

- Muszę już iść, Bren - rzekła Katherine, usiłując przełknąć kluchę w gardle i ukryć paniczny strach w głosie. - Znajdę Stevea i poproszę go, żeby pojechał na komisariat. Steve się na pewno wszystkim zajmie, Bren, ale proszę cię, zostań tam jeszcze trochę.

- Oczywiście, że zostanę. Tommy postąpił głupio, ale nie zasłużył, żeby go tak traktować.

- Zadzwoń, jak się czegoś dowiesz, Brenda. Nie rozstaję się z telefonem.

Katherine opadła na siedzenie w kabinie samolotu Lear Jet, czekając na magiczne słowo „akcja”, które pozwoli jej wyjść z tego piekła. Pot ściekał jej po plecach, wsiąkał w grubą kaszmirową suknię, zbierał się wokół ściśniętej pasem talii. Było tak gorąco, że topił się nawet tusz na rzęsach.

Wnętrze samolotu było bardzo małe. Dwóch aktorów grających pilotów stało zgiętych w pasie przy drzwiach, czekając, aż głos reżysera poderwie ich do działania. Katherine

widziała, jak pot kapał im z czoła na buty. Jakiejś musze przypadł do gustu jej zapach i nie chciała odczepić się od jej twarzy, Charakteryzatorzy zostawili Katherine lusterko i puszek do pudru, ale suszenie nim twarzy miało się z celem, bo po pięciu minutach była z powrotem wilgotna.

Wreszcie padło magiczne słowo.

- Aaakcja! - wrzasnął Buzz z topiącego się asfaltu, na co tamci dwaj ożyli i z ukłonem otworzyli drzwi przed Katherine.

Katherine stanęła na najwyższym stopniu, wdzięcznie wciągnęła do płuc upalne powietrze i obrzuciła okolicę władcym spojrzeniem Georgii. Po czym pewnym krokiem mimo dziesięciocentymetrowych obcasów - zeszła po schodkach, żeby przywitać się z Albertem Amorym, który tego parnego ranka też nie najlepiej wyglądał. Jego tupet, przylepiony do łysiny specjalnym klejem, obluzował się w tym upale, a wspaniały czarny wojskowy wąsik, zwykle wyszczotkowany i zwrócony do góry, opadał niezupełnie symetrycznie. Upał i niewygodna, nie mówiąc o zakłopotaniu z powodu obluzowanego tupetu, sprawiały, że Albert, starając się jak najszybciej wyrecytować swoją kwestię, wciąż się mylił. Ku rozpaczy Katherine próbował już cztery razy. W tym - piątym - ujęciu znowu potwierdził jej niedobre przeczucia. „Jak się masz, droga Georgio. Wyglądasz, jak zwykle, doskonale” - powinien powiedzieć. Potem Buzz mógłby wykonać długie ujęcie i przejść do cięć, co zwolniłoby Katherine od siedzenia w piekielnie gorącym wnętrzu samolotu.

Ale Albert nie był w stanie poprawnie wygłosić swojej kwestii.

- Skąd się tu wzięłaś, Georgio? - zadudnił zupełnie bez sensu, bo przecież przybył na lotnisko specjalnie, żeby się z nią zobaczyć.

Buzz był wkurzony, reszta ekipy również. Ta czkawka kosztowała ich mnóstwo cennego czasu, nie mówiąc o kosztach związanych z wynajęciem prywatnego odrzutowca, które wynosiły około trzystu pięćdziesięciu dolarów za godzinę.

- Co się z tobą dzieje? - wrzasnął Buzz. - To tylko jedna linijka. Naprawdę nie możesz jej zapamiętać?

- Przepraszam cię, stary. Bardzo przepraszam. - Albert błysnął czymś, co miało być jego czarującym uśmiechem.

W tym czasie starano się przywrócić jego nienaganny wygląd. Katherine czekała na schodkach ze stoickim spokojem. Nie zamierzała przykładać się do zdenerwowania Alberta. Wstydziła się za niego, ale wolała zatrzymać powietrze w płucach, żeby się do końca nie udusić w tym samolocie, a poza tym wciąż niepokoiła się o Tommy'ego.

Albert nie przestawał przeproszać, podczas gdy ledwo żywy z gorąca fryzjer walczył z jego stale przekrzywiająca się peruką.

- Do diabła - wybuchnął Buzz. - Z tej odległości nie widać, czy to, co on ma na głowie, jest włosami czy czapką! - Ale fryzjer zignorował go i dalej przyklejał tupet.

- Zjeżdżajcie mi z jego twarzy. Musimy to skończyć, bo w przeciwnym razie zwali się nam na plecy całe to cholerne studio i dopiero będzie tu gorąco.

Odprowadzana złym wzrokiem Alberta Katherine w milczeniu weszła z powrotem do swojego grobowca przypominającego rzymską łaźnię. „Powiedzże to wreszcie - szepnęła do siebie. - Powiedzże to wreszcie, ty stary capie”.

Albert pomylił się w następnym ujęciu i jeszcze w następnym, ale Katherine nie dała po sobie poznać ani zdenerwowania, ani rozdrażnienia. Płacili jej za to, żeby grała swoją rolę - chłodną Georgię, a nie pokazywała, że coś ją dręczy.

W końcu Buzz uznał, że ma wystarczającą ilość nakręconej taśmy.

- Cięcie. I to by było na tyle - oznajmił. - A niech to diabli porwą. Tyle godzin na takie gównu. Następna scena, chłopaki.

Między scenami Katherine siedziała we względnym chłodzie niedużej sali odlotowej, wachlując się i popijając wodę z lodem. Było zbyt gorąco na banalne pogawędki, które na planie awansowały do miana rozmów, zresztą siedziała jak na rozżarzonych węglach, czekając na dzwonek telefonu.

Steven obiecał, że wszystko załatwi, ale odkąd z nim rozmawiała, minęło wiele godzin.

- Gotowe, Katherine - błysnął krzywym uśmiechem Charlie, drugi asystent reżysera. - Kręcimy następne ujęcie.

Katherine z żartobliwym stęknieniem owinęła się koszmarną peleryną i stanęła na topiącym się asfalcie w kręgu świateł reflektorów.

Zbliżała się pora lunchu. Katherine czuła, że jest na granicy hysterii. Usiłowała dodzwonić się do swojego adwokata, ale ten utknął gdzieś w Chicago, a kiedy za dzwoniła do domu, dowiedziała się od Marii, że Brendy i Tommy'ego wciąż nie ma.

Z lotniska ekipa filmowa przeniosła się do pobliskiego domu i zarządzono przerwę. Katherine piorunem przebrała się w lekkie bawełniane kimono, głowę obwiązała chustką, a następnie z resztą aktorów i ekipy stanęła w kolejce do zaimprovizowanego bufetu na rozstawionych na powietrzu stołach.

Jacyś ludzie zaczęli się im ciekawie przyglądać. Ktoś wskazał na Katherine.

- O, patrzcie, Georgia Trująca Brzoskwinia - zawołała gruba kobieta w elastycznych spodniach drukowanych w słoneczniki i ogromnych kolczykach-słonecznikach. - Nie wygląda dziś najlepiej - zachichotała. Zawtórowały jej dwie koleżanki, jeszcze grubsze, i wygłosiły jakiś niepoehlebny komentarz na temat kimona Katherine.

Katherine postanowiła nie zwracać na nie uwagi. Przyzwyczaiła się, że ludzie głośno o niej mówią, jak gdyby nie istniała albo była wyłącznie postacią na ekranie ich telewizora. Zresztą dziś myślała wyłącznie o Tommym. Dlaczego Steven nie dzwoni? Albo Brenda? Co się stało?

Po raz chyba pięćdziesiąty sprawdziła baterie w telefonie komórkowym. Wreszcie doszła jej kolejka. Katherine popatrzyła na sałatki, makarony, zimne mięsa. Poczula, że mimo wszystko jest bardzo głodna, nałożyła, więc pełen talerz jedzenia. Wtedy usłyszała, że ktoś ją woła.

- Katherine Bennet? Kitty, Kitty, Kitty!

Znieruchomiała, zacisnęła palce na talerzu. Zbliżało się do niej dwóch mężczyzn, najwyraźniej dziennikarzy, a triumfujące spojrzenia w ich oczach mówiły: „Wreszcie cię dopadliśmy”. Rozejrzała się w poszukiwaniu ochroniarzy, ale na próżno. Choć „Rodzina Skeffingtonów” była serialem numer jeden na liście, to jego producenci nie troszczyli się zbyt o bezpieczeństwo aktorów. Plany filmowe wybierano według potrzeb filmu, a nie warunków pracy. Katherine i reszta aktorów już do tego przywykła, że dla facetów w ciemnych garniturach, czuwających w pięciopiętrowym budynku z zaciemnionymi szybami przy Franklyn Boulevard nad finansami sieci ABN, byli nie ludźmi, lecz rzeczami.

- Kitty, Kitty! - Zaatakowali ją, trzymając w pogotowiu notatniki i mikrofony.

- Dowiedzieliśmy się, że twój syn został aresztowany i obecnie przebywa w komisariacie przy Van Nuys. Czy możesz to skomentować dla nas, Kitty?

- Właśnie, Kitty, co masz do powiedzenia na ten temat? - podchwycił drugi. - Jak słyszeliśmy, twój syn zaatakował chłopaka w barze i doszło między nimi do bójki. Prosimy o kilka słów komentarza.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparła sucho. - Proszę zostawić mnie w spokoju.

Bezradnie rozglądała się za rzecznikiem prasowym „Rodziny Skeffingtonów”. Oczywiście, nigdzie go nie było.

Poczula, że za chwilę wybuchnie. Za co płaciła całej armii ludzi? Należało zażądać, żeby Kingsley, jej własny rzecznik prasowy, mógł towarzyszyć jej na planie. Zazgrzytała zębami i wyszła z kolejki, odstawiając po drodze tacę z nietkniętym jedzeniem, chociaż w brzuchu burczało jej z głodu.

Diablica z siostrzanej sieci telewizyjnej wywołała na swojej twarzy arcyczarujący uśmiech.

- Wiesz, Kitty, nie jesteś jedyną matką w Ameryce, której dzieciak został aresztowany. Powiedz nam, jak to jest, kiedy ma się syna w więzieniu?

Świadoma, że nie wygląda tego dnia najlepiej, wzięła głęboki oddech. Musiała jednak coś powiedzieć, gdyż cztery kamery były wycelowane na jej twarz.

- Jak wszystkie matki w Ameryce w podobnej sytuacji, czuję się okropnie przybita aresztowaniem Tommy'ego. Nie mam pełnego rozeznania w sytuacji, bo studio nie zwolniło mnie z pracy i nie mogłam pojechać osobiście na komisariat. - Usłyszawszy złość w swoim głosie, pomyślała, że musi się trochę hamować. - Jestem wszelako głęboko przekonana, że cokolwiek się stało, mój syn nie jest niczemu winny i wierzę, że zo stanie oczyszczony z zarzutów. Bez względu na to, co się jeszcze okaże, będę solidarna z moim synem.

Odeszła prędkim krokiem, ale dziennikarze pobiegli za nią, ciągle zasypując ją pytaniami. Katherine dała błagalny znak Charliemu, który wreszcie się zjawił słodko uśmiechnięty.

- Na dziś wystarczy, proszę państwa. Pani Bennet nie jadła jeszcze lunchu, a zaraz musimy wracać do pracy. Tak, więc to już wszystko. Proszę o opuszczenie tego miejsca.

Dziennikarze, zrzędząc, zaczęli się zbierać do odejścia. Kitty weszła do swojej małej garderoby, opadła na kanapę i wybuchnęła płaczem.

- Dlaczego do cholery ciągle płaczę? - spytała, patrząc ze złością na czarne potoki łez spływające po policzkach. - Steven, błagam, zadzwoń wreszcie i powiedz mi, na Boga, że z Tommym wszystko w porządku.

W chwili gdy Blackie kończył jej makijaż, zadzwonił telefon.

- Załatwione, Kitty - oznajmił Steven zdyszczanym głosem. - Zwolnili Tommy'ego. Udało mi się go stamtąd wyciągnąć. Czuje się dobrze, możesz więc już się o niego nie martwić.

- Co on przeskrobał?

- Nic takiego. Pobili się w barze, to wszystko. Policja chyba potrzebowała poprawić sobie statystykę. Wszystko załatwiłem, bądź spokojna. Wracaj do pracy i postaraj się, żeby ten dialog, który napisałem, brzmiał przekonująco.

Katherine uśmiechnęła się. W tej samej chwili przyczepa się zatrzęsała i rozległ się wrzask Bena;

- Na plan, Kitty! Natychmiast!

- Co ja bym zrobiła bez ciebie, Steve? Bóg jedyny wie, gdzie się podział mój prawnik i inni, którzy niby dla mnie pracują. Chyba ćwiczą zapadanie się pod ziemię.

- Tak jest zawsze. Im więcej ludzi zatrudniasz, tym mniej z nich pożytku. W każdym razie Tommy jest w domu, cały i zdrowy. Czeka na ciebie z utęsknieniem.

- Brak mi słów, Steve.

- Od czego ma się przyjaciół, Kitty? No idź już na plan, piękna.

- Idę - odparła. - Ach, jak się cieszę.

Wieczorem Brenda przywitała Katherine w drzwiach.

- Gdzie on jest?

- Śpi - odparła z uśmiechem Brenda. - Biedny chłopiec, nie zmrużył oka w tej parszywej celi. Całą noc spędził ze stręczycielami, handlarzami narkotyków i Bóg jeden wie, z jakimi jeszcze mętami... Jezu, Kitty, nie daj się nigdy wpakować do więzienia. To istny horror.

- Dawno się położył? - spytała Katherine zawiedziona.

- Mniej więcej godzinę temu. Chciał na ciebie poczekać, ale ślaniał się na nogach. Kaucja wyniosła kilkaset dolarów, ale tym zajął się Steven. To prawdziwy przyjaciel, Kitty.

- Ty mi to mówisz? Och, Brendo, chyba jeszcze nigdy tak nie potrzebowałam przyjaciół jak teraz. - Spojrzała na zegarek. Była ósma. - Przegryziesz coś ze mną?

- O, nie, kochanie. Jadłam w kuchni z Tommym i resztą bandy, ale chętnie usiądę z tobą i pogadam, kiedy ty będziesz jadła swoją przepyszną solę i szpinakowe ciasteczka ryżowe. - Wzdrygnęła się. - Jak możesz jadać coś takiego?

Katherine uśmiechnęła się.

- Wiesz przecież, że aktorka telewizyjna musi ważyć pięć kilogramów mniej od normalnej istoty ludzkiej.

- Wiem. Być gwiazdą to niełatwa sprawa. A propos, dostałaś przesyłkę. - Podala Katherine złote, płaskie, tekturowe pudełko.

- Wygląda interesująco. Co to jest?

- Nie wiem. Chyba jakaś niespodzianka.

- Mam nadzieję, że nie bomba - zażartowała Katherine, otwierając paczkę.

W środku znajdowała się złota płyta oprawiona w złotą ramkę i otulona szkarłatnym aksamitem.

- Jakie to sympatyczne. Bardzo oryginalny pomysł. Nie uważasz, że to ładny prezent?

- Bo ja wiem... Wolałabym chyba złotą bransoletkę - stwierdziła Brenda. - A co to za płyta? Coś, co ty nagrałaś?

- Nie - Katherine przyjrzała się płycie. - To siedemdziesiątka ósemka prawdopodobnie jeszcze z lat trzydziestych. Tytuł brzmi: „W sklepie z towarami po dziesięć centów znalazłem dziewczynę wartą milion dolarów”. Patrz, tu jest mosiężna tabliczka, na której coś wygrawerowano. „Dla Katherine Bennet, wielkiej gwiazdy i wspaniałej aktorki. Jesteś warta więcej niż milion dolarów”.

- Wzruszające. - Po minie Brendy widać było, że prezent nie zrobił na niej wielkiego wrażenia. - Dostałam kiedyś coś takiego, od Toma Jonesa. Jako mój wielbiciel uznał za stosowne obdarować mnie swoją platynową płytą. Nie wiedziałam, co mam z nią zrobić. A ta jest, od kogo?

- Ano zobaczymy. Nie ma żadnego podpisu, tylko kartka. „Dla najpiękniejszej kobiety na świecie z miłością”.

- Bardzo oryginalnie - stwierdziła Brenda ironicznie. - To albo prawdziwy Einstein, albo kompletny idiota.

- A mnie się podoba. - Katherine postawiła płytę na półce nad kominkiem. - W tym domu jest to jedyna rzecz, która nie jest ani biała, ani srebrna. Poza tym jeszcze nigdy nie miałam złotej płyty.

- Idę do łóżka - oznajmiła Brenda, obejmując Katherine. - Muszę się porządnie wyspać. Założę się, że twój beniaminek wstanie jutro z kurami, w nastroju do zabawy.

- Bren, obudź mnie, kiedy Tommy wstanie. Chcę się z nim zobaczyć przed pracą. Na szczęście jutro zaczynamy dopiero o ósmej. Och, gdybym mogła spędzać z Tommym więcej czasu - westchnęła.

- Starasz się, jak potrafisz. Nikt nie mógłby lepiej. Dobranoc, Kitty.

Zostawszy sama w ogromnym białym pokoju, Katherine jeszcze raz przyjrzała się złotej płycie.

- „Dla najpiękniejszej kobiety na świecie” - wyszeptała. - Ciekawe, kto to napisał? - zastanawiała się, idąc po szerokich schodach do sypialni. - Prawdziwy wielbiciel czy jeden z tych wariatów, którzy w ostatnich latach oszaleli na jej punkcie? E, pewnie jednak jakiś wariat”.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tommy powoli otworzył oczy. W ustach miał niesmak, głowę rozsadzał mu tępy, pulsujący ból. Słońce przenikało przez zasłony i rozświetlało mrok pomieszczenia, które według wyobrażeń dekoratora wynajętego przez matkę miało idealnie spełniać potrzeby dorastającego chłopca. Tymczasem ani drogie szwedzkie meble, ani czerwono-biało-niebieska otomana w esy-floresy i takież fotel nie odpowiadały gustowi Tommyego. Na szczęście udało mu się, przynajmniej częściowo, zasłonić je stertą brudnych ubrań, do których kategorycznie zabronił Brendzie dostępu. Drukowaną w sylwetki słynnych samochodów wyścigowych tapetę usiłował z kolei zwalczyć, wyklejając ściany plakatami piosenkarzy pop.

Spojrzał przez zmrużone oczy na zegarek elektroniczny. Dziesiąta trzydzieści. Rany, przespał czternaście godzin. Wcisnął guzik pilota. Na ekranie telewizora ukazał się wrogo nastawiony do świata najnowszy zespół rap, windujący na szczyt listy swój nowy przebój. Tommy kilkakrotnie wcisnął guzik „głośność”. Gdy poczuł się otulony dźwiękiem niczym kokonem, zaczął poruszać wargami i palcami imitując śpiew i grę na gitarze.

Z trudem dosłyszał stukanie do drzwi.

- Mogę wejść? - krzyknęła Brenda.

- Jasne. Śmiało, Brendo.

Brenda wtaszczyła wielką tacę, na której piętrzyły się wszelkie śniadaniowe przysmaki.

- Pomyślałam, że pewnie umieras z głodu - wyjaśniła, przyciągając stolik do łóżka. - Przyniosłam ci wszystkiego po trochu.

- Ojej, Bren, dzięki. - Spojrzał na jedzenie z wielkim zainteresowaniem. - Mmm, wygląda to całkiem jadalnie.

Połknąwszy szklanekę soku pomarańczowego i miseczkę papai z truskawkami, spytał:

- Gdzie mama?

- Pojechała do studia - odparła Brenda, poprawiając mu poduszki. - Było jej naprawdę przykro, że nie może się z tobą zobaczyć, chciała cię nawet obudzić, ale nie pozwoliłam.

- Taa, mnie też jest przykro. - Nie odrywając wzroku od ekranu telewizora, Tommy spałaszował trzy jajka na bekonie.

Brenda usiadła na łóżku i obserwowała go zmęczony mi oczyma.

- Nie powiesz mi, co się stało?

- Nie teraz, Bren. Zresztą nic takiego się nie stało poza tym, że mi trochę odbiło. No wiesz, zaprawiłem się. Przepraszam.

- Ile razy ci mówiłam, żebyś nie pił - zbeształa go Brenda. - Po pierwsze jesteś nieletni, po drugie to się zawsze źle kończy.

- Wiem, wiem. Ale nie mogę nie pić, kiedy inni piją. A poza tym, spójrz prawdzie w oczy, Bren, co innego można robić wieczorem poza oglądaniem telewizji?

- Gdybyś był mądry, znalazłbyś sobie jakieś hobby. Za moich czasów umieliśmy wypełnić sobie wolny czas. Naprawdę szkoda go tracić na picie.

- Tak, tak, wiem - mruknął. - Rysowanki i wydzieranki. Ale to było w średniowieczu. Przed wynalezieniem telewizji.

- Nie pozwalaj sobie za dużo, Tommy. Czas, żeby ci ktoś ukrócił język.

Tommy umoczył ciasto czekoladowe w kawie, przyglądając się z zapartym tchem prezenterce telewizyjnej ubranej w minispódniczkę.

- Ale żyłeta - stwierdził z uznaniem, ale natrafiwszy na potępiający wzrok Brendy, puścił do niej oko i powiedział. - Tylko żartowałem.

- Matka się o ciebie zamartwiała. Prawie nie spała ze zdenerwowania.

- Dobrze sobie. - Wytarł resztki jajka kolejnym ciastkiem. - Przecież jej na mnie zupełnie nie zależy, Bren. Sama zresztą wiesz najlepiej. Mamę interesuje tylko jej zawód, sława i drogie ciuchy. Dlaczego tata się rozpił? Jestem przekonany, że, dlatego, że mama zaczęła mieć nas w nosie.

- Jak śmiesz tak mówić, Tommy? Wiesz, że to nieprawda. Mama cię ubóstwia, ale ma trudny, czasochłonny zawód. Ja to wiem najlepiej.

- O, tak - Tommy ziewnął znudzony. - Wszyscy wiemy, że byłaś Aktorką Roku tysiąc dziewięćset pięć dziesiątego któregoś. Nie rozumiem tylko, co w tej pracy jest takiego trudnego. Chodzenie w debilnych ciuchach przed kamerą w tę i nazad i wygłaszanie debilnych tekstów? Ta praca to idiotyzm, od początku do końca. Nie dziwię się, że tata zrobił to, co zrobił. Mama go do tego popchnęła.

- Aleś ty głupi, Tommy. Poza tym jesteś kompletnie nieodpowiedzialny. To ty myślisz tylko o sobie - rzekła twardo Brenda.

Tommy popatrzył na nią ponuro.

- Co takiego zrobił twój ojciec, do czego, jak twierdzisz, popchnęła go mama? - spytała Brenda.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Wiesz co, Brenda, jestem cholernie zmęczony i chciałbym się jeszcze przespać - co powiedziawszy, nastawił głośność na maksimum, położył się i zamknął oczy.

Brenda sięgnęła po pustą tacę.

- Dobrze, prześpij się! - krzyknęła. - Musisz odespać to pijaństwo. Ale powiem ci jedno, młodzieńcze. Twój ojciec zaczął zaglądać do butelki na długo przed sukcesem matki, a mówię ci to, bo czas, żebyś wiedział, jak było naprawdę i przestał się jej czepiać.

Tommy naciągnął prześcieradło na głowę.

- Nie chcę tego słuchać, Brendo. Jestem zmęczony. Zostaw mnie w spokoju.

W drzwiach Brenda odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na szesnastoletniego głuptasa zwiniętego pod prześcieradłami.

- Pewnego dnia to zrozumiesz - powiedziała cicho głosem, w którym kryła się złość - a wtedy pojmiesz, ile znaczysz dla swojej matki.

- Mandy, gdzie jest moja dzinsowa koszula? - spytał Steven Leigh.

Wyszedł z łazienki, susząc ręcznikiem płowe włosy. Jak zwykle, bardzo się śpieszył.

- Tam, gdzie zawsze - odparła Mandy, nie odrywając oczu od ekranu telewizora. Gimnastykowała się, naśladując ruchy instruktorki. - Druga szuflada z lewej, pod żółtą koszulą.

Mandy była ładniutką trzydziestokilkuletnią blondynką o okrągłej twarzyczce i niewinnych niebieskich oczkach, które dziesięć lat wcześniej Stevena zupełnie zauroczyły. Był wówczas początkującym pisarzem, Mandy zaś jego sekretarką. Szybko się w sobie zakochali i zanim upłynął rok, Mandy obdarzyła go bliźniaczkami.

Nie przestając się gimnastykować, Mandy powiedziała:

- Wiesz, co, zejź na dół i sprawdź, co robią dziewczynki. Od dłuższej chwili panuje tam podejrzana cisza.

- Rozkaz. - Zszedł bardzo szybko, zeskakując po dwa schodki i równocześnie zapinając koszulę.

W ich małym domu wiecznie panował bałagan, wszędzie plątały się rzeczy dzieci. Dziewczynki siedziały przy stole i całkowicie były pochłonięte oglądaniem filmu rysunkowego w telewizji. Przed nimi stały miseczki z nietkniętymi płatkami kukurydzianymi.

- Dzień dobry, Fifaj i Fofum. Zdaje mi się, że czuję krew słodkich małych dziewczynek - powiedział groźnym głosem Steve, naśladując krwiożerczego potwora.

- Tatus, tatus, tatus! - zapiszczały dziewczynki z udawanym przerażeniem, po czym przyssały się jak pijawki do jego nóg.

- Hej, panienki, puście tatusia - rzekł Steve, usiłując nalać sobie kawy. - Tatus musi iść do pracy zarabiać pieniążki na śliczne sukieneczki dla swych słodkich córeczek. - Pociągnął je za końskie ogonki, one zaś pisnęły uszczęśliwione.

- No dalej, zjadajcie płatki, jeśli chcecie wyrosnąć na ładne panienki.

Po filmach dla dzieci nadawano wiadomości. Steve, z bliźniaczkami na kolanach, popijał kawę i patrzył w telewizor. Jako jedną z pierwszych informacji podano, że syn Katherine Bennet został aresztowany, po czym pokazano scenę nakręconą poprzedniego dnia, gdy Katherine opuszczała sąd.

„Nie zidentyfikowany przyjaciel rodziny zgłosił się na komisariat i wpłacił kaucję. Młody człowiek, przeciw któremu nie wniesiono formalnego oskarżenia, został zwolniony”.

- Tatusiu, tatusiu, to ty - zapiszczały bliźniaczki i podbiegły do telewizora, żeby popatrzeć z bliska.

Steven jęknął. Tak, to z całą pewnością był on. Potargany bardziej niż zwykle, ubrany we włożone w pośpiechu zmięte dzinsy i takąż koszulę, prowadził za rękę posepnego Tommy'ego. Opuszczali właśnie komisariat, za nimi ledwie nadążała wzburzona Brenda.

Weszła spocona od gimnastyki Mandy. Rzuciła okiem na ekran.

- A, widzę, że stałeś się gwiazdorem - zauważyła ironicznie. - Jesteś pewny, że nie minąłeś się z powołaniem?

- Teraz się mijam z powołaniem. - Steven rzucił okiem na zegarek. - Dziś przerabiamy cały odcinek, bo Gabe Heller uważa, że zanadto eksponuję rolę Katherine. Muszę wymyślić jakąś intrygę, która zepchnie Georgię na dalszy plan.

- Dlaczego? - Mandy posmarowała grzanek niskokaloryczną margaryną. - W tym serialu ona akurat jest najlepsza.

- Właśnie - odparł Steve. - W tym cały szkopuł.

Jadąc do studia Steven myślał o Katherine, która ostatnio często zwierzała mu się ze swoich kłopotów. Schlebiało mu jej zaufanie i chętnie był jej powiernikiem, wiedząc, że sławnej aktorce trudno jest znaleźć przyjaciela, na którym mogłaby w pełni polegać. W tych rozmowach zaskoczyło go, że Katherine jak gdyby nie zdawała sobie sprawy z wrogości, jaką darzono ją w studiu. Z drugiej strony nie było się, czemu dziwić. Przez ostatnie dwa lata głowę miała zaprzątniętą kłopotami z Johnnym i przypuszczalnie, dlatego nie ułożyła sobie dobrych stosunków z szefami.

Steve miał duże szansę zostać głównym scenarzystą „Rodziny Skeffingtonów” i czasami musiał się nieźle nagimnastykować, żeby pogodzić działanie na korzyść pracodawców z chronieniem interesów Katherine. Właściwie powinien się poważnie zastanowić nad swoim stosunkiem do niej. Dlaczego ostatnio irytowały go narzekania Mandy na nadmiar obowiązków domowych? Zasadniczo byli dobrym małżeństwem, ich rodzinne szczęście budziło zazdrość wielu osób, nie wyłączając Katherine. Od czasu do czasu jednak łąpał się na tym, że Katherine zawładnęła jego wyobraźnią. Miał ją ciągle przed oczyma: Katherine pływa w basenie, Katherine się śmieje, Katherine patrzy uwodzicielsko, Katherine kąpie się w pianie (w scenie, którą sam dla niej napisał). W dzień jeszcze jako tako udawało mu się utrzymać swoje marzenia erotyczne na wodzy, ale nie w nocy, kiedy odpływał w sen, lub wczesnym rankiem, zanim zdążył oprzytomnieć. Jej widok w studiu zawsze poprawiał mu humor.

Po pracy Katherine pojechała prosto do domu. Tommy ćwiczył rzucanie piłką do kosza zawieszzonego nad bramą garażu. Przytuliła go serdecznie.

- Kochanie, tak się o ciebie martwiłam. Jak się czujesz? - spytała.

Tommy skulił się, a odziedziczone po niej zielone oczy przybrały czujny wyraz.

- W porządku, mamus. Na miłość boską, nie rób z tego afery - odparł.

Wymierzył piłką do kosza, trafił, roześmiał się.

- Brawo - pochwaliła rzut Katherine. - Posłuchaj, kochanie, nie będę cię wypytywać o to, co się stało tamtej nocy, ponieważ domyślam się, że musiałeś to i owo odreagować. Mam rację?

Nie odpowiedział.

- Tommy, doskonale wiem, że ostatnio nie miałeś łatwego życia - powiedziała surowszym tonem - wiem też, że niełatwo ci się pogodzić z tym, co zaszło między mną a tatą, ale chyba rozumiesz, dlaczego do tego doszło, prawda?

- Pewnie - powiedział i wrzucił ponownie piłkę do kosza. - Wszystko świetnie rozumiem, mamus.

Spróbowała objąć go ramieniem, ale wywinął się i dla odmiany zaczął uderzać piłką o drzwi garażu.

- Wiesz, zastanawiałam się, w jaki sposób uczymy twoje szesnaste urodziny. A ponieważ akurat będę miała przerwę w pracy, pomyślałam, że może byśmy pojechali się gdzieś zabawić. Tylko my, ty i ja. Dokąd chciałbyś pojechać?

- Wszystko mi jedno. - Chwilę pokozłował i znowu zręcznie umieścił piłkę w koszu. - Dokąd chcesz.

- W szkole będą ferie. Słuchaj, może byśmy wypuścili się do Paryża, co? Albo do Londynu? A może na południe Francji? Nie byłeś tam jeszcze. Ja ubóstwiam te miejsca, a tobie też na pewno się spodobają.

- Najbardziej chciałbym pojechać z Toddem na Fire Island - rzekł poirytowanym tonem. - Jego starzy wynajęli tam dom na cały sierpień. To by mi najbardziej odpowiadało.

- No dobrze, ale twoje urodziny są szesnastego lipca - stwierdziła i ująwszy go silnie pod ramię pociągnęła w stronę domu. - Wiesz co? Zjedźmy razem kolację i zastanówmy się, jak je urządzić. Tommy, ja naprawdę chcę spędzać z tobą więcej czasu, robić coś razem.

Wciąż jej nie ufał.

- Mówisz szczerze?

- Wiesz przecież.

- Dobrze. To może niech będzie ten twój Paryż. Chętnie zobaczę te dziewczyny w Crazy Horse Saloon. - Uśmiechnął się drwiąco.

- Wspaniale, odbędziemy gastronomiczną podróż - ucieszyła się Katherine. - Potem możemy spędzić kilka dni na południu Francji. Och, tam ci się na pewno spodoba.

- A Fire Island? Czy potem mogę pojechać na Fire Island?

- Możesz. Spędzimy dwa tygodnie we Francji, a potem jedź sobie z Toddem.

„Tylko żeby znowu cię w coś nie wplątał” - dodała w myśli.

Tego wieczora Katherine i Tommy jedli razem obiad w pokoju śniadaniowym, patrząc przez okna na światła wielkiego miasta, gawędząc jak matka z synem. ale ani w rozmowę o nocy spędzonej w areszcie, ani o ojcu Tommy nie dawał się wciągnąć.

„Lepiej nie budzić licha” - myślała Katherine, przejeżdżając włosy szczotką przepisowe sto razy. W końcu wyczerpana upadła na łóżko. Jedno było pewne, zrobiła krok we właściwym kierunku. Zaczynali się z Tommym do siebie zbliżać.

Vera zadzwoniła akurat w chwili, gdy Katherine wychodziła z garderoby.

- Wiedziała, że jeśli rozwiedziesz się z Johnnym, to coś strasznego przydarzy się Tommy'emu. Piszą o tym we wszystkich gazetach, Kit-Kat.

Katherine westchnęła zrezygnowana.

- Mamo, to nie ma nic wspólnego z moim rozwodem i ty dobrze o tym wiesz. Tommy jest po prostu w trudnym wieku.

- Kocham tego chłopca jak własnego syna. Jak synów, których utraciłam. - Vera nie omieszkała przy każdej okazji przypomnieć córce o swoich licznych poronieniach. - Uważam, że wakacje powinien spędzić u mnie - ciągnęła. - Tommy kocha Nowy Jork i na pewno za nim tęskni.

- Hej, Katherine, co jest, do jasnej anielki? Czekamy na ciebie. - Do drzwi garderoby zastukał energicznie asystent reżysera. - Starego Albiego szlag trafia.

„Może raz nie pomyli kwestii” - pomyślała, a głośno powiedziała:

- Dobrze, dobrze, zaraz przyjdę. Rozmawiam z matką.

- Jak zwykle załatwiasz jakieś prywatne sprawy - burknął asystent.

- Mamo, a może ty byś odwiedziła Tommy’ego? On by się bardzo ucieszył, ja również.

- Nic z tego, kochanie. Wiesz przecież, że mam astmę i nie latam samolotami.

- No dobrze, może, więc po powrocie z Francji Tommy spędzi z tobą długi weekend. Słuchaj, muszę już naprawdę lecieć - powiedziała, bo rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

- Leć, leć - zgodziła się Vera lodowato. - Ty nigdy nie masz czasu, żeby porozmawiać z matką.

Nie mówiła tego całkiem poważnie, ale w jej głosie słuchać było smutek samotnej kobiety. Telewizja, czekoladki i magazyny z plotkami o sławnych ludziach nie wypełnią nikomu życia.

- Dobrze, mam, obiecuję, że jutro do ciebie zadzwonię. Nagadamy się, że aż. A na razie, pa.

Później Katherine zatelefonowała do Stevea, żeby zaprosić go z żoną na obiad, lecz okazało się, że Mandy wyjechała na tydzień do San Diego odwiedzić matkę.

- Ale wiesz, mam inny pomysł rzekł Steve. - Zjedzmy jutro razem lunch. Najlepiej w moim biurze. Mam dla ciebie niespodziankę.

Na widok słoiczka rosyjskiego kawioru na stoliku do kawy w gabinecie Stevea Katherine wprost oniemiała z zachwytu. Do tego była śmietana w miseczce z kruchej chińskiej porcelany, siekana cebula, jajka i pietruszka. Na srebrnym naczyniu parowały gotowane ziemniaki, obok - w srebrnym kubku z lodem - chłodziła się butelka mocnej rosyjskiej wódki.

- A co z moją linią? Maximilian mnie zabije!

- Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal - powiedział i przysunął jej krzesło. - Maximilian nigdy się o tym nie dowie.

- Skąd to wszystko masz? - spytała.

- Troszkę się zakrzętnąłem.

Katherine roześmiała się.

- Ach, co za uczta! O mój Boże, wódka! Nie wiesz, że picie alkoholu na terenie studia jest zabronione? Wyleją nas.

- Nie wyleją. Napijesz się?

- Czemu nie? Do diabła, mam po dziurki w nosie tych ich głupich zakazów, a ty?

- Część jest słuszna, niektóre jednak wymyślono głównie po to, żeby utrudniać życie biednym wyrobnikom. - Na połówkę ziemniaka Steven nałożył czubatą łyżkę kawioru i wycisnął nań cytrynę.

- W jaki sposób ugotowałeś te ziemniaki?

- Nie słyszałaś nigdy o kuchence mikrofalowej? W gotowaniu nie dorównuję Mandy, ale potrafię sobie wyobrazić, na co człowiek miałby ochotę po kilku godzinach harówki w kamieniołomach Gabea Hellera. A ponieważ wiem, że uwielbiasz kawior, pomyślałem sobie, czemu by nie?

- Rzeczywiście. Czemu by nie? Miła odmiana po tuńczyku na chlebie razowym.

Apetyt dopisywał Katherine, kiedy pozwalała sobie na jedzenie. Oboje wcinali, aż im się uszy trzęsły.

Początkowo jedli w milczeniu. Ludzi, którzy dobrze się ze sobą czują, nie krępuje cisza. Po pewnym czasie Steven spytał:

- Jak tam Tommy?

Twarz Katherine się zachmurzyła.

- Przed chwilą do niego dzwoniłam. Wydaje się, że wszystko w porządku. Nie widziałam go rano, bo spał, kiedy wychodziłam. Ostatnio dużo śpi. Nie posyłam go do szkoły, bo jest trochę wytrącony z równowagi.

- Na szczęście Gabe nie wpuścił dziś prasy na plan - stwierdził Steve.

- Dzięki Bogu - wzdrygnęła się. - Dziennikarze są jak karaluchy. Nigdy nie wiadomo, skąd wyskoczą i przerażą człowieka. Chętnie rozgniatałabym ich obcasem. Wiesz, Steve, co jest najgorsze? To, że już nikomu tu nie ufam.

- Nie wpadaj w paranoję, kotku. Nie wszyscy są twoimi wrogami. Weźmy to, co napisali o tobie w rubryce Army'ego. To było pochlebne.

- Tak, kiedy zaczynają dobrze o mnie pisać, sprawy od razu przybierają inny obrót.

Wypiła łyk wódki. Jej oczy zaczęły błyszczeć.

- Zaslugujesz na to - powiedzial. - Zaloze sie, ze tamtym spadly peruki, kiedy to zobaczyli.

Katherine rozesmiala sie. Jadla z przyjemnoscia. Pierwszy raz od wielu dni mogla sie porzadnie najesc i zycie nabralo dla niej blasku.

- I jakie swietne sceny dostalam w tym i w nastepnym tygodniu. Moje akcje wyraznie rosna.

Steven odwroutil wzrok. Nie mial odwagi powiedziec jej, ze Gabe Heller kazal mu wycofac sceny Georgii w scenariuszu na nastepny tydzien, a na ich miejsce wstawic sceny Eleonory i Alberta. Steven stanal w obro nie Katherine - ku oczywistemu niezadowoleniu szefow - nie stac go jednak bylo na utrate tej pracy. Nawet dla niej. Teraz zrozumial, ze nie wolno mu jej o tym powie dziec, nie wolno mu zniszczyc wyrazu szczescia, ktory zagoecil w jej smutnych od miesiecy oczach.

- Wierze, ze Tommy z czasem dojdzie do siebie - ciagnela Katherine. - Bardzo przezyli nasz rozwod, ale ja mu to wynagrodze. Postanowilam, ze bede najlepsza matka pod sloncem.

Steven uniosl kieliszek.

- „Pije za to, zeby nie trafial ci sie za kazdym razem tylko patyk od lizaka”.

- „Pol zartem, pol serio?”

- Brawo. Robisz postepy.

Tydzien pozniej „The National Sun”, najbardziej perfidny ze wszystkich szmatlawcow, na pierwszej stronie wydrukowal taki tekst:

„Czuję się tak, że najchętniej popełniłbym samobójstwo. Nienawidzę matki. Wstrętna małpa. Do złudzenia przypomina dziwkę, którą gra w tym swoim głupim serialu. Ojciec, który kiedyś był takim wspaniałym facetem, rozpił się przez nią. Chcę umrzeć”.

Steven z miną winowajcy z samego rana przyniósł gazetę do jej garderoby. Katherine czytała artykuł z narastającym oburzeniem. Na dwóch stronach szczegółowo opisywano nieszczęśliwy los, jaki rzekomo zgotowała swojemu synowi, poparto to cytatami pochodzącymi niby z jego dziennika. Katherine w głowie nie mogła się pomieścić taka nikczemność.

- Nie jestem w stanie doczytać tego do końca - stwierdziła po chwili. - O Boże, co robić? Tommy się bardzo zmartwi, kiedy to przeczyta, a Johnny i moja matka po prostu wpadną w furję. Johnny powie, że jestem wszystkiemu winna, na pewno tak powie.

- Ale skąd, na litość boską, to wystrasnęli? - zastanawiał się Steve. - Czy Tommy pisał pamiętnik?

- Chyba tak. Ale to było kilka lat temu - powiedziała bardzo znużona. - Nie mam pojęcia, w jaki sposób ten szmatławiec wszedł w jego posiadanie i dlaczego ktoś ze studia nie zabronił im tego wydrukować. Możesz połączyć mnie z Brendą?

Do drzwi zastukał goniec, wsadził głowę i podał Katherine dużą szarą kopertę.

- Zmiany w scenariuszu - bąknął, po czym zniknął w drzwiach innej dziupli.

- Znowu zmiany? - zdziwiła się Katherine. - Ciągle coś zmieniają. Całkiem poszaleli.

Steven wzruszył ramionami.

- Przepraszam, kochanie - powiedział z zakłopotaniem. - Chcemy, żebyś wypadła jak najlepiej. Myśląc o innych sprawach, Katherine nie zauważyła, że Steven wyraźnie kręci. Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer. Minęła dłuższa chwila, zanim odezwał się - w niej zdyszany głos Brendy.

- Słucham.

- Brenda, czy czytałaś, co nawypisywali o mnie w tym szmatławcu?

- Czytałam. Maria przyniosła mi go rano ze sklepu. Rano też odkryła, że jej mąż zniknął.

- Pedro zniknął? Co się dzieje?

- Dobre pytanie. Mamy tu maleńkie trzęsienie ziemi. Pedro zniknął, wyparował bez słowa. Mało, że sam zniknął, to jeszcze zabrał z sobą Suzy! Maria po prostu odchodzi od zmysłów.

- Suzy? To przecież jej córka! Na miłość boską, ta mała ma dopiero siedemnaście lat. Koszmar.

- Najwyraźniej Pedro i Suzy... no wiesz... romansowali ze sobą.

- Najwyraźniej - rzekła Katherine ponuro. - O ile dobrze pamiętam, Suzy nie była jedyną dziewczyną, z którą Pedro romansował.

Do drzwi zastukał Charlie.

- Czekamy na ciebie, Katherine. Pośpiesz się - zawołał.

- Już idę - odkrzyknęła. - Czy Pedro i Suzy wyjechali na dobre?

- Na dobre. Zabrali ubrania, samochód, wszystko. W tył zwrot i do widzenia. Zeszli ze sceny, nie czekając na oklaski. O Boże, słyszę, jak Maria wrzeszczy w ataku histerii. Istne piekło.

- Wyobrażam sobie.

- Sądzymy, że to Pedro ma coś wspólnego z tymi świństwami w gazecie.

- Wszystko na to wskazuje. - Katherine westchnęła, bo Charlie zaczął walić w drzwi pięścią. - Ukradł pamiętnik Tommyego i sprzedał go temu szmatławcowi. Ale jak on mógł

coś takiego zrobić? Słuchaj, Brenda, nie mogę teraz rozmawiać. Później pogadamy. Błagam cię jednak, nie rozmawiaj z nikim na ten temat i, na miłość boską, nie pozwól, żeby ta szmata, która ma czelność nazywać siebie gazetą, dostała się w ręce Tommyego.

Katherine odłożyła telefon. Podszedł do niej Steven i objął ją.

- Zapamiętaj jedno, Kitty. Na mnie możesz zawsze liczyć - rzekł.

- Wiem - szepnęła. - Nie potrafię ci powiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

Katherine wyłączyła telefon komórkowy na cały dzień. Postanowiła, że tym razem sama zadzwoni do matki. Miała nadzieję, że wieczorem zastanie ją w lepszym humorze.

Zadzwoniła o wpół do dziewiątej. Odpowiedział jej zaspany głos.

- Mama? Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

- Nie szkodzi, Kitty. Leżę w łóżku, ale jeszcze nie śpię. Przez cały dzień próbowałam się do ciebie do dzwonić... o co chodzi tej gazecie?

- Tanie sensacje, mamó. Ten pamiętnik Tommy pisał kilka lat temu. Zająłam się już tą sprawą.

- Tak... no cóż, biedny chłopiec. Nie doszłoby do tego, gdyby był u mnie.

Katherine doszedł stłumiony głos Johnniego Carsona w telewizji. Vera uwielbiała Johnniego Carsona.

- Jutro poproszę Tommy'ego, żeby do ciebie zadzwonił. Uwierz mi, że jemu nie dzieje się żadna krzywda. Wszystko będzie dobrze, obiecuję ci.

John Bennet obudził się z głębokiego snu. W głowie waliło mu jak młotem, ale nie pamiętał już, kiedy ostatnio było inaczej. Jeśli człowiek poprzedniego dnia wypił parę butelek wódki i wypalił tyle skrętów, że zaczęło zbierać mu się na wymioty, to nic dziwnego, że z głową u niego nie tęgo. Wychylił się z łóżka po stojącą na podłodze butelkę.

- Psiamać, pusta - stwierdził, przyłożywszy ją do wyschniętych warg.

Zajrzał pod łóżko, po czym wstał i powłókł się do salonu. Gdy pod kanapą niczego nie wymacał, przetrząsnął kuchnię, ale tam znalazł tylko kilka opróżnionych do połowy puszek ze stęchłym piwem.

- Niech to szlag.

Wrócił do sypialni, wciągnął wygniecione spodnie, stopy wsunął w zniszczone mokasyny. Upewniwszy się, że w kieszeniach ma dość drobnych, powłókł się do sklepu Seven Eleven na rogu ulicy.

W chwili, gdy płacił dwadzieścia dolarów za dwie butelki najtańszej wódki, jego wzrok padł na nagłówek w „The National Sun”.

- Niech to szlag - zaklął, złapał gazetę, dorzucił kasjerowi dolara. - To przecież mój chłopak.

Po powrocie do mieszkania siadł na nie zasłanym łóżku i popijając wódkę prosto z butelki zabrał się do czytania. Kiedy trafił na swoje imię, uśmiechnął się gorzko. Mili byli - liczba pochlebstw pod jego adresem równała się liczbie obelg pod adresem Katherine. Ale nie poczuł się od tego lepiej. Choć mózg miał całkowicie przesiąknięty alkoholem, swojego syna darzył głęboką miłością. Nie miał tylko energii i środków, żeby mu ją okazać.

Zapalił camela - jednego z trzydziestu albo czterdziestu mocnych papierosów, które wypali tego dnia - i zaciągnął się łąpczywie. O liczbie papierosów, które już wypalił, najlepiej świadczył kolor ścian jego mieszkania - na złotej tapecie w kwiaty bardzo trudno było odróżnić plamy tytoniowe od wzoru. Johnny mieszkał tu, odkąd rozstał się z Katherine. Katherine opłacała czynsz, który jak na standardy hollywoodzkie był nader skromny, mieszkanie wszelako znajdowało się w dość dobrej dzielnicy, co mogłoby mieć spore znaczenie, gdyby Johnny szukał pracy.

Skończywszy czytanie, zapalił kolejnego papierosa. „Najwyższy czas dobrać się do skóry tej dziwce” - pomyślał. Najwyższy czas odpłacić jej pięknym za nadobne.

Po drugim dzwonku Katherine podniosła słuchawkę swojej prywatnej gorącej linii. Była pora lunchu, Brenda pilnowała domu, Katherine cieszyła się, że jest sama. Mamiąc sałatkę z tuńczyka i popijając mrożoną herbatę, jeszcze raz przeczytała, co ci idioci nawypisywali o jej synu. Przez cały dzień urywały się telefony u jej rzecznika prasowego i przez cały dzień usiłowali do niej dotrzeć różni reporterzy, niektórzy nawet próbowali przekupić kogoś z ekipy, żeby dostać się na plan.

- Halo - powiedziała cichym głosem.

- Ty dziwko! Czy koniecznie musisz zatruć życie naszemu synowi? Ty, krowo! Jak śmiesz mu robić coś takiego? Za kogo ty się uważasz?

Serce Katherine zaczęło bić szybciej, starała się jednak za wszelką cenę zachować spokój.

- Nie zamierzam wysłuchiwać tych insynuacji, Johnny. Oni to wszystko wyssali z palca i ty dobrze o tym wiesz. Chyba nie wierzysz brukowej prasie.

- Fragmentów jego pamiętnika nie wyssali z palca - warknął. - Kilka lat temu Tommy był taki.

- Właśnie, kilka lat temu - zauważyła zimno. - Słuchaj, ja teraz pracuję, nie mogę, więc przedłużać tej rozmowy. Powiem ci tylko tyle: te cytaty zaczerpnięto z pamiętnika, który

ktos ukradł z jego pokoju. On to pisał mniej więcej trzy lata temu, kiedy był jeszcze małym dzieckiem.

- Bajuj, bajuj - zaśmiał się drwiąco. - Ciekawe, kto by ukradł jego pamiętnik?

Katherine westchnęła.

- Z przykrością muszę przyznać, że wina spada przede wszystkim na mnie, bo to ja go zatrudniłam. Wszystko wskazuje na to, że zrobił to Pedro.

- Ten brudny Meksykanin, tak? Powinnaś lepiej sprawdzać referencje. Nigdy nie znałaś się na ludziach, Katherine.

- Pewnie dlatego wyszłam za ciebie - odcięła się.

- Co ty powiesz? Wydaje ci się, że jesteś bardzo dowcipna, wielka gwiazdo telewizji. Pozwól, więc, że coś ci powiem. Kiedy trochę stanę na nogi, a stanę na pewno, co radzę ci mieć na uwadze, zabiorę Tommy'ego do siebie.

- Przecież ci mówiłam, że możesz widywać Tommy'ego i spędzać z nim czas, kiedy tylko zechcesz - rzekła cicho Katherine. - Odnoszę jednak wrażenie, że wcale się do tego nie rwiesz.

- Bo byłem bardzo chory - powiedział, rozczulając się nad sobą. - Powoli jednak z tego wychodzę, a nawet mam już nagrany pewną pracę.

- To świetnie, Johnny - udała zachwyt. - Jaką pracę?

- Nieważne. Nie twój zakichany interes. Nie jesteś tu jedyną osobą, którą znam. Ja też mam przyjaciół, Katherine. Ważnych ludzi. Nie zapomnieli, że jestem dobrym aktorem, naprawdę dobrym aktorem, nie jakimś tam telewizyjnym beztalenciem. No, przyznaj sama, czy kiedy mieszkaliśmy - w Nowym Jorku miałaś nominacje do jakichkolwiek nagród?

- Nie, Johnny, nie miałam.

- A ja miałem. Miałem nominację za rolę Hamleta... pamiętasz? Najlepszy debiut roku.

Katherine oczywiście pamiętała. Było to w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, przeszło piętnaście lat temu. Pamiętała też, że od tamtego czasu Johnny zagrał raptem w kilku wznowieniach starych sztuk w peryferyjnych teatrach i raz był narratorem. Chciała mu o tym przypomnieć, ale odepchnęła od siebie tę myśl, bo byłoby to kopanie leżącego. Zresztą życzyła swojemu byłemu mężowi jak najlepiej; nie ona, lecz on sam był swoim najgorszym wrogiem.

- Powiedz, z czym dzwonicz, Johnny, bo mam teraz przerwę na lunch i usiłuję nauczyć się roli.

- O tak, wielka diwa jest jak zwykle bardzo zajęta. Pracuje jak mrówka.

- Słuchaj, muszę już lecieć. Czy chcesz się zobaczyć z Tommym w czasie tego weekendu?

- Bo co? Chcesz się go pozbyć?

- Nie, nie chce się go pozbyć. - Ostatnie słowa Johnny'ego wyprowadziły ją z równowagi. Czuła, że nie jest w stanie skończyć sałatki, krzepnącej na talerzu. - Sądziłam, że dla odmiany mógłbyś poćwiczyć się w egzekwowaniu praw ojcowskich.

- Zawiadomię cię. - Jego głos stał się nieco niewyraźny. - Za kilka dni dam ci znać - dokończył sennie.

Katherine domyśliła się, że Johnny jest pod wpływem alkoholu i jakiegoś narkotyku.

- W czasie przerwy w zdjęciach zabieram go do Francji na parę tygodni. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Nie, nie mam.

- Dobra, Johnny - zakończyła wesoło - zadzwoń, kiedy zechcesz się z nim zobaczyć. Wszystko jedno kiedy.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała do lustra. Patrzyła na nią chuda wymizerowana twarz o pomalowanych na czerwono wargach i smutnych oczach. Błada i wystraszona przypominała ducha.

W tym momencie rozległo się stukanie do drzwi.

- Dziesięć minut, Katherine.

- Dobrze. - Prędko połknęła kilka kawałków tuńczyka i popiła wodą. „Dziś nie będą się mnie czepiać, że się spóźniam - pomyślała. - Dziś nie dam im do tego powodów”.

Kiedy wróciła do domu, w drzwiach przywitała ją Maria. Szloch wstrząsał jej pulchnym ciałem.

- Senora, och, senora, tak mi przykro, senora. Nie wiem, co go opętało. Proszę panią o wybaczenie. Modliłam się do Najświętszej Panienki, żeby mu wybaczyła. Pedro nie zawsze jest dobrym człowiekiem. Ma swoje słabości jak wszyscy. Wierzyłam jednak, że się zmienił. - Zaczęła znowu szlochać. - A tymczasem on odszedł, odszedł z moją córką.

- Proszę cię, Mario, nie rozpaczaj. - Katherine zupełnie nie wiedziała, co ma z nią robić. Chciała porozmawiać z Tommym, chciała się położyć po całym dniu pracy. Sama była wykończona nerwowo. Marzyła o tym, żeby jakoś odczepić się od Marii, która łkała histerycznie. Na szczęście z gabinetu wyszła Brenda z plikiem faksów.

- Chcesz najpierw dobrą wiadomość czy złą?

Maria, szlochając, odeszła do kuchni.

- Przygotuję obiad, senora.

Katherine weszła do nieprzytulnego salonu, zdjęła płaszcz, usiadła na kanapie.

- Nie zniosę żadnych złych wiadomości, Bren, póki się nie napiję - westchnęła.

- Proszę bardzo - rzekła Brenda, podając jej oszroniony kieliszek. - Przygotowałam ci to martini, jak tylko usłyszałam chrzęst żwiru pod kołami samochodu.

- Gdzie Tommy? W jakim jest stanie? Czy widział już ten straszny artykuł? - spytała Katherine.

- Jak by ci to... nie wiem - rzekła Brenda powoli. - Możliwe, że dowiedział się w szkole. Teraz jest w kinie z Toddem. Wróci koło dziewiątej.

- Uhm. No to teraz możesz mi powiedzieć tę dobrą wiadomość.

- Dobra wiadomość to to, że w zeszłym tygodniu „Rodzina Skeffingtonów” podskoczyła o jeden punkt na liście Neilsonsa.

- To przede wszystkim dobra wiadomość dla Gabea i Luthera. Nie masz nic dla mnie?

- Udało się wywabić plamę na twojej zielonej szyfonowej sukience.

- Och, wspaniale! To jest naprawdę doskonała wiadomość. - Katherine przełknęła duży łyk lodowatego alkoholu. Gdy spłynął do żołądka, poczuła nagły przypływ energii. Spojrzała odważnie na Brendę. - Teraz jestem gotowa na przyjęcie złej wiadomości.

Brenda wręczyła jej faks.

- Właśnie przyszedł od sekretarki Gabe'a. Pachnie mi to niestety wezwaniem na dywanik.

Katherine wzięła od niej kartkę i przeczytała: „Droga Katherine, proszę Cię, żebyś jutro o pierwszej stawiała się w moim gabinecie w ważnej sprawie. Pozdrowienia Gabe”.

- Jaki milutki. Krótko i węzłowato, co?

- Nie przejmuj się na zapas - powiedziała Brenda. - Może im chodzi o to, żebyś... bo ja wiem... zmieniła fryzurę. Albo chcą cię namówić na operację plastyczną nosa, żebyś mogła konkurować z Panną Płaski Nos.

Zachichotały, po czym Katherine westchnęła.

- Nie, nie, czuję jakieś złe vibracje. Oni coś knują, poznałam to po zachowaniu Stevea. Nie patrzył mi dziś w oczy. No dobrze. Jak mówi moja matka, kiedy nie możesz zapobiec gwałtowi, rozluźnij się i postaraj się mieć z tego jakąś przyjemność.

Wziąwszy z miski garść stęchłych fistaszków, spojrzała na listy, które przyniosła Brenda.

- A co jest w tej paczuszce? - zainteresowała się.

- Kolejna złota płyta. Chcesz zobaczyć?

- Oczywiście. - Katherine przyciągnęła ku sobie pudełko, otworzyła je i przyjrzała się płycie identycznej jak ta na półce nad kominkiem.

- Jaki ma tytuł? - spytała Brenda.

- „Jesteś moją szczęśliwą gwiazdą” - Uśmiechnęła się. - A na karcie napisał: „Chciałbym, żeby tak było”.

- Może to dobry znak. Jesteś w tej chwili niezbyt szczęśliwą gwiazdą, przydałaby ci się, więc mała odmiana. Ale ten facet wydaje mi się trochę stuknięty, Kitty.

- Jeśli stanie się uciążliwy jak ten, który dzień w dzień przysyłał mi czekoladki, zawiadomimy policję.

- W przypadku tamtego trudno było postąpić inaczej. Był ciężko pomyłony.

Katherine jeszcze raz spojrzała na płytę.

- Odnoszę wrażenie, że ten nie jest pomyłony.

Katherine i Brenda podążyły szybkim krokiem w kierunku gabinetu Gabea Hellera.

- O co też może mu chodzić? - zastanawiała się Katherine.

- Albo chce się z tobą przespać, albo zaproponować ci nową drugoplanową rolę!

- O tym mogę sobie tylko pomarzyć. To byłby cud. W tej chwili jestem piranią-maskotką Gabea i Luthra.

- Pamiętaj, nie daj sobie niczego wcisnąć - przestrzegała ją Brenda - i koniecznie zjedz jakiś lunch! No, powodzenia.

Katherine została natychmiast poproszona do sanktuarium Gabea, składającego się z kilku połączonych gabinetów, w których zwykle wrzało niczym w ulu.

Ogromnej postury producent z małą czapką baseballową nasadzoną na czubek wielkiej głowy siedział za swoim szklanym biurkiem, które mimo dość okazałych rozmiarów budziło podejrzenie, że pożyczył je od jakiegoś dziecka. W pokoju stała niezliczona ilość zielonych i niebieskich otoman oraz foteli i komód udających styl Regencji. Na jednej z tych pstrokatych kanap siedział już koproducent „Rodziny Skeffingtonów”, Luther Immerman.

Ciemny, drobny i bardzo żydowski Luther był człowiekiem, który przez lata przebijał się mozolnie w bezlitosnym Hollywood i któremu w końcu udało się wspiąć na szczyt drabiny sukcesu, ale bynajmniej nie dzięki talentowi. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat miał pozycję producenta-scenarzysty telewizyjnego numer jeden z nazwiskiem figurującym w czołówce trzech znanych seriali, nadawanych w godzinach największej oglądalności, z których „Rodzina Skeffingtonów” była u szczytu popularności. Luther był mózgiem całego

zespołu i to nie było jakim mózgiem. Choć większość ludzi trzęsła portkami przed Gabe'em, przy Luthrze był on faktycznie wielkim kocurem udającym tygrysa.

Mina Gabe'a tego dnia nie wróżyła nic dobrego. Katherine obdarzyła go chłodnym uśmiechem i zapadła się w jednym z miękkich foteli. Na ścianie za biurkiem Gabe'a wisiała para olbrzymich kłów słonia, dwa poroża jeleni, a między nimi mnóstwo plaketek i nagród z całego okresu jego długiej, wybitnej kariery telewizyjnej. Na regale zawierającym oprawione w skórę scenariusze, które wdrożył do produkcji, stała ogromna butla szampana z na lepką opatrzoną mnóstwem zakręconych podpisów osób, które należały do obsady filmu „Seryjny morderca II”, którym w ostatnim sezonie Gabe odniósł niesłychany sukces, w biurze znajdowało się tyle pamiątek związanych z telewizją i filmem, że Katherine nie była w stanie skupić myśli na celu swojej w nim obecności. Fotografie Gabe'a pozującego ze Stallonem, Schwarzeneggerem i Nicholsonem przeplatały się z błyszczącymi czarno-białymi fotosami Greer Garson, Claudette Colbert i Lany Turner.

Gabe Heller zaczynał w wieku szesnastu lat jako chłopak do wszystkiego, ale już wtedy miał fioła na punkcie filmu. Powoli wspinał się po drabinie awansu, aż został największym producentem filmowym. Nakręciwszy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych tuzin kasowych filmów, postanowił zanurzyć palce w potencjalnie lukratywnych wodach produkcji telewizyjnej i tu też wkrótce zaczął odnosić jeszcze większe sukcesy niż w kinie.

Kochał Hollywood i gwiazdy filmowe, które z Hollywood czyniły Hollywood, ale jednocześnie wyznawał starą maksymę szefów studia: nie pozwól, żeby tym wariatkowem zawładnęli inni wariaci. Dlatego właśnie wezwał dziś na dywanik (czytaj: dywan firmy Aubusson) Katherine. Gabe, który na szczyt drabiny telewizyjnej dostał się bynajmniej nie dzięki wrodzonej uprzejmości, zaczął bez owijania w bawełnę.

- Widziałaś to, Katherine? - spytał i wręczył jej wycinki z nowojorskiej gazety drukującej plotki z życia wyższych sfer, tej samej, którą jej matka zwykle czytała od pierwszego do ostatniego słowa.

„Diwa zerwała z głowy toczek z futra zwierząt zagrożonych zagładą i rzuciwszy go ze złością w twarz 69-letniemu Albertowi Amory'emu, wrzasnęła: Mam dość tego starego ch... Zatrudnijcie kogoś innego, bo on nigdy nie nauczy się tej p... roli. Ani mi się śni stać w tym upale i czekać, aż ten stary k... wyduka kilka słów. Następnie Georgia, przezwana Trującą Brzoskwinia, zeszła z planu i schroniła się w klimatyzowanej poczekalni, gdzie zażądała butelki białego wina i zagroziła, że nie wróci na plan, jeśli reżyser nie obieca jej, że ta scena

zostanie nakręcona jako zbliżenie jej twarzy, a Amory będzie stał obok i czytał z kartki swoją kwestię”.

- Wierzysz w te bzdury? - spytała Katherine. - Przecież to wszystko zostało wyssane z palca.

- Wielu członków zespołu potwierdziło tę historię - warknął Luther.

- Naprawdę? Ciekawa jestem, kto. Kumple Alberta Amory'ego? Jego publicyści, makijażysta czy perukarz? Oni gotowi są twierdzić, że papież jest Żydem, jeśli tylko Albert tego od nich zażąda. O Boże, przecież to straszne brednie. Zmyślane od a do z. Dlaczego nie spytasz kogoś obiektywnego, co się działo tego dnia. Był straszny upał. Albert wciąż się mylił. Reżyser odchodził od zmysłów. Czy ja jestem temu winna? To są wierutne kłamstwa. Dziwię się, że wy tego nie widzicie.

- Ta historia obiegła cały świat - zauważył Luther zimno. - To ci może bardzo zaszkodzić, Kitty.

- To, że wydrukowali coś w gazecie, nie oznacza, że to coś jest prawdą. Czy widziałeś, co nawypisywali o moim synu? Chyba nikt w to nie wierzy. Naprawdę sądzisz, Gabe, że byłabym zdolna do czegoś takiego?

- Tu nie chodzi tylko o gazety - odparł Gabe znużonym głosem. Lubił Katherine, podziwiał jej śmiałość i przebojowość, ale musiał ją nieco utemperować. Nie wolno mu było nikogo z ekipy faworyzować, a zwłaszcza Katherine.

Przez minione dwa sezony Albert Amory sprawiał mu same kłopoty. Byłoby wielkim uproszczeniem twierdzić, że Albert Amory był zazdrosny o partnerkę. Albert Amory z jednej strony miał się za dżentelmena ze starej angielskiej szkoły, z drugiej zaś nie darował tym, którzy nie chylili głowy przed jego znakomitą (jak niektórzy twierdzili, zmyśloną) przeszłością teatralną. Aktorzy grający w „Rodzinie Skeffingtonów” mieli już po uszy wysłuchiwanie historii o tym, jak to Richard Burton i Albert zaczęli równocześnie karierę od noszenia mieczy w teatrze Old Vic.

Początek jego serdecznej przyjaźni z Gabeem Hellerem datował się na okres II wojny światowej, kiedy to przez jeden długi szalony tydzień razem pili i łądaczili się w bombardowanym Londynie. Obaj byli wówczas bardzo młodzi, Gabe dopiero, co zdążył się ożenić. Teraz, ponad czterdzieści lat później, niektórzy ludzie w Hollywood właśnie w owym długim tygodniu do szukiwali się wytłumaczenia nadzwyczajnego wpływu Alberta Amory'ego na Gabe'a Hellera.

Gabe wiedział, że Katherine denerwowała Alberta, bo nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że aktorów grających w tym serialu obowiązuje ściśle określony porządek

dziobania. Do powszechnej praktyki należało, że ekipa i aktorzy uważali jednego spośród siebie za przywódcę. Na planie „Rodziny Skeffingtonów” powinien nim być Albert Amory.

W kontrakcie Amory’ego zawarto klauzulę stanowiącą, że żaden inny aktor zatrudniony w tym serialu nie zarobi więcej pieniędzy niż on. Inna klauzula przyznawała mu prawo wyboru partnerek, zwłaszcza tych, które całował, a jeszcze inna mówiła, że będzie miał dłuższe kwestie od innych przynajmniej w co trzecim odcinku. Ostatni punkt zastrzegał, że reklamowanie jego postaci w mediach powinno być dokładnie tak samo częste jak innych. Albert już doprowadził do zwolnienia trzech dziennikarzy z ABN, ponieważ za dużo pisali o Katherine Bennet.

Przez ostatnie dwa sezony Gabe był po prostu bombardowany zażaleniami Alberta. Jeden incydent narobił tyle zamieszania, że Gabe nie zapomni go do końca życia. Rzecz dotyczyła słynnej sceny kąpieli w pianie, napisanej przez Stevena Leigha. Jak zwykle, gdy kręcono coś odrobinę erotycznego, i tym razem na planie był fotograf na etacie ABN. Wywoławszy film, zauważył, że jedna z baniek mydlanych pękła i odsłoniła sutek Katherine. Negatyw rychło trafił - przez niełojalnego asystenta w laboratorium fotograficznym - na okładkę pisma pornograficznego, a stąd do pism na całym świecie. Fotografia jednak nie tylko nie zaszkodziła Katherine, lecz zgoła przysporzyła jej sympatii.

Ale nie w oczach Alberta Amory’ego, który wpadł wściekły do gabinetu Gabe’a, trzymając gazetę w palcach, jak gdyby była krowim łajnem.

- Ona jest zupełnie amoralna - zagrzemiał. - Jesteśmy serialem rodzinnym, Gabe, a ta... ta kreatura działa nie tylko na szkodę naszego serialu, lecz również naszego społeczeństwa. Żądam, żebyś ją wyrzucił. - A rzuciwszy chytre spojrzenie na portret olejny Selmy, od czterdziestu pięciu lat żony Gabe’a, spytał cicho: - Miałeś wiadomości od... wiesz kogo z Londynu?

- Nie... ale nie martw się Alb, zajmę się Kitty - wyjąkał Gabe.

Zlecono wówczas pewnemu wyrzuconemu skądś dziennikarzynie, obecnie pracującemu dla ABN, żeby o odtwórcach głównych ról, Albercie i Eleonorze, pisał pochlebnie, a nieprzychylnie o Katherine i Tonym Bertolinim. Katherine odtwarzała Georgię tak przekonująco, że bez większego trudu przychodziło mu przekonanie publiczności o jej wstrętnym charakterze w życiu prywatnym.

Ale nawet najgorsza reklama nie potrafiła zrazić widzów do Georgii Skeffington, która wprawdzie intrygowała, uwodziła, kręciła, ale dzięki Katherine miała mnóstwo wdzięku i poczucia humoru. Nie przypadkiem przez ostatnie trzy lata panowała moda na imię

Katherine. Wszelako producentom i zazdrosnym kolegom popularność Katherine była solą w oku.

- Nie możemy, powtarzam, nie możemy pozwolić, żeby nasi aktorzy zachowywali się w taki oburzający i nieprofesjonalny sposób. To godzi w nasze zasady - powiedział teraz Gabe.

- Ale ja tego nie zrobiłam, nie zrobiłam... nie rozumiecie? - Katherine prawie płakała ze zdenerwowania. - Było gorąco, nie mogłam już tego wytrzymać. Zdjęłam pelerynkę. Ale nie rzuciłam nią w Alberta ani... ach, zresztą wszystko mi jedno. - Przecież nie będzie się z nimi kłócić.

- Podobno też przez cały sezon spóźniałaś się na charakteryzację - zaczął Luther, zaglądając do grubego pliku papierzysek.

- Wcale się nie spóźniałam. Po prostu charakteryzacja zajmuje mi mniej czasu niż innym. Mówiłam asystentowi, żeby zapisał gdzie trzeba, że zamiast godziny wystarczy mi trzydzieści minut, ale on nie słu...

Katherine odniosła wrażenie, że oni też nie słuchali. Luther kontynuował nieustępliwie:

- W minionym sezonie nie tylko że odmówiłaś włożenia co najmniej czternastu różnych kostiumów, które Maximilian zaprojektował specjalnie dla ciebie, ale pięć lub sześć razy urządziłaś garderobianym dziką scenę, a potem wyszłaś, zostawiając je w łzach.

- Nieprawda! To gazety tak piszą. Ja tylko stwierdziłam, że ten czy inny strój nie pasuje do mojej roli. Zdarzyło się to raz albo dwa. Jak możecie wierzyć gazetom? Jak możecie? - spytała Katherine przez łyżę.

- Nasi ludzie twierdzą, że wrzeszczysz, obrażasz i atakujesz wszystkie garderobiane, rzucasz ubranie na podłogę i depczesz po nim.

- Nic podobnego... - Katherine zbierało się na płacz, ale nie chciała sprawić im satysfakcji.

- Tu jest to wszystko opisane, Katherine. Słowo w słowo. Spójrz tylko sama. - Gabe podał jej garść wycinków prasowych. - Dziesiątki takich scen. Wszystkie dowodzą, że twoje zachowanie w życiu prywatnym przechodzi najgorsze wyczyny Georgii.

„Katherine samowolnie schodzi z planu”... „Katherine obraża Alberta Amoryego”... „Katherine odmawia pracy z Eleonorą Norman”... „Katherine symuluje chorobę i wstrzymuje kręcenie serialu na wiele dni”. - I tak dalej, i tak dalej. Znasz to stare powiedzenie: nie ma dymu bez ognia.

- Niewiarygodne. - Katherine poczuła, że zaschło jej w gardle. - Oskarżasz mnie o coś, czego nie zrobiłam. Oskarżasz mnie na podstawie wycinków prasowych!

- Radzę ci, Katherine, żebyś od jutra zaczęła się przyzwoicie zachowywać, bo w przeciwnym razie zrezygnujemy z ciebie - rzekł Luther wojowniczo. - Zauważyłaś może, że w następnym odcinku masz mniej scen. A dużo to trzeba, żeby Georgii zdarzył się jakiś wypadek? Zapadnie w śpiączkę na wiele tygodni, a my przez ten czas się zastanowimy, czy chcemy, żeby przeżyła. My cię stworzyliśmy i my możemy cię unicestwić. Miej to na uwadze.

- Będę miała to na uwadze - odparła cicho. - Już raz byłam w śpiączce... dobrze, dobrze, wszystko zrozumiałam. Będę grzeczna, zawsze jestem grzeczna, ale jeszcze raz powtarzam, że ani jedno słowo z tego, co tu napisali, nie jest prawdą. Przysięgam, Gabe.

Wstała.

- Ta praca jest mi potrzebna - powiedziała szczerze, łamiąc tym samym jedno z kardynalnych przykazań Hollywood, że nie wolno się przyznawać, że człowiekowi na czymkolwiek zależy. Zarabiała czterdzieści tysięcy dolarów tygodniowo i nie mogła sobie pozwolić, żeby je stracić.

- Wobec tego tańcz, jak ci zagrają, Katherine - rzekł słodko Gabe. - Tańcz zgodnie z naszymi regułami. Rób, co ci każą. Przestań wprowadzać zamęt. A wówczas, jestem tego pewny, będziemy żyć w zgodzie.

Katherine smutno pokiwała głową.

- Do zobaczenia na bankiecie z okazji wręczenia nagród telewizyjnych w przyszłym tygodniu - pożegnał ją rozpromieniony Luther. - Rozchodzimy się w zgodzie, prawda, Katherine?

Katherine zamierzała wykręcić się z uczestniczenia w tegorocznej uroczystości wręczenia nagród telewizyjnych. Ale teraz już nie mogła.

- Możesz już iść, Kitty - rzekł Gabe, wyciągając do niej ogromną łapę. - Jesteśmy dalej przyjaciółmi, prawda?

Podala mu rękę, wybąkała słowa pożegnania. Po czym, zapadając się po kostki w grubym dywanie, wyszła myśląc z ulgą o względnie normalnej atmosferze w studiu nagraniowym.

- Za pięć minut będą gotowi - oznajmiła Brenda, wchodząc do garderoby Katherine. - Jadłaś coś?

- Też wymyśliłaś. Niewiele brakowało, a oni by mnie zjedli. - Ugryzła przejrzałego banana. - Mówię ci, Brendo, cud będzie, jeśli dotrwam do końca następnego tygodnia w jednym kawałku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tommy był w pokoju, bo ciężka kłódka na gałce drzwi wisiała nie zamknięta. Katherine zapukała.

- Czego chcesz? - spytał gburowaty głos.

- Musimy porozmawiać, Tommy. To ważne.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, mamuś. – „Mamuś” zostało wypowiedziane z gorzką ironią. - Czytałaś, co napisali w tej zaszrannej gazecie?

- Czytałam, Tommy. Wiem, jak to musiało na ciebie podziałać. To są obrzydliwe łągarstwa, kochanie. Proszę cię, nie przejmuj się. Tommy, pozwól mi wejść. Musimy porozmawiać.

- Mam to w dupie... No zresztą, wejdź.

Katherine usłyszała kroki i w drzwiach stanął Tommy - potargany, z oczyma Cygana, półmęczczyzna, półchłopiec, jej syn. Minę miał bardzo ponurą.

Pokój wyglądał jak śmietnik; na podłodze walały się otwarte kasety wideo, komiksy, leżały sterty brudnych ubrań. W powietrzu wisiał zapach stęchłych frytek lub czegoś w tym rodzaju. Katherine powstrzymała się jednak od uwag, odkładając je na inną okazję. Wyciągnęła ręce, żeby go przytulić, ale Tommy zrobił unik. Upadł z impetem na łóżko, przed którym mrugał telewizor.

- Kiedy to przeczytałaś? - spytała zrezygnowana.

- Dziś rano... kaździuśkie słowo. - Głos Tommyego brzmiał szyderczo, twardo, lecz jego zgarbione ramiona i zagryzione wargi zdradzały przygnębienie. - Myślę, że nie tylko ja. Na pewno cała zaszrana szkoła to przeczytała, mamu. Nie mogę się tam pokazać. Czuję się jak palant.

- Tommy, wiem, że trudno ci to zrozumieć - rzekła Katherine, siadając ostrożnie na brzegu łóżka. Ucieszyła się, stwierdziwszy, że Tommy nie zareagował na to ucieczką. - Mnie to też bardzo dotknęło. Nie mogę zrozumieć, jak ktoś mógł zrobić takie okropne świństwo dziecku.

- Masz rację poza jedną rzeczą. Nie jestem już dzieckiem, mamuś. - Odsunął się od niej, żeby popatrzeć na łysego Murzyna, mistrza rapu, który zaintonował: „Jak balować to tylko z dziwkami, daj im popalić, dołóż im zdrowo”.

Katherine pomyślała, że dzieci i młodzież chyba nie wsłuchują się w słowa utworów swoich idoli. W przeciwnym wypadku zauważyliby, że ci od rapu nie tylko głoszą nienawiść do kobiet, ale też gloryfikują narkotyki, wojny między gangami, przemoc.

Tommy potrząsał ramionami, symulując palcami grę na gitarze. „Ciekawe, jaki wywrą na niego wpływ te piosenki” - zastanawiała się.

- Mogę ostatecznie pojąć, że ciebie, mamus, spotyka ją takie nieprzyjemności, ale dlaczego mnie? To ty jesteś głupią gwiazdą telewizyjną, nie ja. - Mimo gniewu jego zielone oczy zaszyły łzami.

- Masz absolutną rację, kochanie. Podzielam twoje oburzenie, ci ludzie to wyjątkowe łajdaki. Zleciłam już tę sprawę moim prawnikom i obiecuję ci, że tamci słono za to zapłacą.

- Oni wykorzystali mój pamiętnik, który pisałem, gdy byłem dzieckiem. Strasznie dawno. Oni go ukradli.

- Wiem, wiem, to się po prostu w głowie nie mieści.

- Ale czy napisali, że to mój pamiętnik z dzieciństwa? Czy napisali, że autorem tych zdań był dwunastoletni neptek, który nie miał o niczym pojęcia? - Patrzył na nią oskarżycielsko. - Podpisali: „Tommy Bennet, lat szesnaście”. Jakie szesnaście? Szesnaście lat skończę dopiero w przyszłym miesiącu. Zrobili ze mnie jakiegoś matoła, zrobili ze mnie największego debila w Ameryce.

- Nie mogę tego cofnąć, synku - rzekła Katherine. - Nasłałam na nich Barry’ego Lefcovitza. On nie dopuści, żeby te brednie dalej rozpowszechniano.

- Gównu mi to pomoże - warknął. - Co mi z tego, że nie opublikują tego w zasranej Australii, w zasranej Europie czy gdzie tam jeszcze?

Katherine zignorowała jego słownictwo i wybuch gniewu. Miała wielką ochotę go przytulić, ukołysać w ramionach jak małe dziecko. Cóż, nie wchodziło to w rachubę.

- Chce mi się spać, mamus. O rany, jak się cieszę, że nie muszę jutro iść do szkoły.

- Tak, posiedź jeszcze w domu. A teraz idź spać i nie przejmuj się kolegami. Za kilka dni o wszystkim zapomną. Wierz mi, synku, nikt długo nie pamięta o tym, co piszą w gazetach.

- Dobra, postaram się. - Uśmiechnął się krzywo.

- Na szczęście do przerwy w zdjęciach pozostał już tylko tydzień - powiedziała Katherine wesoło. - Brenda kupiła nam dziś bilety na samolot. Niebawem wyjeżdżamy. Czeka nas wspaniała podróż, kochanie.

- Tak? A od czego zaczynamy? - Tommy wyraźnie się ożywił.

- Od Londynu. Przez trzy, cztery dni będziemy mieszkać w Connaught i zwiedzać miasto. Mówię ci, w Londynie jest tyle do oglądania. Wspaniałe teatry, muzea, pałace. Na pewno ci się spodobają. Och, jak już dawno tam nie byłam. Potem zaatakujemy Paryż.

- Pójdziemy do Crazy Horse?

- Pewnie, że tak. Pójdziemy też do Moulin Rouge. Wjedziemy na wieżę Eiffla. To tak wysoko, że ludzie dostają krwotoku z nosa. Zwiedzimy Lewy Brzeg, Prawy Brzeg, plac Pigalle, Montparnasse, będziemy opychać się rogalikami i przez cały dzień pić cafe au lait, siedząc przy stolikach wystawionych na ulicę.

- I obserwować przechodniów?

- Otóż to. - Katherine uśmiechnęła się. - Potem polecimy na południe Francji, do domku, który wynajęłam w pobliżu St Tropez. Spędzimy tam tydzień lub dwa, po czym ciebie wyprawię na Fire Island, a sama jeszcze tam trochę zostanę.

- Super. Zapowiadają się ekstra wakacje. Wiesz, ma muś, postaram się nie brać tamtej sprawy zbyt poważnie. Zresztą nie o mnie tu chodzi, lecz o moich kolegów.

Widząc smutek w jej oczach dodał:

- Myślę, że tobie też nie jest lekko, co, mamuś?

Pokiwała głową.

- Niezbyt. Ale znasz to powiedzenie: kiedy świat wypowie ci wojnę, podejmij walkę albo wybierz się na zakupy. Zrobimy jedno i drugie. Czuję, że we Francji będę w nastroju do dużych zakupów. - Nachyliła się nad nim i zaryzykowała pocałunek. - Idę już, bo jutro muszę wstać jak zwykle o pogańskiej godzinie, czyli o piątej. Zresztą ty też powinieneś teraz trochę odpocząć.

- Dobra.

Przy drzwiach Katherine jeszcze raz przystanęła i uśmiechnęła się do niego. Tommy poczuł nagły przyływ uczuć synowskich. Niewiele brakowało, żeby powiedział: „Kocham cię, mamuś”, ale jakoś nie przeszło mu to przez gardło. Wobec tego tylko pomachał do niej wesoło, mruknął „...branoc, mamuś” i władowawszy do ust duży kawałek pizzy, wrócił do oglądania telewizji.

- Niespodzianek ciąg dalszy - oznajmiła wściekła Brenda, rzucając na sofę oprawiony w purpurową okładkę scenariusz ostatniego przed wakacjami odcinka „Skeffingtonów”. - Masz, przeczytaj to świństwo.

- Co się stało?

Katherine była w trakcie przymierzania szlafroka z różowej satyny i koronek. Stała bez ruchu już z pół godziny, czując, że Maximilian wbił w jej ciało co najmniej osiem szpilek.

- Zapłaczesz, jak się dowiesz - rzekła Brenda, robiąc wymowny ruch głową w stronę Maximiliana, o którym mówiono, że ma za długie uszy i język.

Maximilian wymienił spojrzenie z Becky. Przeczytali już scenariusz, wiedzieli więc, o czym mówi Brenda. Lepiej nie być w pobliżu, kiedy Katherine się dowie, jak ci z góry ją załatwili. Nie żeby jakoś specjalnie jej nie lubili, po prostu uważali, że telewizja ma swoje prawa. Maximilian pośpiesznie skończył przymiarękę i oboje z Becky czym prędzej wyszli.

Katherine podeszła do krzesła przed toaletką i zaczęła poprawiać makijaż.

- Dobra, Bren, mam to przeczytać, czy opowiesz mi, co cię tak wzburzyło.

Brenda westchnęła.

- Chyba lepiej, jeśli ci sama opowiem. Ten odcinek kończy się sceną, w której jacht z Niegrzeczną Georgią, Świętą Eleonorą i Nikczemnym Tonym na pokładzie eksploduje.

- Nie może być - rzekła Katherine ironicznie. - I pewnie ktoś ginie, co?

- Jakbyś zgadła - potwierdziła smutno Brenda. - Nie wiadomo jednak kto. Czyje ciało wyłowiono z wody widzowie dowiedzą się dopiero po wakacjach. Na pożegnanie mamy zwłoki jednej lub więcej osób, a ostatnia linijka scenariusza brzmi: „Mój Boże, nie żyją”. Nie mówi się, czy zwłoki należą do kobiety, czy do mężczyzny, nic się nie mówi.

Katherine popatrzyła w zamyśleniu na purpurowy scenariusz.

- Rozumiem, że ważą się moje losy.

- Może niepotrzebnie się martwimy, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Nie jesteś ostatnio najbardziej lubiana, jeśli więc ci krwio pijcy w garniturach zamierzają się ciebie pozbyć - mówiąc to wzdrygnęła się - to czemu nie mieliby zrobić tego w ulubiony przez siebie sposób, czyli za pomocą miłej, czystej eksplozji na morzu? Nie zostanie z ciebie nawet jedna rzęsa. Co im zależy.

- Nic. - Katherine skrzywiła się, bo właśnie rozległo się nieuniknione stukanie do drzwi i uprzykrzony głos:

- Za pięć minut na planie, Katherine. Raz, raz.

- Co ty sobie myślisz? Popędzasz ją jak konia - zdenerwowała się Brenda.

- We Francji będę miała dużo czasu, żeby się nad tym wszystkim spokojnie zastanowić. Jezu, ale granda.

- Na razie nie myśl o tym - rzekła Brenda, pomagając jej włożyć czarną satynową suknię - wyszywaną dżetami. - Pamiętaj, że jesteś warta tyle, co tuzin tych pacanów, co to się mają za wielkich aktorów. Ten cały Albert nie jest w stanie wydukać swojej kwestii, nawet gdy ma ją napisaną na ustawionych wszędzie kartkach. W odróżnieniu od Richarda Burtona nie nauczył się niczego od Laurencea Oliviera. Richard Burton na pewno nie grałby w takim gównie - stwierdziła pogardliwie Brenda.

- A niech to wszyscy diabli porwą - rzekła Katherine, ostrożnie wkładając ogromny kapelusz z lawendowej organdy i słomki, przystrojony czarnymi różami - i niech wszyscy diabli porwą te kostiumy. Nawet gdybym miała wrócić do teatrów i zarabiać marne grosze. Tamci krwio pijcy przynajmniej nie kłamią w żywe oczy. Nie sądzisz, że ten strój jest cokolwiek przesadny? - spytała, patrząc ponuro - w lustro.

- Ciut, ciut. Z całą pewnością nie włożyłabym go, idąc do supermarketu - odparła Brenda z uśmiechem. - Ale w życiu telewizyjnym panują inne zwyczaje.

W niedzielę po południu zadzwoniła matka, żeby poinformować Kitty, kto - według doniesień „The Star” - jest jej ostatnią miłością.

- W zeszłym tygodniu miałaś romans z Clintem Eastwoodem, w tym tygodniu kochasz się w Donie Johnsonie. Co się z tobą dzieje, Kitty?

- Toż to brednie, mammo. Nie wierz w nie.

- No dobrze, ale bądź ostrożna, Kit-Kat. Nie jesteś już taka młoda, a ostatnio coś za dużo o tobie plotkują. To nie jest dobrze widziane w przypadku kobiety.

- Na miłość boską, mammo, mam czterdzieści cztery lata. Nie jestem małą dziewczynką. Naprawdę wierzysz, że flirtuję z każdym mężczyzną, który mi się nawinie, od Johnny’ego Carsona do Arsenia Halla? Sama wiesz przecież to śmieszne.

- Tak piszą gazety, a one nie zawsze kłamią. Wiesz, co mówi stare przekadło? Nie ma dymu bez ognia.

- Wiem. Słuchaj, muszę teraz wziąć prysznic. Dziś wieczorem idę na ceremonię wręczenia nagród telewizyjnych. Za chwilę zwali się tu cała ta banda.

- Coś ty, jest dopiero wpół do drugiej. Ile czasu potrzebujesz, żeby się ubrać?

- Dużo, mammo. Uroczystość zaczyna się o wpół do szóstej. Jak byłaś łaskawa zauważyć, nie jestem już taka młoda. Potrzebuję pomocy charakteryzatora, żeby stawić czoło fotoreporterom.

- Obejrzą sobie ciebie w telewizji - powiedziała Vera. - Kto będzie ci towarzyszył?

- Tony, mój dyżurny kochanek z „Rodziny Skeffingtonów”. Ale nie przejmuj się, to gej.

- Gej? No wiesz, Kit-Kat? Bądź bardzo ostrożna. Zwłaszcza gdy się z nim całujesz. Te sceny wyglądają tak prawdziwie, kochanie.

- Mammo! Na miłość boską! - W tej chwili Katherine usłyszała dzwonek do drzwi. - O, przyszedł Blackie. Muszę lecieć. To na razie. Baw się dobrze, oglądając transmisję.

- Powodzenia, kochanie.

- Flirty! - mruknęła Katherine.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio flirtowała. Nie miała czasu na romanse. Zresztą jej serce było szczelnie zamknięte dla mężczyzn i najlepiej, żeby już tak pozostało.

Pracochłonne przygotowania do wystąpienia na ceremonii wręczenia nagród telewizyjnych Katherine rozpoczęła punktualnie o drugiej po południu, czyli trzy i pół godziny przed przyjazdem białej limuzyny, którą udawała się na uroczystość.

Jako pierwszy stawiał się Maximilian z suknią w rękę. W wyniku wielu godzin spędzonych z Kitty na przeglądaniu najnowszych numerów "LOfficiel" oraz francuskiej i włoskiej edycji „Voguea” zrodził się pomysł kreacji z kategorii czystej fantazji.

Na przezroczysty szyfon w odcieniu skóry Maximilian narzucił czarną rzadką koronkę, tu i ówdzie naszywaną czarnymi koralikami. Długie rękawy, stójka wokół szyi. Sama suknia miała być bardzo, ale to bardzo obcisła. Maximilian ostrzegł Katherine, żeby na uroczystości w ogóle nic nie jadła i jak najmniej się poruszała.

- Bella. Miałem rację, co? - wyszeptał. - W zeszłym tygodniu uważałaś z jedzeniem, prawda?

- Prawda. Dokładnie tak, jak kazałeś. Wszystkiego po pół filiżanki. Żyłam prawie samą rybą. - Wzdrygnęła się. - Na samą myśl o rybie robi mi się niedobrze. A teraz zdejmij to ze mnie, zanim się uduszę. Czas nałożyć barwy wojenne.

Od trzech lat Katherine czesała Mona. Teraz też umyła jej włosy w umywalce, jakich używają zawodowi fryzjerzy, zainstalowanej w łazience, która spełniała również rolę gabinetu kosmetycznego, zaaplikowała odżywkę, wysuszyła suszarką, zwilżyła płynem do układania, a na końcu nakręciła na kilkadziesiąt gorących wałków. W tym czasie do pracy przystąpił Blackie.

Godzinę zajęło mu malowanie twarzy Katherine, wyrównywanie brwi i pudrowanie. W tym czasie Katherine planowała, w jaki sposób będzie spędzać czas z Tommym w Europie. Ależ to było podniecające. Pierwszy raz mieli wyjechać razem w taką podróż. Żeby tylko Tommy miał dobry humor, modliła się w duchu Katherine.

- Voila. - Blackie podniósł oparcie skórzanego fotela do pozycji siedzącej i spojrzał z podziwem na swoje dzieło. - Bomba, kwiatuszku. Wyglądasz jak marzenie.

Katherine odwróciła głowę raz w jedną, raz w drugą stronę i przyjrzała się sobie przez zmrużone powieki.

- Nieźle. Może trochę za bardzo przypominam lalkę Barbie. Przydałoby się pogrubić nieco kreskę na prawej powiece.

- Nie, nie. To cień na lewej powiece jest ciut za mocny - co powiedziawszy watką na patyczku zręcznie startł nadmiar pudru i teraz oboje krytycznie przypatrywali się idealnie owalnej twarzy, subtelnie pocieniowanej kilkunastoma różnymi pudrami i farbami.

- Eleonora Norman zzielenieje z zazdrości - stwierdził Blackie wyraźnie z siebie zadowolony. - Wyglądasz tak apetycznie, że chciałoby się ciebie zjeść. Mam nadzieję, że dostaniesz tę nagrodę.

- Dzięki, Blackie, ale ja zupełnie na to nie liczę. Eleonora jest znacznie bardziej popularna ode mnie. Poza tym w naszym serialu pojawiły się dwie nowe twarze, które telewidzom się bardzo spodobały. - Wzruszyła ramionami. - Do mojej twarzy wszyscy się już przyzwyczaili, niedługo może nawet będą mnie mieli dość.

- Nigdy nie będą cię mieli dość - zapewnił ją Blackie, pakując swoje przyrządy. - Jesteś najlepsza i to nie tylko z osób występujących w tym serialu, ale niemal ze wszystkich, których pokazują w porze największej oglądalności. Nie daj się wygryźć tym małpom, kwiatuszku.

- Dobrze, nie dam się wygryźć - obiecała Katherine. - A teraz już idź sobie. Czas na fryzurę. - Rzuciła okiem na zegarek. - O Boże, Tony i Kingsley będą tu za czterdzieści minut. Dziś za żadne skarby nie wolno nam się spóźnić.

O niecały kilometr dalej Eleonora Norman poddawała się podobnym zabiegom. Gdy charakteryzator skończył malować jej twarz, Eleonora zażądała doklejenia trzeciej pary sztucznych rzęs. Charakteryzator uznał, że całkiem jej odbiło, ale co mu to szkodziło? Za odmładzanie tych twarzy o dziesięć, piętnaście lat dobrze mu płacono, a w niedziele stawka była szczególnie wysoka.

Craig, ulubiony fryzjer Eleonory, zaprezentował jej wielką, natapirowaną blond perukę.

- Sądysz, że to wystarczy? - spytała niespokojnie.

- Musi wystarczyć - stwierdził, delikatnie obracając perukę, która przypominała wate cukrową. Zmarszczył swoje pomalowane brwi. - Nie może być już większa, króliczku, bo Doiły Parton wydrapałaby ci twoje piękne oczęta. - Potrząsnął swoim sztucznym, kasztanowym końskim ogonem, przypiętym od wewnątrz do słomkowego kapelusza, pod którym ukrywał łysinę. - A teraz hollywoodzki lifting - oznajmił z uśmiechem.

- Nie, tylko nie to - zaprotestowała Eleonora, udając, że chichocze.

- Chcemy czy nie chcemy wyglądać na dwadzieścia trzy lata, kiedy kierują na nas te wielkie bezlitosne kamery filmowe? - spytał. - Czego się nie robi dla urody, malutka?

Właśnie dla urody musimy podciągnąć trochę te policzki. - Oddzielił z czoła Eleonory wąskie pasmo włosów, pociągnął je do tyłu z całej siły i zaczął splatać w mały warkoczyk.

- Auu, to boli! - krzyknęła. - Auu, auu, wystarczy.

- Zamknij się. - Craig wyraźnie dobrze się bawił. - Zaplotę ci jeszcze dziewięć takich warkoczyków, króliczku. Rozluźnij się więc i przyzwyczaj do bólu, a Craig osłodzi ci go kilkoma smakowitymi ploteczkami.

Eleonora zacisnęła powieki i zaczęła słuchać. Craig raczył ją najbardziej podniecającymi plotkami od Hollywood po Beverly Hills. Znał tam wszystkich i świetnie się orientował w ich życiu prywatnym; był to jeden z powodów, że panie tak go lubiły - i pozwalały sobie liczyć po tysiąc dolarów za wizytę.

Przyjechał Maximilian z suknią Eleonory. Czekał na swoją kolej, oglądał jej liczne fotografie na ścianach. Bez wątplenia Eleonora była uroczym dzieckiem, śliczną małą dziewczynką. Niestety, zarówno wiek, jak i uporczywe wystawianie się na słońce zostawiło okrutne piętno na jej urodzie - delikatna mleczna skóra pokryła się siateczką drobnych zmarszczek. Przygotowanie Eleonory do wystąpienia przed kamerą pochłaniało dwa razy więcej czasu niż Katherine.

Eleonora nie była głupia i nie skąpiła czasu na charakteryzację. Swoich charakteryzatorów psuła prezentami, zabierała ze sobą w egzotyczne podróże, hojnie wynagradzała im ich wierność. Fryzjer Craig był prezentem, który sprawiała sobie tylko z okazji specjalnych występów, wydarzeń tej rangi, co doroczne rozdanie nagród telewizyjnych. Co dzień czesał ją Kris, cichy, skromny młodzieniec, który dokonywał istnych cudów z perukami. Tego dnia stał z boku i patrzył, jak Craig pastwił się nad Eleonorą, szarpał ją za włosy, szczotkował je i opowiadał plotki. Wszelako to Krisowi Eleonora powierzyła czarną szkatułkę czarodzieja i to on właśnie miał przez cały wieczór pilnować bacznie fryzury i makijażu swojej pani. Eleonora budziła podziw matron z Beverly Hills, że na przyjęciu nie zagląda do lusterka, nie sprawdza włosów ani makijażu. Nie domyślały się, że zawsze gdzieś blisko czuwał Kris, gotów w każdej chwili wkroczyć i dokonać niezbędnych poprawek.

Przygotowania Eleonory śledził z drugiego pokoju przez otwarte drzwi jej stały kochanek, Dirk, tajemniczy Skandynaw o śnieżnobiałych włosach i czerstwej cerze. Dirk służył Eleonorze na różne sposoby. Zamknięty w sobie, odpowiadał wyłącznie monosylabami. Na swój ponury sposób był bardzo atrakcyjny, ale kobiety ciągnęły losy, żeby nie siedzieć obok niego. Eleonora - głosiła plotka - poznała go przez ogłoszenie matrymonialne. Mówiono też, że miał skłonność do szczupłych Murzynów i transwestytów.

Ale ponieważ Dirk nie rozmawiał z nikim poza Eleonorą, nikt nie znał prawdy o jego prywatnym życiu.

Za każdym razem, gdy na planie Eleonorę poniosły nerwy, a zdarzało się to o wiele za często, Dirk był jedyną osobą, która potrafiła ją uspokoić, z czego wynikał wniosek, że cokolwiek robili razem między różowymi satynowymi prześcieradłami, ją to w pełni satysfakcjonowało. Dirk, Kris oraz Nina, pokojówka, zarazem kosmetyczka, tworzyli tajemniczy triumwirat, który wystarczał Eleonorze za całe życie.

Opalone bliźniacze pagórki, dzieło utalentowanego doktora Sylvestra Browna, wznosiły się ponętnie nad głębokim dekoltem, sięgając prawie jej brody. Szczupłe, obciążone jedwabnymi pończochami nogi wзираły nieśmiało spod obcisłej spódnicy rozciętej niemal do pośladków.

Eleonora była specjalistką nie tylko od efektownych strojów, lecz również od płaczu na zawołanie. W „Rodzinie Skeffingtonów” specjalnie pisano sceny, w których mogła uruchomić swoje słynne fontanny. Była najlepszą płaczką w historii telewizji. Na słowo „Akcja” jej wargi zaczynały drżeć, nos czerwienieć, oczy mrugać. Otwierała usta i po chwili jej oczy napełniały się łzami, a na twarzy rozlewał się bezbrzeżny smutek, na widok którego widz zaczynał szukać w kieszeni chusteczki. Ale ledwo reżyser krzyknął „Stop”, łzy Eleonory wysychały, ona zaś przybierała obojętną minę.

- I jak? - zawołała Eleonora do Dirka. - Co o tym sądzisz? Jak wyglądam? - Obejrzała się ze wszystkich stron w trójskrzydłowym lustrze. Widać było, że podoba się sobie.

- Jesteś piękna. - Dirk powoli wszedł do pokoju. W jego oczach malowało się pożądanie. - Nieprawdopodobnie piękna.

- Dzięki. Twoje słowa wiele dla mnie znaczą, kochanie. Ojej, tak się denerwuję, że chyba zacznę ogryzać skórki. - Przyklepała bujną fryzurę, przygryzła uwydatnioną za pomocą kolagenu dolną wargę.

- Nie denerwuj się, mój aniele. Czy chcesz, żebym cię uspokoił? - spytał cicho.

- Chyba... tak - odparła, ciężko oddychając. - Ale, Dirk, proszę cię, uważaj, żebyś czegoś nie zepsuł.

- Niczego nie zepsuję - obiecał, stając przed nią.

Ostrożnie, jak gdyby wyjmował z gniazda cenne jajo, wyłuskał z sukni najpierw jedną jej pierś, potem drugą. Jedną objął dłonią, drugą zaczął zrećźnie pieścić wargami. Eleonora odrzuciła głowę, uważając jednak, żeby nie przekrzywić masywnej peruki, i zaczęła wydawać ciche jęki. Dłoń Dirka powędrowała do rozcięcia jej spódnicy, gdzie odnalazła nagie - jeśli nie liczyć podwiązek podtrzymujących pończochy - brązowe uda. Palce Dirka zaczęły szybko

pracować. Robił to już wiele razy i doskonale wiedział, w jaki sposób doprowadzić ją do zaspokojenia. Tym razem udało mu się to rekordowo prędko, nawet ku zdziwieniu samej Eleonory. Nie minęła bowiem minuta, a jej plecy wygięły się, z ust zaś wyrwał się cichy krzyk, sygnalizujący orgazm. Dirk ostrożnie włożył na miejsce jej wymodelowane przez lekarza piersi.

- Czujesz się lepiej? - spytał, wycierając palce w chusteczkę higieniczną.

Zauważył, jak jej twarz zmarkotniała, gdy nie znalazła wybrzuszenia pod jego spodniami.

- Teraz nie ma na to czasu, kochanie - rzekł i sięgnął po jej błędzącą rękę, po czym ją pocałował. - Później, jak zwyciężysz. Gotowa?

- Na wszystko - uśmiechnęła się Eleonora.

Uroczystość zapowiadała się na najbardziej szykowną ze wszystkich ceremonii wręczania nagród w Hollywood. Sala była wypełniona po brzegi młodymi gwiazdeczkami ubranymi w suknie wycięte do pępka, nieszczercze uśmiechniętymi agentami, żonami słynnych gwiazdorów rezydujących w Beverly Hills, w sukniach z koralików po dwadzieścia tysięcy dolarów i prawdziwych klejnotach wartości dwóch milionów dolarów; fotoreporterami; kamerami telewizyjnymi.

Kiedy Katherine wysiadła z długiej białej limuzyny, ukazując tłumowi zebranemu w Bleachers swoją niesłychaną kreację, która wydawała się pajęczyną oblepiającą jej nagie ciało, rozległy się gromkie okrzyki.

- Kocham cię, Georginko, moja brzoskwinko - wrzasnął Darren, najbardziej oddany wielbiciel Katherine, który nie przepuścił żadnego jej publicznego wystąpienia w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od Los Angeles.

Nie zważając na policjantów, rzucił się do przodu, żeby ofiarować jej piękną żółtą różę. Odkąd Katherine nie opatrnie zwierzyła się jakiemuś dziennikarzowi, że lubi żółte róże, do studia i do domu wciąż je dostarczano, przy czym większość z nich pochodziła od Darrena. I choć Katherine nie mogła już patrzeć na żółte róże, powąchała kwiat z udawaną przyjemnością, po czym zamachnęła się z wdziękiem i rzuciła go w wiwatujący tłum.

Falanga policjantów pociła się, usiłując utrzymać drapieżny tłum za czerwonym jedwabnym sznurem - z dala od zera. Kiedy Katherine przystanąła, żeby odpowiedzieć na kilka pytań, niewiele brakowało, żeby dziennikarze wcisnęli jej do gardła mikrofony do złudzenia przypominające głowy węzów w potrzasku.

- Kitty, cieszysz się z nominacji?

- Co to naprawdę dla ciebie znaczy?

Kłingsley Warwick, rzecznik prasowy Katherine, purpurowy na twarzy, odgonił gestem ręki dziennikarzy i pchnął Katherine do przodu. Przebiwszy się przez chmurę nieoficjalnych paparazzich i rozmaitych amatorów-fotografów, potem przez zwarty tłum wielbicieli, a na końcu przez morze wysłanników rozmaitych stacji telewizyjnych, którzy pchali na nią kamery, Katherine stanęła przed zbitą masą fotoreporterów.

Zgromadziło się tu przeszło dwieście pięćdziesiąt mężczyzn i kobiet reprezentujących praktycznie każde pismo na świecie. Katherine musiała teraz przyjmować różne pozy, jednocześnie posuwając się do przodu, dopóki każda z tych osób nie zrobiła zadowolającej liczby zdjęć. W tej walce o najlepsze ujęcie Katherine i Tony'ego niektórzy z mniej profesjonalnych fotoreporterów tracili zimną krew, popychali innych, obrzucali ich wyzwiskami.

Jutro w rubrykach towarzyskich napiszą o nas jako o „parze” - pomyślała Katherine. Ale co tam? Tony był przystojny i miły. To, że był gejem, mogło się niekorzystnie odbić na jego karierze w telewizji, w której „robił” za symbol seksu. Dlatego bardzo chętnie pokazywał się z najwspanialszymi kobietami w okolicy. Katherine też było to na rękę, zważywszy, że nie miała swojego mężczyzny. Z Tonym przynajmniej czuła się bezpieczna; nie groziło jej, że kiedy po uroczystości odwiezie ją do domu, będzie się z nią szarpał w samochodzie, napierał agresywnie na jej udo twardym penisem czy też wprasał się zalotnym szeptem na „kieliszeczek czegoś przed snem”.

Ledwo Katherine zdążyła pomyśleć, że obfotografowywanie jej dobiegło końca, usłyszała, że tłum zaczął wiwatować głośniejsz niż dotąd. Kingsley prędko odciągnął ją na bok.

- Eleonora przyjechała. Media chcą mieć was razem - syknął.

- Muszę? - szepnęła.

- Boję się, że tak. W przeciwnym razie w jutrzejszej prasie ukaże się mnóstwo głupich domysłów.

- Dobra, szefie, gdzie jest ta cudowna diwa?

- Tylko patrzeć, jak przyleci - rzekł Kingsley sarkastycznie i rzeczywiście Eleonora pojawiła się jak na skinienie czarodziejskiej różdżki.

- Dłoga Kitty! - wykrzyknęła z przesadnym angielskim akcentem, którego jakoś nie udawało się jej pozbyć mimo trzydziestu pięciu lat spędzonych w Ameryce. - Wyglądasz po płostu bosko, dłoga Kitty.

- Ty też, kochana. Jesteś piękna jak marzenie.

Ucałowały się w powietrzu, dwadzieścia centymetrów od swoich napacykowanych policzków, jednocześnie bacznie się lustrując. Fotoreporterzy wprost oszaleli ze szczęścia. Rzadka to gratka sfotografować razem dwie najpopularniejsze aktorki telewizyjne - to zdjęcie na pewno zamieści przynajmniej osiem magazynów ilustrowanych w Europie.

Te dwie różniły się od siebie jak dzień i noc, słodycz i gorzycz, biel i czern. Katherine o bladej połyskującej cerze, kruczoczarnych włosach, karminowych wargach wydawała się spętana czarnymi koronkami, Eleonora, smągła, popielata blondynka, idąc mieniła się wszystkimi kolorami tęczy dzięki swoim opalizującym cekinom, po ziemi zaś wlokła kremową etolę z lisów.

Na ten widok obrońcy zwierząt dali głośny wyraz swojemu oburzeniu, ale Eleonora, nie zrażona ich psykaniem, promieniowała w błyskach tysięcy fleszy. Wreszcie, ku ogromnemu niezadowoleniu fotoreporterów, Kingsley i rzecznik prasowy Eleonory rozdzielili swoje klientki.

- Boże, ale koszmar! - mruknęła Katherine do Tony'ego, opadając na krzesło przy okrągłym stole w sali balowej hotelu Beverly Hilton, gdzie siedziała już reszta ich zespołu.

Albert spojrział na zegarek.

- Spóźniłaś się - syknął. - Uroczystość zaczyna się za trzy minuty.

- No to mnie zabij, Albie. Eleonora weszła jeszcze później - rzekła Katherine sięgając po papierosa. Zapaliła, ignorując jego niezadowoloną minę.

Ze słodkim uśmiechem puściła kółko dymu w jego kierunku. Prychnął i dosłownie zadarł nosa.

- Że też jeszcze nie wprowadzili całkowitego zakazu palenia papierosów - warknął.

- Ależ, Albie, przecież ty też lubisz sobie zapalić. Widziałam twoje fotosy z lat czterdziestych. Na każdym z nich figurujesz z papierosem.

Tony uśmiechnął się i też zapalił.

- Prawda, jaka z nas szczęśliwa rodzinka? - szepnęła mu do ucha Katherine. - Bardzo się kochamy, co?

Przy sąsiednim stoliku gawędzili Mandy i Steven, ale na widok Katherine Steven wstał, aby się przywitać.

- Jeśli jeszcze choć trochę wypiękniesz, mała, to zabronią na ciebie patrzeć.

- A to z czego wzięłeś? - Oczy Katherine promieniowały.

Dobrze się dziś bawiła, adrenalina z niej tryskała. Przygotowania do rozpoczęcia ceremonii ciągnęły się w nieskończoność, ale to jej nie przeszkadzało, bo nie dość że

uwielbiała przyjęcia, to na dodatek sama najlepiej wiedziała, jakim trudnym zadaniem jest zabawianie gości.

- To, pani, sam wymyśliłem. Oryginalny bon mot, specjalnie dla ciebie.

Katherine uśmiechnęła się. Dlaczego na swojej drodze nie spotkała kogoś takiego jak Steven, który był normalnym, zwykłym, miłym, zabawnym, przystojnym facetem i w dodatku lubił z siebie żartować? Rzuciła okiem na Mandy, pochłoniętą rozmową z Maximilianem. Mandy najwyraźniej czuła się tak pewna swojego męża, że do głowy jej nie przyszło być zazdrosną o jego zawodowe znajomości z kobietami.

Katherine oddała się zwykłym przekomarzaniom ze Stevenem, nie mając pojęcia, że figlarniej minie na jej pięknej cygańskiej twarzy przyglądał się bacznie siedzący o cztery stoliki dalej niejaki Jean-Claude Valmer.

- Nigdy w życiu nie widziałem takich pięknych warg - powiedział Valmer do swojego towarzysza, drobnego człowieczka o twarzy przywodzącej na myśl dobroduszną ropuchę.

- Masz na myśli wargi Kitty Bennet? Powiedz jej o tym. Czy może nie masz śmiałości?

- Kto nie ma śmiałości - moi?

Czarne brwi w kształcie półksiężyców uniosły się w wyrazie zdziwienia nad oczyma tak zielonymi, że w porównaniu z nimi oczy Katherine były bezbarwne. - Zresztą już jej to powiedziałem... tylko ona nie wie, że to ja.

Z kieszeni fraka wyciągnął czarny notes oprawiony w skórę aligatora i obramowany złotem. Złotym wiecznym piórem od Cartiera, napelnionym czarnym atramentem, napisał: „Ma pani najpiękniejsze usta na świecie”.

W czasie gdy Billy Crystal rozgrzewał się przed występem, kelner podał Katherine liścik, a na jej pytające spojrzenie wskazał ręką stół, przy którym siedział wpatrzony w nią mężczyzna.

Katherine spojrzała i serce jej zabiło. Nawet z tej odległości było widać, że ten niesłychanie przystojny mężczyzna miał wprost niewiarygodne oczy. On tymczasem unosił kieliszek szampana w milczącym toaście. Katherine odpowiedziała tym samym. Dlaczego nie, pomyślała. Ciekawe, gdzie się do tej pory podziewał? Tacy przystojniacy nie spadali z drzew w tym zakątku Hollywood. Nagle zasłonili go meksykańscy kelnerzy, którzy z brzękiem naczyń podawali pierwsze danie, a kiedy odeszli, okazało się, że tajemniczy mężczyzna zniknął. Katherine poczuła się bardzo zawiedziona.

„Ma pani najpiękniejsze usta na świecie”, przeczytała jeszcze raz.

Uśmiechnęła się, po czym schowała karteczkę do wysadzanej drogimi kamieniami minaudiere od Vidith Lieber.

„Panu, panie Wspaniały, też nic nie brakuje” - pomyślała.

Zespół „Rodziny Skeffingtonów” -wiedział już, że został laureatem tegorocznej nagrody. Decyzją Gabe’a pożądaną przez wszystkich złotą statuetkę miał w imieniu całej grupy przyjąć Albert Amory. Z radością się na to zgodzili, zwłaszcza Katherine, która nie znosiła wygłaszania jakichkolwiek mów.

Na podium wzywano po kolei zdobywców innych nagród. W zależności od stopnia odurzenia alkoholem i narkotykami laureaci biegli jak oszaleli, szli powoli i z godnością lub się potykali. „Rodzina Skeffingtonów” często zdobywała nagrody i również teraz, gdy szli gęsiego za Amorym na scenę, widownia zaczęła wiwatować na ich cześć.

Od tej chwili wszystko potoczyło się inaczej niż powinno. Blondyneczka, która wręczała nagrodę, zignorowała idących przodem Alberta Amoryego i Eleonorę Norman i drżącym głosem powiedziała:

- Gratuluję, pani Bennet, zasłużona nagroda - po czym wręczyła złotą statuetkę Katherine.

Katherine, zaskoczona pomyłką dziewczyny, na chwilę zaniemówiła, ale jej obycie ze sceną wzięło prędko górę i nachyliwszy się do mikrofonu, powiedziała szczerze:

- W imieniu całej obsady aktorskiej dziękuję za to wielkie wyróżnienie. A teraz przekazuję statuetkę naszemu nieustraszonemu wodzowi.

Wyciągnęła figurynkę w kierunku Alberta, tymczasem on, potrząsając głową, odmówił jej przyjęcia. Po czym, zapominając o savoir-faire, burknął do widowni:

- Nie mam nic do dodania. Moja poprzedniczka już wszystko powiedziała.

- Proszę cię, Albercie, weź statuetkę. To ty miałeś ją odebrać. - Katherine niemal biegła za drażliwym starcem, który zszedł prędko ze sceny i skierował się do wyjścia na korytarz. Nie odwracając się, syknął:

- Ani mi się śni. Tak bardzo jej chciałaś, to sobie ją zatrzymaj.

- Zauważyłam, jak się na nią rzuciłaś - rzekła Eleonora. - Jak ty lubisz się wszędzie wpychać, Katherine.

Tony Bertolini ścisnął jej dłoń i szepnął:

- Nie pozwól im się obrażać, dziecko. Ja też tam byłem i wszystko widziałem. Wyglądasz na zdenerwowaną... uspokój się. Uspokój się.

- Jak się mogę uspokoić, Tony? Widziałeś, jak to było? Ta mała idiotka po prostu wepchnęła mi tę nagrodę. Co niby miałam zrobić, rzucić statuetkę na podłogę?

- Postąpiłaś, jak należało, dziecko. Postąpiłaś, jak należało - uspokajał ją. - Teraz wyprostuj się i zapomnij już o tym. Mamy spotkanie z prasą, więc cycki do przodu i niech te paciorki na twojej sukience błyszczą. To wspaniała chwila, dziecko.

W dusznym hallu tłoczyły się setki fotografów i tyłuż dziennikarzy. Katherine podała nagrodę dziewczynie, która miała prowadzić konferencję prasową, tej zaś wreszcie udało się nakłonić Amory'ego do przyjęcia statuetki. Tymczasem reszta obsady aktorskiej „Rodziny Skeffingtonów” wdzięczyła się do obiektywów.

- Hej, tutaj!

- Halo, proszę spojrzeć w tę stronę. Uśmiechnij się, Kitty, uśmiechnij się, Albert.

- Dziękuję, panie i panowie, dziękuję wam bardzo. Dziękuję, to już koniec.

Załatwione, skończone. Katherine wiele by za to dała, żeby uciec z tego domu wariatów.

Ale jeszcze nie mogła. Bo chociaż była niemal pewna, że na żadną nagrodę nie ma najmniejszej szansy, musiała czekać, aż ogłoszą nazwisko laureata Nagrody Publiczności i tytułu Najpopularniejszej Aktorki Roku. Należało usiąść i szczerzyć zęby.

Mówiono, że aktorka, która zdobędzie tę nagrodę, będzie w pierwszej kolejności rozpatrywana do roli Emmy Hamilton w nowym miniseriale planowanym przez sieć ABN. Agent Katherine wierzył w jej szansę, jak również w to, że ABN jest nią poważnie zainteresowane. Ale z ostateczną decyzją obsadzenia roli Emmy Hamilton czekano na ogłoszenie werdyktu.

W końcu przyszedł na to czas i Don Johnson, opalony jak Cygan, w kowbojskim kapeluszu, odczytał pięć nominacji do tytułu Najlepszej Aktorki Roku.

Eleonora wyjęła puderniczkę, zlizwała szminkę z zębów i nałożyła na wargi kolejną warstwę błyszczka. Wciągnęła do płuc powietrze. Najmłodsza z nominowanych aktorek, Patty O'Rourke zaciągnęła się skrzętem i zachichotała porozumiewawczo do swojego kumpla, jednego z tych wesołych młodzieńców, którzy nie uznają innych ubrań poza džinsami, bawełnianymi koszulkami, skórzanymi kurtkami i przepaskami z czerwonych bandan na przetłuszczonych długich kędziarach. Patty włosy miała splecione w mnóstwo warkoczyków, była bez makijażu, w białej satynowej koszulce, pod którą zaznaczały się jej sutki, i ciężkich czarnych butach od Doca Martena.

Donna Mills miała zadowoloną minę. Wiedziała, że nie zdobędzie nagrody, ponieważ dostała ją w poprzednim roku, miło jednak było mieć nominację, zwłaszcza w towarzystwie tytułu wybitnych aktorek. Uznana aktorka nowojorska, Jessica Brandon, upiła mały łyk wina i uśmiechnęła się do Harolda Brandona, który był jej mężem od pięćdziesięciu lat.

- Powodzenia - życzył jej bezgłośnie.
- Nie mam szans - szepnęła.
- Ale i tak się dobrze bawimy, prawda?

Katherine uchwyciła spojrzenie Jean-Claudea Valmera, od którego teraz dzieliły ją już tylko trzy stoliki. Znowu uniósł w jej stronę kieliszek, ona zaś poczuła, że rumieni się jak nastolatka.

- A nagrodę otrzymuje...

Katherine wstrzymała oddech.

- ... Eleonora Norman!

Katherine cicho syknęła.

- Nie możesz zgarniać wszystkich nagród - rzekł Tony, gdy Eleonora chwiejnym krokiem udała się na podium, żeby wygłosić siedmiominutową mowę.

- Nieważne. Nie dziś, to jutro.

Zdobycie tej nagrody byłoby fantastycznym akcentem w jej karierze. Teraz mogła się pożegnać z rolą Emmy Hamilton. Mimo że noc była ciepła, Katherine poczuła dreszcze. Wiatry zapowiadały zmianę, ale chyba nie na lepsze.

Po wręczeniu nagrody Najlepszeemu Aktorowi Roku nikt już nie czekał na gąbczasty suflet czekoladowy, letnią kawę lub stęchłe czekoladki miętowe. Zgarnawszy ze stołów kompozycje z goździków, farbowanych turkusowych stokrotek i słaniających się na łydych czerwonych róż, bogacze i sławy Hollywood ustawiali się w kolejce do wyjścia, choć Billy Crystal był dopiero w połowie przemówienia kończącego uroczystość. Opuszczali to miejsce w takim pośpiechu, jak gdyby uciekali z Alcatraz. Potrącana, szarpana przez wielbicieli Katherine rozglądała się za cudownym blondynem o zielonych oczach. Ale zniknął bez śladu.

- Takie już mam szczęście - powiedziała ponuro do Tony'ego, gdy szczęśliwie znaleźli się w limuzynie. - Pan Wspaniały po prostu rozplynał się w powietrzu.

- Pewnie i tak jest gejem - odparł wesoło Tony. - W tym mieście prawie wszyscy przystojni faceci to geje. Jeśli nie jest gejem, to kelnerem albo aktorem.

Katherine zmarszczyła nos.

- Nie zamierzam się wiązać z żadnym aktorem. Co to, to nie. Aktorzy nie potrafią kochać, bo przyzwyczajeni są, że to oni są kochani. Przez widzów, wielbicieli. W ogóle wszystkich.

- Zgadzam się, że aktorzy są zwykle egomaniakami, którzy nie potrafią odwzajemnić uczuć. Ale jak to jest z aktorkami, co?

- Zgoda, wszyscy mamy tę skazę. Wszyscy kochamy oklaski, choć nie wszyscy się do tego przyznajemy. Marlon ma rację mówiąc, że aktorstwo to głupi zawód.

- Brando może sobie mówić, co chce, ale kiedyś sam to kochał. Tak czy owak, Kitty, jeszcze tylko dwa tygodnie tej bzdury, a potem pojedziesz do cudownego Paryża. Na pewno będziesz się świetnie bawiła.

- Liczę na to, kochanie. Jeszcze jak na to liczę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pierwszy telefon, jaki następnego ranka Katherine odebrała w studiu, był oczywiście od jej matki, która składała jej kondolencje z powodu przegrania z tą „podrabianą Angielką”, pierwszą zaś rzeczą, jaką zobaczyła, były balony dyndające nad tortem w kształcie otrzymanej przez Eleonorę poprzedniego dnia statuetki, której dłonie złożone były jak do oklasków. Jakże nie miała być w takim momencie zazdrosna?

Potem nastąpiło fotografowanie - najpierw Eleonory z resztą aktorów, żeby uczcić sukces serialu, potem głów nie Eleonory dla uczczenia jej osobistego triumfu. Z kobiety, którą robotnicy na planie przezywali „Żelazną Lady” i czmychali na jej widok, przedzierzgnęła się nagle w dobroduszną, zacną Królową Matkę, przyjaciółkę wszystkich ludzi na Ziemi.

Była na fali i dobrze o tym wiedziała, w porze lunchu zjawił się jej agent i obwieścił:

- Zrobione, kochana, mamy to, co chcieliśmy. Zagrasz Emmę Hamilton. Jeszcze raz ci gratuluję nagrody!

Katherine natomiast w porze lunchu dostawała głównie niedobre wiadomości. Męczyła właśnie ryżowe ciasteczka i pierś indyka w swojej iście spartańskiej garderobie, powtarzając z Brendą kwestię, gdy zadzwonił telefon:

- Mamuś, czy to ty, mamuś? - usłyszała w słuchawce zdenerwowany głos Tommy'ego.

- Co się stało, kochanie?

Chłopiec wybuchnął rozdzierającym szlochem. Katherine natężyła słuch, starając się zrozumieć, co mówił.

- Mamuś, chodzi o tatę. Przed chwilą rozmawiałem z nim przez telefon... on jest... jest...

- Tommy, kochanie, proszę cię, przestań płakać i po wiedz mi, co się stało.

- Chodzi o tatę... powiedział... że... mu powiedzieli...

- Co mu powiedzieli? - zaniepokoiła się Katherine i spojrzała na zegarek. - Tommy, proszę cię...

Była za pięć druga. Boże, dlaczego wszystkie nieszczęścia musiały spadać na nią i na jej rodzinę zawsze przy końcu przerwy na lunch, kiedy za chwilę miało się odezwać znienawidzone przez nią stukanie do drzwi?

- Tommy, powiedz mi, co cię wytrąciło z równowagi, synku?

- Tata... jest... chory... na... raka - wyszlochał.

Słuchawka w ręce Katherine zadrżała.

- Na raka? O Boże, kochanie, jesteś tego pewny?

- Tak. - Szlochanie trochę zelżało, jak gdyby fakt, że podzielił się z nią swoim nieszczęściem, uczynił je bar dziej znośnym. - On też jest pewny.

Brendą uniosła głowę znad stosu korespondencji i zmartwiała, widząc pobladłą twarz Katherine.

- Opowiedz mi wszystko od początku, kochanie.

- Szykowałem się właśnie do szkoły, kiedy tata zadzwonił. Powiedział, że musi się ze mną zobaczyć w ważnej sprawie. Zaproponowałem, że może porozmawiamy innym razem, bo się śpieszę do szkoły, a on na to, że ta sprawa jest ważniejsza od szkoły. Wtedy zadzwoniłem do ciebie, ale ciebie nie było - zakończył oskarżycielskim tonem.

- Pewnie akurat byłam na planie, synku. - Do diabła, dlaczego zawsze się tak działo, że była zajęta, kiedy Tommy jej potrzebował?

- Co miałem robić? Pojechałem do niego. Kurczę, ale tam burdel, widziałaś jego mieszkanie?

- Widziałam. Wiem, kochanie, że trudno ci o tym mówić, ale staraj się nie odbiegać od tematu.

- Tata siedział w fotelu i chyba był trochę ubzdryngolony. Wiesz, czy miał takie szkliste.

- Tak, znam to - przytaknęła smutno.

- Posadził mnie, dał coca-colę i powiedział, że był dziś u lekarza i że ten lekarz mu powiedział, że ma nowotwór.

- Nowotwór czego?

- Pojęcia nie mam - rzekł Tommy obojętnym tonem dorastającego chłopaka. - Nie powiedział. Był zaprawiony i chyba palił trawę. Co zrobimy, mamus'? On nie ma forsy, a na leczenie potrzeba kupę szmalu. Mówi, że powinien poddać się operacji. Taka operacja miałaby kosztować... kurczę, nie pamiętam... ale chyba z kilka tysięcy dolców.

- Nie wiesz, czy tata ma ubezpieczenie? - spytała Katherine, chociaż doskonale znała odpowiedź na to pytanie.

W tej chwili rozległo się zniechęcone stukanie do drzwi i głos:

- Kitty, za pięć minut na planie.

- Dobra, dobra! - odrzyknęła, a do syna powiedziała: - Posłuchaj mnie uważnie, synku. Nie chcę, żebyś się zadręczał tą sprawą. Po pierwsze, jak pewnie wiesz, potrafią już leczyć nowotwory.

- Potrafią, mamuś? Jesteś tego pewna?

- Jasne. - Siłiła się na optymizm, choć było jej daleko do niego. W przypadku Johnny'ego tylko jeden rak wchodził w grę, mianowicie rak płuc. Trudno się spodziewać czego innego przy tej ilości papierosów, jaką wypalił przez ostatnie dwadzieścia lat. Kiedy rozpoczęła pracę w „Rodzinie Skeffingtonów”, jego dzienna dawka osiągnęła - w co trudno dać wiarę - trzy paczki. Zwracanie mu uwagi nie odnosiło żadnego skutku, dała, więc sobie spokój. W końcu to było jego życie. W tej sytuacji chyba niewiele mu go pozostało, ale pomoc mu musiała, choćby ze względu na Tommy'ego. - Nie martw się, synku. Teraz jest druga. Czy ty przypadkiem nie grasz dziś w baseball?

- Gram.

- No to idź na trening. Nie szkodzi, że opuściłeś lekcje. Gdyby nauczyciele o coś pytali, powiedz im prawdę. Powiedz, że twój tata zachorował. A ja zaraz do niego zadzwonię i zrobię, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

- Pomożesz mi, mamuś?

- Jasne, wiesz, że go tak nie zostawię.

- Ale powiedz mi, mamuś - w jego głosie znowu zabrzmiał niepokój - czy tata umrze?

- Nie, nie umrze.

- Gdyby jednak umarł, to obiecuj mi, że chociaż tobie się nic nie stanie - zażądał. - Obiecujesz?

- Nie martw się, kochanie, ja jestem zdrowa jak rydz - odpowiedziała siłąc się na żart.

Rozległo się kolejne stukanie do drzwi.

- Na plan, Katherine! Natychmiast! - Tym razem był to menedżer produkcji. - Ruszże łaskawie tyłkiem. Czekaemy na ciebie!

- Och, odwal się - mruknęła i nagle poczuła, że za chwilę straci panowanie nad sobą. - Ben, ja mam kłopoty rodzinne!

- Co ty powiesz - rzekł Benny ironicznie. - Katherine, ty ciągle masz jakieś kłopoty rodzinne. Czemu nie po wiesz tego Gabe'owi? Słuchaj, dziś musimy jeszcze nagrać osiem minut akcji. Czekaemy tylko na ciebie.

- Dobra, już idę! - krzyknęła. A Tommy'emu cicho obiecała: - Nic mi się nie stanie, synku.

- Fajnie, mamuś. Wrócisz dziś do domu na obiad? - Z łatwością właściwą młodym ludziom Tommy odzyskał dobry humor.

- Za nic na świecie nie przepuściłabym obiadu z tobą, synku.

Johnny patrzył tępo na pokrytą żółtymi plamami, odlepiającą się pod sufitem tapetę. Pod źle zamalowaną listwą mieszkała rodzina karaluchów. Johnny obserwował beznamiętnie, jak jeden po drugim ześlizgiwały się po ścianie. Wiedział, dokąd zmierzały - do dziurawej rury pod pękniętą umywalką w kącie pokoju, gdzie inna ich armia mieszkała pod zgnitymi deskami podłogi.

- E, zasrane życie - mruknął na tyle głośno, że jeden karaluch uznał za słuszne wrócić na razie do swojej kryjówki.

Johnny spojrział na komodę, gdzie stało kilka fotografii w tanich ramkach. Ramki ze srebra, które starannie rozdzielili z Kitty między siebie, dawno już trafiły do sklepu ze starymi bibelotami; zatrzymał jedynie te fotografie, które coś dla niego znaczyły. Na przykład fotografię ślubną. Jakoś nie potrafił wyrzucić tej pary pijanych szczęściem i miłością dzieciaków, przytulonych do siebie na tylnym siedzeniu kabrioletu. Byli wtedy bardzo młodzi.

- I bardzo w ciąży - mruknął cynicznie, sięgając po fotografię.

Wyrwał ją z ramki i podarł wzdłuż, wszerz i jeszcze raz na połowę, a potem rozrzucił po podłodze jak konfetti.

Była w ciąży, a jakże, ta piękna, kruczowłosa Cyganka, którą poślubił. Trudno zresztą, żeby nie była, skoro praktycznie nie wychodzili z łóżka. Byli biedni jak przysłowiowe myszy kościelne, mieszkali w norze wiele gorszej od tej tutaj i karaluchów też mieli więcej. Kitty nie rozstawała się z trutką na robaki, ale niewiele to pomagało.

Byli aktorami, ale tylko on wtedy pracował, jej natomiast wystarczyło, że prowadziła dom i cieszyła się ciążą. Był wówczas obiecującym młodym talentem, przygotowywał rolę w nowej sztuce w małym eksperymentalnym teatryku. Agent roztaczał przed nim świetlane perspektywy, nawet niektórzy krytycy wyrażali się o nim dość pochlebnie.

Ile lat miałyby teraz to dziecko? Spojrział na „Los Angeles Times” z poprzedniego dnia - szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Kitty była w ciąży w lutym sześćdziesiątego ósmego. Dwadzieścia lat. Ich dziecko miałyby teraz dwadzieścia lat. To dziecko, które zmarnowała.

Johnny zapalił pierwszego papierosa tego dnia, przystawił butelkę whisky do ust. Nigdy nie przyznała, że to była jej wina. Po prostu upadła na scenie i straciła dziecko. Tak mówiła. Protestował, kiedy w czwartym miesiącu ciąży postanowiła przyjąć rolę; odwołał się nawet do swoich praw, ale ona butnie potrząsnęła lokami i roześmiała mu się w twarz. A potem zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała:

- Jesteś taki kochany, Johnny. Słuchaj, ta praca potrwa tylko sześć tygodni. Sztuka może jest i do niczego, ale spójrzmy prawdzie w oczy, będziemy potrzebowali pieniędzy. - Wesoło poklepała się po płaskim brzuchu. - Uwierz mi, ja też bardzo chcę tego dziecka.

Wzruszył ramionami. Cóż więcej mógł zrobić? Kiedy Kitty powzięła jakiś zamiar, nie było w stanie jej od niego odwieść. W każdym razie nigdy się to nikomu nie udało. Uparła się, że zagra w tej idiotycznej sztuce, thrillerze napisanym przez jakiegoś kretyna. W dniu próby kostiumowej pośliznęła się za kulisami i złamała rękę. Producent, kolejny kretyn, nie przygotował dublerki, wobec czego Kitty na premierze wystąpiła z ręką w gipsie. Biegała po scenie, chowała się za szafami, wskakiwała do kufrów - grała kobietę napadniętą przez gangsterów we własnym domu. Sztuka była tak absurdalna, że na samo jej wspomnienie zaczynało go mdlić, podziwiał jednak dzielność Kitty. Ale w końcu stało się. Na trzeci dzień po premierze Kitty straciła równowagę, gdy z pomocą jednej ręki usiłowała wygramolić się z kufra - upadła na oczach trzystu widzów, a później tego samego wieczora zaczęła krwawić.

Odetchnął głęboko i spojrzał na inną fotografię. On, Kitty i małe Tommy. Tym razem urodziła dziecko, którego tak oboje pragnęli. Teraz Johnny zarabiał tyle pieniędzy, że Kitty swobodnie mogła rzucić pracę i siedzieć w domu. Ale nie. Nawet nie chciała o tym słyszeć. Pani Katherine Bennet zachciało się zostać prawdziwą aktorką teatralną.

- Jest tyle dobrych ról, kochanie. Chciałabym je wszystkie zagrać. Nie zależy mi na tym, żeby zostać gwiazdą. Wiem, że nigdy nie zostanę gwiazdą, nie jestem typem gwiazdy, ale póki proponują mi role, a Tommy jest na tyle mały, że mogę go zabierać ze sobą, to, czemu nie miałabym skorzystać z okazji?

No, rzeczywiście, czemu nie, pomyślał. Sam był w dobrej formie, pisano o nim w samych superlatywach, widzowie urządzali mu owacje na stojąco. Po roli Hamleta zaczęli o niego zabiegać ważni agenci, przypominał sobie, patrząc jak zauroczony na fotografię trzydziestoletniego przystojnego, zamyślonego aktora. Powoli przeniósł wzrok na lustro. Zobaczył ziemistą, szorstką skórę, niegdyś gęste, czarne włosy, teraz przerzedzone, przyprószone siwizną i o wiele za długie dla mężczyzny w jego wieku. Ale nie stać go było na przyzwoitego fryzjera. Nie z tego, co ta dziwka dawała mu na utrzymanie. Choć niewiele jadł, był opasty, policzki miał zapuchnięte. Nawet włosy na piersi mu posiwiwały. To, co przedtem miał małe i jędrne, stało się duże i obwisłe, a to, co było duże i jędrne, zmalało i sflaczało. Objął dłonią genitalia. Te też były już tylko wspomnieniem. Trudno uwierzyć, że kiedyś dla Kitty jędrniały praktycznie każdego ranka. A jeśli nie dla Kitty, bo nie było jej akurat pod ręką, to dla innych ślicznych, młodych aktorek gotowych wyświadczyć mu tę przysługę. Z tym w każdym razie już koniec. Koniec.

Lekarze byli bardzo uprzejmi, ale umiarkowanie optymistyczni. Nowotwór pojawił się w płucach, nie zdążył się jednak jeszcze rozprzestrzenić. W tej sytuacji mogli operować. Oczywiście, za pieniądze. Musiał, więc tylko skądś wytrzasnąć dziesięć tysięcy dolarów. Zdusił papierosa i natychmiast zapalił drugiego. Wiedział, że jeśli Tommy powie matce o operacji, to ta kura znosząca złote jajka prawdopodobnie zaofiaruje mu pomoc. Sam nie chciał prosić Katherine o pieniądze, wołał, żeby dała mu je z własnej nieprzymuszonej woli.

Jak na zawołanie zadzwonił telefon.

- Cześć, Johnny. - Głos Kitty był ciepły, zatroskany. - Wiem o wszystkim od Tommy'ego. Powiedz mi, że to nieprawda.

- Niestety, prawda. - Jego głos z kolei był suchy, twardy. - Prawda jak dwa i dwa jest cztery. Myślę, że skoro wielki John Wayne się z tego nie wylizał, to moje szansę też są marne. Lekarz powiedział, że gdybym uległ wypadkowi samochodowemu i zrobiliby mi sekcję zwłok, to z punktu by poznali, że paliłem po trzy paczki dziennie. - Roześmiał się, ale dostał ataku kaszlu i czym prędzej znowu zapalił.

- Czy są w stanie ci jakoś pomóc? Czy ja mogę coś dla ciebie zrobić?

- Pewnie, że są w stanie - odparł. - Mogą mnie zoperować, ale to kosztuje.

- Ile?

- Dziesięć kawałków za samą operację. Jezu, Kitty, czuję się jak palant.

- Abstrahując od wszystkiego, Johnny, jesteś ojcem mojego syna. A dla mnie tylko on się liczy.

„A nie twoja wspaniała kariera aktorska?” - pomyślał, ale powiedział pokornie:

- Wiem, wiem, Kitty.

- Czy chciałbyś, żebym cię odwiedziła? Jadę właśnie do domu. Mogłabym wpaść na minutkę, gdybyś chciał.

- Nie chcę, żebyś oglądała mnie w takim stanie. Mogłabyś doznać szoku. - Zarechotał i znowu zaczął kaszleć.

- Słuchaj, Johnny, domagam się, żebyś się poddał tej operacji. Pokryję wszystkie koszty. Nie chodzi mi o ciebie, ale o Tommy'ego, więc nie oponuj. Po prostu prześlij mi wszystkie rachunki ze szpitala. Albo nie, prześlij je Brettowi, on prowadzi moje interesy. Adres znasz. Słuchaj, dojeżdżam właśnie do domu. Chcę dziś spędzić trochę czasu z Tommym, więc jutro do ciebie zadzwonię. Do widzenia, Johnny. Bardzo mi przykro, naprawdę. Do jutra - dodała i odłożyła słuchawkę.

- Wyobrażam sobie, jak ci przykro - mruknął, wypijając resztkę dżinu. - Już ja to sobie wyobrażam - dodał, zapalając papierosa.

Kiedy Katherine poleciała Brettowi, żeby zajął się sprawą szpitala Johnny'ego i rachunkami od jego lekarzy, ten roześmiał się szyderczo:

- Dziesięć kawalków, Kitty? A skąd, do diabła, mam wytrzasnąć tyle forsy?

- Brett, na miłość boską, przecież zarabiam prawie czterdzieści tysięcy tygodniowo.

- Tak, ale Wuj Sam zabiera z tego czterdzieści procent, twój agent dziesięć, a ja pięć.

Zostaje ci więc niecałe osiemnaście kawalków tygodniowo, które rozchodzą się na twoich adwokatów, lokajów i pokojówki, kucharkę i gospodynię, szofera i fryzjera, trenera i psychoanalityka, nie mówiąc o szkole Tommyego i...

- Dobra, Brett, wystarczy. Wiem, że nie tarzam się w forsie, ale w następnym sezonie spodziewam się wyższej stawki.

„Możesz sobie pomarzyć” - pomyślał Brett, patrząc na ostatni numer „The National Tattler”, w którym znowu używano sobie na Kitty.

- Ty tylko się zajmij sprawami Johnny'ego, Brett. Bardzo cię o to proszę - powiedziała zimno.

- No dobrze, mogę chyba wziąć kolejną pożyczkę na hipotekę - stwierdził ironicznie. - Kiedy inwestowałaś w lampy Tiffanowego, fotele w stylu art deco, stoliki do kawy z kości słoniowej, nie przyszło ci do głowy, że pieniądze nie są wieczne.

- To są moje pieniądze, zarobiłam sama każdy cent, robię, więc z nimi, co mi się żywnie podoba.

- Bardzo dobrze, Kitty, ale powinnaś trochę ograniczyć wydatki. Nie jesteś Cher ani Madonna, które zbijają rocznie kilka milionów, żyjesz z pensji, o czym, jak się wydaje, zapominasz.

- Dlatego właśnie zatrudniam ciebie. Weź kolejną pożyczkę pod dom, wszystko mi jedno. Zastaw ten parszywy dom po dach. Chcę spokojnie przepracować jeszcze te dwa tygodnie, a potem wyjechać na wakacje - mówiła coraz bardziej zdenerwowana. - I nie chcę słyszeć, że mnie na to nie stać.

- Dobra, dobra, załatwię tę pożyczkę, ty tu jesteś szefową. Przy okazji, co z Emmą Hamilton?

- Nie czytałeś? Ten kasek dostał się jaśnie Oświeconej, naszej cudownej Róży Angielskiej. - Katherine roześmiała się nieszczercze. - Cest la vie, będą inne role.

Katherine wiedziała jednak, że o inne role i dobre scenariusze wcale nie jest tak łatwo. Szukając odtwórczyni postaci z trudnym charakterem, reżyserzy zwykle uważali, że kandydatura Katherine jest zanadto oczywista, a znowu do ról kobiet delikatniejszych

zupełnie się - ich zdaniem - nie nadawała. Sytuacja była patowa, dość przygnębiająca, choć jednocześnie Katherine była świadoma tego, że w porównaniu z innymi aktorami miała dużo szczęścia.

- A tak przy okazji - rzekła beznamiętnym głosem - chciałabym, żebyś zwolnił mojego agenta.

- Co ja słyszę? Przecież ten biedak pracuje u ciebie dopiero trzy miesiące.

- Zgadza się, ale przez te trzy miesiące nie przedstawił mi ani jednej propozycji, a wiedział, że będę miała przerwę w pracy. Dlatego zrób, co ci mówię. Zwolnij go.

- Ciekawe, kogo zamierzasz wziąć na jego miejsce. Zaliczyłaś już Williama Morrisa, CAA i ICM. W tym mieście to już prawie wszystkie dobre agencje.

- Już ty coś wymyślisz, kochany - rzekła słodko Katherine. - Bierzesz pięć procent moich zarobków, to postaraj się znaleźć mi aktywniejszego agenta. Muszę urządzić sobie i synowi życie, poza tym jakoś utrzymać się na powierzchni. A to, w jaki sposób mnie ostatnio traktują, nie ułatwia mi zadania.

Tommy tak się cieszył na myśl o podróży do Europy, że zapomniał o swojej niechęci do matki. Niemal co wie czór raczyli się wspaniałymi potrawami Marii, a potem grali w różne gry. Któregoś wieczora Tommy zaproponował scrabble'a.

- Zastanawiałem się nad strategią i już wiem, jak cię ograć.

Katherine wybuchnęła śmiechem.

- Wiesz, że jestem mistrzynią scrabble'a. Ostrzegam cię, nie licz na fory.

Tommy odziedziczył po matce wolę walki. Przez całą grę szli równo. Oboje mieli mniej więcej po dwieście pięćdziesiąt punktów, kiedy Tommy'emu trafiło się „Q” i „U”. Ułożył słowo „Quiz” na polu premiowanym potrójnie i w ten sposób zapewnił sobie wygraną.

- Pierwszy raz udało mi się ciebie pokonać, mamuś! - wykrzyknął uradowany. - Jestem pewna, że nie ostatni - uśmiechnęła się. - O Boże, już wpół do dziesiątej. Dostyc tego dobrego. - Jeszcze raz spojrzała na zegarek. - Muszę się jeszcze nauczyć roli na jutro. A ty, mój synu, idziesz jutro do szkoły.

- Rozkaz, generale. - Zasalutował żartobliwie i przytulił się do niej serdecznie. Ostatni raz tak się do niej tulił, kiedy był mały. „Wyglądają razem jak brat i siostra” - pomyślała Maria, sprzątając naczynia ze stołu.

- Dziękuję ci, mamuś szepnął - za wszystko, co robisz dla taty.

Katherine potarła nosem o jego szyję.

- Do łóżka, mały, jutro sobie znowu zagramy. I radzę ci, miej się na baczności, bo zamierzam wygrać.

Wystarczyło kilka nocy nieprzerwanego snu, żeby skóra Kitty zaczęła lśnić, a ona sama nabrała ochoty na gimnastykę. Następnego dnia rozpoczęła od przebieżki po Benedict Canyon. W połowie drogi spotkała mężczyznę biegnącego w przeciwnym kierunku. Na jej widok uśmiechnął się szeroko.

- Dzień dobry! zawołał. - Nazywam się Jake Moffat. Właśnie się tu wprowadziłem.

- Dzień dobry! - odkrzyknęła Kitty. - Nazywam się Katherine Bennet.

Znała tamto nazwisko; Jake Moffat był słynnym gwiazdorem rocka z Anglii, w Ameryce jeszcze mało znanym. Tommy za nim wprost przepadał.

- To nic, że jest stary, mamuś, ale za to jest odjazdowy.

- Odjazdowy?

- No wiesz, obłądny.

- Odjazdowy. Załapałam.

Jake miał ostre białe zęby i spiczastą twarz fretki, rzadzące ciemne włosy i żylaste ciało. Kitty w najmniejszym stopniu nie czuła do niego pociągu, ale on chyba był nią zainteresowany, bo przez kolejne trzy dni ciągle, niby to przypadkiem, wpadali na siebie. W piątek wręczył jej kopertę.

- To zaproszenie na imprezę, którą urządzam jutro wieczorem wyjaśnił. - Mam nadzieję, że pani przyjdzie. Będzie wielu pani znajomych. Zapowiada się niezły ubaw. Będziemy coś oblewać.

- Tak, a co? - zainteresowała się.

Lubiła tego typu imprezy. Pomyślała, że dobrze jej zrobi trochę rozrywki.

- Podpisałem umowę z Face Records. Ponieważ ubiłem superinteres, obalimy kilka szampanów i zaszumimy ździebko.

- Wybieram się z synem na mecz Lakersów, ale potem jestem wolna.

Po meczu Tommy oświadczył, że idzie na imprezę do Todda.

- Ale nie będziesz pił, prawda? - zaniepokoiła się po matczynemu Katherine.

- Pewnie, że nie. Skończyłem z piciem. Todd zaprosił całą bandę, a zresztą to sobota, wszyscy balują. Idź do Jake'a i też się trochę zabaw.

Kiedy Kitty przyszła, zabawa rozkręciła się na całego. W eleganckim świecie Hollywoodu kręciło się mnóstwo dziewczyn, z których część była aktorkami, część zaś dziwkami bardziej lub mniej wydekoltowanymi i w mini spódniczkach, które ledwo

zasłaniały im pośladki. Na patio w stylu hiszpańskim tryskała fontanna. Jake pod szedł do Katherine i objął ją poufale. Kiedy usiłowała się uwolnić, obrócił ją w stronę fotografa obfotografującego wszystkich gości i powiedział:

- Wyszczierz zęby, Kitty.

Katherine uśmiechnęła się blado, usiłując nie okazać zirytowania, po czym wyrwała mu się i dała nura w tłum. wtedy ujrzała obrazek, który sprawił, że na chwilę serce przestało jej bić. Oto jej tajemniczy wielbiciel, ów zielonooki blondyn prowadził pogawędkę ni mniej ni więcej tylko z Eleonorą Norman. Katherine przyglądała się im zaniepokojona. Odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziła, że o ile Eleonora sprawiała wrażenie osoby bardzo zainteresowanej nieznajomym, to on odnosił się do niej uprzejmie, ale chłodno. Może jednak było to tylko złudzenie.

Jedno nie podlegało dyskusji - Eleonora ubrała się dziwacznie. Miała na sobie czarną elastyczną suknię z dekoltem do pępka i rozcięciem do ud, przez co było widać czarne koronkowe pończochy i czerwone podwiązki. Nastroszone włosy tworzyły świetlistą aureolę wokół jej głowy; ciężkie kolczyki z kryształu górskiego zahaczały o mahoniowe ramiona. Patrzyła w oczy nieznajomego, dotykając figlarnie palcem klapy jego świetnie skrojonej marynarki.

Katherine też nie mogła oderwać od niego oczu. W końcu nieznajomy chyba to poczuł, bo odwrócił głowę i ich oczy się spotkały. Wywarło to na niej piorunujące wrażenie, poczuła, że żołądek skoczył jej do gardła. Chętnie zamieniłaby z nieznajomym kilka słów, ale on ciągle rozmawiał z Eleonorą. Uniósł kieliszek, uśmiechnął się i uczynił taki gest, jak gdyby zamierzał podejść do Katherine, ale wtedy ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła głowę, żeby zobaczyć kto to, a kiedy spojrzała znowu w tamtą stronę, nieznajomy został już pochłonięty przez tłum.

To Steven stał obok i obsypywał ją komplementami, usiłując zgadnąć, co się stało, że Katherine sprawia wrażenie zamroczonej, błądzącej gdzieś myślami.

- Gdzie zgubiłeś Mandy? - spytała, wracając z trudem do rzeczywistości.

- Cały dzień przygotowywała się do maratonu ze swoim nowym trenerem, została, więc w domu, żeby odpocząć.

Słyszając gorycz w głosie przyjaciela, Katherine spojrzała na niego badawczo, lecz jego mina powiedziała jej, że nie jest to najodpowiedniejsza chwila na rozwijanie tego tematu.

- Jesteś głodna? - spytał, pokazując na stół uginający się od jedzenia.

- Umieram z głodu - odparła. - Od rana zjadłam tylko hot-doga i kubek prażonej kukurydzy.

Menu składało się z kiełbasek, smażonej cebuli, ziemniaków puree, pieczonej fasoli i śledzi wędzonych, co wszystko razem stanowiło dziwny zestaw, uważany przez niektórych mieszkańców Beverly Hills za typową angielską kolację, choć bardziej przypominał on wiejskie śniadanie.

Katherine i Steven usiedli razem, wkrótce przyłączył się do nich Jake i inni. Ich stół stał w środku kortu tenisowego, nad którym rozpięto namiot. Katherine wciąż zerknęła ku wejściu, żeby sprawdzić, czy nie pojawi się w nim nieznajomy. Ale się nie pojawiał.

Steven zabawiał zebranych przy ich stole opowiadaniem dykteryjek, Katherine jednak myślami błądziła gdzie indziej. Jej roztargnienie i tym razem zwróciło uwagę Stevena. Na kogo czekała? Kiedy w końcu zobaczył, jak jej twarz się rozjaśniła, już wiedział, kogo tak wypatrywała. Wysokiego, bardzo przystojnego blondyna. Steven poczuł ukłucie zazdrości.

Po kilku margaritach, czyli koktajlach z tequili, soku cytrynowego i likieru o smaku pomarańczowym, Katherine nabrała ochoty na taniec. Już dawno nie czuła się taka swobodna.

- Słuchaj, to przecież flamenco. Zatańczymy? - Uśmiechnęła się zalotnie i wyciągnęła nad stołem rękę do Stevena.

I tak w rytm upajającej muzyki z Los Paraquayas Katherine i Steven puścili się w dzikie tany. Wirując w objęciach Stevena, Katherine poczuła, że jest bardzo pijana. Odrzuciła głowę do tyłu, potrząsnęła włosami i roześmiała się. Nie myślała o niczym, wsłuchała się w rytm muzyki i zatraciła w dzikim tańcu. Zapomniała, że autorzy rubryk towarzyskich ogłaszają jej artystyczną śmierć i że według Hollywood jej kariera chyli się ku upadkowi. Zapomniała, że ma skończone czterdzieści trzy lata i że jest jedną z najstarszych kobiet w tym pokoju. Dziś była młoda, dzika, pełna życia. Gdy muzyka zamilkła, zebrani nagrodzili ich oklaskami, a wtedy oni wykonali pierwszą figurę tanga. Wygięta do tyłu Kitty kątem oka dojrzała nieznajomego.

Stał w progu i patrzył na nią. Katherine pomyślała, że na pewno ma rozmazany makijaż, włosy potargane, czoło spocone, ale wcale się tym nie przejęła, wiedziała tylko, że nie może go znowu zgubić. Wysłała Stevena po kieliszek szampana i już miała podejść do nieznajomego, gdy jak spod ziemi u jego boku wyrosła Eleonora, wzięła go pod ramię i wyprowadziła z pokoju.

Steven wrócił z szampanem.

- Och, jaka jestem spragniona - rzekła Katherine.

Wypiła najpierw łyk, a potem duszkiem cały kieliszek. Smakował jak nektar. Szampan znajdował się na samej górze listy zabronionych jej napojów, ponieważ wzdymał.

- Nie wiedziałam, że z ciebie taki John Travolta - powiedziała bardzo rozbawiona.

Oczy Katherine błyszczały, twarz pałała. Steve pomyślał, że dziś Kitty wygląda wyjątkowo pięknie.

- Masz ochotę na jeszcze jeden taniec?

- Jasne - odparła. - Kocham tę kapelę. Tak przy okazji, czy wiesz, kim jest ten facet, który towarzyszy dziś Eleonorze?

- Jaki facet? - zdziwił się Steve. - Nie widziałem żadnego faceta. Masz na myśli tego Szweda, z którym się prowadzi?

- Nie, takiego wysokiego blondyna. Nie widziałeś go?

Steve pokręcił głową.

„Cóż - pomyślała Kitty, gdy znowu zaczęli tańczyć - widać spotkanie nie jest nam pisane”.

Nastał ostatni dzień pracy; kręcili scenę poprzedzającą wybuch łodzi. Robiono zbliżenia twarzy Tony’ego, Eleonory i Kitty, jednocześnie odpalając świece dymne, trzymając zdecydowanie za blisko ich twarzy; z tyłu wysadzano w powietrze ściany. Eleonora, z Emmą Hamilton w kieszeni, zrobiła się nagle dla Katherine bardzo serdeczna.

- Wspaniale tańczyłaś na tej sobotniej imprezie - zagadnęła ją przyjaźnie, kiedy między ujęciami siedziały przed lustrem i poprawiały makijaż. - Nie wiedziałam nawet, że tak potłafisz. Cudowna sukienka!

- Dzięki. Sama siebie o to nie podejrzewałam. Między nami mówiąc, ty też pięknie wyglądałaś.

- Dzięki, Kitty.

Uśmiechnęły się do siebie nieszczerze.

- Kto ci towarzyszył? - spytała Kitty, nie odrywając wzroku od swojego odbicia w lustrze.

- Dirk.

- Wydawało mi się, że widziałam cię z jakimś innym blondynem.

- Nie. - Eleonora poszerzyła wargi ciemnobrązową szminką. - Znasz mnie i wiesz, że jestem wierna mojemu Skandynawowi.

Słyszając to charakterystycznie omal nie połknęli gum do żucia. Powszechnie uważano, że Eleonora nie przepuści żadnemu mężczyźnie.

Od czasu niefortunnego zajścia przy odbiorze nagrody Albert wymieniał z Katherine wyłącznie grzecznościowe pozdrowienia. Za chwilę mieli kręcić scenę, w której Charles Skeffington goni po schodach Georgię. Kitty denerwowała się. Albert wprawdzie miał

sześćdziesiąt dziewięć lat, ale wciąż był silnym mężczyzną i w napadzie szału mógł zbyt silnie zacisnąć dłonie na jej szyi. Katherine pomyślała, że lepiej się z nim pogodzić.

- Jakie masz plany na wakacje, Albercie? spytała z uśmiechem.

- Co? Mówiłaś coś do mnie? - Stary aktor był wyraźnie zmieszany.

Do tej sceny, którą mieli za chwilę kręcić, powinien wzbudzić w sobie antypatię do Katherine. To zwykle nie było trudne, ponieważ szczerze jej nie znosił, ale ten jej nagły przypływ serdeczności pomieszał mu szyki.

- Jadę do Anglii - uciał.

- To miło. Odwiedzisz rodziców?

Charakteryzatorzy wytrzeszczyli oczy. Ta Kitty czasami nie wiedziała, co mówi. Przecież rodzice Alberta Amory'ego dawno umarli, a on sam, jeśli wziąć pod uwagę, jak się ostatnio posunął, był już jedną nogą na tamtym świecie.

- Ściśle mówiąc - odparł lodowato - zamierzam odwiedzić córkę. Spodziewa się dziecka.

- Ach, to znaczy że niedługo zostaniesz dziadkiem! Czy to nie cudowne! - Katherine wpadła w szczerzy zachwyt, nie pomyślawszy, że może Albert nie takich zachwytów by sobie życzył.

W Hollywood uchodził ożenek, od biedy można było mieć małe dziecko, ale nie wypadało zostać dziadkiem czy babcią. W „Skeffingtonach” nikt nie miał wnuków.

Katherine uświadomiła sobie, że popełniła nietakt.

- Słuchaj, Albert - rzekła, podchodząc do niego - jest mi bardzo przykro z powodu tych nieporozumień, które mieliśmy w minionym sezonie.

Albert rozejrzał się za jakąś pomocą, ale był uwięziony w fotelu i nie mógł z niego uciec, bo Blackie akurat nakładał mu puder w kremie na jego plamy wątrobowe.

- No... jak by to powiedzieć... dziękuję ci za ciepłe słowo, Katherine. Nie jestem człowiekiem zawziętym.

- Ja również. Cieszę się z tego, co powiedziałaś, bo ta sprawa bardzo mnie gnębiła i myślę, że ciebie też. A ponieważ nie zobaczymy się przez najbliższe sześć tygodni, nie chciałam, żebyśmy rozstali się w niezgodzie. Rozstańmy się jako przyjaciele. - Wyciągnęła do niego dłoń.

Przyjął ją niechętnie.

- Dobrze, moja droga. - Boże, jak on nienawidził tej kobiety, ale cóż mógł zrobić? Postawiła go w sytuacji bez wyjścia.

Katherine nigdy się nie dowiedziała, czy to jej gest, czy co innego sprawiło, że nie doszło do żadnego wypadku - w każdym razie wyszła z tej sceny bez szwanku. Asystent Gabea Hellera przyniósł wielką chłodziarkę, w której znajdował się bezalkoholowy szampan, piwo i napoje gazowane. Gońcy z pizzerii dostarczyli pięćdziesiąt pudełek z pizzami, do jedzenia, których zespół zabrał się z wielkim zapałem.

Podczas pakowania garderoby Brenda wręczyła Katherine liścik od lekarza Johnny'ego. „Operacja się udała. Pacjent wraca do zdrowia. O sukcesie można będzie jednak mówić dopiero za kilka miesięcy”.

- To jest całkiem dobra wiadomość - stwierdziła Brenda. - Tommy będzie miał dużo lepszy humor pod czas waszej podróży.

- Dzięki Bogu - rzekła Katherine.

Obrzuciła spojrzeniem pusty, obskurny pokój ze starą sofą, której wieku i dziur nie maskował już jej piękny szal. Ściany były poplamione, dywan - ogołocony z jej tureckich dywaników - przetarty na wylot.

- Ciekawe, czy wrócę tu w następnym sezonie?

- Pewnie, że wrócisz, dziecko. Cóż oni poczęliby bez ciebie?

- Wiesz, nie ma ludzi niezastąpionych. Jakoś by sobie poradzili. A ponieważ notowania serialu spadają, nie cofną się przed niczym, żeby oszczędzić pięćdziesiąt tysięcy na tydzień. Jeśli z kogoś zrezygnują, to w pierwszym rzędzie z Georgii Trującej Brzoskwini. Nowy scenariusz dostaniemy tydzień przed kolejnym sezonem zdjęciowym i dopiero wtedy się dowiemy, kogo uśmiercili. Jezu, Bren, ja chyba zwariuję z tej niepewności.

- W ogóle o tym nie myśl, tylko używaj, ile się da we Francji i pilnuj Tommy'ego, żeby nie wdał się w jakąś głupią historię. Tyle się słyszy o rozpuście na Riwierze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obszerny fragment z Rubryki Suzy, „New York Daily News”, 28 czerwca 1988 r.:

„Największa gwiazda telewizyjna, pani Katherine Bennet, spakowała kilkadziesiąt walizek marki Louis Vuittons i wraz z ukochanym synem udała się w objazd najmodniejszych miast w Europie, który zakończy się wypoczynkiem w letniej przystani w St Tropez. W ten sposób Słodka Kitty - lub jak kto woli Georgia Trująca Brzoskwinia - ze słynnych Skeffingtonów zamierza spędzić swój dobrze zasłużony urlop. Właśnie zakończyła trzeci sezon zdjęciowy serialu, który bije wszelkie rekordy popularności; czwarty sezon zacznie się w połowie lipca, wtedy też spodziewany jest powrót aktorki do Los Angeles. Brawo, Kitty! I nie płacz, że rola Emmy Hamilton przypadła innej wybitnej telewizyjnej jędzy, Eleonorze Norman, doszły nas bowiem słuchy, że Gabe Heller poważnie rozważa, czy nie powierzyć ci głównej roli w nowej serii „Skeffingtonów.” Mamy nadzieję, że dasz im się znowu we znaki. Kochamy cię, Kitty!”

Wynajęta przez Kitty willa stała na wzgórzu za St Tropez, w takiej odległości od gwarne go, pełnego butików i kafejek portu, żeby Tommy mógł jeździć tam rowerem, na tyle blisko plaż Pampelonne, żeby mógł się ślizgać na nartach wodnych, serfować i żeglować, a zarazem wystarczająco daleko od oczu fotoreporterów i innych ciekawskich. Katherine czuła się w niej bezpiecznie, chociaż jak na standardy tutejszych bogaczy jej willa zaliczała się do nader skromnych. Składała się z ogromnej, wygodnej bawialni, w której stało kilka miękkich kanap oraz piękne, choć stare prowansalskie drewniane meble, niewielkiej jadalni, pięciu sypialni rozmaitej wielkości i przytulnego pokoju telewizyjnego, w którym oglądali filmy na wideo, a czasami, jeśli Tommy dał się namówić, grali w scrabble’a lub w karty.

Robieniem zakupów, gotowaniem i sprzątaniami zajmowało się małżeństwo Francuzów, dzięki czemu Katherine miała dość czasu na wylegiwanie się w ogrodzie, w którym pachniało lawendą i jaśminem, kwitła fioletowa bougamvillaea i bładoniebieska ołownica. Katherine lubiła też leżeć nad basenem i obserwować jachty na przystani, szczęśliwa, że nie ma nic do roboty - poza rozrywaniem Tommy’ego w tych rzadkich chwilach, których nie spędzał z rówieśnikami na plaży. Świetnie się bawił podczas zwiedzania Londynu i Paryża, a jej ogromną przyjemność sprawiało pokazywanie mu swoich ulubionych miast, rozumiała jednak, że chłopiec potrzebuje towarzystwa w swoim wieku. Potrzebował też czegoś, co odwróciłoby jego myśli od chorego ojca, z którym utrzymywał regularny kontakt, a który ostatnio zaczął uskarżać się na bóle żołądka.

Któregoś z tych leniwych dni, kiedy Katherine po późnym lunchu drzemała na szezlongu, uśpiona włą snymi myślami i szemraniem fontanny w ogrodzie, zadzwonił Steven z Los Angeles.

- Wiesz, Kitty, wróciłem właśnie ze spotkania z Gabem - oznajmił podnieconym głosem. - Postanowili, że Georgia przeżyje!

Kitty poczuła ulgę pomieszaną z rozczerowaniem. Z jednej strony zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby wyrzucili ją ze „Skeffingtonów”, znalazłaby się w nader trudnej sytuacji, z drugiej zaś czuła się taka szczęśliwa, wiedząc to wygodne, beztrudne życie na południu Francji. Zrobiło się jej smutno, że to się wkrótce skończy. Gdy nie dostała roli Emmy Hamilton, prasa jej bardzo dokuczała, ale teraz Kitty cieszyła się z takiego obrotu rzeczy. Uświadomiła sobie bowiem, jak strasznie była wtedy zmęczona, a gdyby otrzymała tę rolę, nie mogłaby pozwolić sobie na wakacje.

- To wspinała wiadomość, Steve, bardzo się cieszę - powiedziała w końcu.

- Wiem. Zdecydowali o tym telewidzowie. Wpłynęły właśnie wyniki rozmaitych ankiet i sondaży, które Gabe i spółka prowadzili przez cały ostatni miesiąc. Powiem ci tylko tyle, że te wyniki są niesamowite. Podobasz im się... naprawdę im się podobasz! - zakończył głosem Sally Field.

Katherine się roześmiała.

- Nie posiadam się ze szczęścia, Steven. Naprawdę jestem bardzo wzruszona.

- Czuję, że nie mogą sprzątnąć Brzoskwini. Gdyby to zrobili, ludzie mogliby się zbuntować. O Emmie Hamilton już zapomniano. Teraz zabieram się do pisania bombowych scen dla ciebie. Trzymaj się. - Odłożył słuchawkę.

Katherine wstała z szezlonga i poszła do domu. Nagle, z jakiegoś nie zrozumiałego powodu, poczuła się straszliwie samotna. Nie pracując, miała dużo czasu na myślenie i powoli zaczynała dostrzegać, jak bardzo brakowało jej mężczyzny. Mężczyzny, który kochałby ją bez zastrzeżeń. Taką, jaką naprawdę była - Kitty Cribbens z Queens.

„ W głębi duszy jestem zwykłą dziewczyną - zażartowała na widok swojej rozmarzonej miny w lustrze. - Nie żadną tam cudowną Katherine Bennet z Beverly Hills, wielką gwiazdą, która nie może wyjść za próg własnego domu, żeby wszyscy od razu się na nią nie gapili. Nie, kobiecie lat osiemdziesiątych nie godzi się myśleć w ten sposób - skarciła się. - Kobieta lat osiemdziesiątych powinna być samodzielna i samowystarczalna; powinno z niej emanować poczucie własnej wartości i bezczelności; powinna brać mężczyzn i porzucać ich, kiedy ze chce! Jestem strasznie zacofana - westchnęła do swojego odbicia w lustrze. - Nie różnię się niczym od kobiet lat pięćdziesiątych” W latach pięćdziesiątych Katherine była

jeszcze dzieckiem, do dziś jednak pamiętała, jak matka i jej przyjaciółki starannie się szykowały, gdy miały wyjść z domu, nawet, jeśli szły tylko do sklepu za rogiem. Z zapartym tchem przyglądała się, jak wkładały toczki, upinały woalki, wygładzały zmarszczki na rękawiczkach. Potrafiły godzinami porównywać zalety płynów do trwałej ondulacji Toni i Clairol i zastanawiać się, czy po Święcie Pracy (pierwszy poniedziałek września) wypada jeszcze chodzić w białych pantoflach. Bez względu jednak na to, czy zajmowały się swoim wyglądem, czy robieniem deseru, chodziło im zawsze o jedno, mianowicie żeby podobać się mężczyznom i zapewnić sobie ich miłość do grobowej deski.

Rady Very dla córki były jednoznaczne.

- Pamiętaj, Kit-Kat, mężczyźni chcą tylko jednego, Będziesz głupia, jeśli im to dasz, nie poczekawszy na złoty pierścionek.

Vera chwaliła się, że aż do ślubu zachowała dziewictwo, podczas gdy inne dziewczyny rozdawały je na prawo i lewo za baloniki i nylony. I osiągnęła to, co chciała, tamte zaś przeważnie poniosły klęskę. Usidliła Barneya Cribbensa, uroczego starego kawalera, z którym żyła szczęśliwie aż do jego śmierci. A to wszystko dzięki temu, że podczas nalotu - jak mówiła - nie grała swoją kartą atutową.

Katherine westchnęła. Bardzo dawne czasy. Czemu jednak silniej identyfikowała się z tamtą epoką niż z dewizą lat osiemdziesiątych, która brzmiała: „Po co mi mężczyzna, skoro świetnie sobie radzę sama?”

- Jestem strasznie zadowolona - powtórzyła.

Wbrew swoim oświadczeniom dla dziennikarzy, Katherine potrzebowała męża. Przez większą część trwającego dwadzieścia lat małżeństwa z Johnnym była bardzo szczęśliwa. Teraz za tym tęskniła. Chciała należeć do kogoś i żeby ktoś należał do niej. Pragnęła zasypiać i budzić się w ramionach ukochanego mężczyzny. Jak przyjemnie byłoby wracać do domu, w którym on by na nią czekał, i opowiadać, jak minął dzień. Czy jeszcze kiedyś tego doświadczy? Mężczyzn onieśmiała jej popularność, przerażał ich towarzyszący jej rozgłos. Katherine zdawała sobie sprawę z tego, że jej sława stanowi dla mężczyzn wyzwanie.

Znajomi w St Tropez i sąsiedzi zasypywali ją zaproszeniami, ale ona wszystkie odrzucała. W końcu postanowiła zrobić wyjątek i przyjąć zaproszenie na uroczysty lunch do Betty i Stana Chalmersów, Teksaszczyków z Kalifornii. Byli to ludzie bardzo bogaci i szalenie towarzyscy, którzy co roku spędzali dwa miesiące w szczycie sezonu we własnej willi z pięknym widokiem na zatokę St Tropez. Ponieważ Chalmersowie mieli syna w wieku Tommy'ego, Katherine pomyślała, że dobrze będzie ich poznać.

Kiedy Katherine i Tommy przybyli wypożyczonym Renaultem do wspaniałej willi Chalmersów, panował straszliwy upał. Katherine jeszcze dobrze nie zdążyła nacisnąć dzwonnka przy bramie, a już żelazne wrota bezszelestnie się rozsunęły. Szary, żwirowy podjazd, obsadzony sosnami w kształcie parasoli i oliwkami, dowiódł ich do domu z marmuru i białego kamienia. W dole połyskiwała w słońcu zatoka St Tropez; nieruchomą tafłę morza okraszały białe żagle płynących po nim jachtów. Na spotkanie Katherine i jej syna wyszedł lokaj w liberii, który przeprowadził ich przez chłodny hali o czarno-białej marmurowej posadzce na szmaragdową murawę po drugiej stronie domu.

- A oto i nasza kochana Kitty! Jakże się cieszę, że przyjechałaś! podeszła ku Katherine z otwartymi ramionami Betty Chalmers, autentyczna południowa piękność o wdzięku równym jej urodzie. Dla osłony przed słońcem nosiła wielki słomkowy kapelusz, ozdobiony miniaturowymi amerykańskimi flagami.

- To kapelusz ze święta Czwartego Lipca, kochanie, ale ponieważ odniosłam w nim wtedy wielki sukces, pomyślałam, że trzeba to powtórzyć.

Cudownie ukształtowane, ciało Betty było ubrane w czerwony obcisły kostium kąpielowy, wąskie biodra opasywał kawałek materiału w amerykańskie gwiazdki i paski, wokół szyi i przegubów pobrzękiwały złote łańcuchy zdobione szafirami i rubinami, a w uszach kołysały się ogromne serca wysadzone rubinami i diamentami. Pełne wargi płonęły purpurą na jej ładnej twarzy.

- Wyglądasz szalenie patriotycznie - rzekła Katherine, która zawsze podziwiała talent Betty do ubierania się.

- No a co? Przecież jestem Amerykanką w każdym calu, Kitty!

Do Katherine podszedł niespiesznie z uśmiechem pochlebcy Stan, mąż Betty, który w salach konferencyjnych był tygrysem, w domu zaś przemieniał się w słodkiego kocura.

- To miło, że pani przyszła, Miss Georgia - rzekł uchylając czerwono-biało-niebieskiego stetsona.

- Stan, nie nazywaj tak Kitty. Georgia to jej imię telewizyjne. Przepraszam cię, kochana, czasami mu trochę odbija.

Zrugawszy swojego muskularnego męża, Betty wzięła Katherine pod rękę i przedstawiła jej resztę gości. Była to mieszanka Europejczyków ze wszystkich sfer - arystokraci bez grosza przy duszy z Europy Środkowej, jeden czy dwaj podstarzali playboye, para gorszego gatunku angielskich arystokratów oraz wdowa po królu kosmetyków z Nowego Jorku, która, choć osiemdziesięciokilkuletnia, wyglądała jak stokrotka w różowym kapelusiku od słońca i szyfonach od Schiaparelliego.

Nagle serce Katherine zwolniło, zabiło ciężko i boleśnie, dłonie jej zwilgotniały, wargi wyschły. Po drugiej stronie basenu siedział ów przystojny, tajemniczy nieznajomy. W słońcu wydawał się mirażem lub przywidzeniem; Katherine pomyślała, że na pewno ma halucynacje. Kiedy jednak zobaczyła, z kim on rozmawia, od razu poczuła się lepiej, prawie normalnie.

Quentina Rogersa znała dobrze; był on słynnym playboyem i bonvivantem z czasów wspaniałości Hollywood; od 1940 roku występował na każdej liście gości hollywoodzkich imprez jako numer jeden.

- Kitty, to jest mój drogi, stary przyjaciel z Hollywood, Quentin Rogers, którego pewnie znasz?

- Oczywiście, że znam. Jak się masz, Quentin?

Katherine wyciągnęła rękę, którą ten mały mężczyzna objął swoją perfekcyjnie wymanikiowaną, miniaturową dłonią.

- Jak się masz, droga Kitty? Wyglądasz, jak zawsze, cudownie.

Quentin nosił włożoną na bakier kremową panamę, lekką bawełnianą koszulę w czarno-białe paski i nienagannie wyprasowane płócienne spodnie. Na nogach miał odpowiednio dobrane czarno-białe buty, podobne do tych, na jakie w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku wprowadził modę książę Windsoru, słowem roztaczał wokół siebie aurę staroświeckiej rycerskości i dobroduszości.

- Pozwolisz, że ci przedstawię Jean-Claudea Valmera? - spytał.

Na co jego towarzysz uśmiechnął się czarująco i wstał, żeby się przywitać z Katherine.

- Encbante, mademoiselle.

Spodobał się jej sposób, w jaki podał jej swoją twardą, brązową rękę. Jego uścisk nie był zbyt mocny jak na mężczyznę, ale też nie mokry i nie obślizgły. Katherine przyjrzała mu się dokładnie. Wspaniały facet, bez dwóch zdań. Z bliska wydawał się jeszcze przystojniejszy, niż zapamiętała. Co więcej, z tymi czarnymi brwiami i płowymi włosami był zdecydowanie najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała.

Cokolwiek specjaliści mówiliby na temat wystawiania się na słońce, nie da się zaprzeczyć, że opalenizna dodaje człowiekowi urody. Jean-Claude był mocno opalony, niemal mahoniowy. Jego gęste, rozwiane włosy, rozjaśnione przez słońce, na skroni miały kilka srebrnych pasem i były trochę za długie - raz po raz odgarniał je z czoła chłopięcym gestem. Kiedy zdjął okulary, Katherine zaskoczył blask w jego bladezielonych oczach. W silnym świetle źrenice mu się zwężyły, przez co tęczówki wydawały się niemal przezroczyste.

Miał jakieś czterdzieści lat, ale w jasnoniebieskiej bawełnianej koszulce polo i białych szortach wyglądał młodo i zwyczajnie.

- Może się do nas przysiadzisz, Kitty - zaproponował Quentin, wskazując krzesło obok siebie. - Dawno na ciebie nie patrzyłem, a to taka przyjemność.

Katherine usiadła, czując na sobie wzrok uśmiechniętego nieznacznie Jean-Claudea.

Cieszyła się, że przyszła na to przyjęcie. W St Tropez normalnie nosiła szorty i bawełnianą koszulkę, tym razem jednak poświęciła strojowi trochę więcej uwagi. Zsunęta z ramienia biała jedwabna bluzka odsłaniała jej opalone piersi, a szeroka, sięgająca do pół łydki, niebiesko-biała spódnica z prowansalskim motywem świetnie współgrała z szerokim srebrnym pasem, który jeszcze bardziej wyszczuplał jej wąską talię. Stroju dopełniały espadryle, srebrne koła w uszach i słomkowy kapelusz z szerokim rondem na cygańskich włosach. To wszystko sprawiało, że wyglądała o wiele lepiej niż w telewizji.

Odwrócona plecami do słońca popijała szampana i sok brzoskwiniowy, świadoma faktu, że Jean-Claude nie odrywa od niej wzroku, ale ponieważ miał lustrzane okulary, trudno było odczytać -wyraz jego oczu.

- A pan... czym się pan zajmuje?

- Buduję hotele - odparł. - Obaj z Quentinem skończyliśmy właśnie jeden w Awinionie. Szkoda, że to tak daleko, bo chętnie bym go pani pokazał.

- Od miejsca, w którym mieszkam, Awinion nie jest znowu tak daleko - rzekła prędko, nie zastanawiając się, czy nie wyda mu się zbyt nachalna.

- Byłoby mi bardzo miło się z panią spotkać, ale jutro muszę pojechać do Paryża.

Poczuła ucisk w żołądku, objaw podniecenia. „Przestań - nakazała sobie w duchu, popijając szampana i odwróciła głowę. - Zamknij się, idiotko, on na pewno się z kimś spotyka, może nawet z Eleonorą”. Spytała, gdzie się zatrzymał.

- Tu, u Betty. Jesteśmy tu z Quentinem już tydzień.

- To miło - rzekła.

Ach, więc to tak. Ten złoty bóg był najnowszą zabawką Quentina. Mogła się tego domyślić. Wyobraźnia podsuwała jej różne skojarzenia, nawet te bardzo drastyczne.

- To nie jest tak, jak pani sądzi! - uśmiechnął się. Poznał po jej minie, co sobie pomyślała. - Znam Quentina od czasu, gdy byłem chłopcem. Jest dla mnie jak ojciec. Od lat żaden z nas nie miał wakacji, więc kiedy Betty nas zaprosiła, skwapliwie skorzystaliśmy z okazji.

- Betty wie, co ludziom potrzebne – stwierdziła Katherine.

- To niezwykła kobieta. - Spojrzał ku Betty, która właśnie opowiadała jakąś sprośną historyjkę. - Niezwykła i piękna - dodał - ale nie tak piękna jak pani.

Katherine poczuła, że się rumieni.

- Dziękuję... - mruknęła. - To pan mi przesłał ten liścik na wręczeniu nagród?

- Przyznaję się do grzechu - odparł. - W zasadzie nie należę do ludzi, którzy pisują listy do swoich idoli, ale zobaczyłem panią pierwszy raz w telewizji, a zaraz potem w tamtej sali i pomyślałem sobie, że ta ziemia nigdy nie nosiła nic równie pięknego.

- Zna pan Szekspira - zauważyła, nie mogąc oderwać od niego oczu.

- Wordswortha. To był odruch, nad którym nie zapanowałem. Mam nadzieję, że nie ma mi pani tego za złe.

- Oczywiście, że nie.

Zdjął okulary.

- Nie mogę uwierzyć, że pani żyje jak inni ludzie - powiedział.

- Aktorki nie mają do tego prawa. Według niektórych istniejemy tylko po to, żeby ludzie mogli na nas patrzeć.

Rozejrzała się po gościach Betty. Niektórzy rzucali w ich stronę ukradkowe spojrzenia.

- Pani wydaje się po to stworzona - rzekł cicho. Jego słowa działały na nią jak pieszczota.

- Nie wiem, co na to powiedzieć - odparła szczerze. Kręciło jej się w głowie i czuła się niewiarygodnie szczęśliwa. - Brakuje mi słów.

- Mając takie oczy, nie musi pani nic mówić - szepnął z uśmiechem.

Jego urok był zniewalający. Katherine czuła, że budzi się w niej pragnienie, o którym zapo mniała już, że istnieje. Co za twarz, co za ciało, co za uśmiech. Jak ktoś tak przystojny mógł równocześnie być taki interesujący, taki ciepły, taki miły?

Jean-Claude nachylił się do niej, żeby coś powiedzieć, ale wtedy Betty klasnęła głośno w dłonie i oznajmiła:

- Moi drodzy, podano do stołu. Pyszne amerykańskie żarcie z Teksasu. Hot-dogi, hamburgery, żeberka, groszek i moje ulubione smażone kurczaki. Wszystko przyleciało wczoraj wieczorem odrzutowcem prosto z Dallas!

- W tym petite maison nie liczą się z kosztami - zauważył z uznaniem Quentin.

Ożywiony zapachem jedzenia sprawdził, czy kapelusz ma pod dobrym kątem.

- Czy mogę pani coś podać? - spytał Jean-Claude.

- Och, proszę mówić mi Kitty. To bardzo uprzejmie z twojej strony, Jean-Claude, ale obiecałam synowi, że przy jedzeniu będziemy siedzieć razem.

- To może niech on przyjdzie tutaj. Sądziś, że będzie miał coś przeciwko temu?

Katherine odwróciła się za siebie i zobaczyła Tommy'ego w basenie w towarzystwie dwóch dziewcząt w bikini. Uśmiechnęła się.

- Chyba go to teraz nie interesuje.

Zbliżywszy swoją uśmiechniętą twarz do jej twarzy, Jean-Claude ujął ją pod rękę i poprowadził po trawie do bufetu. Katherine czuła, że znowu się zarumieniła.

Lunch był tak smaczny, że zjadła i wypła dwa razy tyle co zwykle. Po lunchu dzieci poszły do domu się bawić, dorośli zaś rozłożyli się wygodnie nad basenem, w cieniu. Katherine leżała na leżaku z oczyma zasłoniętymi kapeluszem, wsłuchana w prowadzone obok rozmowy i czuła, że ogarnia ją senność. Część gości odjechała. Zapanowało upalne, omdlewające popołudnie na Riwierze. Bzyczały pszczoły wśród lawendy, a w zaroślach nieznośnie hałasowały cykady.

- Jean-Claude, kochany, może byś nam coś zaśpiewał? - do akcji wkroczyła Betty, nieznośnie rześka.

- O, nie, chérie. To bardzo uprzejmie z twojej strony, ale moje śpiewanie to już daleka przeszłość - bronił się słabo Jean-Claude.

Katherine była zachwycona. To on śpiewa? Czyżby był nie tylko hotelarzem? Chyba tak, bo wszyscy francuscy goście patrzyli na niego z oczekiwaniem.

Katherine zdjęła okulary słoneczne i spojrzała na niego przymilnie.

- Chciałabym usłyszeć, jak śpiewasz, Jean-Claude.

- Zaśpiewaj, Jean-Claude. Chcemy cię posłuchać. Quentin mówi, że w Olympii byłeś najlepszy. Nie daj się prosić - nie ustępowała Betty. Kiwnęła na lokaja w liberii. - Alphonse, przynieś panu Valmerowi gitarę mojego syna, si vous plait.

Jean-Claude wzruszył ramionami. Quentin wyciągnął krzesło na środek trawnika i popchnął przyjaciela w jego kierunku. Goście zebrali się wokół niego, a gdy gitara została przyniesiona, Jean-Claude niechętnie zaczął śpiewać. Najpierw zaśpiewał starą francuską balladę o króliku i lisie. Śpiewał dwoma głosami - wysokim, niemal sopranowym jako królik i głębokim tenorem jako lis.

Choć wymuszone, było to profesjonalne przedstawienie; Katherine, która oczekiwała czegoś zupełnie innego, spytała szeptem Quentina:

- Czy on z tego żyje?

- O, nie, Boże uchronij. Kiedyś owszem, ale teraz nie. Możesz czuć się zaszczycona, bo on to robi wyłącznie dla ciebie.

Jean-Claude pochylił głowę, złociste włosy spadły mu na czoło, na ustach błąkał się nikły uśmiezek.

Quentin kontynuował:

- W młodości Jean-Claude był znanym we Francji piosenkarzem folkowym. Występował, nagrywał płyty, aż stał się bardzo popularny. Ale życie idola wydawało mu się puste, denerwujące i po kilku latach rzucił śpiewanie, żeby zająć się biznesem.

- Szczwany lis - rzekła Katherine z podziwem. - Zastanawiam się, może powinnam zrobić to samo?

- Nasza telewizja poniosłaby niepowetowaną stratę - zamruczał Quentin.

W roziskrzonych zielonych oczach Jean-Claudea czytało się zdziwienie z powodu furory, jaką zrobił jego koncert. Proszono go o bis, nawet dzieci porzuciły gry wideo i przyłączyły się do widowni.

Kiedy Jean-Claude Valmer skończył śpiewać, Katherine była więcej niż zakochana.

Dziwnym zrzędzeniem losu dziesięć dni później okazało się, że Jean-Claude, Quentin i Katherine zarezerwowali bilety na ten sam lot.

Sześciotygodniowe wakacje Katherine dobiegły końca. Tommy'ego odesłała do Ameryki, sama zaś postanowiła wybrać się do Londynu na premierę nowej sztuki Zeva Cartera. Zev Carter należał do producentów, z którymi zetknęła się, grając w nowojorskich teatrach, a ponadto był jej dobrym przyjacielem. W sobotę, następnego dnia po premierze, Katherine zamierzała z samego rana wsiąść do samolotu lecącego do Los Angeles, by w poniedziałek zacząć pracę.

Krótki pobyt w Londynie zapowiadał się obiecująco. Katherine martwiła się jednak pewnym drobiazgiem, nie zorganizowała sobie mianowicie żadnego towarzystwa do teatru, a bardzo nie lubiła występować publicznie sama. Siedziała w poczekalni na lotnisku w Nicei, starając się coś wymyślić, i wtedy ujrzała wchodzących tam Quentina z Jean-Claudeem. Poczula znajomy dreszczyk emocji; już wiedziała, co robi. Odczekawszy, aż Jean -Claude pójdzie po kawę, podeszła do Quentina.

- Jak było w Paryżu? - spytała.

- Gorąco. Stanowczo za gorąco. Załatwiliśmy, czym prędzej nasze sprawy, skoczyliśmy na dzień do Monaco, a teraz lecimy do Londynu.

- Czy twój przyjaciel zabiera z sobą smoking w takie podróże? - spytała.

- Nie byłby Francuzem. A czemu pytasz?

- Myślisz, że wybrałby się ze mną w czwartek na premierę sztuki „Jutro to właściwie dziś”?

- Co za pytanie!- Quentin rozpromienił się i szeptem dodał. - Powiedział o tobie, że jesteś szalenie simpatico, no i bardzo atrakcyjna. Ja, oczywiście, w pełni podzielał jego opinię.

Katherine znowu oblała się rumieńcem. Psiakość, co jest takiego w tym mężczyźnie, że ona zachowuje się jak nastolatka?

- To wspaniale, bo on mi się też podoba. Quentin, a czy możesz go sam o to poprosić? Nie przywykłam proponować mężczyznom randek!

To była prawda. W Los Angeles Katherine miała dwóch czy też trzech dobiegaczy, przeważnie gejów, o których wiadomo było, że ich towarzystwo nie wywoła plotek i że nie będą robić jej seksualnych propozycji, nigdy natomiast nie uganiała się za mężczyznami, którzy jej się podobali. Prawdę mówiąc, nie musiała.

- Dobrze, poproszę go - zgodził się potulnie Quentin.

„Kości zostały rzucone” - pomyślała Katherine.

Sztuka była świetna - po amerykańsku nowoczesna, szczerza. Ostre, slangowe dialogi tchnęły autentycznością. Podobała się Katherine, Jean-Claudeowi na szczęście też.

Katherine wystąpiła w długiej prostej sukni z szarego jedwabnego dżerseju, z empirowym stanikiem na metalowych ramiączkach wysadzanych drogimi kamieniami. Włosy ściągnęła w kok, co nadało jej elegancki klasyczny wygląd. Betty, która na premierę przyleciała ze Stanem własnym odrzutowcem, w uwydatniającej jej talię osy koronkowej minisukienki na spodzie z pomarszczonej tafty uosabiała teksańską sekutnicę. Do kompletu włożyła czerwone koronkowe pończochy i wszystkie swoje rubiny.

- Jak Boga kocham, w życiu nie słyszałam takiego okropnego języka! - mruknęła, gdy po przedstawieniu wchodziły z Katherine do szatni.

- No wiesz, tu nie ma cenzury - odparła Katherine. - Mnie się to podobało, a tobie?

- Wolałabym jakiś musical Webbera. „Cats” albo „Duch w operze”. To są przynajmniej przedstawienia. A to? To było zwykłe świństwo!

Po teatrze poszli wszyscy na bankiet. Na widok Katherine w towarzystwie Jean-Claudea Valmera paparazzi dosłownie oszaleli. Wejście do River Room znajdowało się od strony Tamizy. Tam, na wąskim chodniku, tłoczyli się reporterzy i fotografowie.

- Czy to twój nowy narzeczony, Kitty? - krzyknął jeden z nich i podstawił jej pod nos magnetofon, blokując wejście. - Powiedz, jak się nazywa?

- Jesteśmy tylko znajomymi - odparła i równocześnie poczuła na swoim łokciu dłoń Jean-Claudea. Uśmiechnąwszy się nieznacznie, próbowała odsunąć z drogi natarczywego pismaka.

- Hej, kolego! Ty i Trująca Brzoskwinia? Co jest grane, stary? Wyglądacie, jakbyście się mieli ku sobie. Powiedz, stary, co się dzieje?

Jean-Claude potrząsnął głową i zacisnął palce na łokciu Katherine. W końcu jakoś udało mu się wprowadzić ją do hallu bez większych strat.

- Brawo! - Katherine była pod silnym wrażeniem. - Świetnie sobie z nimi poradziłeś.

- Nienawidzę dziennikarzy - odparł z gwałtownością, która ją zaskoczyła. - To szumowiny.

Jak na zamówienie pewien reporter o nazwisku Tamlin, któremu udało się wepchnąć do środka, wypowiedział cicho pod adresem Katherine jakąś nieprzyzwoitą uwagę. Jean-Claude odwrócił się, chwycił za jego okropną muszkę i przyciągnął go do siebie.

- Słyszałem, coś powiedział. - Głos Jean-Claudea był matowy, ale jego oczy pałały. - Zapamiętaj, jeśli jeszcze kiedykolwiek coś takiego wyjdzie z twoich ust, gorzko tego pożałujesz. - Uśmiechnął się i tak gwałtownie go pchnął, że tamten z trudem złapał równowagę.

- Dołączymy do reszty? - spytał ją, jak gdyby nic się nie stało.

- Chodźmy. - Katherine odwzajemniła jego uśmiech.

Musiała przyznać, że fakt, iż ktoś gotów był stoczyć bitwę w obronie jej dobrego imienia, nawet taką niegroźną, sprawił jej przyjemność.

Jean-Claude w hallu wyglądał na spokojnego, ale gdy prowadził Katherine do sali balowej, wprost kipiał gniewem. „Widać dziennikarze nieźle zaszli mu za skórę, kiedy był sławny. Ciekawe, czym?” - zastanawiała się.

Tańczyli, flirtowali, śmiali się przy kolacji, która była nawet dość jadalna, ale Katherine za bardzo się wstawiła, żeby to docenić. Później, kiedy wracały z Betty z toalety, musiały przejść obok stolika dla dziennikarzy. Mijając Franka Tamlina usłyszały, jak powiedział:

- Ta Katherine Bennet to stara baba, a talentu ma tyle co moja ciotka.

Katherine zrobiła się czerwona.

- A to cham - szepnęła do Betty. - Jak mógł coś takiego powiedzieć?

- Kawał skurwysyna! - skomentowała Betty.

- Kto? - zainteresował się Jean-Claude.

- Nie znasz go - odparła prędko Katherine, nie chcąc kolejnej awantury.

- Wiesz, Kitty, tam skąd ja pochodzę, żaden dżentelmen nie odezwałby się w ten sposób o damie. Uważam, że tym dziennikarzom trzeba by dać ostrą nauczkę - powiedziała Betty.

- No, dobrze już, Betty, uspokój się. Naprawdę, Jean -Claude, nie ma o czym mówić.

Betty jednak nie dało się już zatrzymać. Gdy uraczyła siedzących przy stole opowieścią o tym, co przed chwilą usłyszała, Francuz przybrał nieokreślony wyraz twarzy. Uśmiechnął się do Betty, a nachyliwszy się do Kitty, spytał:

- Dolać ci wina, chérie?

- Wolałabym zatańczyć - szepnęła.

Jean-Claude natychmiast poderwał się na nogi.

Pozostali na parkiecie przez kilka tańców, ocierając się o połowę teatralnego Londynu. Potem Jean-Claude odprowadził Kitty do stolika.

- Przepraszę cię teraz na chwilę, chérie - powiedział, po czym skierował się do przyglądającego się im z uśmiechem Franka Tamlina. Jednym prędkim ruchem wyciągnął spod niego krzesło.

- Mówiłem ci, żebyś się odczepił od panny Bennet - syknął, pochylając się nad leżącym na podłodze dziennikarzem. - Zrobiłeś to już drugi raz tego wieczora. Radzę ci, przyjacielu, żeby się to nie powtórzyło.

- Ale facet westchnęła z podziwem Betty. - Prawdziwy mężczyzna. Takich już dziś nie produkują, moja droga.

- Faktycznie - przyznała Katherine.

Jean-Claude spokojnym krokiem wrócił do ich stolika. Gdy usiadł, szepnął:

- Przepraszam, chérie, ale ktoś musiał dać nauczkę tej świni. Mam nadzieję, że nie przekroczyłem granicy.

- Nie. - Katherine czuła się jak nastolatka. - Zachowałeś się bez zarzutu, Jean-Claude.

Gdy bankiet dobiegał końca, Betty i Stan wymyślili, żeby wybrać się na jednego do Annabels. Ten ekskluzywny nocny klub na Berkeley Square przyznawał członkostwo wyłącznie ludziom bardzo bogatym, bardzo sławnym oraz arystokratom. Kiedy się tam zjawili, Chris de Burgh śpiewał właśnie „Panią w czerwieni”. Światła były przygaszone, panował romantyczny nastrój. Katherine znowu wtopiła się w ramiona Jean-Claudea, prawie tak, jak gdyby już do niego należała. Był dobrym tancerzem, miał doskonale wycucie rytmu. Robił wrażenie mężczyzny, który dobrze wie, czego chce i do tego dąży. Ale gdyby przypadkiem nie osiągnął tego, co zamierzał, nie rozdzierałby szat. Takie połączenie silnej osobowości z nienagannymi manierami bardzo jej się podobało.

Kiedy z nią rozmawiał, zdawało się jej, że poza nią nikt dla niego nie istnieje. Miał też tę miłą cechę, że nie traktował siebie śmiertelnie poważnie. Była ciekawa, jakby jej się z nim kochało; już na samą myśl o tym dostawała zawrotów. Och, jaką miała ochotę iść z nim do łóżka. Od czasu rozejścia się z mężem z nikim nie spała i gdyby Jean-Claude tylko zechciał, ona długo by się nie zastanawiała.

O czwartej nad ranem, wypiwszy kilka butelek Kruga, opuścili Annabels. Najpierw odwieźli Katherine do Ritza. Chalmersowie czekali w samochodzie, aż Jean-Claude odprowadzi ją do wejścia. Ujął ją za rękę i pocałował w spód dłoni.

- Au revoir, Katherine - powiedział cicho. - To cudowny wieczór. Nie wiem, jak mam ci dziękować, chérie.

Zajrzał jej w oczy i Katherine wpadła w przerażenie. Nie, nie, on nie może odejść. Jeszcze nie. Chciała, żeby został, chciała się z nim znowu spotkać. Wiedziała jednak i on wiedział, że gdyby teraz wszedł z nią do Ritza, w jutrzejszych gazetach roiłoby się od niewybrednych insynuacji,

Powiedział kiedyś, że bywa w Los Angeles kilka razy do roku. Ale kiedy? Kiedy przyjedzie?

- Wybierasz się może niedługo do Los Angeles? - spytała zdławionym głosem, bo miała sucho w gardle. Była bardzo skrepowana. Wiedziała, że nie powinna tak się dopytywać.

- Niewykluczone, że będę w Stanach w przyszłym miesiącu. Las Vegas wyraziło zainteresowanie moimi usługami. Muszę to wykorzystać.

- Obiecaj, że dasz mi znać, jak przyjedziesz poprosiła wsuwając mu do kieszeni karteczkę, na której wcześniej zapisała swój numer telefonu. - Chętnie się z tobą znowu zobaczę.

- Moiaussi - szepnął jej do ucha. - Gdybym wierzył w istnienie duszy, Kitty, powiedziałbym, że nasze dusze musiały się poznać już dawno, dotknął wargami jej dłoń i odszedł

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Fragment z „The National Enquirer”, 20 sierpnia 1988 r.

„Kamyczek do ogródka zarozumiałych gwiazd! Dumna Katherine Bennet udaje, że nie ma nic wspólnego z pewną niewydarzoną aktorką z Broadwayu o tym samym nazwisku. Za każdym razem, gdy ktoś z zespołu „Skeffingtonów” skieruje rozmowę na temat jej kariery teatralnej, Georgia Trująca Brzoskwinia odchodzi obrażona. Cała obsada aktorska i obsługa techniczna ma po dziurki w nosie jej nieznośnego zachowania, które pasuje jak ulał do granej przez nią postaci. Radzimy ci, Kitty, lepiej szanuj ludzi, których spotykasz pnąc się na szczyt, bo jak będziesz z niego schodzić, niewykluczone, że znowu się natkniesz na kogoś z nich i nagle stwierdzisz, że leżysz na ziemi jak na swoim ostatnim występie w nowojorskim teatrze”.

Fragment z „The Globe”, 20 września 1988 r.:

„Kupa śmiechu! Goście szpanerskiej knajpy Spago cieszyli się, jak gdyby im ktoś w kieszeń narobił, kiedy superdiwa Georgia Skeffington vel Trująca Brzoskwinia, wielka nowojorska eks-tragiczka Katherine Bennet, pośliznęła się na liściu sałaty i wylądowała na siedzeniu! Ten zabawny incydent miał miejsce w chwili, gdy Katherine opuszczała modną restaurację wsparta na ramieniu jednego ze swoich licznych narzeczonych, fryzjera Carlosa di Souza, lat dwadzieścia siedem, młodszego od niej o osiemnaście lat. A dobrze jej tak - zarechotała jej była wielbicielka, Belinda Nash, lat szesnaście. - Woda sodowa zaczęła uderzać jej do głowy. Nie chce już rozdawać autografów. Zapomina, że to my, jej fani, stworzyliśmy ją i my też możemy ją zniszczyć. Brawo, Belinda! A ty, Georgio T.B. lepiej miej się na baczności. Jeśli odwrócą się od ciebie twoi fani, telewizzowie pójdą w ich ślady”.

Fragment z „New York Daily Post”, 29 września 1988 r.:

„CZY GEORGIA TRUJĄCA BRZOSKWINIA UMRZE RAZ NA ZAWSZE?

Gwiazda serialu „Rodzina Skeffingtonów”, Katherine Bennet, powiększy statystykę zabójstw. Specjalista od efektów specjalnych wyprawi wkrótce na tamten świat graną przez nią postać, Georgię Skeffington. Podobno producent Gabe Heller ma już tak dość skarg na awantury i humory Bennet, że poważnie rozważa zastąpienie jej inną gwiazdą, na przykład Donną Mills.

Ze źródeł dobrze poinformowanych wiemy o napiętych stosunkach między Bennet a odtwórczynią głównej roli w kosztującym dziesięć milionów dolarów miniseriale „Kochankowie Lady Hamilton” Eleonorą Norman, która w ubiegłym sezonie zyskała wielką popularność. Osoba udzielająca nam tych informacji wyraziła się następująco: „Pan Heller nie lubi, gdy stworzone przez niego gwiazdy zachowują się jak niegrzeczne dzieci. Uważa, że

winne mu są posłuszeństwo i lojalność". (Cztery lata temu Bennet była nikomu nieznaną nowojorską aktorką teatralną). Abstrahując od osoby Bennet, zamordowanie Georgii Skeffington osiągnie prawdopodobnie największą oglądalność w historii telewizji. Notowania Skeffingtonów od ponad roku spadały i wciąż utrzymują się na niskim poziomie. Zamordowanie Georgii mogłoby dodać serialowi pieprzu".

- Kochanie, nie powinnaś tak zadzierać nosa. Za kogo ty się uważasz, za... Liz Taylor? Katherine zazgrzytała zębami.

- Nie, mam, nie uważam się za nikogo poza sobą samą i boli mnie, że wierzysz w te wszystkie bzdury!

- W zeszłym tygodniu umówiłaś się z Clintem Eastwoodem i wystawiłaś go do wiatru. W tym tygodniu kaszasz rękę, która cię karmi. Przestań, Kitty, bo cię wyrzucą. Tak przynajmniej piszą w gazetach.

Katherine uniosła oczy do nieba. Dlaczego jej matka, skądinąd zdrowa na umyśle Angielka, dawała wiarę wszystkiemu, co wypisywano w prasie brukowej?

- Dobrze, mam, ale teraz muszę już iść. Zadzwoń do ciebie później.

Odłożyła słuchawkę, nie dając Verze rozpocząć następnej tyrady. Odwróciła się do Brendy.

- Boże, jak ja mam dość tych gazetowych plotek. Przecież w nich nie ma słowa prawdy.

- Wiem, kochanie, wiem. Ktoś zrobił ci świństwo. Od wakacji minął dopiero miesiąc, a o mnie piszą coraz gorzej. Dlaczego? - zastanawiała się Katherine. - Dlaczego akurat do mnie się przyczepili? Dlaczego nie do Eleonory? Nie do Suzanne? To nie do wiary. Kto wymyśla te wszystkie brednie?

- Nie wiem - odparła Brenda.

- Same kłamstwa. - Katherine przerzuciła wycinki z gazet piętrzące się na jej biurku. - Ani krztyny prawdy. Spójrz na to! Zazdroścę Eleonorze! Miałabym czego. Gra jak noga stołowa, jest złośliwa jak małpa i włosy jej wypadają. Czego tu zazdrościć?

- Ty nikomu nie zazdrościsz, a już na pewno nie temu workowi silikonu.

- To prawda, że jej nie lubię. Ma ptasi mózdzek - rzekła Katherine. - Ale ona za mną też nie przepada, więc jesteśmy kwita. A ta głupia historia z moim rzekomym poślizgnięciem się na salacie! To przydarzyło się nie mnie, lecz Suzanne, i nie w Spago, tylko w Hamburger Hamlet.

- Kitty, wiesz, że rubryki towarzyskie nie dbają o dokładność. Na szczęście nikt długo tego nie pamięta.

- Coraz bardziej kłamią. Boże, czy sądzisz, że ludzie uwierzą w tę ostatnią historię?

- Nie. I nie myśl już o tym, tylko wreszcie ulóż włosy. Za chwilę wchodzisz w świat magii.

- Czarnej magii, jeśli wziąć pod uwagę, skąd to gównem trafiło do gazet. - Przejechała grzebieniem włosy. - Wiesz, wygląda na to, że ktoś celowo stara się mnie skompromitować.

- Kto miałby coś takiego robić? Zresztą nikt nie byłby zdolny do takiego świństwa. W każdym razie nie za moich czasów.

Ktoś jednak był zdolny do takiego świństwa. To Eleonora, która marzyła o wygryzieniu Katherine z serialu, wpadła wreszcie na doskonały pomysł, jak tego dokonać. Umówiła się z „The National Tattler”, że będzie podrzucać im skandaliki z udziałem Bennet, oni zaś w nagrodę od czasu do czasu wydrukują coś pochlebnego o niej. Jedyne szkopuły polegały na tym, że notowania serialu bardzo spadły od poprzedniego sezonu i nad producentami - jak również nad Eleonorą - zawisło widmo końca. Postanowiono jednak walczyć, poświęcając jednego z bohaterów. Ze względu na złe recenzje wybór padł na Katherine. Wtedy się okazało, że wbrew temu, co piszą o niej w gazetach, widzowie nie zgadzają się na uśmiercenie Georgii Skeffington. Producenci stanęli wobec ważnego dylematu. Katherine spytała Stevena, jak jego zdaniem rozwinie się sytuacja.

- Nie mogę ci zdradzić treści dalszych odcinków, Kitty. Ale bądź spokojna. Jesteś wisienką na środku naszego tortu. Serial bez ciebie nie pociągnie.

- Boże, żebym mogła podzielać twój optymizm. Mam jednak uczucie, że w powietrzu czai się coś groźnego.

- Chcesz powiedzieć, że za naszymi plecami ktoś dokona czegoś w rodzaju zastrzelenia J.R.?

- No, ale sam zobacz, jak to wpłynęło na ich notowania, Steve. „Dallas” skoczyło na górę listy i pozostało tam przez trzy sezony.

- Niby masz rację, Kitty, ale nie panikuj. Obiecuję, że dam ci znać, jak zechcą się cię pozbyć.

-Wielkie dzięki. Steven... - zawahała się. Chciała go spytać, czy prawdą było to, co mówiono w studiu o rozpadzie jego małżeństwa z Mandy. Chyba nie było powodu, żeby owijać rzecz w bawełnę. - Skoro jesteśmy przy plotkach... słyszałam, że rozchodzicie się z Mandy. Tak mi przykro... - urwała, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

Steven wybawił ją z zakłopotania, mówiąc:

- Rzeczywiście się rozchodzimy. Wiesz, Mandy jest bardzo kochaną dziewczyną, przeżyliśmy razem wiele miłych chwil, ale nie miałem szans z tym jej trenerem, sobowtórem

Arnolda Schwarzeneggera. Kitty, mnie z kolei doszły słuchy, że w twoim życiu pojawił się nowy mężczyzna.

Wzruszyła ramionami.

- Chciałabym, żeby tak było. Owszem, poznałam kogoś we Francji, ale od tamtego czasu nawet nie zadzwonił. Zapomniał o mnie.

- Musiałby być głupi - rzekł Steven, starając się zwalczyć w sobie zazdrość. - A co tam z Johnnym?

- Czuje się coraz lepiej. Dzięki Bogu, bo Tommy się trochę uspokoił.

Jean-Claude Valmer przeczytał kronikę towarzyską w samolocie, lecąc z Paryża do Nowego Jorku. Nie posiadał się z oburzenia. Wprawdzie spotkał się z Katherine tylko dwa razy, lecz już wiedział, że nie jest taka, jak ją opisują. Jemu też media kiedyś obrzydzały życie. W portfelu miał karteczkę z numerami telefonów Katherine i jak tylko przybył na lotnisko, wykręcił numer jej garderoby.

- Czego? - rozległ się nieprzyjemny kobiecy głos.

- Czy mogę prosić panią Bennet?

- Sprawdzę, czy jest. A kto mówi?

- Nazywam się Jean-Claude Valmer. Proszę jej powiedzieć, że poznaliśmy się we Francji.

- Jean-Claude! Co za niespodzianka! Jak się masz? - Czarownica w mgnieniu oka przemieniła się w uroczą królową.

- To ty, Kitty? Wydawało mi się, że rozmawiałem z jakąś megierą.

- W ten sposób staram się odstraszyć moich szalonych fanów. - Roześmiała się. - Nie uwierzyłbyś, ilu ludzi zna ten numer, chociaż jest zastrzeżony. Skąd dzwonisz?

- Z Nowego Jorku. Mam tu kilka spraw do załatwienia. Później muszę skoczyć do Newady. Potem jednak mógłbym wybrać się do Los Angeles. Jak długo jeszcze tam będziesz?

- O, chyba zawsze. Nie wyjeżdżam stąd, chyba, że na krótkie wakacje, które wydają mi się już takie odległe.

- Ciężko ci kochanie, co? - W jego głosie brzmiało współczucie.

- Czasami. - Nagle Katherine zapragnęła zwierzyć mu się ze wszystkich smutków. Ośmielił ją. Wystarczyło, że usłyszała jego głos, a od razu poczuła się bezpieczniej.

- Widziałem, co o tobie nawypisywali. W głowie się nie mieści. - Jego głos docierał do niej przez łączące ich pięć tysięcy kilometrów światłowodów.

- Tak to już jest w tym zawodzie! - Roześmiała się słabo. - Media ostatnio bardzo się na mnie zawzięły.

- Nie zasłużyłaś na takie traktowanie, Kitty - rzekł cicho. - Jesteś na to o wiele za dobra.

Wcześniej tłumione uczucia dały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Na dźwięk głosu Jean-Claudea Katherine dosłownie topniała. Pomyślała, że za wszelką cenę musi się z nim zobaczyć.

- Gdzie się zatrzymasz w Los Angeles?

- Tak jak zwykle. W Beverly Hills Hotel. Ewentualnie u Quentina.

- Albo u mnie - wyrwało się jej.

Zaskoczyła sama siebie. Co to takiego? Pożądanie? Szaleńcza miłość? Potrzeba towarzystwa? Zaczerwieniła się. W słuchawce zapanowała długa, długa cisza.

- To chyba nie wypada - powiedział delikatnie. - Za mało się znamy.

- Masz rację powiedziała.

Boże, czemu się tak rumieniła?

- Ale chętnie się z tobą zobaczę, Kitty, bardzo chętnie. Czuję, że nie powiedzieliśmy sobie jeszcze wielu rzeczy.

- Zgoda.

- Zadzwoń do ciebie natychmiast po przyjeździe, to się umówimy na spotkanie.

- A jak myślisz, kiedy to będzie? - Przygryzła wargi. Znowu ją poniosło.

- No... za jakiś tydzień. Pójdziemy się gdzieś zabawić. - W jego głosie brzmiała obietnica.

- Inaczej byłabym niepokieszona.

Kiedy następnego dnia wróciła po pracy do domu, Brenda wręczyła jej kolejną złotą płytę.

- Tym razem co napisał? - spytała. - Nieładnie mieć tajemnice przed przyjaciółką.

- Tytuł płyty brzmi „Nigdy się nie dowiesz” - przeczytała Katherine. - Pamiętam, to była ulubiona piosenka Very. A napisał: „Mam jednak nadzieję, że wkrótce się dowiesz”.

Na pierwszym spotkaniu w Los Angeles Katherine zabrała Jean-Claudea do Ma Maison. Ze wszystkich restauracji Ma Maison najbardziej przypominało francuskie bistro, a w balsamiczne wieczory patio zapełniało się zarówno sławnymi ludźmi, jak i takimi, którzy marzyli o sławie, oraz takimi, którym to marzenie nigdy się nie ziści.

Katherine przeżywała istne katusze, zastanawiając się, co włożyć na tę okazję. Zwykle łatwo podejmowała tego rodzaju decyzje, tym razem jednak przymierzyła co najmniej sześć kreacji i dalej nie była przekonana, czy dokonała właściwego wyboru. Ponieważ w St Tropez Jean-Claude wyraził podziw dla jej ramion, postanowiła, że znowu go uraczy ich widokiem. Włożyła, więc krótką sukienkę z białej koronki, odpowiednio wyciętą, żeby odsłonić opaleniznę i nieco piersi. Następnie tak długo szczotkowała włosy, aż zaczęły błyszczeć. Potem zmyła gruby telewizyjny makijaż, musnęła cieniem powieki, różem policzki, szminką wargi. Stojąc przed dużym lustrem, zaczęła przymierzać różne klipsy.

- O, do diabła z klipsami - zdenerwowała się nagle i wpięła za lewe ucho świeżą gardenię.

Nie знаła się na mowie kwiatów. „Czy przypadkiem kwiat za lewym uchem nie oznacza przyzwolenia?” - zaniepokoiła się. No to co? Wzruszyła ramionami. Dużo by dała, żeby wieczór zakończył się tak, jak marzyła. Było jej wszystko jedno, co Jean-Claude o niej pomyśli. Ileż zimnych nocy już upłynęło, odkąd dzieliła łóżko z mężczyzną? Nie myślała wcale, że następnego dnia musi wcześniej wstać. Radość, że go zobaczy, że będzie blisko niego, wzięła górę nad rozsądkiem.

Jean-Claude przyjechał o siódmej. Kiedy Katherine ujrzała go w białym salonie studiującego trzy złote płyty na półce nad kominkiem, pomyślała, że wygląda przystojniej, niż zapamiętała. Jego opalenizna wydawała się bardziej złocista, jasne włosy bardziej niesforne, a oczy bardziej zielone.

- Widzę, Kitty, że te płyty przypadły ci do gustu - powiedział.

- Och, bardzo. Chciałabym jednak wiedzieć, kto mi je przysłał?

- Stoi przed tobą.

Katherine zaniemówiła.

- Tak, to ja, Kitty. Marzyłem o tym, żeby cię poznać.

Jean-Claude chciał ją zabrać na kolację do LOrangerie, ale nie sprzeciwił się, gdy zaproponowała pójście na bankiet do Ma Maison.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wystawia go na ciężką próbę. Na tym bankiecie miała być połowa przemysłu rozrywkowego i wielu znajomych, i wszyscy będą na pewno chcieli uścisnąć dłoń jej najnowszemu narzeczonemu. Wydawany przez Beverly i Halahawnów bankiet z okazji urodzin Gabe'a Hellera odbywał się w zarezerwowanych na tę okazję salach na piętrze Ma Maison. Kiedy weszli, wszystkie oczy spoczęły na nich. Niewątpliwie stanowili z Jean-Claudeem dobraną parę, ale Katherine liczyła się z tym, że dla wielu kobiet jego urok i seksapil będzie wyzwaniem.

- O rany, Kitty, skądżeś wytrzasnęła to cudowne męskie ciało? - spytała ją szeptem Donna Mills, gdy poprawiały makijaż w toalecie.

- Zaimportowałam - odparła z tajemniczym uśmiechem Katherine.

- Tak, trzeba to sobie szczerze powiedzieć, że tutaj tacy faceci nie występują. Czy on aby na pewno nie jest aktorem?

- Na pewno. - Katherine przyjrzała się swojej twarzy. Jedno było pewne, mogła świetnie się obejść bez różu. Policzki miała zarumienione, oczy jej błyszczały, a krew w niej wrzała. - To cywil. Nie należy do naszego świata, i dzięki Bogu.

- A ty masz minę kota, który zjadł kanarka - uśmiechnęła się Donna, tapirując jasne włosy.

-Jeszcze nie, ale wieczór dopiero się zaczął.

Kiedy Katherine wróciła na salę, Jean-Claude rozmawiał z Sharon Lasker, młodą żoną starego hollywoodzkiego bonzy. Sharon Lasker zawsze okropnie leciała na mężczyzn teraz też emanowała gotowością seksualną. Grubo upudrowaną twarz zbliżyła na odległość kilku centymetrów od twarzy Jean-Claudea i wbijając w niego oczy z turkusowymi soczewkami kontaktowymi, oblizywała powiększone kolagenem błyszczące wargi, jak gdyby zamierzała go zaraz zjeść. W pewnej chwili wsunęła mu do kieszeni na piersi swoją wizytówkę. Jean-Claude jednak nie dał po sobie poznać, że zauważył jej zabiegi, a cofnąwszy się nieznacznie, odwrócił się do Carolyn Łupino, żony prezesa wytwórni filmowej Paradigm Pictures i zręcznie wciągnął ją do rozmowy. Powrót Katherine powitał promiennym uśmiechem. Poczęstował ją papierosem ze złotej papierośnicy. W środku był wygrawerowany jakiś napis. Katherine nie mogła po wstrzymać ciekawości i ukradkiem zerknęła. „Szaleję za tobą” - przeczytała. Poczowała ukłucie w sercu, odezwała się zwykła kobieca zazdrość, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Słuchajcie, marzę o tym, żebyście oboje przyszli w sobotę na przyjęcie urodzinowe Lwa - rzekła Carolyn Łupino do Jean-Claudea. - Kończy sześćdziesiąt lat. Ale proszę zachować to dla siebie, byłby bardzo niezadowolony, że zdradzam jego wiek.

Katherine miała już przyjąć zaproszenie, kiedy Jean -Claude powiedział gładko:

- To bardzo miło z pani strony, ale oboje z Kitty mamy już inne plany. Na weekend wyjeżdżamy do Palm Springs.

Katherine uniosła brwi. Czy wymyślił to, żeby grzecznie wykręcić się z tego przyjęcia, czy zaczynał nią rządzić? Tak czy owak, było jej wszystko jedno - w jego towarzystwie czuła się cudownie. Palm Springs? Czemu nie? Chętnie spędzi z nim weekend. I to niejeden.

- No dobrze, to może spotkamy się kiedy indziej - wycofała się Carolyn. - A teatralnym szeptem powiedziała do Katherine: - On jest cudowny, Kitty. I bardzo miły. Lubię Francuzów od czasu, kiedy gościliśmy na kolacji Yvesa Montanda.

Po sali rozeszły się śmiechy i szept. Katherine uznała je za przedsmak tego, co ją czekało. Była tak pewna siebie, że nawet widok Eleonory Norman beczelnie flirtującej z Jean-Claudem nie zepsuł jej humoru. Miała dość rozsądku, żeby tego nie komentować ani nie wypytywać go o szczegóły ich znajomości. Na wszystko przyjdzie czas. A że przyjdzie, upewniła się jeszcze raz, gdy Jean-Claude objął ją w pasie, schylił głowę i szepnął:

- Jesteś tu najpiękniejszą kobietą, Kitty, o wiele piękniejszą od innych.

W drodze powrotnej plotkowali o gościach na bankiecie, zaśmiewając się do łez. Katherine używała sobie na pani Łupino i parodiowała udawany przez Eleonorę akcent angielskich wyższych sfer. I tak dojechali do bramy jej domu.

Teraz jej serce zaczęło tak głośno bić, że Jean-Claude musiał to słyszeć. Gdy żelazne wrota się rozsunęły, Katherine zobaczyła, że w pokoju Tommy'ego pali się światło. „W tej sytuacji - pomyślała rozczarowana - Jean-Claude zgodzi się wejść tylko na pożegnalny kieliszek”. Fakt, że Tommy nie spał o tej porze, nie wróżył nic dobrego. Katherine liczyła się z tym, że jego od dłuższego już czasu wzorowe zachowanie nie będzie trwało wiecznie.

Wysiedli z samochodu i stanęli przy frontowych drzwiach. Gdy Katherine wyjęła klucze, Jean-Claude wziął ją za rękę i uściśnął delikatnie.

- A więc zobaczymy się w piątek. Mam nadzieję, że lubisz Palm Springs, Kitty.

- Uwielbiam Palm Springs - szepnęła.

- Cieszę się.

Pocałował ją delikatnie w usta, szepnął: „Najpiękniejsza”, po czym wsiadł do wynajętego samochodu i odjechał.

Katherine patrzyła za nim lekko zawiedziona, pocieszyła się jednak myślą, że do piątku został tylko jeden dzień. Tyle czasu może jeszcze poczekać, zresztą najpierw musi zająć się synem.

Jeszcze nim weszła do pokoju Tommy'ego, wiedziała ła, że stało się coś niedobrego. Przez drzwi dobiegał ogłuszający hałas muzyki rap. Zapukała, ale Tommy jej nie usłyszał. Pchnęła drzwi. Tommy leżał na łóżku w ubraniu. Oczy miał zamknięte, na policzkach jednak było widać ślady łez. Obok łóżka, na podłodze wały się puste butelki po piwie, mnóstwo opakowań od balo ników, a na kupie brudnych skarpetek leżała odwrócona spodem do góry pizza. Pokój sprawiał wrażenie, że przeszło przez niego tornado.

- Tommy, co tu się dzieje?

Nie odpowiedział, leżał dalej z zamkniętymi oczyma, a pokój trzął się od muzyki zbuntowanej młodzieży.

Katherine podeszła do telewizora i przekręciła gałkę wyłącznika. Tommy natychmiast otworzył oczy, spojrzał na nią gniewnie i spytał:

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Jest po północy, a ty jutro idziesz do szkoły. Powiedz mi, dlaczego jeszcze nie śpisz. Co się stało?

Posłał jej niewyraźny uśmiech. Czknął.

- Nic się nie stało, mamuś. Zupełnie nic. Wszystko w porządku - wymamrotał.

Katherine zmarszczyła czoło, podeszła do łóżka, na co Tommy odwrócił głowę. Objęła ją dłońmi i odwróciła z powrotem ku sobie. Źrenice miał zwężone do wielkości łebka od szpilki, a na jego twarzy malował się dziwny, bezbronny wyraz.

- Synku - powiedziała, starając się zapanować nad głosem. - Gdzie ty byłeś? Co robiłeś?

- Byłem u taty. - Odsunął się od niej rozdrażniony.

- Ach, tak? Jak on się czuje?

- Chyba dobrze. To okropne, że musi mieszkać w takim chlewie. - Spojrzał na nią oskarżycielsko. - Ale gdzie ma mieszkać za tę jałmużnę od ciebie?

- Jałmużnę? O czym ty mówisz, synku? Twój tata i ja nie jesteśmy już małżeństwem. Wszystko zostało ustalone w sądzie. Zawarliśmy bardzo sprawiedliwy układ.

- Dla ciebie, ale nie dla niego. - Tommy popił piwa i spojrzał na matkę wyzywająco. - Ach, te kobiety. Ani z nimi żyć, ani je zabić - zachichotał.

- Ćpałeś coś, synku?

Nadał się. Wzruszył ramionami.

- Oj, odczep się ode mnie - zajęczał.

- Nie odczepię się. W każdym razie dopóki nie powiesz mi prawdy. Czy ojciec dał ci jakiś narkotyk?

Jego czujne, wystraszone spojrzenie powiedziało jej, że trafiła.

- Dał, no i co z tego? Zresztą to był tylko skręt.

- Tylko skręt, powiadasz. Twój ojciec przeszedł ciężką chorobę. I co robi? Narkotyzuje się, ciebie w to wciąga, a ty mi mówisz, „co z tego”. Co w ciebie wstąpiło, synku?

- Jesteś strasznie staroświecka, mamuś. Zrozum wreszcie, że palenie trawy niczym się nie różni od palenia tych twoich głupich Marlboro. - Rozkręcił telewizor na cały regulator. -

Zejdź na ziemię, mamuś. W dzisiejszych czasach wszyscy palą... wszyscy palimy, więc niepotrzebnie tyle nadajesz.

Katherine wiedziała, że z człowiekiem pijanym lub będącym pod wpływem narkotyku nie ma sensu dyskutować, nawet, jeśli jest nim jej własny syn.

- Masz rację, chyba rzeczywiście nie jestem w stanie powstrzymać cię od robienia czegoś, co robią wszyscy - rzekła. - Ale powiem ci jedno. Nie spotkałam nikogo, kto by brał narkotyki, palił trawę, wachał kokainę czy co tam jeszcze i miał umysł w porządku. Narkotyki niszczą mózg, synku, paraliżują myślenie.

Jej słowa nie robiły na nim wrażenia. Ugryzł kawałek pizzy, popił piwem i mruknął, nie odrywając oczu od ekranu:

- Dobranoc, mamuś. Idź już spać.

Ciężkim krokiem powlokła się do swojej sypialni. Jej myśli wróciły do Jean-Claudea i Palm Springs. Postanowiła, że Tommym zajmie się dopiero w przyszłym tygodniu, a przez najbliższe kilka dni nie będzie się niczym martwiła.

- Nic mnie już nie powstrzyma - zanuciła cicho, szcztokując włosy. - Nic mnie już nie powstrzyma.

Biały bungalow Quentina w Palm Springs znajdował się przy jednej z uliczek odchodzących od Bob Hope Avenue. Okna wychodziły na grubą zieloną murawę pola golfowego i fioletowawe, zapierające dech w piersi, góry Jacinto. Jean-Claude i Kitty dotarli tam po lunchu, w największy upał. Jean-Claude natychmiast zaproponował kąpiel w basenie.

- Nie ma tu żadnej służby - oznajmił. - Domek jest mały, poza tym Quentin lubi spokój i dyskrecję. Podobnie jak ja.

„I jak ja” - pomyślała Katherine, rozbierając się w ogromnej sypialni w stylu lat pięćdziesiątych. Na ścianach wisiały urocze indiańskie obrazki, a wypolerowaną drewnianą podłogę pokrywały azteckie dywany.

W domu były tylko dwie sypialnie; większa dostała się Katherine. Jean-Claude nie tracił czasu na rozpakowywanie walizki - wstawił ją do sypialni i wrócił po kilka toreb z jedzeniem, które stały pod tylnymi drzwiami.

Katherine włożyła obcisły czarny kostium kąpielowy i obejrzała się w dużym lustrze. Skrzywiła się.

- Jestem stanowczo za gruba - mruknęła do siebie. - Lepiej zacznij się odchudzać, moja droga, bo inaczej Gabe znowu wezwie cię na dywanik.

Rzuciła na łóżko najnowszy scenariusz w żółtej okładce, zatytułowany: „Rodzina Skeffingtonów, odcinek 106.- Kto to zrobił?”

Powinna koniecznie przeczytać go przez ten weekend, ale w tej chwili nie była w stanie się skoncentrować na niczym innym poza Jean-Claudeem. Na myśl o tym, co ją czeka, dostała gęziej skórki. Zrobiło jej się zimno mimo upału.

On tymczasem, pogwizdując, rozkładał w kuchni zakupy. Bardzo porządny facet. Zupełnie jak żona. „Właśnie takiego mi potrzeba” - pomyślała Katherine, która nie była kura domową, nigdy nie przepadała za gotowaniem czy robieniem zakupów, a tym bardziej obecnie, kiedy każda jej wyprawa do sklepu powodowała małe zamieszanie.

Poczuła się gotowa, żeby stawić czoło gorącemu południu w Palm Springs. Basen, którego część była zacieniona przez wysokie palmy, migotał w słońcu zapraszająco. Niewielki wybieg z tyłu domu robił wrażenie dobrze utrzymanego, kaktusy wznosiły się strzeliście, meble na patio były stare, lecz wyszorowane do czysta, a materace na dwóch leżakach pokryto śnieżnobiałymi ręcznikami.

W drzwiach od kuchni pojawił się Jean-Claude z tacą zimnych napojów. Miał na sobie niebieskie spodenki kąpielowe, które ujawniały jego pięknie umięśnione ciało.

- Voila - postawił tacę na stole i podał jej plastikowy kubek w wisienki. - Ulubiony napój madame. Szampan z sokiem brzoskwiniowym.

Czy on zawsze tak wszystko pamięta? U Betty Katherine wspomniała mimochodem, że uwielbia koktajl Bellini i oto stał przed nią, zrobiony z Kruga i soku wyciśniętego ze świeżych brzoskwiń. Jak mu się udało tak prędko go przygotować?

- Mamy tutaj gosposię na przychodne. Wzywamy ją, kiedy jest pilnie potrzebna. - Uśmiechnął się. - Bardzo posłuszna dziewczyna.

- Czy takie kobiety lubisz?

- Nie. Lubię, żeby kobieta była energiczna, inteligentna i bardzo piękna. Jak ty. - Stał blisko niej, przewyższając ją wzrostem, bo była bez pantofli. Pochylił głowę i zanurzył twarz w jej włosach.

- Pachniesz tęczą stwierdził. - Tęczą i bzami.

- Uwielbiam tęczę i bzy - przyznała, popijając koktail. Jednocześnie pomyślała, że tęczą chyba nie pachnie. - To najlepszy Bellini w moim życiu. Wszystko ci się tak udaje?

- Prawie wszystko. - Uniósł kieliszek. - Możesz się sama przekonać.

Spojrzała na niewielki kort tenisowy.

- Przypuszczam, że w tenisie też jesteś mistrzem.

- Sprawdź mnie - odparł z uśmiechem. - Niestety, lubię wygrywać.

- To zupełnie jak ja - stwierdziła Katherine.

Od towarzystwa Jean-Claudea i koktajlu cudownie kręciło się jej w głowie. Kiedy rozejrzała się za papierosem, Jean-Claude domyślnie podsunął jej swoją złotą papierośnicę. Znowu jej wzrok padł na napis „Szaleję za tobą”.

- Chciałabyś się dowiedzieć, kto mi ją podarował? - spytał.

Pokręciła głową .

- Chyba nie - odparła z uśmiechem.

Wiedziała, że nie należy wypytywać mężczyzn o ich dawne miłości. Nie chciała znać żadnych imion, dat, szczegółów. Zazdrość o przeszłość nie miała sensu, liczyło się to, co było teraz. Kiedy zapalał jej papierosa, nie mogła się powstrzymać, żeby nie dotknąć jego brody. Poczula jego zapach - zapach silnego samca. Jego świeżo ogolona twarz była miła w dotyku, jasnozielone oczy zaglądały w jej oczy. Delikatnie wyjął z jej dłoni kubeczek i odstawił go na stół. Po czym, jeszcze delikatniej, objął ją.

Odgłosy czyjegoś śmiechu w sąsiedztwie i koncertu Mozarta, który Jean-Claude wcześniej włączył, dokądś odpłynęły. Katherine słyszała teraz tylko bicie swojego serca. Ich usta się spotkały. Setki razy całowała się z partnerami na planie, ale ten pocałunek był inny. Był pierwszym słodkim badaniem terenu przez kochanka. Delikatnym, czułym, zarazem namiętym, zmysłowym. Katherine od razu poczuła, że chce należeć do tego mężczyzny. Została po to stworzona. Zaraz się to stanie.

Wziął ją na miękkiej trawie nieopodal basenu, gdzie palmy osłaniały ich od piekącego słońca.

Katherine należała do wiernych kobiet. W przeciwieństwie do niektórych swoich koleżanek, nie uprawiała seksualnej akrobatyki ani niczego z zakresu sado-masochizmu. Wierzyła w staroświecką, prawdziwą, wierną miłość. Gdy Jean-Claude poznawał jej ciało, drażnił i łaskotał je wargami i językiem, wstrząsnęła nią namiętność, jakiej nie znała. Poczula też ogromny przyływ miłości. Przez lata udawała, że nie potrzebuje miłości, że jej nie chce. Ale teraz, w to duszne popołudnie w Palm Springs, zrozumiała, jak bardzo się myliła. I tak się to zaczęło.

Przez cały weekend byli zajęci wyłącznie sobą. Dla Katherine taka szaleńcza namiętność była zupełnie nowym doświadczeniem. Jean-Claude należał do mężczyzn hojnie przez naturę wyposażonych i bardzo lubił seks. Nie musiał się uczyć, jak sprawić jej przyjemność; przychodziło mu to równie łatwo jak oddychanie. Raz po raz zabierał ją w niezapomniane zmysłową podróż; wyznawał bowiem teorię głoszoną przez psychologa

Williama Reicha, że nie można mówić o prawdziwej namiętności, jeśli się nie osiągnęło orgazmu,

- Faktem jest - rzekła Katherine - że nigdy nie znudzi ci się sprawdzanie słuszności tej teorii.

- Dla mnie kochanie się z tobą jest wspaniałym doświadczeniem, a to dlatego, że jesteś mi coraz bliższa.

- Tak szybko? - Katherine najchętniej nigdy nie opuściłaby jego ramion.

- Jesteśmy dla siebie stworzeni - szepnęła. - To prze znaczenie, Kitty.

Przez cały magiczny weekend spędzony z Jean-Claudeem Katherine towarzyszyło uczucie harmonii, jakiego nie doświadczyła jeszcze z żadnym mężczyzną. Jako kochanek Jean-Claude spełniał wszystkie jej marzenia. Był czuły, romantyczny, ponętny, inteligentny, kochający, wrażliwy, namiętny i opiekuńczy, słowem uosobienie wszystkich męskich cnót. Powiedział jej, że wprawdzie przeżył wiele romansów, lecz rzadko kochał.

Przez cztery lata Katherine stała sama przy sterze. Podejmowała ważne decyzje, pracowała, prowadziła dom, opiekowała się synem. Sama ponosiła odpowiedzialność za wszystko. Ale mimo siły, jaką czerpała z zajmowanej pozycji, była słabą kobietą. To ta niesłychana sława tak ją osłabiła. Katherine czuła, że Jean-Claude został zesłany jej na pomoc; nie miała wątpliwości, że się w nim całkowicie zakochała.

Drugiej nocy, kiedy leżeli objęci i trochę drzemali, trochę zaś oglądali „Rebekę” na kanale pokazującym stare filmy, Katherine usłyszała jakiś hałas. Jak gdyby skrzypnięcie drzwi. Już wcześniej zwróciła uwagę, że domek Quentina jest słabo zabezpieczony przed nieproszonymi gośćmi, lecz nie miała głowy, żeby się tym martwić. Pilotem wyłączyła głos. Nie było wątpliwości, ktoś chodził po salonie. Jean-Claude też to usłyszał. Zsunął się cicho z łóżka, podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać.

- Zadzwoń na policję? - spytała bezgłośnie, lecz Jean-Claude pokręcił głową.

Owinął się ręcznikiem wokół pasa, otworzył drzwi i na palcach przeszedł nieduży korytarz łączący sypialnię z salonem. Katherine narzuciła szlafrok i podeszła do drzwi sypialni, żeby zobaczyć, co się dzieje z Jean-Claudeem.

Przez otwarte okno do salonu wpadało światło księżyca, w którym było dokładnie widać sylwetki dwóch mężczyzn. Katherine wstrzymała oddech. o, co robił Jean-Claude, było czystym szaleństwem. Zamiast wrócić do sypialni, zabarykadować drzwi i zadzwonić na policję, oświetlił latarką twarze obu intruzów. Ci zaś - chłopcy w wieku Tommy'ego - znieruchomieli niczym zajęte w świetle reflektorów samochodu.

- Uciekajcie mi stąd! Bo wpakuję wam kule w kolana - głos Jean-Claudea przeciął ciszę jak smgnięcie bata.

Katherine ze zdumieniem zobaczyła, że Jean-Claude w prawej ręce trzymał Lugana, wielki czarny pistolet, morderczą broń.

- No dalej, -wstawać! Ręce do góry i już was tu nie widzę! Liczę do trzech. - Głos Jean-Claudea brzmiał jak głos sierżanta musztrującego żołnierzy.

Chłopcy odwrócili się. Jeden z nich trzymał nóż, ale rzucił go i nóż upadł z łoskotem na kamienną posadzkę. Nagle drugi z nich dojrzał stojącą w drzwiach Katherine.

- Ty, patrz, to Trująca Brzoskwinia - syknął.

- Ta wiedźma? Spadamy!

Wyskoczyli z wrzaskiem przez okno, pozostawiając łup na podłodze.

- Boże, Jean-Claude, przecież mogli cię zabić - westchnęła Katherine i osunęła się na kanapę.

- Nie bądź śmieszna - obruszył się, oglądając wyważone okno. - Mało kto odważyłby się mieć ze mną do czynienia. Co dopiero takie złodziejaski. - Położył pistolet na stole.

Katherine skrzywiła się.

- Nienawidzę broni - powiedziała.

- Zło konieczne, chérie. - Zamknął okno, sprawdził zamek i podniósł z podłogi porzucony przez tamtych worek na śmieci wyładowany aparatami fotograficznymi i różnymi cennymi bibelotami.

- Nie przejmuj się, chérie, to byli tylko narkomani. - Objął ją opiekuńczym gestem. - Szczeniaki, które pilnie potrzebowały forsy na działkę.

- Mogli być niebezpieczni.

- Wiem, jak z takimi postępować. Większość ludzi podporządkowuje się rozkazom. Ulegają autorytetowi, zwłaszcza, jeśli stoi za nim taki argument. - Wskazał na pistolet. - Myślę, że najwyższy czas wrócić do łóżka, prawda?

- Prawda - szepnęła.

W następnym tygodniu Jean-Claude z dwiema walizkami, laptopem oraz walizeczką zamykaną na zamek szyfrowy wprowadził się do pokoju gościnnego Katherine. Kitty nie miała najmniejszych wątpliwości, że tego chce, Jean-Claudeowi również to bardzo odpowiadało, tylko Tommy był niezadowolony.

- Mamuś, dlaczego on ma z nami mieszkać?

- Bo go lubię - odpowiedziała Katherine.

Śpieszyła się do pracy, a Tommy zamiast szykować się do szkoły, stał w drzwiach jej garderoby i kopał nogą w podłogę.

- Powiedziałem tacie - rzekł posepnie.

- Co mianowicie? - spytała, usiłując rozczesać włosy splątane od kochania się z Jean-Claudem poprzedniego wieczora. Kochali się po trzy, cztery razy w ciągu jednej nocy na wszystkie możliwe sposoby. Katherine miała zarumienioną twarz i błyszczące oczy. Większość osób połapałaby się od razu, że jest zakochana, ale nie jej syn. Nie czekając odpowiedzi na pierwsze pytanie, zadała drugie. - I co na to tata?

- Że jesteś dziwką.

- Bardzo elegancko!

Pomyślała o czekach, które wciąż wypisywała swojemu byłemu mężowi. Johnny kilka razy w tygodniu odbywał chemoterapię, potrzebował też wielu drogich lekarstw - pieniądze odpływały od niej szerokim strumieniem. Nie miała najmniejszej ochoty wysłuchiwać uwag Tommy'ego.

- Skończyłeś już szesnaście lat i najwyższy czas, żebyś zrozumiał, że matce też się coś od życia należy - powiedziała twardo.

- No to masz tę swoją telewizję. Mało ci?

- Tommy, to, że Jean-Claude się tutaj wprowadził, nie oznacza, że przestałam cię kochać! - Chciała go przytulić, ale zrobił unik.

Zaczął się bawić jej buteleczkami perfum. Był bardziej drażliwy niż zwykle. Katherine zauważyła też, że ma bardzo błyszczące oczy. Ale minęła już ósma, a ona o dziewiątej musiała być w studiu.

- Lecę już, synku, a ty wędruj do szkoły. Porozmawiamy wieczorem.

- Dobra - powiedział zrezygnowany i wyszedł z jej pokoju.

Katherine spojrzała ze smutkiem na zadymione niebo nad Beverly Hills.

- Pauvre petit chou - powiedział ciepły głos. - Odwróciła się. W drzwiach stał Jean-Claude. - Masz kłopoty, chérie.

- Oj, tak.

Rozpostarł ramiona. Katherine podeszła do niego. Kiedy ją obejmował, poczuła, że nic nie jest w stanie jej zagrozić.

- Czy mogę ci jakoś pomóc, chérie? - spytał, gładząc jej włosy, które tego ranka zachowywały się wyjątkowo niesfornie.

- Nie, kochanie - mruknęła. - Tę walkę muszę stoczyć sama.

Zajęta swoim nowym romansem Kitty nie miała czasu przeczytać scenariusza na następny tydzień. Dopiero kiedy weszła do garderoby i zobaczyła smutną twarz Brendy, domyśliła się, co się szykuje.

- Postawili na tobie kreskę - oznajmiła płacząco Brenda.

- Jak to, kreskę?

- Normalnie. Odchodzisz na tamten świat. Zabijają cię. Umierasz, kochana... o, tutaj. Masz, popłacz sobie. - Brenda dźgnęła palcem ostatnią stronę scenariusza i przeczytała: „Georgia: -Nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy. Będziesz się za to smażył w piekle”. (Georgia umiera. Napastnik, którego twarzy nie widzimy, śmieje się i zamyka drzwi. Zbliżenie martwej twarzy Georgii. Koniec)”.
- Nie wierzę - rzekła Katherine.

- A jednak. Przeczytałam to wczoraj wieczorem, nie chciałam jednak do ciebie dzwonić i psuć ci weekendu.

- Rozmawiałaś ze Stevenem?

- Tak. Zadzwoiłam i spytałam, co to ma być. Prawda czy jedna z ich zmyłek?

- Co powiedział?

- Że cię zabijają. Wszystkie seriale są takie same. Od czasu do czasu kogoś się uśmierca. W ten sposób aktorzy nie wyklócają się o wyższe stawki, gdy przychodzi do odnowienia kontraktu.

Katherine opadła ciężko na otomanę.

- Dalej nie wierzę. Przecież widzowie chcą mnie oglądać. Słuchaj, zadzwoń do Gabe'a. Powiedz, że chciałabym z nim porozmawiać.

Rozległo się nieuniknione stukanie do drzwi.

- Kitty, na plan. Na jednej nodze!

- A przedstawienie toczy się dalej. - Katherine za zgrzytała zębami. - Miał rację ten, kto powiedział, że nic tak nie wciąga jak robota w telewizji. Jeszcze jak wciąga.

Później tego dnia Brenda zawiadomiła Kitty, że obaj producenci wyjechali z miasta.

- A to ładnie - powiedziała z ironią Katherine. - Rozmawiałaś z moim agentem?

- Wyraźnie mnie unika. Zasłonił się jakimś służbowym spotkaniem.

- Na miłość boską, co się tutaj dzieje? Zabijają mnie, a ja nie mogę dopukać się ani do agenta, ani do producentów. Moje życie się wali w gruzy i nikogo to nie obchodzi.

Zadzwoił telefon komórkowy.

- Słucham - warknęła.

- Coś nie w porządku, cberie?

- O, to ty, Jean-Claude. Wiesz, mamy tu sądny dzień. Opowiem ci o wszystkim wieczorem. Teraz nie mogę rozmawiać.

Charlie znowu zastukał.

- Masz trzy minuty na ułożenie fryzury, Kitty! - wrzasnął.

- Dobra, dobra, idę!

Włożyła na głowę idiotyczny kapelusz i poszła do fryzjera. Eleonora już tam siedziała. Na jej okrągłej twarzy malowało się zadowolenie.

- Dzień doły, długa Kitty. Jak się udał weekend? - spytała słodko.

Kitty spojrzała na nią krzywo. Od razu zajęto się jej włosami i kapeluszem, a Betty zaczęła walkę z kołnierzem jej gryzącego fioletowego kostiumu.

- Świetnie - odparła krótko.

- Miło to słyszeć, kochana. Wiesz, jestem desolee, że nas opuszczasz, chérie...

Fatalny francuski akcent przypomniał Katherine, że kiedyś widziała Eleonorę z Jean-Claude'em na bankiecie Jake'a. Pomyślała, że koniecznie musi go o to wypytać... - jednocześnie się ciesząc, bo przychodzi do nas Donna Mills jako twoja cudownie odnaleziona siostra.

- No cóż, trudno wszystkich zadowolić - odparła Katherine z udawaną obojętnością.

- O, ja myślę, że akurat ty to potłafisz - rzekła Eleonora. W jej zbyt mocno podkreślonych makijażem oczach pojawił się błysk.

Katherine wstała, wygładziła zbyt obcisłą, zbyt krótką spódnicę, po czym zeszła po schodach na plan - w sam środek magicznego kręgu świateł.

- Najważniejsze, że mam Jean-Claudea - pocieszyła się w myśli.

Podczas jednej z przerw podszedł do niej Charlie.

- Telefon do ciebie, Kitty. Twoja matka.

Katherine z ciężkim westchnieniem podniosła słuchawkę telefonu, który stał na lekkim przenośnym stoliku obok bufetu.

- Cześć, mama. Jak się czujesz?

- Dobrze, Kit-Kat, całkiem dobrze, jeśli nie brać pod uwagę astmy. Ale łykam nowe lekarstwo i nie mam już tamtych ataków.

- To dobrze, cieszę się.

Charlie dotknął jej ramienia.

- Gotowi - powiedział bezgłośnie.

Skinęła potakująco głową, choć dobrze wiedziała, że matce trudno przerwać, gdy się nastawiła na dłuższą rozmowę.

- Powiedz mi, Kitty, kim jest ten Jean-Claude Valmer czy jak go tam zwą. To coś poważnego? - spytała Vera.

Katherine nabrała w płuca powietrza i mimo woli się uśmiechnęła.

- Tak, mam, to coś poważnego, a poza tym to najlepsza rzecz, jaka zdarzyła mi się od wielu lat.

- W takim razie będę trzymała kciuki za ciebie, Kit-Kat. Ale bądź ostrożna. Wiesz, że masz pecha do mężczyzn. Jeśli jednak to taki wspaniały facet, to nie daj mu odejść.

- Nie dam - obiecała Katherine żarliwie.

Tego wieczora Katherine zwierzyła się Jean-Claudeowi ze wszystkich zmartwień. Opowiedziała mu o swoich finansowych i podatkowych kłopotach, o księgowym, który ją bez wątpienia okradał, o następcy Pedra, tajemniczym Chińczyku Wonie, którego Tommy, za jego plecami, nazywał „Żółtkiem”, o tym, że czuła się winna wobec syna i o chorym eks-mężu, który wyciągał od niej wszystkie pieniądze.

Kiedy dobiegła do końca swojej opowieści, prawie płakała. Przytuliła się mocno do Jean-Claudea.

- Niczym się nie martw, cherie- powiedział, obejmując ją. - Pomogę ci. Obiecuję, że rozwiążę wszystkie twoje problemy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gabe i Luther przyjęli Katherine nazajutrz. Znowu tak na nią patrzyli, że poczuła się niegrzeczną dziewczynką.

- Naprawdę postanowiliście mnie zabić? - spytała wprost.

- Spadają notowania naszego serialu. Musimy coś zrobić, żeby je podnieść - odparł Gabe, bawiąc się kościano-malachitowym nożem do otwierania kopert.

- To wiem - rzekła Katherine. Dla każdego, kto znał fanaberie wolnego rynku, było rzeczą naturalną, że sieci telewizyjne konkurowały ze sobą, a te najbardziej popularne zgoła toczyły walkę na noże. Odbijało się to na notowaniach seriali w taki sposób, że w jednym tygodniu dany tytuł zajmował na liście Neilsona pierwsze miejsce, w następnym zaś spadał na dziewiątą lub nawet jeszcze gorszą pozycję. Niektóre skakały jak piłeczka jo-jo. - wiem również, że w zeszłym tygodniu mieliśmy lepsze notowania od rozgrywek ligowych, a wcześniej, przez trzy tygodnie, przegrywaliśmy z miniserialami - zauważyła spokojnie.

- Żeby tylko z miniserialami - rzekł zirytowanym głosem Gabe.

- Czy możecie mi powiedzieć, dlaczego akurat mnie postanowiliście złożyć w ofierze? - spytała, zapalając papierosa drżącymi rękoma.

- Robimy to dla dobra serialu, Katherine - szczechnął Luther. - Nic poza tym się dla nas nie liczy.

- Byłam wobec was bardzo lojalna. Byłam lojalna również wobec serialu. Wiem, w gazetach wypisywano o mnie różne bzdury, ale wy chyba nie przywiązujecie wagi do tego, co drukują te szmaty. - Zauważyła, że obaj odwrócili od niej wzrok. - Nie powiecie mi chyba, że wierzycie w te brednie?

- Nie w tym rzecz, w co my wierzymy, Katherine - zdenerwował się Luther. - Chodzi o to, że musimy podnieść notowania. Wiesz, jak próba zamordowania J.R. wpłynęła na oglądalność „Dallas”? Otóż chcemy wykorzystać tę sztuczkę w „Rodzinie Skeffingtonów”.

- A jeśli notowania nie wzrosną? - spytała Katherine.

- Napisano o mnie wiele okropnych rzeczy, ale nie zapominajcie, że pisano również dobrze. Na przykład, że beze mnie ten serial byłby do niczego. - Dojrzawszy błysk gniewu w oczach Gabe'a, prędko się poprawiła. - Nie, nie, oczywiście, źle się wyraziłam. Chciałam powiedzieć, że beze mnie też byłby doskonały, ale... no... inny. Zresztą, po co ja wam to mówię. Założeniem było, że będę nieco zaostrzać tę potrawę, prawda?

Przytaknęli obaj, a Gabe powiedział:

- Aby położyć kres twojemu zdenerwowaniu, zdradzimy ci, Kitty, że przygotowaliśmy dwa zakończenia. Ale - tu ściszył dramatycznie głos - to drugie nakręcimy na zamkniętym planie, a wszystkie osoby zaangażowane w to przedsięwzięcie zobowiązemy do zachowania całkowitej tajemnicy.

- Czy wszyscy aktorzy zostaną w to wtajemniczeni? - spytała niespokojnie Katherine, której szósty zmysł mówił, że oczernianie jej przez gazety jest, przynajmniej częściowo, robotą Eleonory.

Gabe żywił podobne podejrzenia, ale nawet palcem nie ruszył w tej sprawie, licząc, że domniemana nienawiść między Eleonorą a Katherine korzystnie wpłynie na notowania serialu.

- Z aktorów tylko ty będziesz o tym wiedziała, Kitty. - Posunął w jej stronę parę arkuszy papieru. - Masz, przeczytaj to. Myślę, że ci się spodoba.

Katherine przerzuciła kartki i uśmiechnęła się.

- To jest to drugie zakończenie?

Pokiwał głową.

- Uhm.

- Co zadecyduje o tym, które z nich wybieriecie?

- Przeprowadzimy ankietę. Wszystko zależy od widzów. Jeśli zechcą, żeby Georgia Trująca Brzoskwina umarła, to damy pierwsze zakończenie. Jeśli nie, to...

- Zostanę? - spytała Katherine.

- Uhm. - Gabe spojrział na zegarek. - Ale o tym dowiemy się dopiero dwa tygodnie po zakończeniu tej części serialu.

- A co będzie ze mną przez ten czas?

Luther uśmiechnął się chytrze.

- Pójdiesz na mały urlop, Katherine. Oczywiście, płatny.

- Co będzie, jeśli widzowie zechcą śmierci Georgii?

- Wtedy, dziewczynko, będziemy musieli porozmawiać z twoim agentem - odparł Gabe.

Katherine przełknęła ślinę. Ten kto powiedział, że w Hollywood ludzie są pozbawieni uczuć, bynajmniej nie przesadził. Ci dwaj z całą pewnością mieli serca z kamienia. Ich zimne, granitowe oczy mówiły, że była im zupełnie obojętna. Już zapomnieli, że to dzięki jej popularności serial osiągnął najwyższe notowania i utrzymał je przez prawie dwa lata. Nic ich nie obchodziło, że ona, straciwszy tę rolę, jako aktorka będzie skończona. Dla nich liczył się tylko serial.

- Dobra, Kitty, wracaj do pracy - rzekł Gabe.

- Życzę przyjemnego dnia. - Żółte zęby Luthra obnażone w uśmiechu przypominały kły.

- Po tym, co mi tu powiedzieliście? - Posłała im wymuszony uśmiech i wyszła.

„Cóż, jak mówi moja matka, Psy szczekają, karawana idzie dalej” - mruknęła do siebie.

Kiedy zrelacjonowała sprawę agentowi, ten przyjął to dość spokojnie.

- Cóż, poczekamy na rozwój wypadków - powiedział.

- I to wszystko? Mamy czekać na rozwój wypadków?

- A co innego możemy zrobić?

Agencja Hala oprócz Katherine reprezentowała Alberta Amory’ego, Gabe’a Hellera i Luthera Immermana. Aktorów i aktorki można zawsze zastąpić innymi, wielkich producentów nie. Katherine niewątpliwie była popularna, lecz jak długo to jeszcze potrwa; na jej miejsce czekało już mnóstwo młodszych, bardziej zdeterminowanych aktorek. Hal nie prowadził instytucji charytatywnej. Więcej, w głębi duszy pogardzał aktorami, czym wcale nie wyróżniał się wśród agentów hollywoodzkich. Co by się stało, gdyby Katherine odeszła z serialu i z jego agencji? Absolutnie nic. Tam, skąd przyszła, takich aktorek były tysiące. Tysiące.

Jean-Claude natomiast jej relacją bardzo się przejął i wyraźnie zdenerwował.

- Cholerni dranie. Nie rozumiem, jak oni mają czelność traktować cię w ten sposób? Jesteś jedną z najślawniejszych kobiet na świecie. Jesteś znana we Francji, w Europie, Afryce, słowem wszędzie, gdzie wyświetlają „Skeffingtonów”. Jak mogą cię tak lekceważyć?

- Wiesz, kochanie, tak naprawdę to jestem tylko małym trybikiem w olbrzymiej maszynie, i do tego niezbyt ważnym. Mogą się mnie pozbyć, kiedy im przyjdzie na to ochota. Wyrzucą mnie jak parę starych butów. Skoro się chce podnieść notowania, a moja śmierć na ekranie ma wpłynąć na nie korzystnie, to na pewno nie będą się wahać.

Leżeli przytuleni, oglądając w telewizji stary film ze Spencerem Trącym.

- Kitty, czy zgodziłabyś się, żebym wziął tę sprawę w swoje ręce? - spytał, głaszcząc jej włosy.

- A co ty mógłbyś zrobić?

- Wiesz, chyba coś wymyśliłem. Wprawdzie sam byłem gwiazdą tylko trzy lata, ale mam głowę do interesów i w przeciwieństwie do nich wierzę w twój talent.

- Co więc zamierzasz?

- Ach, dużo by mówić. - Pocałował ją w czoło, pogładził jej gołe ramiona. - Czas spać, moja kochana diwo. Potrzebujesz się wyspać, żeby pięknie wyglądać. Jutro zaczynasz o piątej, nest-ce pas?

- Tak. - Uśmiechnęła się, zamykając oczy.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób Jean-Claude mógłby wyciągnąć ją z tej trudnej sytuacji, ale przyjemnie jej było, że stanął po jej stronie.

- Dobranoc, kochanie - szepnęła.

W następnym tygodniu Katherine i Jean-Claude praktycznie się nie rozstawali. Jean-Claude spełniał wszystkie jej zachcianki; każdą chwilę wolną od pracy spędzała teraz z nim. Jego nigdy nie zaspokojony apetyt seksualny, oczywiste zaangażowanie się w jej życie i oddanie stworzyły między nimi więź, która z dnia na dzień była coraz silniejsza. Zachowywali się tak, jak zwykle zachowują się kochankowie - spacerowali po dzikich wzgórzach za Benedict Canyon, oglądali filmy w Universal Cineplex, jedząc popcorn i hot-dogi, albo włączali się od kina do kina, aż poczuli, że kina mają dość. Katherine na te wyprawy ubierała się w dżinsy, bawełniane koszulki, tenisówki, wkładała ciemne okulary, włosy chowała pod czapkę z daszkiem. Na ogół udawało się jej zachować incognito. Ale nie zawsze.

- To przebranie jest do kitu - powiedział jej pewnego wieczora, kiedy na parking przy Universal City wtargnął tłum, machający kawałkami papieru i długopisami. - Musisz wymyślić jakieś inne, cherie.

Katherine uśmiechnęła się do niego wesoło przez morze rąk.

Czasami jechali jego czarnym kabrioletem BMW na plażę Malibu albo Santa Monica. Katherine bardzo lubiła, gdy tak sobie mknęli w dół autostradą nad Pacyfikiem, wiatr rozwiewał jej a jemu mierzwił włosy, słońce świeci ło wysoko na niebie, a Sarah Vaughn lub Ella Fitzgerald przekrzykiwały warkot silnika.

Kilka razy zaproponował jej, żeby mu towarzyszyła w podróży w interesach do Los Angeles, ale zawsze się wykręciła.

- Kochanie, wiesz, że źle znoszę tłok. Pojechałam tam dwa lata temu i ledwo uszłam z życiem. Prawie mnie zadusili przy stole gry. - Pogłaskała go po głowie, świadoma, że zrobiła mu zawód.

- Mogłabyś włożyć swoją czapkę.

- Kochanie, sam wiesz najlepiej, że to niewiele pomaga. A jeśli już mają mnie poznać, to wolę wyglądać jak Katherine Bennet, a nie jak jakiś okropny przebieraniec.

Westchnął teatralnie.

- Niech ci będzie. Ale nie myśl, że mi to odpowiada.

Georgia Skeffington została postrzelona w piątek wieczorem, kilka minut po siódmej. Potem całe studio wyjechało na weekend, a Katherine, dziesięciu techników i reżyser wrócili na plan, w obecności Gabe'a i Luthera podpisali zobowiązanie do zachowania tajemnicy i nakręcili scenę, w której Katherine - zabandażowana, w łóżku szpitalnym - odzyskuje przytomność. Teraz pozostawało jedynie czekać.

Sześć tygodni po wprowadzeniu się do jej domu Jean-Claude poprosił Katherine, żeby została jego żoną.

- Dopiero, co się rozwiodłam - powiedziała słabym głosem. - Nie sądzisz, że to zbyt prędko?

- Nie, dlaczego? Uważam, że jeśli dwoje ludzi kocha się tak jak my, to powinni się pobrać. Chcę spędzić z tobą resztę mego życia, Kitty. Myślę, że wiedziałem o tym od chwili, w której zobaczyłem cię pierwszy raz. Powiedziałem ci, że wierzę w pokrewieństwo dusz i w to, że twoja i moja dusza znały się od dłuższego czasu. Myślę, że to prawda. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Sama o tym wiesz, Kitty.

Katherine nie odpowiadała. Kręcąc włosy na palcu, patrzyła na niego w zamyśleniu.

- Kocham cię, Jean-Claude - powiedziała w końcu - ale nie mogę wyjść za ciebie.

- Dlaczego nie? - Podeszedł do niej, ujął silnie jej dłoń. - Chcę, żebyś była panią Valmer - rzekł, głaszcząc jej serdeczny palec.

- Tak... może pewnego dnia... ale znamy się tak krótko. A poza tym, co z moją pracą? Wciąż jeszcze pracuję.

Na razie starała się nie myśleć o odcinku „Kto to zrobił?” Wkrótce jej los zawodowy zostanie przypieczętowany. Studio, zamiast dać jej obiecane dwa tygodnie wakacji, wysłało ją w objazd po Stanach z zadaniem promowania „Rodziny Skeffingtonów”.

- Domyślam się, że chcę sprawdzić, czy ludzie mnie jeszcze lubią - powiedziała Brendzie.

- Będę cię póty prosił, żebyś została moją żoną, póki się nie zgodzisz - zapowiedział Jean-Claude. - Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy się pobrać.

- Choćby z powodu dzieci - odparła Katherine. - Ja prawdopodobnie nie mogę mieć więcej dzieci. Tak mówi li lekarze, gdy urodziłam Tommy'ego, zresztą chyba jestem na to za stara.

- Nie zależy mi na dzieciach. Raz, że za nimi nie przepadam, a dwa, że już mamy Tommy'ego. Nie dzieci chcę, lecz ciebie, Kitty. - Katherine w milczeniu patrzyła przez okno.

- Cherie, chcę, żebyś była moja już na zawsze. Nigdy nie czułem się szczęśliwszy i wiem, że ty jesteś szczęśliwa ze mną. Będziemy sobie żyć we dwoje, oglądać wieczorami telewizję, jeździć na przejażdżki lub po prostu się kochać.

- Ale to za szybko, za szybko, Jean-Claude. Potrzebuję czasu do namysłu. Zrozum, kochanie, dopiero, co się rozwiodłam.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- W ten weekend muszę skoczyć do Las Vegas rzucić okiem na nasz nowy hotel. Chciałbym ci go pokazać. Pojedziesz ze mną?

Pokręciła głową.

- Przykro mi, kochanie, ale nie mogę. Tommy zaprosił mnie na swój mecz baseballowy. Zależy mu, żebym była na widowni.

- Cóż robić? W Las Vegas wystąpię jako samotny stary kawaler.

- Proszę cię, Jean-Claude, nie wywołuj we mnie poczucia winy. Trudno jest wszystkich zadowolić. - Usiadła mu na kolanach i zjrzała w oczy. - Kocham cię, najdroższy. Będziesz o tym pamiętał?

Uśmiechnął się, ale Katherine czuła, że jest smutny.

- Cóż, nie chcesz zostać moją żoną, to będziesz chociaż, jak to mówią, moją dziewczyną numer jeden.

- Już nią jestem.

Teoretycznie Katherine nie miała nic przeciwko poślubieniu Jean-Claudea. Ale nie tak prędko. Z Johnnym przeżyła dwadzieścia lat, z których ostatnie cztery były istnym piekłem. Na razie na myśl o ponownym zamążpójściu dostawała wysypki.

W czasie kiedy Jean-Claude bawił w Las Vegas, za dzwonił Hal, agent Katherine.

- Mam ci coś do zakomunikowania, Kitty - oznajmił podnieconym głosem. - Jeśli wylecisz z „Rodziny Skeffingtonów”, sieć ABA proponuje ci rolę w innym serialu,

- Żartujesz? Wreszcie jakaś dobra wiadomość. A jak do tego doszło?

- Spytaj o to swego narzeczonego.

- Jean-Claudea? Co on takiego zrobił?

- Najwyraźniej zaprosił na lunch Carolyn Łupino, która, jak wiesz, pociąga wszystkie sznurki w imperium Lwa. Domyślam się, że Jean-Claude porozmawiał z Carolyn, Carolyn porozmawiała z Lwem, Lew zaś porozmawiał z kierownictwem ABA. Chcą nakręcić nowy

serial z tobą w roli głównej. Wiesz, Kitty, tylko tyle ci powiem: trzymaj się swego wspaniałego faceta.

- Taki mam zamiar. Bardzo trudno mi w to wszystko uwierzyć, Hal. Widocznie Jean-Claude ma wielką siłę przekonywania.

- Widocznie. Niechętnie, ale muszę przyznać, że załatwił ci to, czego agencja nie była w stanie.

- Zaraz do niego zadzwonię, żeby mu podziękować - rzekła Katherine, odkładając słuchawkę.

W Las Vegas poinformowano ją, że Jean-Claude wyjechał do Reno obejrzeć miejsce pod nowy hotel. Nie wiedzieli, gdzie zamierzał się zatrzymać. Wrócił następnego dnia w bardzo dobrym humorze.

- To będzie naprawdę cudo, chérie - rzekł z entuzjazmem. - Hotel typu prowansalskiego, tyle, że w środku pustyni.

- Brzmi bardzo obiecująco - powiedziała.

Wypili butelkę szampana, a potem tak długo się kochali, że Katherine nie miała okazji porozmawiać z nim na temat rewelacji Hala.

Następnego wieczora wróciła do domu akurat na czas emisji odcinka „Kto to zrobił?” Jean-Claude i Tommy zdążyli właśnie zjeść pizzę i teraz siedzieli z nosami przylepionymi do telewizora. Maria przyniosła jej kawałek pieczonej ryby z brokułami; Katherine znowu przestrzegła swojej nudnej diety. Odcinek skończył się słowami: „Wielki Boże, zabili Georgię Skeffington”.

- Jesteś sprytnym menedżerem, kochanie - zagaiła Kitty, gdy na ekranie pokazały się końcowe napisy.

- Hal ci powiedział.

- Aha. Powiedz tylko, w jaki sposób udało ci się przekonać ABA, żeby mnie wzięło? Po tych wszystkich bzdurach, które o mnie wypisywali i plotkach... myślałam, że należę już do historii.

Z tajemniczym uśmiechem położył palec na wargach.

- Ciii. O nic nie pytaj, chérie. Liczy się tylko wynik. Teraz musimy poczekać i zobaczyć, jak ten ostatni odcinek zostanie przyjęty, prawda?

- Tak, a w niedzielę wyjeżdżam. O rany, kochanie, ten objazd będzie prawdziwym koszmarem. Pomyśl tylko, dwanaście miast w dwa tygodnie. Wszyscy będą zadawać w kółko te same głupie pytania, wciąż będę pod ostrzałem aparatów fotograficznych. – Wzdrygnęła się. - Najchętniej bym to rzuciła w diabły.

Usiadł obok niej.

- No to rzuć, Kitty - szepnął. - Proszę cię, rzuć to i wyjdź za mnie.

Zajrzała głęboko w jego duże zielone oczy. Pokręciła głową.

- Och, najdroższy, nie mogę. Kocham cię, uwielbiam, ale... nie mogę, jeszcze nie. Proszę cię, kochanie, poczekaj. Tylko kilka miesięcy, aż będziemy siebie zupełnie pewni. Kiedy znowu wyjdę za mąż, chciałabym, żeby to było już na zawsze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Katherine wróciła ze swojej dwutygodniowej podróży reklamowej bardzo wyczerpana, lecz szczęśliwa, że znowu zobaczy Jean-Claudea. „Tęsknota z pewnością wzmacnia miłość” - pomyślała, patrząc z podziwem na sylwetkę wysokiego, silnego mężczyzny czekającego w hallu, żeby się z nią przywitać. Jean-Claude jednak nie chwycił jej w ramiona, jak się spodziewała, lecz powitał ją chłodno, jak gdyby żywił do niej jakąś urazę. Z czymś takim nie spotkała się ani razu przez poprzednie dwa miesiące.

- Co u ciebie, kochanie? Tęskniłeś za mną? - spytała zaniepokojona i spróbowała się do niego przytulić, ale on trzymał ją na odległość wyciągniętych ramion i patrzył chłodno.

- Uhm. Trochę.

- Tylko trochę? - Zaniepokoiła się jeszcze bardziej, ale udała, że się śmieje. Zrzuciła płaszcz, wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu.

Mimo późnego popołudnia słońce świeciło wyjątkowo mocno, odbijając się w oślepiająco białych kanapach, chromowanych lustrach i niezliczonych rokokowych przedmiotach ze szkła i srebra. Jean-Claude nie usiadł obok niej na kanapie, jak zwykle czynił, lecz położył się na twardym leżaku, którego surowość doskonale pasowała do jego nastroju. Położył dłonie na ostrych oparciach i zaczął stukać w nie palcami. Katherine wydawało się, że jego zielone oczy patrzą przez nią, jak gdyby była przezroczysta.

- Wyglądasz na wykończoną - stwierdził bez cienia współczucia.

- Bo jestem wykończona, kochanie. Dosłownie padam na twarz. - Znowu próbowała się roześmiać, ale zabrzmiało to dość żałośnie.

Sięgnęła po papierosa, Jean -Claude nawet się nie ruszył, żeby podać jej ogień.

- Nie rozumiem, po co doprowadzasz się do takiego stanu, Katherine. - Oglądał z uwagą paznokcie, wkładając dużo energii w odsunięcie wymagowanej skórki.

- Nie bądź niemądry, kochanie. - Tym razem próba roześmiania się spełzyła na niczym.

- Wiesz, że musiałam poddać się temu testowi popularności. Wypadł, jak się zdaje, całkiem dobrze, a to oznacza, że nie wytną mojej roli. W każdym razie mam taką nadzieję.

Wzruszył ramionami niemal z pogardą, a potem zapalił papierosa i odwrócił się, żeby podziwiać widok Los Angeles, nieco zamazany wieczornym smogiem.

Katherine papieros smakował jak popiół, zgasila go z obrzydzeniem. To nie był mężczyzna, którego kochała. Co się z nim stało podczas jej nieobecności? Rozkład jej zajęć w czasie wyjazdu był tak napięty, że wieczorem zasypiała stojąc, więc ich rozmowy telefoniczne z konieczności były bardzo zwięzłe. Teraz Katherine przypomniała sobie, że

przez telefon Jean-Claude wydał się jej chłodny, niekomunikatywny, obcy, ale złożyła to na karb odległości, niedoskonałości telefonów i więcej o tym nie myślała.

- Napijesz się czegoś, kochanie? - Posłała mu bardzo zalotne spojrzenie i pozęgłowała w stronę lustrzano-srebrnego barku, wykonując po drodze piruet.

Jej spódnica zawirowała, odsłaniając na moment nogi w pończochach z czarnymi podwiązkami. Zwykle Jean-Claude lubił widok jej czarnych podwiązek, lecz dziś nawet nie spojrzał.

- Nie - odpowiedział burkliwie na jej pytanie. - I dlaczego nie wezwiesz lokaja, żeby podał ci drinka?

- Myślę, kochanie, że powinniśmy uczcić mój powrót - ciągnęła nie zrażona. - Nie widzieliśmy się przez ponad dwa tygodnie. Mamy mnóstwo do nadrobienia.

- Za dużo pijesz - skwitował, obserwując dym z papierosa, unoszący się spiralnie pod sufit.

Katherine nalala sobie mocnej whisky Chivas Regal. Poczula, że wracają jej kolory. Na dźwięk lodu wrzucanego do szklanki zjawil się nowy lokaj, Chińczyk.

- Witam panią w domu - powiedział, kłaniając się. - Mam nadzieję, że podróż się udała.

- Dziękuję, Won, udała się. - Spojrzała na zegarek.

- O której zjemy obiad, kochanie? - spytała odwróconego plecami Jean-Claudea

- Wszystko mi jedno - odparł apatycznie. Takiego tonu jeszcze u niego nie słyszała. - Jak ty chcesz, Katherine. I tak zawsze robisz, jak chcesz.

Dopila whisky i dała znać czekającemu Wonowi, żeby podał jej następną.

- Zjemy o siódmej - powiedziała lokajowi, starając się, żeby jej głos brzmiał normalnie, choć czuła straszny ucisk w sercu. - Proszę nakryć w... nie, w pokoju śniadaniowym.

Zaciągnawszy się głęboko papierosem, Jean-Claude wypuścił trzy idealne kółka dymu.

- Pójdę się przebrać - oznajmiła wesoło, choć odnosiła wrażenie, że za chwilę stanie się coś strasznego. - Włożę coś wygodniejszego, zjemy i... porozmawiamy. Mam ci tyle do opowiedzenia, kochanie.

W sypialni Maria i nowa pokojówka rozpakowywały ochoczo siedem eleganckich walizek Katherine. Maria zapewniła Katherine, że bardzo się cieszy z jej powrotu.

- Brakowało nam pani, senora. Bez pani to nie to samo.

- Dziękuję, Mario. - Katherine poczuła, że zaraz się rozplącze, więc prędko ukryła się w łazience. Jej twarz widziana w ostrym oświetleniu i powiększającym lustrze wołała o litość. Jean-Claude miał rację, że wyglądała na wykończoną. Do tego czuła się jak zwiędły liść.

Ściany w łazience od podłogi do sufitu były wyłożone lustrami, kiedy więc rozebrała się, chcąc nie chcąc musiała oglądać siebie odbitą setki razy pod wszystkimi możliwymi kątami. A lustra nie kłamią. W tych widać było aż nadto dokładnie rezultaty samotnych nocy spędzonych w hotelu. Dwa tygodnie opróżniania podręcznych barków, wypijania jednej po drugiej miniaturowych buteleczek szkockiej i wódki - to wszystko było wypisane na jej ciele. Większość kobiet uznałaby ją za bardzo szczupłą, ale w swoich oczach była gruba, a ciało miała pokryte rozstępami. Ujęła w dwa palce nadmiar tłuszczu w pasie. „Maximilian mnie zabije” - jęknęła. Często powtarzał, że na niej nawet worek wyglądałby szykownie.

- Teraz już by tak nie powiedział - mruknęła, wchodząc do marmurowej wanny, którą napelniła wodą z aromatycznymi olejkami. - Jutro po mieście rozejdzie się plotka, że przyjechała jakaś gruba baba.

Po kolacji złożonej z sałatki, soli gotowanej na parze i sorbetu z mango, z trudem przechodzących jej przez gardło, Katherine poczuła, że powieki same jej się zamykają. Ale chociaż była bardzo zmęczona, musiała dowiedzieć się, co mu dolegało.

- Co się stało, kochanie? Proszę, powiedz mi, czemu jesteś w złym humorze?

- W złym humorze? Ja? - Udawał zdziwionego i rozbawionego jednocześnie. - Nic się nie stało, Kitty, zapewniam cię.

- To dobrze. Bardzo się cieszę. Wydałeś mi się jakiś... zmieniony. Mam nadzieję, że to nie ma żadnego związku ze mną.

- Żadnego. - Zapalił papierosa i znowu zaczął patrzeć przez okno.

- Nie do końca ci wierzę, ale mam nadzieję, że cokolwiek to jest, może poczekać do jutra. Dziś czuję się zbyt zmęczona na poważną rozmowę, a ty, jak widać, też nie masz na nią ochoty. Jestem na nogach od prawie dwudziestu godzin. W głowie mi się kręci z niewyspania.

- Świetnie. - Uśmiechnął się w ten swój nowy sposób. Katherine zrobiło się sucho w ustach. - Idź do łóżka. Ty zawsze jesteś zmęczona, Kitty. Potrzebujesz snu, żeby ładnie wyglądać. Muszę jeszcze załatwić kilka telefonów, więc nie czekaj na mnie. Nie będę przeszkadzał ci w twoim upiększającym śnie.

Słyszac ironię w jego głosie, zagryzła wargi, ale nic nie powiedziała, tylko dopiła wina i wstała. Kiedy nachyliła się, żeby go pocałować, odwrócił głowę.

- Dobranoc, najdroższy, zobaczymy się jutro - szepnęła i starając się zachować godność, poszła na górę po marmurowych schodach.

Won podreptał za nią w swoich miękkich chińskich kapciach.

- O której pani jutro wstaje?

- Za piętnaście szósta. Powiedz Samowi, żeby przygotował samochód.

Ale, mimo że była wykończona, sen nie przychodził i dwie godziny później wciąż nie spała, słuchając, jak Jean-Claude rozbiera się w pokoju obok, w imponującym męskim gabinecie z mahoniowymi meblami, zaprojektowanym dla poprzedniego właściciela. Wsunęła się głębiej między białe chłodne prześcieradła.

- Nie masz pojęcia, jak dobrze leżeć we własnym łóżku - powiedziała, gdy do pokoju wszedł Jean-Claude ubrany w spodnie od piżamy.

Piżama? Jean-Claude zawsze spał nago. Co się, do diabła, dzieje?

- Jeszcze nie śpisz? - zdziwił się, po czym włączył telewizor i zaczął zmieniać kanały z częstotliwością jeden na sekundę. Zawsze ją to irytowało, a teraz doprowadzało po prostu do szaleństwa.

- Popatrzmy może na Larry'ego Kinga - zaproponowała po pięciu minutach zagryzania warg, obejrzawszy migawki ze wszystkiego - od hokeja po wideoklipy. - Nie mogę zasnąć, jak co chwila zmieniasz kanał.

Westchnął, nacisnął wyłącznik, zgasił lampkę nocną po swojej stronie i odwróciwszy się do niej tyłem, powie działał zimno:

- Dobranoc, Katherine.

W pokoju panowała ciemność lekko rozproszona mglistym światłem księżyca. Katherine czuła się pusta, zmarznięta, smutna. Pragnęła, żeby Jean-Claude ją przytulił, objął, żeby ich ciała splotły się ze sobą. Pragnęła miłosnej intymności. Ale nie seksu. Na seks nie miała ochoty. Była zanadto zmęczona. Jean-Claude jednak nagle go zapragnął. Bez słowa przyciągnął Katherine i zadarł jej koszulę nocną. A więc o to miał pretensje? „No cóż - pomyślała - trzeba mu okazać więcej entuzjazmu, skoro poczuł się tak wyposzczony”. Jean-Claude wepchnął brutalnie jej głowę pod kołdrę, kiedy jednak jej zabiegi nie dały rezultatu, pociągnął ją boleśnie za włosy.

Zaskoczona, zaszokowana patrzyła bez słowa na jego wykrzywioną wściekłością twarz, oświetloną delikatnym, przefiltrowanym przez szczeliny w żaluzjach, światłem.

- Nie dziś, - stwierdził i podciągnął spodnie od piżamy. Urok prysnął. - Chcę się trochę przespać. Dobranoc.

Odsunął się od niej możliwie jak najdalej, przyjął pozycję embrionalną i zamknął oczy.

Upokorzona, wściekła Katherine obciągnęła koszulę nocną i umościwszy się na drugim końcu łóżka powiedziała lodowato:

- Dobranoc. Przepraszam, że jestem zmęczona.

- Nie przepraszaj - odparł znudzonym tonem. - Nic się nie stało. To nie ma znaczenia, naprawdę.

Ale Katherine doskonale wiedziała, że miało to wielkie znaczenie.

W zimnej porannej ciemności rozległ się dzwonek budzika. Katherine wstała i poszła do ubieralni. Na biurku naprzeciwko toaletki piętrzyły się listy, faksy i gazety; pijąc mocną kawę przygotowaną przez Marię, mimochodem spojrzęła na wycinek z „Daily Post”, który jej matka przefaksowała poprzedniego dnia, a na marginesie napisała: „Powiedz mi, że to nieprawda”.

Fragment z „The American Tattler”, 8 września 1988 r.:

„Między odtwórczyniami dwóch głównych ról kobiecych w coraz mniej popularnym serialu sieci ABN „Rodzina Skeffingtonów” panuje dzika nienawiść. Katherine Bennet, lat 43, grająca Georgię Trującą Brzoskwinie, jest do szaleństwa zazdrosna o wszelkie wyróżnienia, które spotykają uroczą Eleonorę Norman, lat 38. Straciwszy niedawno rolę Emmy Hamilton na rzecz Pięknej Angielki, Bennet podobno wpadła w furie.

„Eleonora może być sobie młodsza nawet o dziewięć lat, ale kiedy gramy razem, ja ją żuję i wypluwam”, - rozповідаła na prawo i lewo Trująca Brzoskwinia. Bennet, obrażona na Hollywood, że za późno ją odkryło, zdenerwowana starzeniem się, na planie jest tak nieznośna, że nawet dobroduszny Albert Amory, lat 69, nie może znieść jej humorów. Wieść gminna głosi, że żadna inna sieć telewizyjna nie odważy się zaangażować Katherine Bennet”.

- Niech to diabli porwą! Dlaczego, do jasnej anielki, piszą te bzdury?

W drzwiach stanął Jean-Claude.

- Co się tu dzieje? - spytał zdenerwowany. - O co ci chodzi tym razem? Rany, dlaczego robisz ze wszystkiego taką aferę, Katherine?

- Zobacz. - Pokazała mu gazetę. - Powiedz mi, jak by ci się podobało, gdyby coś takiego napisano o tobie? O Boże!

- Jakie to ma znaczenie?

- Przecież dobrze wiesz, że to nieprawda.

- Jakie to ma znaczenie...?

- Jakie znaczenie? Boże Wszechmogący, ogromne znaczenie. Cholernie wielkie znaczenie, Jean-Claude. - Jej głos podniósł się o oktawę. - Wszyscy przeczytają w tym parszywym mieście i uwierzą, że taka jestem. To zawodowa śmierć... ani się obejrzę, będę pariasem. Będę jak trędowata, nikt nie zechce mnie zatrudnić poza...

- Och, ucisz się wreszcie - brutalnie przerwał jej Jean-Claude. - Zamknij gębę, Katherine, przestań już na mnie wrzeszczeć.

- Nie wrzeszczę na ciebie - powiedziała ściszym głosem, chociaż trzęsła się z wściekłości. - Po prostu wrzeszczę. Czy to już człowiek nie może sobie nawet powrzeszczeć?

- Chodzi o to, że ostatnio robisz to za często. Zwracam ci na to uwagę, Katherine. Twoje wrzaski wyprowadzają z równowagi wielu ludzi, łącznie ze mną. Znasz chyba powiedzenie o kropli, która przepelniła miarę? - co rzekłszy wszedł do swojej łazienki i zamknął drzwi.

- Chryste Panie, nie wściekaj się, Jean-Claude. Nie bądź śmieszny. Słuchaj, bardzo cię przepraszam. Staram się zachować spokój, ale zrozum, że to jest mój zawód, zdobyłam sobie tę pozycję ciężką pracą. Co się z tobą stało, Jean-Claude? - wrzasnęła. - Zachowujesz się upiornie, nie znam cię takim.

- Bo ty tylko myślisz o swojej wielkiej karierze - krzyknął, odkręcając prysznic. - Nie zależy ci na nas, Katherine, nigdy nie zależało.

- Zależy mi na nas. Jeszcze jak zależy. Przysięgam przed Bogiem - zakończyła piskliwie.

Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że musi natychmiast wyjść z domu. Nie mogła sobie pozwolić na spóźnienie się do studia. Nie dzisiaj. Dziś zapadnie ważna decyzja. Dziś się okaże, czy Georgia będzie żyła dalej. Jeśli nie, to do nakręcenia pozostanie tylko jedna scena z przeszłości z Tonym. Jeśli jednak będzie żyła, trzeba będzie z punktu wejść na wyższe obroty; przybrać pozę i wygląd triumfatorce. Na razie czuła się przegrana na całej linii.

- O rany, muszę już lecieć. Jeśli się dziś spóźnię, dojdzie im kolejny pretekst, żeby mnie sprzątnąć.

Odpowiedział jej tylko szum lejącej się wody. Katherine nie miała już czasu na wzięcie prysznic; ubrała się pośpiesznie w dżinsy, koszulkę i czapkę baseballową, po czym przypomniała sobie, że nie umyła zębów. Rzuciła się z powrotem do umywalki. Przebiegając przez sypialnię zobaczyła, że Jean-Claude sznuruje swoje wypolerowane buty z miną, która wróżyła coś okropnego.

- Dokąd się wybierasz? - spytała.

- Odchodzę - rzekł zimno.

- Nie odchodź, Jean-Claude. Porozmawiajmy o tym jeszcze wieczorem, proszę.

- Nie, Katherine. - Jego głos był bardziej lodowaty niż przedtem. - Ani dziś, ani jutro. Mam cię dosyć. Jesteś egoistką i egocentryczką. Na nikim i niczym ci nie zależy, a już najmniej na naszym związku.

- Myślałam, że nasz związek był wspaniały. Od samego początku był wspaniały pod każdym względem. No przyznaj to sam - uświadomiła sobie, że go błaga, i poczuła do siebie odrazę.

- Kiedy byłaś w rozjazdach, miałem dużo czasu na myślenie, Kitty. - Snurował teraz drugi but.- 1 doszedłem do wniosku, że już cię nie kocham. Krótko mówiąc... Wstał i patrzył na nią z góry. W kaszmirowym golfie, nienagannie wyprasowanych džinsach i ręcznie szytych butach prezentował się wspaniale. Katherine w swoich naprędce włożonych ciuchach poczuła się nijaka, szara..... doszliśmy do końca drogi, Katherine.

- Nie. Nie mówisz tego poważnie, Jean-Claude. Nie wierzę, że nie ma przed nami przyszłości.

- A ja wierzę. - Narzucił tweedową marynarkę, którą Katherine podarowała mu na urodziny. Poprawiając ramiona, skrzywił się do lustra. - Długo znosiłem twoje humory, niepewność, obsesję na własnym punkcie. Ale w końcu zrozumiałem, że ty nie chcesz się zaangażować. Nie chcesz wyjść za mnie. Nie chcesz jechać ze mną do Vegas. Nie chcesz tego, nie chcesz tamtego. Coś ci powiem, chérie. Ja też mam swoje życie i zamierzam do niego wrócić. Najwyższy czas. C est la fin de l'histoire.

- Ale mówiłeś, że ja jestem twoim życiem... mówiłeś, że nie możesz żyć beze mnie. O Boże, co cię zmieniło, Jean-Claude?

- Rzeczywistość, chérie, rzeczywistość - powiedział, sięgając do kieszeni, z której wyjął klucz od jej domu, i położył go spokojnie, na stoliku do kawy. - Przypatrz mi się dobrze, Katherine, bo już mnie nigdy nie zobaczysz. Auvoir, chérie - powiedział i wolnym krokiem skierował się do drzwi wyjściowych. - Ale nie myśl sobie przypadkiem, że się źle bawiłem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po odejściu Jean-Claudea Katherine tak długo szlochała, że jej oczy zmieniły się w szparki. Nie mogła pojąć, dlaczego ją porzucił. Przez dwa miesiące ani razu się nie posprzecjali. Co się stało podczas jej nieobecności, że się tak zmienił, zobojeźniał?

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

- Czy sen ora dobrze się czuje? - usłyszała zatroskany głos Marii.

Zdusiła szloch.

- Tak, dziękuję, Mario. Zaraz się uspokoję - wyszeptała ochryple. - Mario, zadzwoń do studia i powiedz im... że zdarzył mi się mały wypadek... poślizgnęłam się w wannie, nic poważnego... i że przyjadę, jak tylko będę mogła, i... proszę cię, przynieś mi zaraz trochę kawy i worek z lodem.

- Już przynoszę, senora.

Katherine podeszła do lustra, żeby zobaczyć, w jakim stanie jest jej twarz, którą za kilka godzin będzie wystawiać do kamery.

- Cholera - syknęła do swojego zapłakanego odbicia w lustrze. - Cholera, cholera, cholera... weź się w garść, idiotko, bo jak nie, to twój okręt zacznie naprawdę tonąć. On wróci, musi wrócić... przecież cię kocha.

Maria obłożyła lodem jej spuchniętą twarz i powieki, a potem Katherine pojechała do studia. Przeżyła ten dzień wyłącznie dzięki ogromnemu wysiłkowi woli. Kategoriecznie zabroniła sobie myśleć o Jean-Claudzie. Kiedy kończyła kręcić scenę, która ewentualnie miała być jej przedostatnim występem w „Rodzinie Skeffingtonów”, przyszedł agent, żeby zabrać ją na spotkanie z Gabem. Katherine była ledwo żywa ze strachu.

Poszli przez dziedziniec, na którym gorący asfalt przylepiał się do butów. Wielki szef czekał już na nich za swoim małym biurkiem, sam. Tego dnia miał na sobie czarną czapkę baseballową i koszulkę bawełnianą z napisem „Witajcie we wstrząsającym Los Angeles!” Katherine kręciło się w głowie od domysłów, czym będzie to spotkanie. Stratą czasu czy wielkim sukcesem? Za chwilę pozna swój los.

Godzinę później aktorka i jej agent - ujarzmieni, ale szczęśliwi - wrócili do jej garderoby.

- Powinnaś oszaleć z radości, Kitty - powiedział Hal, który sam mało nie pękł z przejęcia. - Złapałaś ich za jaja, dziewczynko. Teraz rozgrywaj to spokojnie, nie rób zbyt wiele zamieszania, to przed końcem sezonu wystąpimy o podwyżkę twojej gaży.

- Dobrze, Hal. Doskonale - odparła. Nawet ona słyszała, że w jej głosie nie ma entuzjazmu.

Musiała wygrać. Po wyświetleniu odcinka „Kto to zrobił?” telewizzowie z całej Ameryki zalali ABN pretensjami. Gdyby Georgia zniknęła z ekranu, kogo by nienawidzili? ABN pod żadnym pozorem nie mogło się jej pozbyć. W rubrykach towarzyskich mogli sobie wypisywać, co chcieli, decydujące słowo jednak mieli telewizzowie, a telewizzowie ją uwielbiali.

- Jesteś niezwyciężona, Katherine - tokował dalej Hal. - To fantastyczne!

Katherine pokiwała smutno głową. Odniosła niewątpliwe zwycięstwo, ale mogła się nim cieszyć tylko z Tommym i Brendą, a to jej już nie wystarczało.

„Gdybym potrafiła być twarda - mruknęła, zamykając drzwi garderoby. - Gdyby mi tak nie zależało na tym draniu”.

Jej matka była, jak zawsze, niezawodna w udzielaniu rad.

- Ostrzegałam cię, Kit-Kat. Ty po prostu nie potrafisz postępować z mężczyznami. Przyznaj się, zanadto nim rządziłaś. Musisz się tak zachowywać, żeby mężczyzna czuł się panem, słoneczko - mówiła, a na drugim planie Oprah Winfrey strofowała jakąś nieudaną rodzinę.

Katherine westchnęła. Matka coraz bardziej utożsamiała ją z Georgią Skeffington.

- Przeczytałam w „The Tattler”, że on ma mały romans z Eleonorą. Czy to prawda, Kit-Kat? Dlatego cię rzucił?

Katherine poczuła, że jej cierpliwość się wyczerpuje.

- Na oba pytania odpowiedź brzmi „nie”. I nie denerwuj się, mamó - wycedziła przez zęby. - On do mnie wróci.

W tym momencie do pokoju weszła Brenda.

- Naprawdę ci na tym zależy? - spytała, gdy Kitty odłożyła słuchawkę.

- Do jasnej cholery! - wybuchnęła Katherine. - Odczepcie się wreszcie ode mnie. Przestańcie się wtrącać w moje życie.

Nastąpiły teraz beznadziejne dni, wypełnione mierzeniem kostiumów, pracą po czternaście godzin na dobę, służbowymi lunchami i obiadami. Nieoczekiwanie Katherine znalazła się znowu na piedestale i wszyscy zabiegali o jej względy. Wszyscy oprócz tej jednej osoby. Katherine udawała sama przed sobą, że nie zauważa nieobecności Jean-Claude’a. Wymazała ze swoich myśli mężczyznę, który przez dwa miesiące dzielił z nią jej troski i radości. Z myśli, ale nie z serca.

Tymczasem Brenda prowadziła intensywne poszukiwania Quentina, który praktycznie się zdematerializował. Katherine udawało się usłyszeć jego głos tylko na automatycznej sekretarce - czasami aż pięć razy w ciągu dnia. Quentin wydawał się jedynym przyjacielem Jean-Claudea w całym Los Angeles, jedyną osobą, która mogła znać miejsce jego pobytu.

Katherine budziła się codziennie przed świtem, szeroko otwartymi oczyma patrzyła w ciemność i zastanawiała się, co zrobić, żeby zapomnieć o Jean-Claudzie. Miotła się między wściekłością a rozpaczą. Zalewała się łzami lub wpadała w furję - krzyczała do ochrypnięcia i waliła w lustrzane ściany pięściami, póki nie zaczęły jej krwawić knykcie. Czwartego dnia po odejściu Jean-Claudea obudziła się z mocnym postanowieniem.

- Skreślam tego drania i wszystkich facetów na świecie. Najpierw zawrócą ci w głowie, a potem odbiorą radość życia - mruczała pod nosem, jadąc w kierunku studia nędznymi uliczkami Santa Monica. Tego dnia dała Samowi wolne. Z magnetofonu zawodził Sinatra, słońce świeciło wysoko na niebie i świat znowu nabierał różowych barw.

- Jesteś świnią Jean-Claude! Jeśli pan myśli, że ze mną można tak postępować, to się pan bardzo myli, monsieur Valmer. Cham! - Zahamowała gwałtownie.

Mało brakowało, a przejechałaby statystę czekającego pod bramą studia. Pomyślała, że musi się trochę opanować. Uśmiechnęła się do strażnika, który wpuszczał ją do środka.

- Dzień dobry, pani Kitty. Bombowo dziś pani wygląda. Czekam panią długi dzień, co?

- Jakbyś zgadł, Sandy. Dzięki za komplement. - Siwy eks-policjant zsalutował.

Katherine Bennet to prawdziwa dama, zawsze mile się do wszystkich odnosiła. Nie zadzierała nosa jak ta podrabiana Anglica, Eleonora Norman.

Katherine zaparkowała przed białoróżowym budynkiem, w którym mieściły się garderoby, fryzjer i salon kosmetyczny. Wrzało tu jak w ulu. W studiu równocześnie kręcono pięć seriali. Każdy zatrudniał siedmiu lub ośmiu aktorów na etacie plus, co tydzień gościnnie inną gwiazdę lub gwiazdora. Katherine odniosła wrażenie, że tego dnia przyszli wszyscy naraz; powietrze przesycił dym papierosowy zmieszany z zapachem kawy i pączków oraz z podnieconymi głosami plotkujących aktorów.

- Cześć, Mona. Mogę wejść? - spytała, zaglądając do gabinetu fryzjerskiego.

- Za jakieś dwadzieścia minut, kochana. - Udręczona fryzjerka usiłowała taśmą perukarską przykleić grubą kasztanową strzechę na łysinę Alberta Amory'ego. - Idź, napij się kawy, kochana, zaraz się tobą zajmę.

Na korytarzu Katherine skinieniem głowy pozdrowiła Eleonorę, zanim tamta zdołała się schować do pokoju Alberta.

- Dzień doły, długi Albelcie - rzekła Eleonora i poklepała się po morelowym policzku, sprawdzając swój wygląd w lustrze.

- Dzień dobry, moja droga - odparł, zezując na jej pupę w obcisłych białych szortach.

Ludzie mówili, że Eleonora wypadła świetnie w „Emmie Hamilton”, a w takim razie można było mieć nadzieję, że Katherine Bennet, ta drugorzędna aktorka z Broadwayu, znajdzie się wkrótce w telewizyjnym koszu na śmieci.

Tymczasem Katherine leżała na fotelu kosmetycznym pokrytym czerwoną skórą, a Blackie pracował nad jej twarzą. Udała, że nie widzi, jak marszczy czoło. Wklepał pod jej spuchnięte oczy galaretkę, kremem nawilżającym posmarował suche policzki, a kredką maskującą zamalował pęknięte naczynka krwionośne. Nie dochodziły do jej świadomości szepty i miny charakteryzatorów, nie zwracała na nie uwagi, zastanawiając się nad swoim nowym stosunkiem do Jean-Claudea. Nie będzie już o nim myślała. W końcu to tylko mężczyzna. Świat się na nim nie kończy.

„Nie - odpowiedział jej głos wewnętrzny. - Jean-Claude jest niepowtarzalny i dlatego go kochasz”. Nagle przypomniała sobie, jak patrzył w jej oczy, kiedy się pieścili, i mało się nie rozpląkała.

- Dzień doły wszystkim! - Marzenia Katherine zostały bardzo brutalnie przerwane przez stukanie wysokich obcasów i zapach zupełnie nieodpowiedni na rano. Do pokoju wkroczyła Eleonora, posłała wszystkim pro mienny uśmiech i z teatralnym westchnieniem zasiadła w fotelu kosmetycznym. - O Boże, jak ja dziś okłopnie wyglądam.

„Możesz to powtórzyć” - pomyślała Katherine, zerkając na Eleonorę.

- Do dzieła, Nino - rozkazała Eleonora. - Złób ze mnie, kochana, bóstwo.

Charakteryzatorka zmarszczyła brwi, zarzuciła bawełniane prześcieradło na naszywaną cekinami różową koszulkę Eleonory i zabrała się do pracy.

- Co za noc! - wykrzyknęła Eleonora, gdy charakteryzatorka nałożyła jej na oczy mokre płatki. - Przyjęcie u Johnsonów udało się wpłost nadzwyczajnie. Dlaczego nie przyszłaś, dłoga Kathelyne? Co z twoim boskim nowym mężczyzną?

- Byłam okropnie zmęczona - odparła Katherine zgodnie z prawdą. - Poza tym uważam, że te wszystkie przyjęcia są zawsze takie same.

- Poniekąd masz rację, kochana, ale szkoda, że nie widziałaś tych koszmalnych sukien! Absolutnie ostatni krzyk mody! - Roześmiała się swoim dźwięcznym śmiechem wyuczonym w szkole aktorskiej i nie bacząc na rozwieszone dookoła napisy: „Nie palić”, zapaliła papierosa. - No, więc co się dzieje, moja dłoga? - spytała.

- Niby z czym?

- Gdzie się podział pan Wspaniały, skłyte marzenie każdej dziewczycy? Mówi się, moja dłoga, że to Floggie złościła ci dowcip - co powiedziawszy zdjęła waciki i popatrzyła na Katherine, która leżała z zamkniętymi oczyma.

Charakteryzatorzy wymienili spojrzenia. Słyszeli już, Katherine ma kłopoty z mężczyzną. Może teraz dowiedzą się jakichś szczegółów.

Ta mała coś podejrzewa, pomyślała Katherine. To znaczy, że charakteryzatorzy gadali za jej plecami. Pewnie, co mają innego do roboty, jak już ich umalują? Nie są tacy głupi, żeby się nie domyślić, co się dzieje. Jean-Claude telefonował do niej na plan, co najmniej dwa razy dziennie. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim zaczną pisać o tym w kolumnach towarzyskich? Katherine jednak nie zamierzała sprawić satysfakcji Eleonorze, Otworzyła oczy i spojrzała z pogardą na jej, niewielkie wprawdzie, ale już widoczne czarne odrosty.

- Wiesz, Eleonoro, kiedyś uważałam Anglików za najbardziej cywilizowanych ludzi na ziemi. Ale potem poznałam ciebie.

- Bingo! - ucieszyła się Eleonora. - Tłafiłam, pławda, moja dłoga? Przyznaj się, Jean-Claude puścił cię w tłąbę. Katherine przed oczyma stanął obrazek z przyjęcia u Jake'a Moffata. Dwie głowy blisko siebie w intymnej pogawędce. Jean-Claude i Eleonora. Czy między nimi coś było? - No przyznaj się, moja dłoga - domagała się Eleonora potwierdzenia swoich przypuszczeń. Kiedy go się nie doczekała, rzekła: - Złeszta zawsze podejrzewałam, że to pedał. Blondyn, cztełdzieści lat, nie żonaty. Pedał jak nic.

Wstrzymawszy oddechy charakteryzatorzy pilnie wklepywali podkład w coraz bardziej zaczerwienione policzki aktorek. Skrywana nienawiść, tak przekonująca przed kamerą, tryskała teraz z nich wszystkimi porami. Takiego widowiska nie wolno przegapić.

- Braki talentu nadrabiasz złościwością - rzekła Katherine lodowato.

- Cha cha cha! - zaśmiała się głupio Eleonora. - A ty to niby jesteś taka stłasznie utalentowana? Tłafiłam w czułe miejsce, co? Spytaj płoducenta, któła z nas ma więcej scen w nowym scenaliuszu? A potem spławdź, któła z nas ostatnio dostaje więcej listów od fanów.

- Przypuszczam, że ty. - Katherine miała już dość tej pyskówki, ale Blackie chyba już nigdy nie zamierzał jej stąd wypuścić.

- Możesz się założyć o swoje kołonkowe majtki - szczebiotąła Eleonora. - Być może na początku miałaś więcej fanów, kwiatuszku, ponieważ wpłost genialnie odgływasz jędzę, ale kałta się odwłóciła, moja dłoga. Złeszta sama zobacz.

Triumfalnym gestem wyciągnęła coś ze swojej przepastnej torby od Gucciego. Była to odbitka „TV Rankingu”, poufnego przewodnika dla producentów telewizyjnych i im

podobnych. Wydawała go ta sama firma, która obliczała telewizyjne notowania Neilsona. Rzecz oficjalnie w ogóle nie istniała, a już na pewno nie widział jej nigdy żaden aktor. „TV Ranking” kategoryzował programy telewizyjne i osoby z nimi związane według ich popularności, wiarygodności i uznania w oczach amerykańskiej publiczności. „Ciekawe, w jaki sposób Eleonora weszła w jego posiadanie” - pomyślała Katherine.

- Słona siedemnaście - zaśpiewała Eleonora, rozkoszując się sytuacją. -Czytaj i płacz, dłoga Kitty. Obawiam się, że twoje dni wina, łóż, dobrego szampana i zdjęć na okładkach są policzone.

Blackie podał Katherine cienkie piśmko z oślimi uszami. Lista aktorów liczyła jakieś trzysta, czterysta nazwisk. Na szczycie (już od trzech lat) znajdował się Bili Cosby, po nim szli Johnny Carson, Angela Lansbury i Larry Hagman. Na piątym miejscu, tam gdzie zgodnie z nieoficjalnymi doniesieniami przez trzy lata twardo utrzymywała się Katherine, teraz występowała Eleonora Norman.

Katherine szybko przebiegła listę oczyma w poszukiwaniu swojego nazwiska. Znalazła je na dwudziestej trzeciej pozycji, wepchnięte między asystentkę pana prowadzącego teleturniej a podstarzałego aktora z westernów. Zaskoczyło ją to bardziej, niż by się spodziewała. Z drugiej strony nawet podczas tej podróży reklamowej, choć była otoczona hałaśliwymi wielbicielami, odnosiła wrażenie, że jest przyjmowana mniej entuzjastycznie niż dwa lata wcześniej. Dwudzieste trzecie miejsce! Tak płaciła nie tylko za to, że grała wredną jędzę, ale również za te wszystkie bzdury, jakie wypisywano o niej w rubrykach towarzyskich na całym świecie.

- Wszystko, co idzie do góry, musi w końcu spaść na dół - smakowała swoją chwilę zwycięstwa Eleonora.

- I vice versa - mruknęła Katherine.

Blackie skończył i podał jej lustro, ale Katherine nawet w nie nie spojrzała. W drzwiach odwróciła się i rzekła z godnością:

- Do twojej informacji, dłoga Eleonoro, to twoje piśmko jest już nieaktualne. Wiem od samego Gabe'a, że od przyszłego tygodnia scenariusz będzie się skupiał bardziej na Georgii Skeffington niż na pozostałych. Możesz, więc je sobie wsadzić gdzieś, kaczuszko.

Już będąc za drzwiami, wsadziła raz jeszcze twarz i ze złośliwym uśmiechem powiedziała:

- Do zobaczenia na planie, moja dłoga. Postaraj się raz wypowiedzieć swoją kwestię bez pomyłki.

Mimo że ta wymiana zdań poprawiła jej chwilowo humor, serce Katherine dalej krwawiło z powodu Jean-Claudea. Przynajmniej raz dziennie wykręcała numer Quentina i wyplakiwała się Brendzie i Stevenowi. Tylko im mogła się wyzalić. Tommy był wyraźnie zadowolony z jego zniknięcia.

I nagle któregoś dnia, w porze lunchu, kiedy - wbijając się w kostium z grubego irlandzkiego tweedu, w którym pocila się bardziej niż w saunie - wykręciła numer Quentina, usłyszała w słuchawce nowy komunikat, który informował, że starszy pan przebywa obecnie w Caesars Palace Hotel w Las Vegas.

Jeszcze tego samego wieczora zadzwoniła do niego.

- Quentin, czy wiesz, gdzie jest Jean-Claude? Masz z nim jakiś kontakt?

W słuchawce zapanowała długa cisza.

- Oczywiście, że mam z nim kontakt. - W tle słychać było brzęk kości na stołach pokrytych zielonym sukniem.

- Gdzie on jest? Powiedz mi, proszę.

- Wiesz, dziecinko, że nie mogę ci tego powiedzieć. Jean-Claude nie życzy sobie, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

- Nawet ja?

Kolejna przerwa.

- Zwłaszcza ty, dziecinko.

Katherine zrobiło się zimno.

- Quentin, proszę cię, powiedz mi, gdzie on jest. Ja muszę to jakoś rozwiązać. Nie wierzę, że Jean-Claude naprawdę chciał ze mną zerwać, jemu po prostu... nie wiem... odbiło. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. To nie był on.

- Hmm...wiesz, jacy są mężczyźni, Kitty.

- Myślałam, że wiem, jaki jest ten mężczyzna. Quentin, przecież ty nas razem widziałeś, wiesz, ile dla siebie znaczyliśmy, jak on mnie kochał.

- Kitty, to jest sprawa między wami. Co ja mogę ci na to powiedzieć? Jean-Claude to... po prostu Jean-Claude. Zakazał mi informować kogokolwiek, gdzie jest i co robi.

Katherine zrobiło się jeszcze zimniej.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowuje. Ale ja muszę go odnaleźć. Jean-Claude to mężczyzna bardzo niezależny... nie wiem, może ja rzeczywiście uraziłam jego dumę. On uważa, że mnie pochłania moja kariera zawodowa i nie przywiązuję wagi do jego pracy. Jeśli nawet tak było, to tylko, dlatego, że on nie mówił nic o sobie. Wiele razy próbowałam go podpytywać, a zawsze zmieniał temat.

- To pół-Francuz, Kitty.

- Wiem.

- I pół-Irlandczyk.

- Co to ma do rzeczy?

- Tacy ludzie są popędliwi, uparci i zawzięci.

- Wiem. Czy powiedział ci, dlaczego mnie rzucił? Chociaż to mi powiedz.

- Mówił, ale nie pytaj mnie o nic. Nie chcę być niełojalny. Jean-Claude jest dla mnie jak syn.

- Czy jest ktoś inny? - Kitty nie dawała za wygraną. - Inna kobieta? Czy może... o rany, inny mężczyzna? Odpowiedz mi przynajmniej na to pytanie.

- Jak możesz mnie o to pytać, Kitty?

- Odpowiedz, tak czy nie?

- Jean-Claude mnie zabije, jeśli się dowie, że rozmawiałem z tobą - rzekł Quentin znużonym głosem.

- Błagam cię, powiedz mi. Jeśli w czasie mojej podróży był z kimś, chcę to wiedzieć. Słuchaj, ja zniosę wiadomość, że jest inna kobieta, zwariuję natomiast, jeśli się nie dowiem, dlaczego ode mnie odszedł.

„Teraz usłyszę, że znalazł sobie panienkę, kiedy byłam w objeździe” - pomyślała Katherine.

- Kobiety! - rzekł Quentin sucho. - Nie należy ufać kobietom. Kobiety i kości doprowadzają człowieka do ruiny.

- Dziś jest czwartek... Muszę porozmawiać z Jean-Claudeem, żeby się upewnić, że ta historia naprawdę się skończyła. Quentin, bardzo cię proszę, zdradź mi, gdzie on jest.

W słuchawce zapanowała długa cisza, po czym Quentin bardzo powoli powiedział:

- Dobrze, Kitty, zrobię to dla ciebie, bo jesteś miłą kobietą. Ale jeśli mnie zdradzisz, dziecinko, to z nami koniec.

- Przysięgam, nie pisnę ani słowa. - Sięgając po pióro i kartkę, Katherine poczuła, jak krew wraca do jej policzków i wzrasta w niej poziom adrenaliny.

- Jean-Claude jest tutaj, w Vegas, w tym samym hotelu, co ja. Jeśli go znajdziesz, nie mów mu, że dowiedziałaś się tego ode mnie.

Rozłączył się, zanim zdążyła mu podziękować. Katherine położyła się na białej jedwabnej kapie, którą przykryte było łóżko, i uśmiechnęła się z satysfakcją. Caesars Palace, Las Vegas. Znała ten hotel. Odnajdzie w nim swojego zaginionego kochanka i zrobi wszystko, żeby go odzyskać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Katherine zachodziła w głowę, jak prowadzić poszukiwania Jean-Claudea w Las Vegas, nie wzbudzając jednocześnie sensacji swoją osobą. Zdecydowała się wtajemniczyć Brendę (ale nie Tommy'ego) i częściowo Blackiego, któremu powiedziała, że nabrała ochoty na wizytę w kasynie, chciałaby jednak zachować incognito. Po kilku próbach zdecydowali się na przebranie Tootsie - wywatowane trykoty, mała peruka z siwymi loczkami i wielkie pastelowe okulary z plastiku.

Blackie zapewnił Katherine, że jest to dla niej najlepszy strój, poza tym nie wymaga niczyjej pomocy przy wkładaniu.

Natychmiast po zakończeniu zdjęć w piątek po południu Katherine popędziła do garderoby się przebrać. Trykoty, wypożyczone ze studia, były dość lekkie, jednocześnie, zapinane z tyłu na suwak i zakrywały jej ciało od kostek po nadgarstki i szyję. Odbywwszy kilka próbnych przechadzek po korytarzu, Katherine stwierdziła, że łatwo się w nich porusza. Prędko też nauczyła się chodzić kaczym krokiem grubej kobiety. Teraz przyszła kolej na ubranie, na które składało się spodnie z fioletowo-wiśniowego poliestru w pogrubiające poprzeczne paski na udach i biuście; rozdeptane, poplamione białe tenisówki oraz grube fioletowe skarpety dla zamaskowania szczupłości jej kostek. Stroju dopełniała wysadzana sztucznymi diamentami torebka w kształcie banana na pieniądze i klucze.

- Co zaś do twarzy, myślę, że wystarczy ci to - rzekł Blackie, pokazując jej gumowy nos zrobiony według odlewu jej własnego. - Nalejemy do środka trochę kleju chirurgicznego, minutkę przytrzymamy i presto. Teraz damy odpowiedni podkład. - Nałożył na jej twarz, szyję i nos grubą warstwę czerwono-brązowej papki, która do złudzenia imitowała skórę z przeświecającymi naczyniami krwionośnymi. - A oto kobieta, która całe życie spędziła przy kuchni.

Włożył jej na głowę perukę z małymi siwymi loczkami, na nos różowe plastikowe okulary i oboje przez chwilę badali efekt.

- Witam, babciu - roześmiał się Blackie triumfująco.

- To niesłychane! - Katherine z niedowierzaniem patrzyła na podstarzałą, zniszczoną kobietę widoczną w lustrze. - Nigdy bym nie poznała, że to ja!

- I nikt inny cię nie pozna - zapewnił ją Blackie, zabierając się do pakowania swoich przyborów. - Baw się dobrze, dziewczynko. Postaw w moim imieniu pięć dolców na trzynastkę, dobrze?

- Postawię, Blackie. Bardzo ci dziękuję.

Pocałowała go i na palcach zeszła tylnymi schodami do Hondy zostawionej tam dla niej przez Brendę. Nikt nie widział Katherine Bennet udającej się nocą na lotnisko w Los Angeles.

W Las Vegas panowała atmosfera chyba bardziej zwariowana niż zwykle. Już w hallu lotniska ogłuszał człowieka charakterystyczny łoskot „jednorękich bandytów”, który uświadamiał, po co się przyjechało do tego rozjarzonego tysiącami świateł miasta. Katherine złapała taksówkę i kazała się zawieść do Caesars Palace.

Dostała maleńki pokoik, w którym nie doklejona tu i ówdzie rokokowa złoto-zielona tapeta gryzła się z meblami w stylu Ludwika XIV, a podrabiane lampy Tiffany’ego w obawie przed złodziejami zostały przymocowane na stałe do stolików nocnych. Zamknąwszy za sobą drzwi, Katherine zadzwoniła do recepcji.

- Proszę mnie połączyć z panem Jean-Claudeem Valmerem.

- Przykro mi, ale u nas nie mieszka nikt o takim nazwisku - odpowiedział jej nosowy głos.

Prawdę mówiąc nie spodziewała się, że Jean-Claude zameldował się pod swoim nazwiskiem, poprosiła, więc o Quentina Rogersa, ale otrzymała taką samą odpowiedź.

„No trudno. Przyjdzie mi przeszukać tę cholerną norę” - mruknęła do siebie i rzuciwszy ostatnie krytyczne spojrzenie na wyfiokowane babsko w lustrze pozegłowała w roziskrzoną noc Las Vegas.

Na głównym piętrze Caesars Palace znajdowało się sześć lub siedem olbrzymich sal gry, korytarz ze skle pami, w którym można było kupić wszystko od pasty do zębów po szmaragdowe i diamentowe naszyjniki; kilka restauracji, nocne kluby i bary. Wszędzie roiło się od ludzi - hordy gości weekendowych grały, gapiły się i przeżuwały. Ci, którzy nie stali przy stołach lub automatach, kręcili się wokół bez określonego celu.

Katherine przeszła wszystkie główne kasyna, świadoma, że jest pod ciągłą obserwacją strażników. Wiedziała, że nad stołami znajdują się punkty obserwacyjne, z których armia podpatrywaczy śledzi, co dzieje się na całym piętrze. Na włączeniu się od stołu do stołu zeszły jej prawie dwie godziny. Trzy razy obeszła kasyna, zatrzymując się od czasu do czasu przy jakimś automacie, żeby dla niepoznaki wrzucić doń monetę i równocześnie przeszukać oczyma tłum. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Była jedną z tysięcy osób; dobrze odżywionych, niczym nie wyróżniających się naiwniaków, którzy ściągali tu na weekend, skuszeni możliwością zdobycia łatwej forsy.

W sali Bachanalie oddawali się hazardowi znani wszystkim z westernów Steve Lawrence i Edie Gorme; ich fani czekali w długiej kolejce, żeby zagrać z nimi przy jednym

stole. Katherine kilka razy się zdawało, że dojrzała w tłumie Jean-Claudea, ale za każdym razem był to tylko ktoś podobny. Koło północy, wyczerpana i sfrustrowana, patrząc ponuro, jak jej ostatnie ćwierć dolara ginie we wnętrznościach pewnego szczególnie wrednego automatu do pożerania pieniędzy, mruknęła:

- Co ja tu właściwie robię? Chyba całkiem straciłam rozum. Gonię w piętę.

Nagle poczuła się straszliwie głodna. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od lunchu nie miała nic w ustach. Zrezygnowana udała się do baru na cheeseburgera i napój czekoladowy, za którymi nie przepadała, ale wydały się jej naturalne dla kogoś, kto nosi rozmiar osiemnasty. Nagle znieruchomiała. Bar był otoczony ścianami tylko z trzech stron, z czwartej zaś łączył się z zatłoczonym hallem, gdzie Katherine dojrzała sylwetkę niewątpliwie należącą do Jean-Claudea. Szedł powoli, zajęty rozmową z niskim, łysym mężczyzną.

Z wrażenia zakrzuszyła się, po czym zostawiła na stole banknot dziesięciodolarowy i z ustami pełnymi cheeseburgera rzuciła się w pogoń za nimi.

- Kto tam? - spytał Jean-Claude, obudzony z głębokiego snu czymś natarczym pukaniem do drzwi.

- Mam dla pana wiadomość. Bardzo ważną wiadomość od pana Rogersa.

Psiakrew. Co się mogło takiego stać, że budzono go w środku nocy? Jean-Claude narzucił szlafrok i wciąż półprzytomny przekręcił gałkę.

Za drzwiami stała Katherine - opanowana, chłodna, ubrana w elegancki śnieżnobiały spodniem; z aureolą czarnych włosów wokół twarzy, której bladość podkreślały rubinowe wargi i szare oczy Kleopatry.

- Witaj, Jean-Claude - powiedziała z uśmiechem. - Jak się masz, kochanie?

- Mon Dieu, Katherine. Skąd się tu wzięłaś? Jak mnie odnalazłaś?

- To proste, drogi Watsonie. - Za wszelką cenę starała się zachować zimną krew, chociaż serce jej tak biło, że ledwo słyszała własne słowa. - Ode mnie trudno uciec - powiedziała, ze słabym skutkiem naśladowując Ethel Merman.

Nawymyślała sobie w duchu, że zachowuje się jak kretyńka.

Oczy Jean-Claudea miały nieodgadniony wyraz. Jakby nieco rozbawiony.

- Nie zaprosisz mnie do środka? Tutaj jest diabelnie zimno.

A jeśli powie „nie”, to co wtedy, przestraszyła się. Jeśli powie jej, żeby się odczepiła, zniknęła z jego życia, co wtedy ma zrobić? Zupełnie oszalała na jego punkcie. Kochała go - teraz czuła to bardziej niż przedtem. Położyła dłoń na sercu, jak gdyby chciała je uciszyć. Chyba minął rok, zanim Jean-Claude skinął wreszcie głową.

- No dobrze, wejdź.

Weszła do pokoju prawie identycznego z tym, który sama zajmowała.

- W recepcji twierdzili, że nie mieszkasz w tym hotelu.

Parsknął śmiechem.

- Dobrze posmarujesz, to powiedzą, co zechcesz.

- Słuchaj, Jean-Claude - zaczęła Katherine, odrzucając dumę - postanowiłam jeszcze raz z tobą porozmawiać, żeby się upewnić, że mówiłeś wtedy poważnie. Że naprawdę chcesz zakończyć nasz związek.

Zapalił papierosa.

- Usiądź, Kitty - powiedział cicho.

Pewna, że Jean-Claude słyszy bicie jej serca, przycupnęła na brzegu zgniłozielonej welwetowej kanapy z plastikowymi ochraniaczami na bokach. W bładoniebieskim szlafroku frotte Jean-Claude wyglądał bardziej pociągająco niż kiedykolwiek.

- Napijesz się?

Katherine pokręciła głową. Nie czas na takie rzeczy, kiedy się ważą jej losy.

- Przykro mi, że cię zraniłem, Kitty. Naprawdę mi przykro.

- Skąd miałam to wiedzieć? Od tygodnia nie dałeś znaku życia. Nie mogłam ani myśleć, ani nic robić. Byłam taka nieszczęśliwa. Żyłam jak w jakimś koszmarnym śnie.

W jej głosie pobrzmiwało jakieś żalodne zawrodo. To niedobrze. Powinna być chłodna, powinna być panią sytuacji jak Georgia. Tylko że ona nie była Georgią Trujcą Brzoskwinia, lecz Katherine Bennet, która za wszelką cenę chciała zatrzymać ukochanego mężczyznę.

- Mnie też nie było łatwo. - Zmarszczył czoło. - Ale mon Dieu, Kitty, zrozum, jak to wygląda z mojej strony. Ja muszę zachować szacunek dla samego siebie. Nie pozwolę, żeby cały świat myślał, że jestem twoim utrzymankiem, żigolakiem.

- O Boże, Jean-Claude, nikt tak nie myśli. Nie bądź śmieszny. Nikomu by to nie przyszło do głowy. Inna sprawa, że nie wiadomo, jakie są twoje plany. Nigdy nie mówisz o sobie.

- Nie wyobrażasz sobie, jak to jest, gdy cię nazywają pieskiem Katherine Bennet - rzekł sarkastycznie. - Nie zastanawiałaś się nad tym, prawda?

- Nikt nie nazywa cię pieskiem. Każdy, kto widział nas razem, wie, jak głęboki jest nasz związek. W głowie mi się nie mieści, że ktoś mógłby być taki złośliwy.

- W twoim świecie nie brakuje złośliwych kutasów, Kitty, sama wiesz o tym najlepiej.
- Popiół z jego papierosa spadł na dywan. - Czym jestem? Kim jestem? Kim byłem dla ciebie, Kitty, ale tak naprawdę?

- Mężczyzną, którego kochałam... mężczyzną, które go dalej Kocham... - szepnęła.

- Nie, to nieprawda. Jestem mężczyzną, który ci się spodobał i z którym się zabawiałaś. Facetem, którego prowadzisz na smyczy jak pieska.

- To idiotyczne, Jean-Claude. Nigdy nie myślałam o tobie w ten sposób. Szanowałam twoją niezależność. Zawsze byłeś sobą, zawsze.

- Jasne. - Zaciągnął się głęboko papierosem i puścił nosem dwa idealne kółka z dymu.

- A dlaczego tak się działo, Kitty, że to ja musiałem dostosowywać się do twojego życia, a nie ty do mojego?

- Co ty mówisz? Zawsze ustalaliśmy wspólnie, co będziemy robić.

- Na przykład że pojedziemy na weekend do Las Vegas. Lub do Reno. Mówiałaś, że nienawidzisz Las Vegas, że nie możesz jechać tam, gdzie jest dużo ludzi, ponieważ nie znosisz, jak ci się przyglądają. Że zawsze będą otaczały cię tłumy i nie będziemy sami. I takie tam zawracanie głowy. A teraz, proszę, widzimy cię tu w całej krasie. Dlaczego?

- Przyjechałam, żeby cię odnaleźć, ponieważ ciągle cię Kocham i nie chcę, żebyśmy się rozstali.

- Kochasz! - parsknął pogardliwie. Wstał i nalał wódki z pustej do połowy butelki stojącej na komodzie. - Miłość, Katherine, to ulica dwukierunkowa, a ja w końcu zrozumiałem, że przez te dwa miesiące jechaliśmy tylko w jednym kierunku, w twoim. Katherine milczała, w duchu przyznając mu rację. Rzeczywiście zwykle robili to, co ona chciała. Mimo wolnie nim manipulowała. - Wszystko musiało być podporządkowane twojej karierze i Tommy'emu - ciągnął Jean-Claude, podając jej wódkę. - Miałaś mnóstwo powodów, żeby trzymać mnie na dystans. Wiele o tym myślałem, kiedy pojechałaś podbijać Amerykę, i doszedłem do wniosku, że nigdy nie chcesz tego co ja.

- Na przykład?

- Małżeństwa. Chciałem się z tobą ożenić, Kitty. Chciałem dzielić z tobą życie. Chciałem, żebyś była moją kobietą, a ja twoim mężczyzną.

- Tak, ale już ci mówiłam, że nie jestem jeszcze gotowa do małżeństwa. Nie ma się, do czego tak śpieszyć, zwłaszcza, że przypuszczalnie nie mogłabym mieć już dzieci. Jeśli dwoje ludzi się naprawdę Kocha, małżeństwo nie jest jedynym wyjściem.

- Brednie - warknął. - Głupie gadanie, Kitty. Uważam, że nie ma innego wyjścia. Mniejsza o dzieci. Po prostu nie zgadzam się być osobą z twojej swity. Facetem Miesiąca,

Facetem Roku, wszystko jedno. Tu chodzi o moją dumę. Szacunek do siebie, męska ambicja, czy jak to nazwiesz, nie pozwala mi... - Wzruszył ramionami. - Mówiliśmy o tym wiele razy, cherie. W końcu zobaczyłem światełko.

-Jakie światełko?

- Światełko, które ostrzega: uciekaj stąd, Jean-Claude. Uporządkuj swoje życie, nie żyj w cieniu Katherine Bennet. Jestem mężczyzną, nie pieskiem pokojowym.

Widząc, jaki jest silny, pewny siebie, zdecydowany, Katherine zapragnęła znaleźć się w jego ramionach, położyć mu głowę na ramieniu i oddać w jego ręce ster swojego życia.

- Czy ty mówisz, że po tym wszystkim wciąż chcesz się ze mną ożenić?

- Chryste, Kitty. Uwielbiam cię. Tak, wciąż chcę się z tobą ożenić, chcę być z tobą na zawsze. Chcę być z tobą, kiedy się zestarzejesz, chcę się tobą opiekować, kiedy będziesz chora.

Usiadł obok niej. Gdy dotknął dłonią jej gołego ramienia, przebiegł ją dreszcz rozkoszy. Wciągnęła jego zapach - ciepły, miły, znajomy. Jean-Claude pochylił głowę i delikatnie pocałował ją w ramię. Poczowała, że odpływa w marzenie. Jego ręce pieściły teraz jej ciało bardziej intymnie, przekomarzając się, laskocząc, rozpalając w niej ogień. Jakże go pragnęła.

- Wyjdź za mnie, Kitty, wyjdź za mnie teraz - szeptał w jej włosy. - Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa, obiecuję.

- Och, ale... - Zmiażdżył wargami jej wargi i Katherine zapomniała, co chciała powiedzieć.

Oszołomiona usłyszała gdzieś daleko swój głos:

- A jeśli nie mogę za ciebie wyjść? Co wtedy?

Magiczne palce, dłonie, wargi zaprzestały nagle swoich czułych poszukiwań. Jean-Claude odchylił się do tyłu i rzekł:

- Wtedy się rozstaniemy. Skończymy to raz na zawsze. Ziut. - Przejechał krawędzią dłoni po szyi. - O tak. Przetniemy to jednym ruchem. Lepsza gwałtowna śmierć od powolnej, stopniowej. Chińczycy, ci to umieją torturować. Odcinają ciało po kawałku, człowiek zaś błaga o śmierć, pragnie jej jak niczego w życiu. Nie można sobie wyobrazić gorszego sposobu zabijania.

Katherine zadrżała, tęskniąc za jego dotykiem. Czym ryzykowała wychodząc za niego? Zawsze traktował ją z szacunkiem. Był dżentelmenem - eleganckim, czułym i zabawnym. Miał ogromne poczucie humoru. Uwielbiał ją i ona go uwielbiała. W łóżku było im ze sobą dobrze jak żadnej parze na świecie. Czego się obawiała?

„Zgódź się - mówił jej głos wewnętrzny. - Zgódź się, głupia. Zadałaś sobie tyle trudu, żeby go odszukać - czego do diabła jeszcze chcesz? Po co zrobiłaś z siebie kretynekę? Jeśli gazety wywęszą coś o tym przebieraniu się, Hollywood będzie się z ciebie śmiało do końca twojego życia”.

- Miłość powinna być krokiem naprzód, a nie do tyłu - rzekł z przekonaniem Jean-Claude. - Jeśli nie mogę być z tobą, Kitty, to wracam do swojego starego życia bez ciebie.

Jego ręce znowu po niej błędziły, obiecując wszelakie rozkosze. Ciało Katherine gotowe było już się poddać.

- Dobrze - szepnęła. - Jeśli tak ci na tym zależy, wyjdę za ciebie.

Odsunął się i zajął w jej oczy.

- Nie, Kitty, to nie wystarczy. Musimy oboje chcieć tego małżeństwa. Ty też.

- Chcę - zapewniła go gorliwie, czując ciepło jego dłoni na swoim udzie i pragnąc z całej siły, żeby prze sunęła się tam, gdzie pragnęła go aż do bólu. - Bardzo chcę, Jean-Claude, szczerze chcę być twoją żoną.

Kochali się przez całą noc. Katherine, która od tygodnia o seksie prawie nie myślała, dała się ponieść fali namiętności tak wszechogarniającej, że przestała myśleć. Jediną rzeczywistością było jej ciało stopione z ciałem Jean-Claudea. Kiedy szare światło zaczęło przeświecać przez tanie zasłony, Katherine opadła zupełnie z sił, za to Jean-Claude był dalej nienasycony. Zachowywał się tak, jak gdyby teraz, gdy zgodziła się zostać jego żoną, musiał udowodnić, że jest najlepszym kochankiem w jej życiu. I rzeczywiście był niezrównanym kochankiem.

W południe zamówili do pokoju śniadanie. Szampan, sok pomarańczowy, bekon, jajka i rogaliki. Pochłonęli je w wielkim pośpiechu, żeby móc się znowu kochać, i znowu, i znowu. Wreszcie zasnęli czule objęci i spali do wieczora.

Jean-Claude obudził ją pocałunkami w powieki.

- Obudź się, żono - szepnął. - Czas się ubierać. Bierzymy dziś ślub.

Ślubu udzielił im jakiś stuknięty sędzia pokoju w odrapanej, różowej, rokokowej kapliczce. Obok mieściło się podłe kasyno, skąd dochodziły okrzyki graczy i łomotanie automatów. W hotelowym sklepie jubilerskim Jean-Claude kupił Katherine prostą złotą obrączkę. Odnalazł się też Quentin, który zajął się stroną organizacyjną ślubu.

Kiedy w niedzielę, po kolejnej nocy szalonej miłości, wracali prywatnym odrzutowcem do Los Angeles, Katherine uważała się za najszczęśliwszą kobietę na świecie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jako żona Jean-Claudea Katherine czuła się księżniczką, która poślubiła księcia z bajki. Ich miłość była prawdziwa i czysta, a pożycie małżeńskie niewiarygodnie erotyczne. Pożądali się i w dzień, i w nocy. Często po południu lub w weekendy, kiedy uczyła się kwestii, leżąc nad basenem, Jean-Claude brał ją za rękę, podnosił i prowadził do sypialni. Nie znała jeszcze mężczyzny, który by aż tak lubił seks. Za każdym razem był to wspaniały akt miłości i namiętności. W zimne poranki, kiedy wyjeżdżała do pracy, dotykał jej czule i szeptał:

- Je tembrasse, cberie. Uczył ją francuskiego, bo planował, że pewnego dnia kupi domek w dolinie Loary. - Musisz nauczyć się mojego języka, cherie - upierał się. - Francuski to najpiękniejszy język na świecie. Trudny, owszem. Dlatego niewielu Amerykanów jest w stanie go opanować. Amerykanie nie lubią trudnych rzeczy.

Dwa razy w tygodniu wymagał, żeby Katherine i Tommy przy kolacji mówili do niego wyłącznie po francusku. W takich sytuacjach Tommy wołał zwykle milczeć.

Tommy nie lubił swojego ojczyma. Katherine na próżno odwoływała się do argumentu, że jej też należy się coś od życia, a Jean-Claude sprawił, że poczuła się szczęśliwa, jak już dawno nie była. Brenda, która też nie przepadała za Jean-Claude'em, jednak usiłowała przekonać Tommy'ego, że najważniejsze jest dobre samopoczucie Katherine. Ale Tommy w ogóle nie przyjmował tego do wiadomości; po jednej sprzeczce wyszedł z domu, trzaskając drzwiami, przedtem zaś zapowiedział, że przeprowadza się do ojca. Kiedy wrócił niewyspany następnego ranka, Katherine nie robiła mu żadnych wymówek. Rozumiała, że mimo wszystko wołał znosić Jean-Claudea niż żyć w brudnej norze Johnnynego.

Z całego towarzystwa chyba tylko Vera szczerze się cieszyła z tego małżeństwa - zwłaszcza kiedy zobaczyła zdjęcia na pierwszych stronach gazet. Quentinowi udało się zrobić kilka fotek w kaplicy w Las Vegas, a Jean-Claude wytargował ogromne pieniądze za prawa do ich publikacji.

- Pięknie wyglądałaś w tym białym kostiumie, ale do drugiego ślubu nie należy ubierać się na biało - orzekła matka. - Powinnaś też wmasować trochę kolagenu w szyję, bo wygląda stanowczo za chudo. Mężczyźni nie lubią za chudych kobiet, Kit-Kat, wołają, żeby na kościach było trochę mięsa.

Katherine się roześmiała. Teraz ani matka, ani nic innego nie mogło zepsuć jej humoru. Była zakochana, coraz bardziej zwariowana na punkcie swojego męża, z którego

imieniem na ustach budziła się i zasypiała. Wszystkie banały z piosenek o miłości stały się nagle rzeczywistością - od „Poleciałam na księżyc na ramionach ważki” do „Och, nie, nie mogą mi tego odebrać”. Nie myślała o nim jedynie na planie jako Georgia Skeffington.

Jean-Claude nie chciał od życia niczego poza przebywaniem w jej towarzystwie.

- Dla mnie się liczy tylko to, żebyś ty była szczęśliwa, cherie - mówił, dając tego kolejne dowody.

Słyszac jak Katherine kłóci się przez telefon ze swoim menedżerem lub agentem, kręcił głową z dezaprobatą. Mimo że Katherine wykazała ponad wszelką wątpliwość, że publiczność amerykańska za nią szaleje, Hal nie potrafił załatwić jej pracy na wakacje w żadnej sieci telewizyjnej. A Katherine, skoro wróciła do „Rodziny Skeffingtonów”, nie mogła grać głównej roli w obiecany serialu Łupina.

- Nie mogę ci nic załatwić - przyznał Hal.

- Dlaczego nie? Przecież ludzie chcą mnie oglądać.

- Kłopot polega na tym, że grasz tę przeklętą Georgię za dobrze. Sieci przeprowadziły badania rynku. Katherine Bennet ludzie utożsamiają w stu procentach z Georgią Trującą Brzoskwinia. Nic na to nie poradzisz. Tak to już jest na tym świecie. Przykro mi.

Jean-Claude, który przysłuchiwał się tej rozmowie, widział, jak Katherine się zmartwiła.

- Pozwól, żebym ci pomógł, cherie - powiedział. - Po pierwsze, uważam, że on nie dba o twoje interesy. Brett nie jest oszustem, lecz kretynem. Oszust by obskubywał cię z pieniędzy, ale ty też miałabyś z tego jakieś korzyści. Na kretyna szkoda tracić czasu. - Jean-Claude siedział przy laptopie w swoim nowym biurze, w które przekształcił pokój obok kuchni. - Spójrz, pokażę ci kilka liczb - powiedział i postukał w klawiaturę. Katherine stała za nim, patrząc na ekran.

- Jeśli zarabiasz tyle, nie widzę powodu, żebyś nie była w stanie zaoszczędzić co najmniej dwudziestu procent swoich zarobków. W tej chwili wydajesz więcej, niż zarabiasz. Znasz stare chińskie przysłowie?

- Jeszcze jedno? - Roześmiała się i pogłaskała go po karku. - Szczęśliwy jest ten, kto zarabia sto dolarów na tydzień, wydaje zaś dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Nieszczęśliwy jest ten, kto zarabia sto dolarów, a wydaje sto jeden.

- To, niestety, jest prawda - zgodziła się Katherine ponuro.

- Świat filmu jest pełen niegdyś bogatych gwiazd i producentów, którzy popadli w ubóstwo. - Głos Jean-Claudea brzmiał autorytatywnie. - Aktorzy z zasady nie mają smykałki

do interesów. Nikt tego nie wie lepiej od rekinów i piranii Hollywood, wszelkich prawników, księgowych, agentów, menedżerów, którzy na nich żerują, cberie.

- A skąd ty o tym wiesz?

- Po prostu wiem - odparł tajemniczo. - Mój ojciec był księgowym, szarym urzędnikiem, ale wiele mnie nauczył. Kiedy ja byłem gwiazdą pop, Quentin zajmował się moimi pieniędzmi. Nie nauczył mnie, jak je robić, ale z całą pewnością nauczył mnie, jak je oszczędzać i inwestować.

- I robiłeś to?

- Pewnie, że tak. Nie chcę się przechwalać, pani Valmer, ale nich pani tylko spojrzysz. - Pocałował ją w rękę, po czym bardzo energicznie wystukał kilka liczb na komputerze. - Voila\ Oto imperium Jean-Claudea Valmera. I ciągle rośnie. Nie musisz urabiać swoich ślicznych rączek po łokcie przez całe życie, chérie, ponieważ masz męża, który lada dzień będzie w stanie cię utrzymać.

Katherine przyjrzała się z zainteresowaniem liczbom na ekranie komputera.

- Na razie jednak - ciągnął Jean-Clau de, kontynuując szybkie stukanie w klawisze - moje pieniądze są zamrożone w tym przedsięwzięciu w Las Vegas. Czasowo, oczywiście.

- Oczywiście. - Katherine śledziła jego bystre palce, uszczęśliwiona, że wreszcie zaczął wtajemniczać ją w swoje życie.

- Teraz taka sprawa. Dla ciebie, chérie, ważne jest mieć własne pieniądze, nest-ce pas? Przytaknęła. - A moje, malheureusement, zostały zainwestowane w te hotele. Tak więc, chérie, wprowadzcie mogę dokładać trochę do gospodarstwa, chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem jeszcze finansowo gotowy płacić za wszystkie twoje przyjemności, chociaż, jako twój mąż, bardzo bym tego chciał.

- Jestem kobietą wyzwoloną; do głowy by mi nie przyszło oczekiwać od ciebie, żebyś utrzymywał Tommy'ego, płacił za jego szkołę, ten dom czy też za moje zachcianki.

- Tak czy owak, chérie - wystukał kolejne kilka liczb, które natychmiast pojawiły się na ekranie - uważam, że powinnaś zadbać o swoją przyszłość.

- To znaczy?

- Po pierwsze, powinnaś więcej zarabiać.

- Łatwo powiedzieć. Czterdzieści tysięcy dolarów za jeden odcinek serialu niby nie jest małą kwotą, ale wiesz, ile zostaje z tego dla mnie?

- Domyślam się, że niewiele.

- Trafiałeś. Niewiele. Prawdę mówiąc, jestem zadłużona po uszy. Boję się nawet myśleć, na jaką sumę Brett zadłużył ten dom.

- Zajmiemy się tym - rzekł Jean-Claude. - Po drugie, powinnaś mieć pieczę nad zarabianymi przez siebie pieniędzmi. Myślę, że jednym i drugim ja właśnie mogę się teraz zająć.

- To ciężka sprawa, najdroższy.

- Wiesz już, co myślę o Halu. To samo dotyczy Bretta. Są do chrzanu. Pamiętasz, że to ja załatwiłem ci pracę w innej sieci, kiedy się zanosilo, że wylecisz ze „Skeffingtonów”?

- Oczywiście, że pamiętam, najdroższy.

- Podeszedłem Carolyn Łupino psychologicznie. To nie jest trudne, jeśli się zna reguły biznesu oraz sposób, w jaki ci ludzie pracują. Dobrze. Pozwól, że ci wyjaśnię, co bym chciał zrobić dla twojej finansowej przyszłości. Potem powiem ci, co moim zdaniem powinnaś zrobić ze swoją dalszą karierą i jak ja mogę ci w tym pomóc.

Przez resztę wieczora ślęczeli nad jej rachunkami, odcinkami z książeczek czekowych, zwrotami z urzędu skarbowego, pokwitowaniami. Normalnie Katherine nie miałyby na to ani czasu, ani energii. Tego wieczora zrozumiała, że powinna wyrzucić Bretta, a swoje finanse powierzyć Jean-Claudeowi, który w tych sprawach był geniuszem.

- Nie będziesz tego żałowała, chérie - rzekł, całując ją w czoło i patrząc głęboko w oczy. - Obiecuję, że odniesiesz duże korzyści.

- Czyś ty kompletnie postradła zmysły? - zdenerwowała się Brenda. - Nie wolno ci powierzyć mu swoich wszystkich finansów, po prostu nie wolno.

- A dlaczego nie? - spytała Katherine. - Trudno sobie wyobrazić, żeby okazał się gorszy od moich dotychczasowych księgowych i doradców finansowych. Jean-Claude udowodnił mi, że Brett jest beznadziejny. Co mam do stracenia?

- Nie wiem, po prostu mi się to jakoś nie podoba. - Brenda siedziała na kanapie w garderobie Katherine i przeglądała pocztę od fanów. - Chodzi mi o to, że tak naprawdę to go nie znasz. Poznałaś go we Francji, potem on do ciebie zadzwonił, kilka razy poszłaś z nim na kolację i do łóżka, po czym ni stąd ni zowąd wyszłaś za niego za mąż. A teraz powierzasz mu swoje życie. Co cię do tego skłania?

- Instynkt - odparła Katherine. - Czuję się, jakbym zjadła z nim beczkę soli. Jean-Claude zna się na tym, co robię, tak samo dobrze jak ja. Mamy mnóstwo wspólnego. A poza tym ja mu ufam.

- Ufasz mu! Dobry Boże, Katherine! - wykrzyknęła Brenda. - To za prędko. Dopiero za niego wyszłaś. Na miłość boską, przecież znasz go wszystkiego zaledwie trzy miesiące.

- To wystarczy, żeby w kogoś uwierzyć - odparła Katherine. - Powiesz mi, że Jean-Claude ma ogromny dar przekonywania. Owszem, ma, ale on jest bardzo uczciwy i chyba musiałabym być stuknięta, żeby, choć przez sekundę w niego wątpić.

- O rany - jęknęła Brenda.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to sam mi powiedział, że powinnam go sprawdzić, zanim mu powierzę swoje interesy. Sprawdziłam. Wszystko, co mówi, się zgadza. To już się stało, Brendo, nie ma więc o czym dyskutować.

Brenda zamilkła. Zatelefonowała jednak do Stevena.

- Nie uwierzyłbyś, Steve, jak on ją omotał. Czarno widzę jej przyszłość.

- Katherine jest dorosłą i mądrą kobietą - odparł Steven. - Wie, co robi.

- Chciałabym, żebyś miał rację - rzekła Brenda pełna najgorszych obaw.

Dwa, trzy razy na miesiąc Jean-Claude jeździł do Las Vegas doglądać budowy swojego nowego hotelu, raz lub dwa Katherine zgodziła się mu towarzyszyć. Trochę ją zaskoczyło, że hotel Jean-Claude'a znajduje się tak daleko od ubitej drogi, prawie pięć kilometrów od centrum, od Caesars Palace, MGM Grand, Harrahs i innych atrakcji Las Vegas. Powiedziała Jean-Claudeowi, że jej zdaniem potencjalny gość Las Vegas lubi ruch, tłumy i chce być w środku wszystkiego, co się tam dzieje.

- Ależ cherie - roześmiał się Jean-Claude - to nie ma być żaden tandetny saloon jak te inne kasyna. Mój hotel będzie przypominał zajazdy francuskie, takie jak te w Prowansji czy w dolinie Loary, Owszem, będziemy tu mieli black jacka, ruletkę i automaty, ale my rościmy sobie pretensje do zupełnie innej klienteli. Bardziej wybrednej, europejskiej.

- A nie sądzisz, że twoja wybredna europejska klientela woli grać w Monako lub w Atlantic City? Jeśli im zależy na elegancji, po co mieliby przyjeżdżać do Las Vegas? - Jean-Claude jednak był za bardzo rozentuzjasmowany, żeby jej słuchać. Katherine wzruszyła ramionami. Pomyślała, że to jego sprawy i nie powinna wtykać w nie nosa.

Wspólnikiem Jean-Claudea był Quentin, a wspomagali ich francuscy finansiści.

- Ci sami, którzy zainwestowali pieniądze w mój hotel we Francji - wyjaśnił Jean-Claude. - Czy nie piękny? - spytał, pokazując jej broszurę ze zdjęciami uroczego zajazdu w średniowiecznym stylu. - Znajduje się w samym środku doliny Loary. Chciałbym, żebyś któregoś dnia tam pojechała.

Było po kolacji i siedzieli przy kominku.

- Bardzo bym chciała, Jean-Claude. To kiedy się wybierzemy?

- Prędzej niż się spodziewasz. Pracuję nad kontraktem dla ciebie.

- Jakim kontraktem?

- Za cztery miesiące rozpoczyna się przerwa wakacyjna „Skeffingtonów”.
Nieprawdaż?

- Tak. - Przytaknęła. - I jak zwykle Hal i reszta tych palantów w agencji mówią, że nie mają nic dla mnie.

- Bzdury, cberie. Jesteś zbyt utalentowana, żeby przez całe życie grać tylko jędzę. Pozwoliłem sobie porozmawiać na twój temat ze znajomymi.

- Naprawdę? - Katherine uśmiechnęła się radośnie.

- Oczywiście, niektórzy z nich to także twoi znajomi, cberie, ale ty niestety nie potrafisz wykorzystywać swoich znajomości.

- W Hollywood liczy się sukces. Owszem, mam tu wielu znajomych i w tej chwili akurat wiedzie mi się nieźle, ale powiem ci, że ja tu nikomu nie ufam.

- To dość zrozumiałe, cberie - rzekł, głaszcząc jej nagie udo, od czego po jej ciele rozchodził się znajomy dreszcz. - Z drugiej strony, czy pomyślałaś kiedykolwiek, czym by byli bez ciebie „Skeffingtonowie”?

- Niezłym serialem.

- Może, ale ty dodajesz mu pieprzu. Potrzebują cię w nim zgoła rozpaczliwie, bo gdyby nie ty, nie utrzymałby wysokich notowań.

- Długo już ich nie utrzyma - stwierdziła Kitty. - Notowania teraz są już takie sobie i znowu spadają. W tym sezonie na czoło wysunęło się kilka nowych seriali.

- Exactement. - Przytaknął. - Czy nie sądzisz zatem, że powinniśmy wykorzystać twoją wartość? Pytam jako mąż, który kocha cię do szaleństwa.

- Jak?

- Maksymalizując cały twój potencjał. Robiąc z ciebie większą siłę w przemyśle telewizyjnym. - Zaczął przemierzać dużymi krokami pokój, wysoki, smukły, ubrany w bardzo eleganckie czarne dżinsy i czarne polo. - Dla mnie to niesłychane, Kitty, że w czasie przerwy w „Skeffingtonach” nie kręcisz miniseriale czy choćby jakiegoś filmu tygodnia. Któregoś dnia rozmawialiśmy o tym z Quentinem. On uważa, że to woła o pomstę do nieba, zwłaszcza, że takie angielskie beztalencie dostało rolę w „Emmie Hamilton”. Ty byłabyś w tej roli zachwycająca, Kitty.

- Wiesz, jak to jest. Musisz zrozumieć, że jestem aktorką od dwudziestu czterech lat. Znam ten świat od podszewki. Nie zależy mi na tym, żeby być gwiazdą. Dla mnie to tylko zabawa. Wielbiciele, rozdawanie autografów, zgięci w pas kelnerzy w restauracjach, plotki w gazetach. Dla mnie to nic nie znaczy, bo wiem, że sława jest efemeryczna.

- Exactement. I taka ma być. Ale póki jesteś na fali, Kitty, musisz to maksymalnie wykorzystać.

- Ciągłe dzwonię do Hala i słyszę tę samą odpowiedź. Nic nie ma,

- Hal. Merde. - Jean-Claude zapalił papierosa. - Hal i ta jego agencja są do chrzanu. Myślę, że powinnaś go zwolnić, Kitty.

- Zwolnić Hala? - spytała podniesionym głosem. - To byłby czwarty agent, którego wywaliłam na przestrzeni czterech lat.

- Nie przejmuj się, co o tobie pomyślą, cberie. - Usiadł obok niej przy kominku; Katherine wzięła od niego papierosa i paląc go patrzyła w migocący płomień.

- Masz rację - mruknęła.

- Ja mam zawsze rację - powiedział zdecydowanie. - Ożeniłem się z tobą, Kitty, nie tylko dlatego, że byłem w tobie zakochany jak wariat i dalej jestem, ale również dlatego, że chciałem całkowicie należeć do ciebie. Nie tylko do ciebie jako kobiety, ale do ciebie jako aktorki i do twojego całego życia. A kiedy zobaczyłem, jak ci idioci marnują twój talent, a inni idioci marnują twoje pieniądze, pomyślałem, że może zgodzisz się przyjąć moją pomoc.

- Czemu nie? - rzekła Katherine wesoło.

Mimo że jak większość kobiet ze swojego pokolenia uważała się za feministkę, pewnych mężczyzn darzyła ogromnym podziwem. Jean-Claude był silny, ale nie szedł po trupach jak wielu mężczyzn w Hollywood. Załatwiał wszystko, wykorzystując swój celtycki wdzięk i delikatność.

- Rozmawiałem znowu z Lupinem. Lew jest twoim wielkim sprzymierzeńcem. Jeden projekt mógłby natychmiast uruchomić. On byłby głównym producentem, ja koproducentem, a ty kierownikiem produkcji. To dałoby ci zajęcie podczas przerwy.

- Oszalałeś? - roześmiała się Katherine. - Kiedyś powiedziałam moim agentom, że chciałabym mieć więcej kontroli nad tym, co robię, może nawet zostać producentem, to roześmieli mi się w twarz. Powiedzieli, że żadna sieć telewizyjna nie wyrazi nigdy zgody, żeby aktorka została producentem. „A Goldie Hawn i Barbra Streisand? - spytałam i usłyszałam - Te panie są aktorkami filmowymi, a ty tylko telewizyjną i ciesz się, że w ogóle masz co robić”.

- Oni się nie znają. Ci ludzie to zera, Kitty. Żebyś ty wiedziała, jacy ciemni, prymitywni ludzie rządzą studiami telewizyjnymi, sieciami czy też produkcją seriali telewizyjnych i filmów. Śmiać się chce. Kiedyś widywałem ich w Cannes, na festiwalu. Siedziałem blisko nich w restauracjach, słuchałem ich głośnych idiotycznych rozmów i

psułem sobie apetyt dymem ich tanich cygar. Większość z nich to kretyni, Kitty, i im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie.

- Hm, może masz rację - rzekła Kitty zapatrzona w płasanie płomieni.

- Uważam, że powinnaś upoważnić Hala do przeprowadzenia rozmów z Lupinem na temat miniseriale. Albo może ja to sam załatwię. Mam z nim takie układy, że nie potrzebujemy agenta. Kiedy twój agent ostatnio załatwił ci jakąś pracę?

- Parę lat temu. Grałam w filmie tygodnia.

- Dobra. Co więc masz do stracenia?

- Chyba nic. Zróbmy to, kochanie - rzekła wesoło Katherine. I tak kości zostały rzucone.

W ciągu dwóch tygodni Jean-Claude nie tylko wynegocjował niewiarygodnie lukratywny kontrakt dla Katherine, umożliwiając jej grę w swoim własnym miniseriale podczas przerwy w „Skeffingtonach”, lecz także otworzył drogę do innych rzeczy. Toczyły się już rozmowy w sprawie ubrań z etykietką Katherine Bennet i jej kosmetyków.

- Żaden z tych tak zwanych doradców nigdy na to nie wpadł - rzekł Jean-Claude. - Pieniądze leżą na ziemi, Kitty, ale im się nie chciało po nie schylić.

To ostatnie posunięcie Jean-Claudea zrobiło wrażenie nawet na Brendzie.

- On rzeczywiście ma na uwadze twoje dobro, kotku. Cofam wszystko, co kiedykolwiek o nim powiedziałam. Jesteś wybranką losu.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Czasami myślę, że to za piękne, żeby mogło być prawdziwe - stwierdziła Kitty.

Po wielu latach ciężkich przeżyć, dramatów i trudności finansowych sprawy nagle przyjęły pomyślny obrót i Katherine z wielkim entuzjazmem oddała się przygotowaniom do swojego miniseriale „Wszystko, co się świeci”. Zajęta tym, a także „Rodziną Skeffingtonów”, kosmetykami i ubraniami opatrzonymi jej nazwiskiem oraz szaloną miłością do męża, nie zauważyła, że Tommy się stopniowo od niej oddalił.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tommy z zainteresowaniem obserwował, jak handlarz narkotyków zręcznie się posługiwał swoim instrumentarium. Nag był specjalistą w „gotowaniu kraka”.

- Takiej mieszanki jeszcze nie miałeś, człowieku! Od tego towaru mózg ci wystrzeli do przyszłego królestwa. Nie cyganię. Znam się ja na tych cukiereczkach - co powiedziawszy, odkręcił małą plastikową butelkę wody Evian, trzy czwarte zawartości wylał na podłogę, a tuż nad poziomem tego, co zostało, wypalił w plastiku papierosem dziurkę, przez którą wprowadził do środka połowę pustej rurki od długopisu.

Tommyemu serce zabiło z przejęcia. Spojrzał na Todda. Choć była to dopiero ich druga wspólna wyprawa do Zielonego Domu, zdążyli już obaj doświadczyć znanej każdemu ćpunowi gorączki kokainowej. Tommy jednak się tym nie przejmował. Poprzednia wizyta w tym miejscu dostarczyła mu przeżyć większych niż wszystko inne.

Nag na szyjkę butelki położył pasek folii metalowej, zardzewiałą szpilką zrobił w niej kilka dziurek, folię i rurkę od długopisu w otworze oblepił szczelnie kitem, wreszcie na folię strzepnął nieco popiołu z papierosa i utworzył z niego pagórek.

- Kraka kładziemy tylko na świeży popiół - wyjaśnił. Na szczyt pagórka położył szczyptę białego krystalicznego proszku z ostrożnością jubilera umieszczającego brylant w platynowej oprawie. Przejechał nad nim ogniem zapalniczki, prędko wręczył butelkę Tommy'emu i szepnął ponagląjąco: - Wdychaj, stary, wdychaj!

Tommy zaciągnął się i natychmiast poczuł elektryzujące działanie narkotyku, wdzierającego się mu do mózgu.

- Jezu, to wygląda fantastycznie! - zachwycił się Todd. Była to jego trzecia wycieczka do tej strzelnicy. Drżał na całym ciele z niecierpliwości. - Nie mogę się już doczekać, żeby sobie pociągnąć.

Nag, który - choć nie skończył jeszcze trzydziestu lat - miał tylko dwa lub trzy zęby, wyszczerzył je w szerokim uśmiechu.

- Dobra, panowie - rzekł, wręczając plastikową butelkę Toddowi. - Oto Johnny i jazda mi stąd.

Chłopcy jednak, jak tylko poczuli działanie narkotyku, wpadli w euforię i zaczęli się na niby boksować, skakać po pokoju i radośnie wrzeszczeć.

- Dobra, dobra, panowie, zjeżdżajcie stąd, słyszycie? - Nag nie tracił czasu na szczeniaków, kiedy już zapłacili.

Zamroczeni i zadowoleni, wytoczyli się na brudną ulicę. Byli tu jedynymi białymi chłopcami. Mimo że znajdowali się zaledwie kilka przecznic od Fairfax i Vine, drapacze w centrum Los Angeles ledwo majaczyły przez zjadliwy żółty smog. Z pęknięć w asfalcie wyrastały chwasty, wzdłuż porwanej koleinami ulicy stały spalone wraki samochodów. Dom wytwórcy kraka stał obok sklepu spożywczego tak gęsto pokrytego graffiti, że praktycznie nie można było odczytać hiszpańskich napisów informujących o aktualnych przecenach. W środku panowała senna atmosfera; przed sklepem dwóch młodych Latynosów podpierało ścianę. Popatrzyli z pogardą na tych dwóch białych frajerów.

- Po coście tu przyleźli, lebiegi? - zawołał wyższy Latynos, rzucając papierosa w ich kierunku.

Papieros spadł na nie zasznurowany but Tommy'ego, który go strząsnął i spojrzał spode łba na tamtego.

- Pytam się, po coście tu przyleźli, dupku? To nasz teren. Nie wiesz o tym, czy co?

- I co z tego? - Tommy chciał odejść, ale Latynos zagroził mu drogę.

Jak spod ziemi wyrosło przy nim trzech innych Latynosów. Obok przebiegła dziewczyna, najwyżej czternastoletnia, z płaczącym niemowlęciem w jednej ręce i torbą z zakupami w drugiej. Todd, który nie „wypalił tyle kraka co Tommy, zachowywał się nieco przytomniej.

- Spadamy stąd. To nie nasza dzielnica - powiedział do Tommy'ego, ale temu, pewnemu siebie i butnemu po narkotyku, ani się śniło go słuchać.

- Zejdz mi z drogi - warknął. - Kolorowy brudas.

- Do mnie szurasz, dupku? Do mnie szurasz? - Wysoki chłopak zrobił krok do przodu, wymachując kijem baseballowym. - Spierdalaj stąd, dupku. Zabieraj stąd swoją dupę, kutasie, bo pożałujesz, słyszysz?

Tommy zrobił krok do przodu.

- Co ty nie powiesz? Gówno mi zrobisz, ciemniaku. Kto ty w ogóle jesteś? Jakiś śmieć.

Todd patrzył na Tommyego z przerażeniem. Obaj doskonale wiedzieli, że zaczepianie gangu Latynosów na ich własnym gruncie w centrum Los Angeles równa się samobójstwu.

- Spadam - syknął. - Ty lepiej zrób to samo, bo nikt nam tutaj nie pomoże.

- To spadaj, tchórze - odparł Tommy, nie odrywając oczu od Latynosa. - Dam sobie radę bez ciebie. Todd, który nie był ani tchórzem, ani idiotą, złapał Tommyego za ramię, ale kolega strząsnął jego rękę. - Odpieprz się, Todd - krzyknął. - Wynoś się stąd!

Toddowi nie trzeba było dwa razy tego powtarzać. W chwili gdy wsiadał do samochodu, doszło go głuche uderzenie kijem baseballowym i dziki wrzask Latynosów atakujących Tommyego. Skręcając w główną ulicę, zdążył jeszcze usłyszeć ochryply drwiący śmiech i oddalające się kłapanie butów po asfalcie. Już z ulicy spojrział na miejsce, gdzie zostawił kolegę. Tommy leżał zwinięty na ziemi.

- Jezu Chryste! - krzyknął przerażony Todd i nacisnął na hamulec.

Katherine była akurat w środku sceny miłosnej, kiedy wyciągnięto ją z planu.

- Pobito Tommy'ego - oznajmiła Brenda najspokojniej, jak umiała. - Jest w szpitalu - zakończyła i wybuchnęła płaczem.

Katherine poczuła, że nogi się pod nią ugięły.

- Jedziemy do niego - zarządziła. Ze strachu kręciło się jej w głowie. - Idź po samochód. Muszę go zobaczyć, choćby Gabe miał mnie wyrzucić z roboty.

W drodze do szpitala Brenda powtórzyła Katherine, czego dowiedziała się od policji.

- W jakim jest stanie? Powiedz mi prawdę, Brendo.

- Nie wiem. Powiedzieli mi tylko, że został bardzo mocno pobity i że jest w szpitalu na oddziale intensywnej terapii.

- Na oddziale intensywnej terapii - jęknęła Katherine. - O Boże!

W szpitalu wyszedł im na spotkanie smutny doktor Lindsey.

- Musisz być dzielna, Kitty. Niestety, nie mam dobrych wiadomości.

- W jakim on jest stanie? Będzie żył?

- Odniósł ciężkie obrażenia. Ma wstrząśnienie mózgu, złamany obojczyk, pęknięte obie rzepki i... Doktor Lindsey wymienił spojrzenie z Brenda.

- I? I co?

- Jest -w śpiączce.

Słyszając to Kitty jeszcze bardziej zbladła. Brenda złapała ją za rękę, wbijając paznokcie w jej dłoń.

- Śpiączka? Co to dokładnie znaczy, doktorze?

- To znaczy, że mózg w wyniku przeżytego wstrząsu się wyłączył.

- Jak długo to potrwa? - Katherine była w śpiączce w „Skeffingtonach”, ale na tym kończyło się jej doświadczenie.

Leżała wówczas w szpitalu, miała głowę owiniętą bandażami, makijaż, pomalowane na czerwono paznokcie. Jej śpiączka trwała koło tygodnia.

- Nie potrafię tego powiedzieć - odparł. - Każdy przypadek jest inny, wszystko zależy od przebiegu najbliższej doby. Jeśli Tommy w tym czasie odzyska świadomość, będzie miał szansę.

- Szansę? Na co? - Katherine zrobiło się zimno ze strachu.

- Szansę na wyzdrowienie.

- A teraz? Jak pan ocenia jego szansę? - spytała cicho Brenda.

Po jej policzkach spływały nie kontrolowane łzy.

- Mniej więcej na pięćdziesiąt procent. Wszystko zależy od dzisiejszej nocy. Chodź do niego, Kitty. Najlepiej będzie, jeśli usiądziesz obok i będziesz do niego mówiła.

Katherine, blada jak ściana, poszła za nim. Kiedy doszli do oddziału intensywnej terapii, z jej piersi wyrwał się krzyk. Ze wszystkich części ciała Tommy'ego sterczały jakieś rurki i dreny. Głowę miał ogoloną, a zamknięte oczy były spuchnięte i podsinione. Obie nogi, grubo zabandażowane, znajdowały się na wyciągu.

- Obawiam się, że ma uszkodzone oba kolana - rzekł doktor Lindsey. - Strzaskali mu nogi kijem do baseballa.

- Dranie! - krzyknęła Brenda przez łzy.

Katherine patrzyła suchymi oczyma na połamane ciało jej syna.

- O Boże, Boże, synku, co oni ci zrobili?

Przez całą noc Katherine siedziała przy Tommym. Trzymając go za rękę, przemawiała do niego łagodnie, prosiła, żeby się obudził. Nie jadła, nie spała, wciąż miała na sobie strój z czarnej satyny, który nosiła na planie. Wiadomość o wypadku Tommy'ego prędko dotarła do dziennikarzy, którzy zaczęli się gromadzić pod szpitalem, marząc o sfotografowaniu gwiazdy przy łóżku syna. Stawili się rzecznicy prasowi Katherine, Kingsley i Raquel, żeby bronić jej przed intruzami. Mimo najszczerzych chęci nie zdołali odnaleźć Johnny'ego. Najdziwniejsze jednak było to, że milczał Jean-Claude, który pojechał na dwa dni do Newady na inspekcję swojego nowego hotelu i nie zostawił wiadomości, gdzie się zatrzyma. Przypuszczalnie nie oglądał telewizji i nie wiedział, co się stało.

Rano Katherine powiedziała Brendzie, że powieki Tommyego jak gdyby się poruszyły.

- Masz rację, Kitty. On rusza powiekami. O, popatrz.- Czekały w skupieniu, żeby powieki Tommy'ego znowu się poruszyły, ale na próżno.

Po południu zjawił się doktor Lindsey. Sprawdziwszy stan Tommyego, pokręcił głową.

- Minęło dwadzieścia godzin, odkąd go do nas przywieźli i nie ma żadnej poprawy powiedział. - Musimy go poddać kolejnemu badaniu komputerowemu mózgu. U młodych ludzi z urazem głowy śpiączka zwykle zaczyna ustępować przed upływem dwudziestu czterech godzin. Boję się, że Tommy... - Głos mu odmówił posłuszeństwa.

- Co? - spytała ostro Katherine. - Co pan mówi? Pozostanie w takim stanie? Pozostanie w śpiączce?

- Tego się obawiam - przyznał z zakłopotaniem lekarz.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że być może Tommy doznał trwałego uszkodzenia mózgu? Że będzie niepełnosprawny?

Doktor Lindsey patrzył na Katherine w milczeniu.

- Żyjemy w strasznym świecie, Kitty - rzekł po chwili. - Czy wiesz, z iloma podobnymi przypadkami mam do czynienia w ciągu roku?

Oszołomiona Katherine pokręciła głową.

- Z setkami - powiedział gorzko. - Może tysiącami. Młodzi ludzie, przeważnie mężczyźni, ciężko pobici, zamienieni w rośliny. I wiesz, kto to robi?

Ponownie pokręciła głową.

- Inni młodzi mężczyźni. Nawzajem się zabijają. Co za czasy - rzekł. - Żyjemy w strasznym świecie.

W tym momencie usłyszeli jakiś szelest i odwrócili się w stronę łóżka. Tym razem powieki Tommy'ego naprawdę drżały, a po chwili poruszyły się również jego wargi.

- Tommy, synku, to ja, twoja mama - powiedziała Katherine. - Słyszysz mnie? Jeśli mnie słyszysz, zaciśnij palce na mojej ręce, kochanie, zaciśnij je, proszę.

Na oddziale panowała prawie zupełna cisza, zakłócały ją tylko maszyny, które utrzymywały przy życiu innych pacjentów. Katherine poczuła delikatny uścisk.

Tę noc znowu przesiedziała przy łóżku syna, przemawiając do niego cicho. Młodzi lekarze na stażu i pielęgniarki przychodzili zerknąć ukradkiem na wielką gwiazdę, zaniedbaną, bez makijażu. Pacjenci, dowiedziawszy się, że Katherine jest w szpitalu, tłoczyli się za szklanymi drzwiami oddziału intensywnej terapii, starając się, choć raz rzucić okiem na ulubioną aktorkę. Fotoreporterzy, którzy stawili się en masse, trzymali straż na końcu korytarza. Jeden z bardziej przedsiębiorczych paparazzich zdobył gdzieś fartuch lekarski i przez szybę w drzwiach zrobił prędko kilka zdjęć.

Katherine mówiła Tommyemu, co tylko jej przyszło do głowy. Opowiadała mu swoje dzieciństwo. Wspominała podróże na Fire Island i do Montauk, które od były, gdy Tommy miał dwa albo trzy lata, ich przygody w Disneylandzie i wyprawy na ryby w czasach, gdy

Johnny był jeszcze kochającym, troskliwym ojcem. Kiedy zabrakło jej wspomnień, recytowała wiersze z dzieciństwa długo skrywane w zakamarkach pamięci.

Od czasu do czasu Tommy poruszał powiekami, raz lub dwa jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale dopiero, gdy świt wśliznął się do tej aseptycznej sali, otworzył szeroko oczy i spojrzał na nią zdziwiony.

- Cześć, mamus - wyszeptał. - Co tu robisz?

- To cud - rzekł doktor Lindsey. - Na ogół nie wierzę w cuda, ale ty dokonałaś rzeczy niezwyklej, Kitty.

Siedzieli po obu stronach posiniaczonego, ale zadziwiająco normalnego Tommy'ego. Najwyraźniej wyszedł ze śpiączki bez żadnego uszczerbku na umyśle. Doktor Lindsey nie posiadał się ze zdumienia.

- Jutro zabierzemy go z oddziału intensywnej terapii, ale przez jakiś czas będzie musiał się poruszać na wózku inwalidzkim. Jego nogi, a zwłaszcza lewe kolano, są poważnie uszkodzone.

- Czy będzie mógł chodzić? - spytała Kitty. - Grać w baseball? On szaleje na punkcie baseballa.

Lekarz potrząsnął głową.

- Na razie powinno mu wystarczyć, że żyje, Kitty. Chwilowo zapomnijcie o baseballu, bo wyleczenie jego nóg trochę potrwa. Za kilka miesięcy, jak kości się zrosną, będziemy wiedzieć coś więcej. Najważniejsze, że twój syn jest normalny pod względem umysłowym. Chcę ci jeszcze zadać jedno pytanie. Co do diabła Tommy robił w środku miasta naćpany? Dlaczego walczył z gangiem Latynosów?

Katherine popatrzyła w zamyśleniu na syna.

- Nie wiem, doktorze, ale postaram się dowiedzieć.

Wieczorem Tommy został przeniesiony do separatki. Zaraz też oświadczył, że jest głodny jak wilk i zażądał cheesburgera, frytek, a na deser czekolady do picia. Katherine uznała, że przyszła pora wziąć go na spytki.

- No dobra, mały, wyrzuć to z siebie. Co się stało?

- Nie chcę o tym rozmawiać, mamus.

- Musisz. Dlaczego brałeś narkotyki?

Patrzył ponuro na gładką kremową ścianę.

- Nie wiem.

- Słuchaj, Tommy, byłeś jedną nogą na tamtym świecie. Jesteś mi winien wyjaśnienie.

- Tobie? - Teraz patrzył na nią i jego oczy płonęły. - Żartujesz chyba? Nic ci nie jestem winien, mamuś, zupełnie nic.

- Nie wymagam od ciebie wdzięczności, Tommy. Od twojego ojca też jej nie doznałam. Ale robisz sobie wielką krzywdę, synku. Branie narkotyków to samobójstwo.

- Nie waż się mieszać w to taty - wybuchnął Tommy. - Tata jest chory bardziej, niż myślisz.

- Przykro mi. Pogłaskała go delikatnie po głowie. - Bardzo mi przykro. Tommy, proszę cię, opowiedz mi, co się stało? Musimy to i owo sobie wyjaśnić. Jeśli się do wiem, co cię dręczy, będę mogła ci pomóc, a w każdym razie spróbuję.

Tommy utkwiał wzrok w suficie.

- On, Ten zabojad, za którego wyszłaś, mamuś, ten pieprzony Francuzik. Jeśli go kochasz, to w porządku, ale...

- Wcale nie w porządku, synku, wcale. Dla mnie to bardzo ważne, żebyśmy tworzyli we trójkę rodzinę. Ty i ja robiliśmy tyle rzeczy wspólnie, chcę, żeby tak było dalej.

- Ha - prychnął Tommy. - Jesteś w wielkim błędzie, jeśli sądzisz, że chcę mieć z nim coś wspólnego. To oszust i łgarz. On nie jest fajny, mamuś.

- To nieprawda, Tommy.

- To prawda. Nie bądź głupia. Wiem, że wszyscy go uważają za ósmy cud świata, wiem, że on rozkręcił twoje interesy, ale dla mnie to gnój od samego początku. Myślę, że źle zrobiłaś, że za niego wyszłaś, mamuś. Rozmawiałem o nim z tatą. Tata przyznał mi rację.

- Przyznał ci rację? To śmieszne. Przecież on nawet nie zna Jean-Claudea.

- Ale zna ciebie. Wie, co cię bierze, co na ciebie działa. Zdaje się, że... - Wzruszył ramionami. - Tata uważa, że ten zabojad zajął moje miejsce w twoim sercu. Mniejsza o to. Ale chyba dlatego łąziłem z Toddem i się zaprawialiśmy. Zresztą, kupa ludzi to robi.

- Kupa ludzi to robi - powtórzyła po nim. - Lepiej, żeby kupa ludzi, synku, przestała to robić, póki jeszcze może. Ciebie prawie zabili. Czy wiesz, że praktycznie otarłeś się o śmierć?

Tommy'emu nagle przed oczyma stanęła tamta okrutna chwila.

- Tak, wiem. Masz rację, mamuś. Ty zawsze masz rację. - Powieki zaczynały mu ciążyć. - Słuchaj, muszę się teraz przespać, bo się jakoś dziwnie czuję. - Z zamkniętymi oczyma mruknął: - ...branoc, mamuś. Prze praszam, naprawdę przepraszam. Z krakiem w każdym razie skończyłem. Możesz być tego pewna.

Jean-Claude mówił jej, żeby na niego nie czekała, ale Katherine była tak wykończona, że nie mogła zasnąć. O północy wciąż wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w

fosforyzujące światło zegara. Do wstania pozostały zaledwie cztery godziny. Dlaczego go jeszcze nie było? W końcu zasnęła i wtedy do sypialni wszedł Jean-Claude,

- Tak mi przykro, cherie.

Objęła go ramionami i wciągnęła nosem znajomy zapach.

- Gdybym tylko wiedział, natychmiast wróciłbym do domu. Aż mi się wierzyć nie chce, że musiałaś sama przejść przez to wszystko.

- Najdroższy, tak bardzo za tobą tęskniłam. To było piekło.

- Wiem, cherie. Czy uwierzysz, że dowiedziałem się o wszystkim dopiero przed chwilą? W samolocie przeczytałem wczorajszą gazetę. Usiłowałem zadzwonić do ciebie zaraz po wylądowaniu, ale wszystkie telefony na tym cholernym lotnisku były zepsute. O, Kitty, jak ja za tobą tęskniłem.

Otarł się twarzą o jej ramię, jego ręce rozpoczęły znajomą wędrówkę po jej ciele. Katherine rzuciła okiem na zegar. Trzecia rano. Gdzieś w tyle jej głowy cichy głos zadawał pytania. Jakie to samoloty przylatują z Newady do Los Angeles po północy? Czemu nie wziął ze sobą telefonu komórkowego? Dlaczego w ogóle nie spytał o zdrowie Tommy'ego? Gdzie był? Ale odepchnęła od siebie te nieładne myśli, bo niedługo musiała wstać i jechać do pracy. Potem czekało ją czternaście zmudnych godzin na planie. Ale co tam. Syn wracał do zdrowia, teraz -więc najważniejszą rzeczą było kochanie się z mężem.

Gdy po wszystkim leżeli w czułym uścisku, Jean-Claude pogłaskał ją po głowie i rzekł:

- Wiesz, cherie, tak się zastanawiałem nad twoją nową rolą we „Wszystko, co się świeci”.

- I co? - spytała Katherine prawie zasypiając.

- Wiesz, ta Paulette de Waldner to szalenie atrakcyjna kobieta... - Jean-Claude wymownie zawiesił głos.

- A ja nie? - zażartowała.

- Tak, tak, oczywiście, ty też jesteś szalenie atrakcyjna i nie tylko, ale... - znowu zawiesił głos.

- Ale co, najdroższy? - Przytuliła się mocniej.

- Chodzi o te suknie z osiemnastego wieku... widziałem ich projekty... będziesz wyglądała w nich cudownie, cherie, zwłaszcza jeśli trochę schudniesz.

Katherine, zawsze wrażliwa na punkcie swojej wagi, otworzyła oczy.

- Zdjęcia zaczynamy dopiero za dziesięć tygodni. Do tego czasu zamierzam zrzucić co najmniej trzy, cztery kilogramy. Nie ma powodu do niepokoju.

- Myślę jednak, że jest - odparł cicho. - Nie zrozum mnie źle, chérie, ale zawsze mówiliśmy sobie prawdę. Dlatego będę z tobą szczery.

Teraz Katherine poczuła się już na dobre obudzona. Za piętnaście czwarta. O tej porze nawet nie warto było zasypiać, została godzina. To już lepiej przeżyć cały dzień na kofeinie.

- Do czego zmierzasz?

- Znam w Las Vegas lekarza, który zajmuje się wszczepianiem silikonu w piersi.

Katherine z wrażenia usiadła. Włączyła lampkę.

- Sugerujesz, że potrzebna jest mi operacja kosmetyczna piersi? Zwariowałeś, Jean-Claude?

- Uspokój się, Kitty, uspokój się. - Poklepał ją, jak gdyby była małym rozzłoszczonym pieskiem. - Bądź praktyczna, chérie. Masz czterdzieści trzy lata. Pamiętaj, że w tym filmie będziesz otoczona przez mnóstwo pięknych i bardzo młodych dziewcząt. Nie chcesz chyba wyglądać... - przerwał, szukając odpowiedniego słowa.

- Jak wyglądać? - Ze złością sięgnęła po papierosa, zapaliła go, ignorując sapnięcie Jean-Claudea, który nienawidził palenia w łóżku. Trudno. On też nie sprawił jej przyjemności, mówiąc, że jej biust wymaga ingerencji chirurga.

- Nie ma najmniejszych powodów do obaw, chérie, ta operacja jest zupełnie bezpieczna. Ten lekarz to światowej sławy chirurg, który specjalizuje się w biustach. Robi to genialnie. Operował wszystkie znane kobiety. Cher, Dolly, Jane. Którą tylko chcesz.

- Skąd o tym wiesz? Oglądałeś z bliska ich biusty? - Paliła łapczywie, nie dbając o to, że popiół spada na haftowaną białą, lnianą kapę. Roześmiał się, chciał ją objąć, ale Katherine odsunęła się. - Nie wierzę własnym uszom.

- Chérie, przecież nigdy nie udawałem, że zanim cię poznałem, byłem świętym.

Milczała. Nie chciało jej się już spać, ale było jej zimno. Marzyła, żeby budzik wreszcie zadzwonił i mogła wstać i pójść do pracy.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Kitty. Po czterdziestce nie wygląda się już tak jak w wieku dwudziestu lat.

- Zgadza się - odparła lodowato. - I dlatego nie ma nic bardziej żalosego, zwłaszcza w tym mieście, od kobiet, które mając czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat, usiłują wyglądać na dwudziestolatki. Ja do tej pory tego nie robiłam i nie zamierzam zacząć teraz.

- Tu przecież chodzi o twoją karierę zawodową, chérie. Czy to się dla ciebie nie liczy?

- Nie widzę, w jaki sposób sztuczny biust mógłby wpłynąć na moją karierę. - Katherine zdusiła papierosa i natychmiast zapaliła następnego.

Jean-Claude wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz. - W jego głosie pojawił się ów nieprzyjemny lodowaty ton. - Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli w gazetach napiszą, że te wycięte suknie nie pasowały do twojego obwisłego i posmarowanego ochrą biustu.

- Obwisły! Posmarowany ochrą? Wiesz, jak mi dokuczyć. - Dotknęła dłonią piersi, jak gdyby sprawdzała, że jeszcze tam są. - Moim zdaniem nic im nie brakuje. Skoro nadawały się dla Georgii, tym bardziej nadadzą się dla Paulette.

- Dobrze, Kitty, nie chce mi się już o tym dyskutować. To twoja sprawa i twoje życie, rób z nim, co chcesz. Zresztą zawsze robisz, co chcesz. Jako producent tego filmu mówię ci tylko, jak byłoby najlepiej. Dla ciebie, Paulette i całego filmu.

- Dzięki. Będę miała to na uwadze.

Ale Jean-Claude jeszcze nie skończył.

- Ten twój synalek to niezły numer - powiedział. - Wrodził się w tatusia. I pewnie też tak skończy.

Zdusiwszy papierosa z taką furią, że iskry przypaliły jej paznokcie, Katherine zgasła lampkę. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ciemność. Pogardzała kobietami z Beverly Hills, które miały silikonowe biusty i skórę naciągniętą do granic możliwości. Obiecała sobie, że nigdy się do nich nie upodobni.

Później, gdy obejrzała się w ostrym oświetleniu, zaczęła się zastanawiać, czy Jean-Claude nie ma przypadkiem racji. Wyglądała na bardzo zmęczoną kobietę w średnim wieku. „Nic dziwnego - powiedział jej głos wewnętrzny - spałaś zaledwie godzinę. Godzina snu nie wystarczyłaby nawet Molly Ringwald”.

W porze lunchu do jej garderoby wpadli na kanapkę Brenda i Steven. Katherine zatelefonowała do doktora Lindseya.

- Ten chłopiec to cud - usłyszała w słuchawce. - Bardzo prędko wraca do zdrowia. Dostaliśmy już jego zdjęcia rentgenowskie, z których wynika, że kolana się wspaniale goją. Jestem dobrej myśli.

- Dzięki Bogu - ucieszyła się Katherine.

- Co zaś do obojczyka, to uszkodzenie nie jest poważne. Trzeba mu dać trochę czasu. Nie wolno go forsować. Myślę, że jeszcze w tym tygodniu zwolnię Tommy'ego do domu.

Odłożywszy słuchawkę, Kitty odwróciła się do Brendy i Stevena.

- Wiecie? Tommy wyzdrowieje. - Uśmiechnęła się radośnie.

- Szczęśliwa matka z ciebie, Kitty - rzekł Steve.

- Jeszcze jak - przyznała z przekonaniem.

Pod koniec dnia popędziła do szpitala. Zastała Tommy'ego w łóżku zawalonym taśmami wideo z jego ulubionymi zespołami, pismami sportowymi, słodyczami, pudełkami z pączkami. Na krześle obok siedział uśmiechnięty Jean-Claude.

Katherine pomyślała, że mądrzej zrobi, jeśli nie okaże zdziwienia.

- Cześć, chłopaki - powiedziała zdyszana. - Co macie takie wesołe miny?

- Cześć, mamus - ucieszył się na jej widok Tommy. - Mieliśmy właśnie zagrać w trik-traka.

Jean-Claude wstał i pocałował Katherine, czule ściskając jej ramię.

- Udał ci się dzień? - spytał Tommy.

- Tak, synku. Wszystko poszło dobrze. A tobie?

- Mnie też. Doktorek mówi, że w piątek mogę wrócić do domu, a Jean-Claude obiecał zabrać mnie na mecz Lakersów w niedzielę. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Będę jeździł w fotelu inwalidzkim przez kilka tygodni. Fajnie, nie?

- Fajnie. Mała przygoda.

Katherine opadła na fotel inwalidzki Tommyego i westchnęła zmęczona. Jeśli między jej synem a mężem istniały jakieś nieporozumienia, to najwyraźniej rozwiązał je letni wiatr. Tyrada, którą Tommy wygłosił poprzedniego wieczora, wydawała się teraz wybrykiem jej imaginacji. Zbyt zmęczona, żeby myśleć, zamknęła oczy. Odgłosy gry w trik-traka po chwili ją uśpiły.

Po kilku tygodniach Tommy wstał z fotela i zaczął szaleć o kulach po domu. Często zachodził do nich Steven, z którym Tommy lubił grać w bilard. Któregoś wieczora po kolacji Steven, Brenda i Katherine gawędzili sobie przy kominku. Tommy poszedł już spać, a Jean-Claude pracował przy komputerze.

- Wydaje mi się, że Tommy jest w bardzo dobrej formie - stwierdziła Katherine.

Brenda i Steven wymienili znaczące spojrzenia.

- O co wam chodzi, jeśli wolno wiedzieć?

Zapadła niezręczna cisza.

- No, powiedzcie mi wreszcie - zniecierpliwiła się Katherine.

- Myślę, że powinnaś się o tym dowiedzieć - rzekł Steven, wzdychając. - Powiedz jej, Brenda.

- W szufladzie szafki nocnej Tommyego znalazłam marihuanę. Gdy go przycisnęłam do muru, przyznał się, że pali.

- Powiedział dlaczego?

- Powiedział, że rzucił kokainę, a palenie marihuany jest tym samym co palenie papierosów. Powiedział, że nie ma o czym mówić i że cała młodzież....

- ... robi - dokończyła Katherine. - už to słyszałam.

- Zgadnij jednak, skąd ją miał - powiedziała Brenda. - Ni mniej ni więcej, tylko od tatusia.

- Johnny dał mu marihuanę? Trudno w to uwierzyć. Narzeka, że nie ma pieniędzy na jedzenie, a kupuje marihuanę?

- Jak widać - rzekła Brenda.

- No to ja mu zaraz wygarnę - zdenerwowała się Katherine i wykręciła numer Johnnynego.

- Jak śmiesz dawać dziecku narkotyki! - krzyknęła, gdy Johnny podniósł słuchawkę. - Co ci odbiło? Chyba upadłeś na głowę.

- Aaach, o co tyle krzyku? O kilka skrętów? - zajęczał Johnny. - Co się tak gorączkujesz, Katherine?

- Gorączkuję się? Ja się gorączkuję? Jak mam być spokojna, kiedy ty uczysz ćpać szesnastoletniego chłopaka? Jesteś skończonym głupcem, Johnny. Jeśli jeszcze raz mu dasz coś takiego, to nie dostaniesz już ode mnie ani centa.

- Tego mi nie zrobisz. Potrzebuję pieniędzy.

- Owszem, zrobię - rzuciła słuchawką i drżącymi rękoma sięgnęła po papierosa.

- Co się tu dzieje?

Wszyscy troje odwrócili się do drzwi, w których stał Jean-Claude.

- Nic takiego, najdroższy - odparła Katherine. Jean-Claude obrzucił zimnym spojrzeniem Brendę i Stevena.

- Dlaczego zwierzasz się ze swych kłopotów obcym ludziom, cherie Jestem twoim mężem i jeśli coś cię gnębi, powinnaś mi o tym powiedzieć.

- Tak, ale...

- Ani słowa, cberie. - Uciszył ją pocałunkiem w czoło.

Steven z trudem opanował zdenerwowanie. Wstał i dopił drinka.

- Wychodzę. A wy, gołąbki, załatwcie to między sobą - rzekł z otwartą ironią.

- Dobry pomysł - stwierdził Jean-Claude, nie odrywając oczu od twarzy Katherine. - Lepiej, żebyś zajął się swoimi sprawami.

- Przepraszam cię za to, Steve - rzekła Katherine.

- Powiedziałem, cberie, ani słowa. - Jean-Claude zmarszczył ostrzegawczo brwi. - Czas, żebyś poszła do łóżka. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Brenda zaczęła coś mówić, ale Jean-Claude zmroził ją spojrzeniem.

- Słuchaj, babo, jeśli moja żona ma kłopoty, to zwraca się z nimi do mnie. Nie do ciebie, nie do niego. - Wykonał lekceważący gest w stronę Stevena. - Ja jestem jej mężem.

- Mnie już tu nie ma - rzekł Steven.

- Jeszcze nie skończyłem - zawołał za nim Jean-Claude. - Ale ja skończyłem - odparł Steven i energicznie trzasnął drzwiami.

- Co ty robisz, Jean-Claude? Ci ludzie są moimi przyjaciółmi. Pamiętaj, że pomagali mi rozwiązać kłopoty z Tommym.

- Jeśli masz kłopoty z Tommym, zwróć się do mnie, dobrze?

Brenda z westchnieniem wzniosła oczy do nieba.

- Dobranoc, moi drodzy - mruknęła.

- Kitty, Kitty, czemu intrygujesz za moimi plecami? - spytał Jean-Claude, masując kark Katherine. Miał smutną minę. - Jesteśmy małżeństwem. To mnie powinnaś ufać, nie im.

Katherine spojrzała w popłochu na zegar. Północ. Za pięć godzin musi być na nogach. Jeśli chciała uniknąć całonocnej awantury, mogła zrobić tylko jedno. Odezwa ła się w niej aktorka.

- Przepraszam cię, najdroższy. Porozmawiamy kiedy indziej. Obiecuję, że to się już nigdy nie powtórzy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Od chwili, w której Jean-Claude wziął w swoje ręce sprawy Katherine, skrupulatnie informował ją o wszystkich przedsięwzięciach, które podejmował w jej imieniu. Co najmniej raz w tygodniu zmuszał ją do zasiadania z nim przy biurku i oglądania na ekranie komputera magicznych liczb opatrzonych symbolem dolara.

- Chcę, żebyś mnie sprawdzała - mówił. - Do tej pory byłaś zbyt ufna, naiwna i pozwalałaś się okradać bandzie łobuzów, która niby to miała się tobą opiekować.

Katherine musiała przyznać, że liczby na ekranie komputera Jean-Claudea robiły na niej wrażenie. Udało mu się dokonać wielkiego postępu w sprawie sprzedaży przez telewizję ubrań opatrzonych etykietką z jej nazwiskiem i wytargować osiem procent od każdej sprzedanej sztuki. Projekty kosmetyków znajdowały się w dość zaawansowanym stadium; serię kremów do twarzy i ciała Brzoskwinia oraz wodę toaletową o tej samej nazwie planowano wypuścić na rynek jesienią, równocześnie z wejściem na ekrany telewizorów pierwszego odcinka „Wszystkiego, co się świeci”.

Zwolniwszy większość jej pracowników, Jean-Claude zatrudnił na pół etatu sekretarkę do pomocy przy porządkowaniu dokumentów i kontraktów Katherine. Dziewczyna, świeżo upieczona absolwentka studiów ekonomicznych na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, była ruda, zuchwała i na imię miała Ali. Zabrała się do pracy z entuzjazmem.

Jean-Claude znalazł także Katherine nowego prawnika o nazwisku Kenneth Stringer, który powiedział jej:

- Dla niego nie istnieje nic ważniejszego od pani. Żeby pani widziała, jak on walczy o pani sprawy. Jak negocjuje pani kontrakty. Istny tygrys. Nie popuszcza o centymetr. I wie pani co? Zwykle udaje mu się postawić na swoim. To niesłychane.

- Co prawda, to prawda. Załatwił mi role w miniseriach. Będziemy również ich producentami.

- Jean-Claude jest szalenie utalentowanym biznesmenem. Świetnie pani trafiła.

- Wiem - odparła Kitty. - Nie musi mi pan tego mówić.

W ciągu kilku miesięcy Jean-Claude uwolnił Katherine od zbędnego balastu w postaci zbyt licznej służby, której połowę zwolnił bez mrugnięcia okiem, a tej części, która pozostała - wiernej Marii, Wonowi, nowej pokojówce o imieniu Esperanza i ogrodnikowi - zapowiedział, że mają się starać, bo w przeciwnym razie podzielą los tamtych. Barry'emu Lefcovitzowi doradził zaprzestać przysyłania rachunków za „nie przewidziane wydatki”, bo

w przeciwnym razie Katherine zrezygnuje z jego usług. Kingsley Warwick otrzymywał teraz nie stałą pensję, lecz zaliczkę.

Jean-Claude powiedział mu:

- Musisz bardziej rozreklamować Kitty. Nie wystarczą pojedyncze zdjęcia w dziale mody „The Enquirer” i te głodne kawałki w lokalnych gazetach. Wykaż się trochę, jeśli chcesz zatrzymać tę pracę.

Ostatnim z ludzi, których wyrzucił, był Sam, szofer i księgowy.

- Ja będę prowadził twoją rachunkowość - zapowiedział. - Swoją prowadzę od czasu, kiedy byłem gwiazdą muzyki pop. Co zaś do kierowcy, to nie jest ci wcale potrzebny. Wieczorem ja prowadzę, a w ciągu dnia może cię wozić Brenda.

Brendę upomniął, żeby nie używała kart kredytowych Kitty.

- Nie widziałem jeszcze, żeby ktokolwiek wydawał tyle pieniędzy na przybory do pisania - burknął. - W zeszłym miesiącu na papier, notatniki i ołówki poszło sto piętnaście dolarów! Czy my tu prowadzimy sklepik szkolny?

Przeanalizowawszy trzymiesięczne wydatki na jedzenie i prowadzenie domu, drastycznie ograniczył budżet.

- Spizarnia świeci pustką, choć twoje rachunki od Gelsona opiewają na ponad siedemset dolarów! Oni żywią swoje rodziny za twoje pieniądze i trzeba z tym skończyć - rzekł oschłym tonem.

Kitty próbowała bronić wierną Marię przed pomówieniami Jean-Claude’a, ale on tylko patrzył w komputer i szybko wystukiwał kolejne liczby na poparcie swoich oskarżeń.

- Nigdy nikomu nie ufaj, Kitty. I pamiętaj o priorytetach, cberi. Priorytety! Musisz zaoszczędzić trochę pieniędzy, bo inaczej pójdiesz z torbami.

Katherine musiała przyznać, że pod surowymi rządami Jean-Claudea jej konto w banku rosło. Rzeczywiście, po raz pierwszy zaczęła odkładać pieniądze.

Niekiedy po powrocie do domu zastawała go tak pochłoniętego pracą, że pocałowawszy ją z roztargnieniem wracał do swoich komputerów; zwykle jednak rzucał wszystko i spędzał z nią wieczór.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś najpiękniejszą i najszykowniejszą kobietą na świecie? - mruzczał, kiedy siedzieli objęci przed kominkiem.

- Owszem - zażartowała. - Mówię to sobie co rano, kiedy patrzę na siebie w lustrze.

- Naprawdę, cherie, jesteś najpiękniejszą z nich wszystkich, a ja jestem najszcześniejszym człowiekiem.

Gdy zostało już tylko sześć tygodni zdjęć „Rodziny Skeffingtonów”, przygotowania do nowego miniserialu szły pełną parą. Wszystkie przerwy na lunch schodziły Katherine na przymiarkach osiemnastowiecznych kostiumów i peruk. Do domu wracała tak zmachana, że czuła ulgę, jeśli Jean-Claude, zamiast iść z nią do łóżka, zasiadał do komputera. Jean-Claude co dwa tygodnie jeździł doglądać budowy swojego nowego hotelu w Newadzie, ale przestał prosić Katherine, żeby mu towarzyszyła. W duchu cieszyła się, kiedy wyjeżdżał, bo chociaż niezmiennie bardzo go kochała, w czasie jego nieobecności mogła się wyspać do woli i spędzić trochę czasu z Tommym.

W sobotę poprzedzającą ich wyjazd do Francji Katherine z Jean-Claudem urządzali party. Było to częściowo ich zaległe wesele, częściowo pożegnanie z Los Angeles i pierwsze ich wspólne przyjęcie. Katherine marzyło się wydanie takiego bankietu, żeby to miasto, zblazowane do imentu, długo go pamiętało. Zaplanowały z Brendą wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Tymczasem w dzień imprezy, ku największej rozpaczycy Katherine, od rana się rozpadało. Brendą w panice zatelefonowała do firmy, która wypożyczała ogromne namioty z przezroczystymi bokami.

- W Los Angeles rzadko pada w lipcu - rzekła Kitty, patrząc smutno na rozmokłą ziemię.

- Tutaj możesz się wszystkiego spodziewać - odparła Brendą z goryczą. - Potrzebne jest nam jeszcze trzęsienie ziemi. Połowa twoich gości się wystraszy i zostanie w domu.

W ogrodzie robotnicy usiłowali ustawić stelaż i rozpiąć na nim namiot, ale co uporali się z jakąś jego częścią, wiatr i deszcz natychmiast ją zwiewały.

- A jeśli to jakiś zły omen? - zastanawiała się Kitty.

- Co ty? Przyjęcie będzie bomba. Tobie, kochanie, wszystko się w końcu zawsze udaje.

W tej samej chwili usłyszały krzyk kobiety. Gdy po biegiły w jego kierunku, zobaczyły, że Jean-Claude wypycha siłą Esperanzę za drzwi.

- Co robisz, na miłość boską? - zdenerwowała się Kitty.

- Nie wtrącaj się, do jasnej cholery. - Jean-Claude odwrócił się do niej plecami i ruszył w stronę swojego gabinetu. Katherine pobiegła za nim.

- Czy możesz mi łaskawie powiedzieć, co chciałeś zrobić? - spytała, gotując się z wściekłości. - To jest mój dom, jak śmiesz wyrzucać z niego moją służącą? Cóż ona takiego zrobiła? Jean-Claude szedł, nie zatrzymując się. Katherine czuła, że wzbiera w niej ślepa furia. - Odpowiedz mi wreszcie, ty chamie? - wrzasnęła tak głośno, że robotnicy w ogrodzie podnieśli głowy, a potem pokiwali nimi znacząco. Jeden z nich zaś głośno powiedział:

- Uch, ale to jędza, ta cała Georgia.

Katherine miała w nosie, że ją słyszą.

- Żądam, żebyś mi powiedział, co się stało - wycodziła przez zęby. - W tej chwili!

Zielone oczy Jean-Claudea rzucały ogień, wargi zaś tworzyły cienką, nie wróżącą nic dobrego linię.

- Nie wtrącaj się do nie swoich spraw i zejź mi z drogi, bo jak nie, to opuszczę ten dom. Natychmiast.

Katherine otworzyła usta ze zdumienia. Jean-Claude zachowywał się tak samo jak po jej powrocie z podróży reklamowej.

- Chcę się tylko dowiedzieć, czym Esperanza zasłużyła sobie na takie traktowanie - powiedziała najspokojniej, jak potrafiła, chociaż jej twarz płonęła od gniewu.

Jean-Claude złapał ją brutalnie za ramię i pociągnął do kąta, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Dobrze, powiem ci, co zrobiła ta głupia suka. Podniosła słuchawkę mojego prywatnego telefonu.

- Co w tym takiego strasznego?

- To moja prywatna linia tylko do mojego użytku. Nikt nie ma prawa odebrać tego telefonu. Nikt, nawet ty.

- A jeśli się ktoś pomyli?

- Nikt z mojego otoczenia, Katherine, nie ma prawa się pomylić. Jedna pomyłka i won. Finito. Więc wybieraj. Albo wywalisz tę dziwkę na zbity pysk, albo mnie już więcej nie zobaczysz. Ja nie żartuję, Katherine.

Co powiedziawszy, zatrzasnął jej przed nosem drzwi gabinetu. Po kilku minutach dobiegło ją stukanie w klawiaturę komputera. Katherine nakazała sobie spokój. Tego dnia nie mogła pozwolić sobie na awanturę. Za siedem godzin dom napełni się przyjaciółmi, znajomymi, współpracownikami i stałymi bywalcami wszystkich przyjęć w Hollywood.

- Wszystko słyszałam, kochanie - rzekła Brenda, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Nie zwracaj na niego uwagi. Za wszelką cenę postaraj się nie zwracać na niego uwagi. Mężczyźni są okropni. Kiedy Frank wpadał w taki nastrój, nasze życie zamieniało się w piekło. Nie zdarzało się to bardzo często, ale jednak. W takich sytuacjach go ignorowałam, pozwalałam mu się wyładować. Na miłość boską, Kitty, nie pozwól, żeby ten łobuz zepsuł ci przyjęcie. Wydałaś na nie dwadzieścia tysięcy, musisz, więc dobrze się bawić.

- Jak mogę nie zwracać na niego uwagi? Wyrzucił moją służącą z mojego własnego domu. Jak on śmiał?

- Trzymaj Esperanę z dala od niego przez kilka dni, póki on o wszystkim nie zapomni. Zajmę się nią, umieszczę ją w domu gościnnym Warwicka.

Katherine westchnęła.

- Chyba masz rację, Bren. Lepiej nie drażnić licha. Ale co za diabeł w niego wstępuje?

- To mężczyzna. Niedoskonały jak oni wszyscy - zauważyła Brenda filozoficznie.

- Myślałam, że Jean-Claude jest inny.

- Większość facetów jest do niczego. Jak to mówią: „Trudno z nimi żyć, a zabić się ich nie da”.

- Wiem, wiem. Postąpię tak jak Scarlett O'Hara, po myślę o tym jutro.

Jean-Claude przesiedział cały dzień zamknięty w gabinecie. Godzinę przed przyjęciem wtargnął do garderoby Katherine i zimno oświadczył:

- Mój telefon jest święty, zrozumiano?

Katherine wciąż była tak wściekła, że na jego widok miała ochotę wrzeszczeć. Musiała jednak wygrać tę walkę nerwów, a poza tym wiedziała, że jeśli Jean-Claude, sprowokowany przez nią jakimś słowem lub czynem, nie zostanie na przyjęciu, to tym samym udowodni, że to on tu rządzi. A kto faktycznie rządził ich związkami? Ona niewątpliwie go finansowała, bo chociaż Jean-Claude płacił za swoje ubrania, podróże, a niekiedy też za kolacje w restauracji, główny ciężar utrzymania domu i służby spoczywał na jej barkach. Nie miałyby siły stawić czoła dwustu osobom pytającym, gdzie się podział jej nowy mąż, tym bardziej, że na liście gości znajdowali się Eleonora i Albert. Zebrawszy, więc wszystkie zdolności aktorskie, Katherine uśmiechnęła się anielsko do Jean-Claude'a.

- Oczywiście, najdroższy. Do głowy by mi nie przyszło podnieść słuchawkę twojego telefonu. Zresztą nie cierpię odbierać telefonów.

- Bardzo dobrze. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Tak przy okazji, pamiętaj, że ja się dziś zajmuję sprawami bezpieczeństwa.

- Wydałam już strażnikom szczegółowe instrukcje - odparła Katherine.

- Nie szkodzi, ja wydałem im własne instrukcje. Nie jestem twoim pieskiem pokojowym, Katherine Bennet, nie wyobrażaj więc sobie, że będziesz mną rządzić tak jak innymi.

Z tymi słowy odszedł do swojej łazienki, zatrzasnął za sobą drzwi i z rozmachem rozkręcił prysznic. Katherine siedziała nieruchomo przed lustrem.

„Co się dzieje w tym domu? - spytała swojego odbicia. - Kim do diabła jest ten człowiek?”

Mimo wszystko przyjęcie udało się znakomicie. Jedzenie było pyszne, modna nowojorska orkiestra grała mieszankę przebojów z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i większość gości pożegnała się dopiero po północy, co było bardzo niezwykle jak na Hollywood.

Prawie przez cały czas Jean-Claude odgrywał Pana Wspaniałego, czarował gości, był czuły dla Kitty i zachęcał fotografów do robienia im obojgu zdjęć ze wszystkimi sławnymi gośćmi.

- Ale ty masz szczęście, Kitty - kipiła Carolyn Łupino. - Jean-Claude jest najcudowniejszym, najbardziej uroczym mężczyzną, jakiego poznałam w tym zwariowanym mieście. Pomijając oczywiście mojego męża.

- Wiem - odparła Kitty i spojrzała na drugi koniec salonu, gdzie królował Jean-Claude.

Światło świec nadawało blask jego opaleniznie, a włosy złociły się bardziej niż normalnie. W eleganckim stroju wieczorowym wyglądał nieprawdopodobnie przystojnie. Zbyt przystojnie.

Podeszła do nich Sharon Lasker.

- Taki mężczyzna to istny skarb, kochana. Każda z nas by dała nie wiadomo co, żeby mieć go w swoim łóżku! Tylko tobie się to udało, Kitty.

- Trzymaj się go - westchnęła Carolyn Łupino. - Nie pozwól mu prysnąć.

Tuż przed podaniem kolacji Katherine zauważyła, że Jean-Claude zrobił się jakiś niespokojny, zaczął podchodzić nerwowo do wszystkich drzwi wejściowych i pytać ochroniarzy, czy do domu nie dostał się ktoś niepożądany. W pewnej chwili dostrzegł, że Brenda robi zdjęcie grupie gości.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - krzyknął, wrywając jej z ręki aparat.

Brenda nie należała do osób, które dadzą sobie w kaszę dmuchać; wyrwała mu swój aparat i wzięwszy się pod boki powiedziała butnie:

- Robię zdjęcia do prywatnego albumu Kitty. Łapy przy sobie. Za kogo ty się masz?

- Jestem mężem Katherine Bennet. - Nachylił się nad Brenda, która przy nim wyglądała na karła, i z marsową miną powiedział: - Mamy tu dziś własnego fotografa, o czym na pewno wiesz. Zawarliśmy niezmiernie korzystny kontrakt na sprzedanie fotografii z tego przyjęcia do kilku ważnych pism ilustrowanych. Nie życzę sobie, żebyś mi to zepsuła, rozumiemy się? Po czym przywołał na twarz czarujący uśmiech i obdarzył nim Brendę, którą tak zdumiała ta przemiana, że pozwoliła sobie drugi raz odebrać aparat, wyjąc z niego film i zwrócić z szarmanckim ukłonem. - Proszę, zrozum, Brendo, że robię to dla dobra Kitty. Na sercu leży mi najlepszy interes mojej żony. Nie chcę, żeby straciła pieniądze, które ma dostać

za te unikatowe fotografie, bo jakieś amatorskie zdjęcia pojawiły się gdzie indziej. Comprenez?

Brenda pokiwała głową. Trudno było pogodzić tego czarusia z potworem, którego widziała zaledwie przed minutą.

- Jasne, Jean-Claude, comprend. Mogę już iść?

- Oczywiście, moja droga. Ale proszę cię, Brendo, żadnych zdjęć.

- Rozkaz. - Brenda odeszła, mrucząc pod nosem: - Ten facet zmienia osobowości jak rękawiczki.

Goście siedzieli przy dwudziestu stołach w grupach po dziesięć osób. Każdy stół był przykryty srebrzystym obrusem, na to położono białą koronkę. Środek zdobiły srebrne osiemnastowieczne wazony, w których stały lilie i kremowe róże, poprzątkane białymi strusimi piórami i kapryfolium. W czteroramiennych świecznikach stały blade świece, których światło odbijało się w srebrnej zastawie, stwarzając miły nastrój.

Katherine wrócił szampański humor. Odepchnęła od siebie czarne myśli i skupiła się na czarowaniu Gabe'a Hellera i Lwa Łupiny, którzy siedzieli po jej obu stronach. Jej wysiłki zostały nagrodzone. Po kolacji - ku wielkiej wściekłości Eleonory Norman - Gabe wygłosił o Katherine niesłychanie pochlebną mowę.

Katherine i Jean-Claude rozpoczęli tańce, sami zajmując cały parkiet. Jean-Claude schylił się i szepnął Katherine do ucha:

- Wyglądasz dziś cudownie, żono.

- Dziękuję, najdroższy.

- Pomyśl tylko, o ile lepiej byś wyglądała z nowym biustem.

- Umiesz zepsuć nasz wieczór - Katherine zrobiła ruch, żeby się od niego odsunąć, ale on przytulił ją mocniej i roześmiał się.

- Żartowałem tylko, cherie. Nie znasz się na żartach?

- Wiesz, że to mnie zupełnie nie śmieszy.

Zepsuł jej humor; czuła teraz w środku zimną pustkę. W głowie odzywał się ostrzegawczy głos, którego nie chciała słuchać.

- Kitty, Kitty, cherie - śmiał się Jean-Claude. - Nie gniewaj się, żonko. Gdzie się podziało twoje słynne poczucie humoru?

- Zmroziłeś je.

- Naprawdę nie miałem niczego złego na myśli. - Jego oddech grzał jej ucho. - Jesteś taka piękna i masz belle poitrine; później ci dowiodę, jak bardzo kocham twoje ciało.

- Cudowna z nich para - rzekła Carolyn Łupino do Stevena.

- Katherine z pewnością jest cudowna - zgodził się Steven. - Jest tak cudowna, że o niczym innym nie marzę, tylko o tym, żeby z nią zatańczyć. Oczywiście, jak już zatańczę z tobą, Carolyn.

Orkiestra grała „Damę w czerwieni”, którą Katherine uważała kiedyś za ich melodię; Jean-Claude schylił głowę i szeptał czule słówka do jej ucha.

Później, gdy zaczęto grać szybsze jazzowe kawałki, Stevenowi udało się znaleźć blisko Katherine.

- Wyglądasz tak ślicznie, że chciałoby się ciebie zjeść.

- Naprawdę? - spytała smutno.

- Oczywiście, Kitty. A tak przy okazji, przy mnie nie musisz nadrabiać miną. Jeśli masz ochotę porozmawiać, możesz zawsze na mnie liczyć. Nie pozwól zrobić z siebie ofiary.

- Przysięgam, że nic mi nie jest - odparła Katherine.

- To wytrzymaj te słodkie oczęta, laleczko. Żaden facet nie jest wart twoich łez.

- To samo odnosi się do ciebie. Mandy nie zamierza wrócić?

- Nie, i jak sądzę, skończyła ze mną na dobre. Razem z tym sobowtórem Schwarzeneggera odstawiają szczęśliwą rodzinę.

Zauważył, że Katherine wodzi smutnym wzrokiem za Jean-Claudeem tańczącym z Eleonorą.

- Ona nadaje nowy sens słowu „drapieżnik” - powiedział. - Tę kobietę interesują tylko koktajle, coca-cola i kutasy. W dowolnej kolejności.

Patrząc na Eleonorę, która usiłowała owinać swoją żylastą rękę obciążoną lycrą wokół szyi Jean-Claudea, Katherine znowu zaczęła się zastanawiać, kto rozsiewa plotki na jej temat.

- A jak ci się podoba scenariusz twojego miniseriału? - spytał Steven.

- Owszem, podoba mi się. Myślę, że jest niezły, choć to i owo ma się jeszcze zmienić. Lew mówi, że potrzebne są małe przeróbki, ale kosmetyką zajmiemy się za tydzień, kiedy dostarczą nam ostateczną wersję.

- Jeśli szukalibyście scenarzysty, to jest jeden taki bez żadnego zajęcia na wakacje. - Spojrzał jej w oczy i spytał:

- Naprawdę wszystko w porządku?

- Naprawdę - odparła. - Wszystko dobrze. Szczerze, Steve.

Później, kiedy Steven tańczył z Brendą, razem obserwowali Katherine i Jean-Claudea.

- Martwię się o nią, Brendo - powiedział Steven.

- Ja też. Moim zdaniem ten facet jest wilkiem w owczej skórze. Hej, zobacz tylko tę sekretareczkę - rzekła, wykonując wymowny gest głową w kierunku asystentki Jean-Claudea, Ali, która tańczyła z Tommym.

- Tommy nie może oderwać oczu od jej biustu - roześmiał się Steven.

- Za to ona nie może oderwać oczu od swojego szefa, widzisz? Brenda miała rację. Mimo że Ali tańczyła z Tommym, nie spuszczała wzroku z Jean-Claudea i tak manewrowała chłopcem, żeby się znaleźć jak najbliżej tamtego. - Sam widzisz, co się dzieje - rzekła Brenda smutno.

- Kitty nie jest sama.

- Myślisz, że powinniśmy ją ostrzec? - spytał Steven.

- Jeszcze nie. Ale będę miała ich na oku.

Zaraz po odejściu gości Jean-Claude zaczął pieścić Katherine i nakłaniać ją do kochania się z nim w salonie. Katherine wypila więcej szampana, niż wypadało, i wkrótce jej zmysły wzięły górę nad rozumem. „Udawaj, że tamto się nie zdarzyło - podpowiadał jej głos wewnętrzny. - Przecież zależy ci na spokoju”.

Następnego rana zbudzili się późno wygodnie wyciągnięci na zmiętych lnianych prześcieradłach. Katherine uśmiechnęła się z satysfakcją. Namiętność Jean-Claude'a wydawała się niewyczerpana, dogadzał jej w łóżku bardziej, niż mogła o tym zamarzyć. Ostatniej nocy przeszedł samego siebie. Brał ją raz po raz z takim zapalem, że obudziła się w pełni zaspokojona i jeszcze bardziej zakochana - mimo bólu, jaki jej sprawił poprzedniego dnia swoim zachowaniem. Kochając się z nią, Jean-Claude zaczął namawiać ją na dziecko. Na próżno protestowała, mówiła, że jest za stara; tak się upierał, że prawie się zgodziła.

Na wspomnienie Esperanzy Katherine znowu się zachmurzyła, lecz Jean-Claude przekonał ją, że nie była to osoba godna zaufania.

- Kilka razy przyłapałem ją na zagłądaniu do moich prywatnych papierów, kiedy to niby ścierała kurze. Lepiej zrobisz, jak ją zwolnisz, cberie.

Katherine położyła dłonie na piersiach. Czy to była jej imaginacja, czy rzeczywiście - jak zauważył Jean-Claude podczas tańca - ostatnio jej piersi zmalły? Skurczyły się, ściślej mówiąc. Katherine odchudzała się do miniseriału, ale z zamiarem stracenia nadmiernych kilo gramów w pasie i biodrach, a nie w biuście.

Korzystając, że Jean-Claude śpi, poszła na palcach do łazienki i stanęła na wadze. Tak, od zeszłego tygodnia straciła więcej niż kilogram. Obejrzała się w dużym lustrze. Ten kilogram chyba wyparował z jej piersi. Musiała przyznać, że wyglądały dość nędznie. Jak z

takim biustem grać rozpustną Paulette, hożą dziewczynę z osiemnastego wieku? Może rzeczywiście należało się zgodzić na wszczepienie silikonu? Wzdrygnęła się. Na samą myśl o nożu tnącym jej ciało robiło się jej niedobrze. Zresztą i tak nie było już na to czasu. W następnym tygodniu wyjeżdżali do Paryża.

Rozległo się pukanie do drzwi jej garderoby i do środka wpadł jak bomba Tommy, który już prawie nie kulał.

- Cześć, mamuś, pożycz mi kluczyki od Mercedesa.

- A dlaczego, kochanie, nie weźmiesz swojego Volvo? - Katherine kupiła synowi na szesnaste urodziny małe auto z ręczną przekładnią, które stało się jego dumą i radością.

- O, mamuś, przepraszam cię, ale musiałem wstawić je do warsztatu, bo miałem... jak by to powiedzieć... drobny wypadek.

- Jak drobny? - Przyjrzała mu się uważnie, szukając oznak zażywania narkotyków, ale tego dnia wyglądał szczególnie uroczo, taki był domyty i niewinny.

- Nic poważnego, po prostu jakiś palant przyładował tyłem swojego samochodu w tył mojego. Nie było w tym mojej winy. Brenda już rozmawiała z facetami od ubezpieczenia. Nie chciała zwracać ci tym głowy.

- No dobrze, kochanie. - Westchnęła. - Ale kluczyki ma Jean-Claude. Poczekaj, to ci przyniosę.

Cicho, żeby go nie obudzić, wzięła kluczyki z szafki nocnej, ale w tej samej chwili on otworzył oczy i rzucił się na nią niczym tygrys.

- Co tu robisz, cberie? - spytał, nie puszczając jej nadgarstka.

- Tommy mnie poprosił o kluczyki od Mercedesa.

- Dajesz mu mój samochód?

- To nie jest twój samochód, najdroższy. Mam go od czterech lat.

- Rzeczywiście, nie mój. Uważam jednak, że nie powinnaś dawać do zabawy tak drogiego Mercedesa nieodpowiedzialnemu szczeniakowi, który ćpa i wdaje się w bijatyki z gangami. Najlepiej niech weźmie samo chód służącej.

Katherine zobaczyła, że szykuje się kolejna awantura, mimo że łóżko jeszcze nosiło ślady ich namiętnego kochania się poprzedniej nocy. Rzuciła kluczyki na pomietę prześcieradło. Dziś nie miała sił na walkę.

- Nie będę się z tobą teraz kłócić. Jesteś zmęczony i masz kaca. Nie zapominaj tylko, że Tommy jest moim synem i jeśli zechcę dać mu mój samochód, to dam, bez względu na to, co ty o tym myślisz.

- Rozpuszczasz bachora.

- Nie potrzebuję od ciebie rad, jak mam wychowywać syna i nie pragnę, żebyś znowu popsuł mi humor. Jeśli masz zamiar się tak zachowywać, to proponuję, żebyśmy dzisiejszy dzień spędzili osobno.

- Doskonale, chérie. - Odwrócił się i naciągnął prześcieradła na głowę. - Jak sobie życzysz.

Katherine wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Powiedziała Tommy'emu, żeby wziął starego Forda Marii, bo Mercedes jest potrzebny Jean-Claudeowi. Udała, że nie widzi jego nadąsanej miny.

Liczyła, że ten dzień spędzi z mężem, a po ostatniej nocy jej oczekiwania były w pełni usprawiedliwione. Postanowiła, że zamiast rozczulać się nad sobą, popływa w basenie, ale zapomniała o robotnikach rozmontowujących namiot i służbie sprzątającej po przyjęciu. W ogrodzie panował okropny rozgardiasz - gdzie spojrzeć stały jakieś paki, ciężarówki, składane stoły. Na trawie walały się odpadki. Maria w pocie czoła szorowała biały dywan, usiłując usunąć plamy po jedzeniu, winie i popiele z papierosów. Kitty była zdumiona zachowaniem się swoich gości, z których niektórzy, jak się okazało, rzucali niedopałki na dywan i przydeptywali je.

A zresztą. Wzruszyła ramionami. To było jej obojętne. Jej życie się waliło. Wróciła do sypialni, jedyne spokojnego miejsca. Jean-Claude wciąż spał i zanosilo się, że będzie tak spał, co najmniej do popołudnia. Miała dla siebie cały dzień. Mogła się zająć pielęgnacją swojej urody, co stawało się coraz bardziej niezbędne. Mogła także popracować nad scenariuszem i zacząć przygotowywać się do wyjazdu.

Paryż! Jej ulubione miasto. Nowy film, nowa przygoda. Nie mogła się już doczekać, kiedy zaczną kręcić. Postanowiła, że nie będzie się martwić kłótniami z Jean-Claude'em. Jej siła a zarazem słabość polegała na tym, że potrafiła zamykać oczy na pewne sprawy. W tej chwili wolała ich nie widzieć.

- Pomyślę o tym jutro - szepnęła do siebie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W drodze do Paryża zatrzymali się jeszcze w Palm Beach, gdzie Katherine miała być uhonorowana tytułem Filantropki Roku na uroczystości wydanej w celu zebrania funduszy na wsparcie badań nad chorobami serca, jak również w hołdzie dla jej osiągnięć aktorskich. Ojciec Katherine zmarł na zawał i dlatego sprawy te szczerze ją obchodziły. Zatrzymali się w klasycznie eleganckim hotelu Breakers, w najatrakcyjniejszej części Palm Beach.

- Sprzedano wszystkie bilety - oznajmiła Brenda, pomagając Katherine wbić się w czarno-srebrną dzetową suknię, w czasie, gdy miejscowy fryzjer tapirował jej włosy. Dwaj ochroniarze przynieśli tacę biżuterii, wypożyczonej jej na ten wieczór przez Harry'ego Winstona.

- Kochają cię, kwiatuszku! Wszystkie stare pieniądze z Palm Beach przyjdą cię dziś zobaczyć. Trzęsące się wdowy, wiekowi wdowcy, twarze po licznych operacjach plastycznych - unosiła się w zachwycie Brenda. - Będą ci się dobrze przyglądać, lepiej więc postaraj się wyglądać fantastycznie.

- Jeszcze jak się staram - skrzywiła się Katherine, czując jak Brenda siłuje się z suwakiem jej sukni. - Cholera jasna, ta kiecka jest za wąska. Uduszę się w niej.

- Dla urody trzeba...

- Cierpieć, wiem. Ta suknia pochodzi chyba z czasów inkwizycji hiszpańskiej.

- Widać, że schudłaś, ile trzeba, a nawet więcej. Wyglądasz obłędnie.

- Nie uważasz, że mam za płaski biust? Może powinnam włożyć sobie do stanika gąbki, żeby wyglądać bardziej cyncato?

- Nie bądź głupia. W tej sukni i bez dużych cycków wyglądasz doskonale. Nie jesteś przecież Doiły Parton - odparła Brenda, a ponieważ Katherine dalej patrzyła niepewnie na swój biust, dodała: - Kitty, nie daj mu się wpędzić w kompleksy. Jesteś piękną kobietą. Nie przejmuj się, że jakiś zabojad uważa, że masz za mały biust.

- Nie, nie przejmuję się, ale wiesz, Jean-Claude jest perfekcjonistą. Jemu chodzi o tę rolę, chce, żebym pasowała do niej na sto procent.

- Szkoda, że sam nie jest na sto procent. Słuchaj, jedziemy z tym koksem. Przestań zamartwiać się cyckami. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczą cię te odpicowane starocie! Jesteś tak śliczna, że chętnie by się ciebie zjadło.

W hallu czekali na nich fotoreporterzy, ale Jean-Claude obszedł się z nimi bezlitośnie.

- Nie życzę sobie żadnych zdjęć - powiedział ostro.

- Daj żyć, Jean-Claude - odezwał się jeden z dziennikarzy. - Wciąż jesteście nowożeńcami. Chcemy was razem sfotografować. Ostatnio nieczęsto widuje się wasze zdjęcia w prasie. Nie chcesz sprawić ludziom trochę przyjemności?

Jean-Claude obdarzył go zimnym spojrzeniem.

- Proszę nie zapominać, że to pani Bennet jest tu dziś gwiazdą. Bohaterką wieczora. Ja służę tylko za eskortę.

- Nie mów takich głupstw, najdroższy - rzekła przymilnie Katherine ku swojemu własnemu zdumieniu, ale Jean-Claude ją zignorował i szybkim krokiem oddalił się w kierunku limuzyny. Nie zrażeni tym fotoreporterzy skierowali aparaty na Katherine.

- Uśmiechnij się - szepnęła Brenda. - Nim się nie przejmuj.

- Nie przejmuję się. Ostatnio spływa to po mnie jak woda po kaczce. - Zmuszając się do uśmiechu, Katherine czuła, że wargi ma jak z granitu.

- Wystarczy, proszę państwa - zarządziła w końcu Brenda. - Wystarczy. Pozwólcie pani Bennet wziąć udział w głównym wydarzeniu tego wieczora.

W limuzynie Jean-Claude ostentacyjnie siedział z przodu i przez całą drogę rozmawiał z kierowcą o polityce.

- Nie zwracaj na niego uwagi - szepnęła Brenda. - To jest twój wieczór. Baw się, dziewczyno.

- Jasne - odparła Kitty z uśmiechem, choć czuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. - Dziś idę na całość.

Przed teatrem zgromadziło się tylu ludzi, że chyba wszyscy mieszkańcy Palm Beach przyszli zobaczyć i wiwatować na cześć Katherine. Aż dziesięciu goryli musiało ją chronić przed napierającym tłumem.

W pewnym momencie jakaś co najmniej osiemdziesięcioletnia kobieta wbiła w ramię Katherine sztuczne purpurowe szpony.

- Kocham cię, moja Georgio - zachrypiały karminowe wargi. - Identyfikuję się z tobą, cukiereczku. Jesteś zupełnie jak ja, ty mała jędzo. Pół-diabeł, pół-anioł!

Inna kobieta wymierzyła Katherine sójkę w bok.

- Moja córka jest podobna do ciebie jak dwie krople wody - rzekła z przejęciem. - Młodsza, oczywiście. Jak dorośnie, chce być tobą. Wielką aktorką. Zamierza studiować w szkole aktor...

Goryl przeciągnął Katherine przez wznoszącą okrzyki, gwizdzącą cizbę, potem po schodach pokrytych czerwonym dywanem przez las machających, upierścienionych rąk. Dla wielu kobiet w średnim wieku Katherine Bennet była bohaterką - symbolem sukcesu

odniesionego po czterdziestce. W pewien sposób wszyscy się z nią identyfikowali, teraz zaś oglądając fragmenty serialu bili brawo we -właściwych miejscach, wybuchali gromkim śmiechem i pokrzykiwali. Przemówienie Katherine zostało nagrodzone owacją na stojąco. Potem, na trzech przyjęciach wydanych na jej cześć, była rozchwytywana przez ludzi, którzy koniecznie chcieli ją osobiście po znać i uścisnąć jej rękę. Wysłuchując pochlebstw, Katherine uśmiechała się i pozowała do fotografii. To była jedna z niewielu okazji, kiedy rzeczywiście czuła się gwiazdą i sprawiało jej to nie lada przyjemność.

Człowiek o twarzy buldoga i grubej rudej peruce, która leżała na jego głowie jak zdechły kot, ścisnął jej rękę tak mocno, że aż jęknęła. Zbliżywszy twarz do jej twarzy, czym przyprawił ją o mdłości, zaskrzeczał:

- Uś, kochaniutka, specjalnie dla ciebie napisałem scenariusz. Jesteś cudowną kobietą, o czym my doskonale wiemy, a świat się dopiero dowie.

- Świetnie - zdążyła odpowiedzieć, zanim odciągnęli ją od niego goryle. - Nie chcesz się dowiedzieć, jaki ma tytuł? - krzyknął za nią ten w peruce.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się przez ramię, czując, że w tym tłumie nie może złapać oddechu.

- „Moja żydowska mamele” - zapiał triumfalnie. - Będiesz w tej roli fantastyczna. Jesteś Żydówką, prawda?

Katherine pokręciła głową przepaszająco, ale on nie zamierzał się tak łatwo poddać.

- Nic nie szkodzi. I tak uważamy cię za jedną z naszych. Masz wielkie serce. Taka to z ciebie dziewczyna.

Katherine poczuła, że chwilowo ma tego dość.

- Chodźmy do toalety - ruchem warg dała znać Brendzie. - Te pochlebstwa mnie zabijają.

Toaleta stanowiła muzeum złego smaku nuworyszów. Lustra ozdobiono tyłoma secesyjnymi sylwetkami nagich kobiet, że obie z Brenda miały trudności z zobaczeniem swoich twarzy. W czasie gdy Katherine malowała twarz, pudrowała nos i tapirowała włosy, do toalety weszły dwie kobiety o identycznych czarnych kokach pod sufit i makijażu grubym na palec. Dojrawszy jej odbicie w lustrze, zaczęły z ożywieniem coś do siebie szeptać.

Brenda zmarszczyła czoło, ale Katherine je ignorowała. Była przyzwyczajona, że na jej widok ludzie przerywają rozmowy w pół zdania albo - co gorsze - zaczynają wymieniać głośno uwagi, jakby jej tam wcale nie było.

- Popatrz, ona wcale nie ma ładnej cery - syknął Kok Numer Jeden do Koka Numer Dwa.

- To pewnie przez te gorące reflektory. - Kok Numer Dwa usiłował tymczasem niepostrzeżenie przysunąć się do Katherine.

- Coś powiedziała? - Brenda wojowniczo oparła ręce na rozłożystych biodrach ukrytych pod złotą dżetową suknią i stanęła mężnie między Katherine a Kokami.

- Jesteśmy fanami pani Bennet - oświadczył entuzjastycznie Kok Numer Jeden.

- Wielkimi fanami - potwierdził Kok Numer Dwa.

Katherine uśmiechnęła się do nich, co niestety jedna z kobiet przyjęła jako zachętę do rozmowy. Ale nie z Brenda takie numery. Katherine potrzebowała trochę odpocząć, a takie gapienie się i szeptanie bardzo przeszkadzało,

- Drogie panie, myślę, że czas wrócić na przyjęcie - powiedziała, próbując skłonić je do opuszczenia po mieszczenia.

- Ale my chcemy zamienić kilka słów z Brzoskwinia - sprzeciwił się Kok Numer Jeden. - Jako jej wielbicielki mamy do tego prawo.

- Bez nas byłaby nikim - poparł przyjaciółkę Kok Numer Dwa. - Bez względu na to, co piszą o niej w gazetach, my jesteśmy zawsze lojalne.

- Bardzo nam miło - rzekła Brenda. - A teraz panie pozwolą. Chciałybyśmy pobyc tu chwilę same.

- Popatrzymy tylko, jak ona się maluje - przymirał się Kok Numer Jeden. - Dlaczego nie chcesz nam na to pozwolić?

- Bo to nie jest zoo - zdenerwowała się Brenda. - Patrzcie sobie na nią, ile chcecie, tam, na przyjęciu, ale teraz zostawcie ją wreszcie w spokoju, dobrze?

- Widzę, że piszą o niej w gazetach prawdę - stwierdził Kok Numer Jeden, zatraskując diamentową minaudiere w kształcie pudła. Wyprostowawszy się dumnie, powiedział: - Idziemy, Doris, tracimy tu tylko czas. Jeśli ona nie zacznie milej traktować swych wielbicielek, jej kariera nie potrwa długo.

Wychodząc jedna z kobiet mruknęła:

- Tak, to naprawdę jest wiedźma. W dodatku z bliska nie wygląda wcale pięknie.

Katherine parsknęła śmiechem.

- Przy nich Eleonora jest słodsza od Matki Teresy.

- Niestety, Kitty, jesteś tak diabelnie sławna, że każdy chciałby sobie wziąć kawałek ciebie na pamiątkę. Wychodzimy. Czas na kolejny jubel.

Na ostatnim z trzech przyjęć obstało ją tylu fanów, że do rana by stamtąd nie wyszli, gdyby nie pomoc ochroniarzy. Katherine jak zwykle pierwsza wsiadła do limuzyny, za nią Jean-Claude, a na końcu Brenda. Katherine z gracją - najpierw pupa, potem nogi - zajęła

miejsce na tylnym siedzeniu. Kiedy Jean-Claude wcisnął się obok niej, z punktu wyczuła, że jest wściekły. Odwróciwszy ku niej twarz wykrzywioną złością, wycodził przez zęby:

- Ty żalosna diwo, ty primadonno od siedmiu boleści. Za kogo się uważasz?

- Upiłeś się - skostatowała zimno. - Nie, nie upiłem się, ale powinienem, mając taką żonę. Ty każdego doprowadzisz do alkoholizmu. Czy dlatego, że jacyś idioci głupieją na twój widok, musisz odstawiać królową Anglii?

Katherine nienawdziła publicznego prania brudów. Nie uszło jej uwagi, że kierowca i ochroniarze zastrzygli uszami. Jutro któryś z nich niewątpliwie zadzwoni do redakcji jakiegoś szmatławca. Zapaliła papierosa.

- Opanuj się, Jean-Claude, proszę cię, nie zachowuj się jak dziecko.

To go jeszcze bardziej rozwścieczyło.

- Ja też byłem sławny - syknął. - Byłem większą gwiazdą od ciebie i więcej ludzi przychodziło mnie zobaczyć, Katherine Bennet.

- Opowiadałeś mi tę historię już setki razy, Jean-Claude. Nagraj to na płytę, co? - Nacisnęła guzik, żeby zasunąć szybę między nimi a szoferką.

Brenda obrzuciła Jean-Claudea spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Odczep się od Kitty. Dość tego.

Jean-Claude odwrócił się gwałtownie do niej.

- Zamknij się i zajmij swymi sprawami, Miss Sensacjo Miesiąca Lat Pięćdziesiątych, bo inaczej wylecisz z tego samochodu na tłuste dupsko.

Twarcz Brendy spłonęła. Jak śmiał odzywać się do niej w ten sposób? I czemu Katherine to tolerowała?

- Jean-Claude, nie bierzemy udziału w zawodach, które z nas jest sławniejsze - rzekła Katherine, siląc się na spokój, mimo że jej ręka z papierosem drżała. - Ten wieczór miał być moim świętem, proszę więc, powiedz mi, mój najdroższy mężu, dlaczego zachowujesz się jak zazdrosny idiota.

- Zabraniam ci nazywać mnie idiotą. Jeszcze tego pożałujesz, Katherine. Wsiadasz pierwsza do samochodu i nie zostawiasz dla mnie miejsca. Siedzisz nadęta, jak gdyby cały świat leżał u twych stóp. Zarozumiała dziwka.

- Przecież tak zawsze wsiadamy do samochodu. Nigdy nie wpychamy się wszyscy naraz. Zostało to przemyślane w najdrobniejszych szczegółach. Chodzi o to, żeby zrobić to sprawnie. Nie rozumiesz? Och, na miłość boską, nie kłóćmy się. Nie psujmy tego wieczora. Jutro wyjeżdżamy.

- Dobra, dobra, królowo pszczół, niech będzie na twoim. Zawsze tak jest. - Z teatralnym westchnieniem Jean-Claude odwrócił głowę i zaczął patrzeć na migające w wodzie światła.

Zapadła ciężka cisza. Wreszcie dojechali do hotelu. Jean-Claude od razu rzucił się do łóżka. Kitty i Brenda zostały w saloniku, żeby wypić po kieliszku alkoholu przed snem.

Katherine naląła sobie do kieliszka koniaku.

- Co w niego wstępuje? Jest jak doktor Jekyll i mister Hyde. Nic z tego nie rozumiem.

- Ani ja. Naprawdę chciałabym zrozumieć, o co mu chodzi. Najgorsze, że to się powtarza coraz częściej. Mój Frank miewał kryzysy, ale potem przez jakiś czas było lepiej. Jean-Claude ma jak gdyby dwie osobowości.

- Wydaje mi się, że go nie znam. Bardzo się zmienił, odkąd wzięliśmy ślub. Przedtem nie był taki.

- A wtedy jak się obraził i wyjechał do Las Vegas?

- Masz rację. Jak mogłam o tym zapomnieć? Wiedziałam, że potrafi być okrutny, a mimo to... Wtedy myślałam, że zachowuje się tak, bo mnie kocha i chce się ze mną ożenić. Ha! - Wypiła do dna koniak.

- Rzuć go - powiedziała bezceremonialnie Brenda.

- Nie mogę. Jesteśmy małżeństwem zaledwie trzy miesiące. To za krótko. Musimy jeszcze poprobować. Zastanawiam się, czy nie jest to moja wina, czy za bardzo nim nie rządę. A może po prostu małżeństwo nie jest mi pisane.

- Jeśli coś nie jest ci pisane, to na pewno ten facet - rzekła Brenda. - Wymów mu, Kitty. Po prostu się pomyliłaś. Człowiek, który boi się popełniania błędów, boi się życia. Nauczyłam się tego, siedząc u mamy na kolanach.

- Moja mama natomiast uczyła mnie, że do trzech razy sztuka - odparła Katherine. - Jeszcze się nie poddaję, Brendo. W każdym razie nie przed skończeniem filmu. - Zapaliła następnego papierosa. - Obiecuję ci, że jeśli Jean-Claude nie przestanie się zachowywać jak schizofreniczny potwór, doprowadzę do anulowania tego małżeństwa. - Dołączyła koniak do Brendzie i sobie. - Ale dopiero po skończeniu filmu.

- Trzymam cię za słowo. - Brenda podniosła kieliszek gestem toastu. - Za twoją decyzję - powiedziała zamyślona.

Następnego dnia w samolocie Jean-Claude dalej dokuczał Katherine.

- Twoje gwiazdorstwo rzuciło ci się na mózg - mówił. - Zajmujesz się tylko sobą. Nie mną, nie swoim synem, tylko swoją karierą.

I tak na okrągło.Świątoszkowatym szeptem wyliczał jej „grzechy”. Sobkostwo, obsesja na punkcie własnej osoby, narcyzm, hipokryzja, egoizm... W końcu Katherine nie mogła już tego dłużej znieść.

- Słuchaj, ty pomyłeńcze - powiedziała podniesionym głosem. - Jesteśmy małżeństwem dopiero trzy miesiące, ale jeśli ma być tak dalej, to wolę, żebyś sobie poszedł w diabły. Jak tylko wylądujemy we Francji. Rozumiesz? Cest la fin de l’histoire, że się tak wyrażę. Nie żartuję. Skończymy z tą farsą możliwie jak najszybciej.

Nie odpowiedział, tylko odwrócił się do okna i utkwiał wzrok w gęstej transatlantyckiej ciemności. Katherine przesiadła się i resztę tej długiej nocy nad oceanem spędziła, upijając się z Brendą.

Menedżer Ritza z uśmiechem i ukłonami wycofał się z apartamentu księcia Windsoru. Do pozytywnych stron bycia gwiazdą należy to, że bez rezerwacji dostaje się najlepsze pokoje w hotelu czy też najlepszy stolik w restauracji. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Jean-Claude odwrócił się do swojej obrażonej żony i łamiącym się głosem powiedział:

- Czy jesteś mi w stanie przebaczyć, cherie Przepraszam cię, przepraszam cię za wszystko, co powiedziałem i zrobiłem. Wiem kochanie, że zachowałem się jak imbecyle.

Katherine wyjmowała bileciki z bukietów, które nie wątpliwie zaliczały się do najelegantszych na świecie. Większość z nich przysłano z kwiaciarni na placu Vendôme. Stały na intarsjowanych i złożonych stolikach oraz komodach w stylu Ludwika XIV i upojnie pachniały. Chłodno popatrzyła na męża.

- Od dnia naszego przyjęcia zachowywałeś się w stosunku do mnie jak świnia. Obrażałeś mnie i upokarzałeś nie tylko prywatnie, ale także publicznie. A teraz uśmiechasz się smutno jak chłopiec, który coś zbroił, i mówisz „przepraszam”. Naprawdę liczysz na to, że tak łatwo o wszystkim zapomnę?

W zielonych oczach Jean-Claudea zalśniły łzy.

- Jest mi bardzo przykro. Naprawdę przykro. Czasami nie panuję nad sobą. Musisz mi wybaczyć. Proszę cię, Kitty, nie zmuszaj mnie, żebym cię błagał; jestem dumnym człowiekiem. Ty lepiej niż ktokolwiek wiesz, że duma potrafi zaciemnić mi rozum.

- To akurat jest prawdą - stwierdziła, siadając na kanapie pokrytej adamaszkiem przetykanym srebrną nitką i haftowanym w bławatki. - Nie rozumiem tych twoich strasznych nastrojów, Jean-Claude - rzekła, oglądając paznokcie. - Kocham cię, w każdym razie kochałam, jestem twoją żoną, ale cię nie rozumiem.

- Ja też czasami siebie nie rozumiem, najdroższa Kitty, nie rozumiem nic a nic.

Z dobrze zaopatrzonego podręcznego barku wyjął miniaturową butelkę brandy. Gestem zaproponował jej drinka.

Pokręciła głową.

- Chcę wiedzieć, co ci dolega, Jean-Claude. Te ostatnie trzy dni były piekłem nie tylko dla mnie, ale również dla Brendy. Ona nawet chyba bardziej ode mnie się tym wszystkim przejmuję.

- Pewnie, że się przejmuję. To całkiem zrozumiałe. - Wypił duszkiem brandy, opadł na fotel, schował głowę w dłonie i ciężko westchnął.

Wyglądał tak nieszczęśliwie, że Katherine musiała walczyć ze sobą, żeby nie zacząć go pocieszać. Byłby to jednak duży błąd. Jeśli jakieś diabły przycziły się w jego duszy, to albo musiała pomóc mu je zwalczyć, albo zakończyć ich małżeństwo.

- Twoje zachowanie sprawia, że nie mogę być dalej twoją żoną. - Spojrzała przez okno na lazurowe niebo. - Nie jestem w stanie myśleć... nie jestem w stanie skoncentrować się na filmie... nie potrafię się na niczym skupić.

- Nikt lepiej ode mnie tego nie rozumie, cberie. Czuję się bardzo upokorzony. Wstydzę się, naprawdę. Zupełnie nie rozumiem, co na mnie nachodzi. - Podszedł po puszystym dywanie do okna i nieobecny wzrokiem patrzył na turystów kręcących się po placu Vendôme. - Choć właściwie to wiem - rzekł ponuro.

- Czy myślałeś kiedyś o psychoanalizie? Tobie potrzebna jest pomoc, Jean-Claude, i ja jestem gotowa ci pomóc. Muszę ci pomóc, bo inaczej nasze małżeństwo się rozpadnie.

Wyjął z barku następną brandy i wrócił do okna. Po czym zaczął mówić cichym, powolnym głosem.

- Niepotrzebny mi psychoanalityk, cberie. Wiem, co mi jest potrzebne i myślałem, że znalazłem to w tobie. Potrzebna jest mi kobieta, która mnie pokocha na tyle, że zrozumie mój ból i zaakceptuje mnie takim, jaki jestem. Bez stawiania żadnych warunków. Zrozumie, że czasami nachodzi mnie ból, z którym nie mogę sobie poradzić. To jest tak, jak gdyby... - przerwał, a jego twarz nagle strasznie zbladła. - To jest tak, jak gdyby zdarzało się to nie mnie, lecz komuś zupełnie innemu.

- Mów dalej - zachęciła go, ale bez sympatii.

- To wszystko zaczęło się dawno temu. Nie wiem, czy wierzysz w te psychiatryczne i psychologiczne brednie, ale jeśli -wierzysz, to ci powiem, że wszystkiemu winne jest moje dzieciństwo.

- W jaki sposób? - spytała nieufnie.

- Moja matka była wyjątkowo dziwna. Mój ojciec zresztą też - rzekł, przeczesując palcami włosy. Przystępował z nogi na nogę i uparcie patrzył przez okno.

Na niebie pojawiło się teraz kilka letnich chmur. W po koju pociemniało.

- Proszę cię, mów dalej - zachęciła go łagodniej. Po raz pierwszy Jean-Claude opowiadał jej o swoim dzieciństwie. Wcześniej mówił o swojej krótkiej karierze idola muzyki pop, nigdy jednak ani słowem nie wspomniał o swojej rodzinie. Katherine nie chciała go wypytywać.

- Oczkiem w głowie rodziców był mój brat Didier - rzekł gorzko. - Od chwili, gdy przyszedł na świat, ja przestałem się dla nich zupełnie liczyć. Byłem starszy tylko o dwa lata, ale wszystko robiłem źle. Matka z ojcem wciąż mnie krytykowali i upokarzali.

- Maltretowali cię?

- Jeśli przez maltretowanie rozumiesz zamienianie dziecku życia w piekło, to tak, byłem maltretowany, cberie. Ale jeśli masz na myśli napastowanie seksualne, to nie. Trzydzieści lat temu w dolinie Loary nikomu nie przyszłoby to do głowy. - Przerwał, żeby od niedopałka zapalić następnego gauloise'a. - Didier był młodszy ode mnie, ale w wieku trzech lat przerósł mnie wzrostem. Byłem swojego rodzaju karłem. Donaszałem po nim ubrania. Naszych rodziców było stać tylko na jedną parę butów rocznie i to Didier je zawsze dostawał. W szkole zaliczałem się do przeciętnych uczniów. Czytanie, pisanie, a zwłaszcza rachowanie wydawały mi się nie do opanowania. Jako siedmiolatek nie umiałem pisać. Czy wiesz, czym to było dla francuskiego dziecka?

- Nie wiem, ale myślę, że wstydem.

- Trafiałś. Oczywiście Didier był złotym chłopcem. Włosy miał jaśniejsze od moich, oczy bardzo niebieskie, był wysoki, silny i wyjątkowo mądry. Moi rodzice go uwielbiali, a mnie nienawidzili.

- Nienawidzili? Jak mogli nienawidzić własnego syna? W jaki sposób to okazywali?

- Bili mnie. - Głos Jean-Claudea stał się chrapliwy. - Potrącali. Oczywiście żadne z nich nigdy nie uderzyło Didiera.

- Nie mogłeś się, kochanie, komuś poskarżyć? Ciotce? Dziadkom?

- Jak to zrobić, kiedy masz siedem lat? Co powiedzieć? „Słuchajcie, maman jest niesprawiedliwa. Woli mojego brata ode mnie”? Wszelako wierzyłem, że gdyby Didier zniknął, moje życie znacznie by się polepszyło. - Jego twarz pociemniała. - W końcu go zabiłem.

- Zabiłeś brata? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak - odparł, patrząc jej w oczy. Na jego twarzy malowało się cierpienie. - Myślę, że powinienem ci to wszystko opowiedzieć. Sama zdecydujesz, czy mnie jeszcze chcesz.

- O Boże - jęknęła, zapalając papierosa.

- Był wieczór. Nazajutrz Didier kończył pięć lat. Na dworze szalała burza, częste zjawisko nad Loarą. Nawałnice przychodzą tam znieścacka. Najpierw wydaje się, że chmury walczą ze sobą, potem zaczyna grzmieć i niebo przecinają zygzakowate błyskawice. Tamtego wieczora grzmoty były wyjątkowo głośne i przerażające. Didier się rozplakał. Kazałem mu się zamknąć, na co on zaczął krzyczeć, że chce do mamy.

- Gdzie była matka?

- Tam gdzie zawsze. W kuchni. Nie gotowała i nie piekła, tylko szyła sobie kapelusz albo kolejną idiotyczną bluzkę. Byliśmy biedni, ale strojami mamany mogłaby konkurować z Christianem Diorem. Didier zamiast się uciszyć, jak mu kazałem, wstał z łóżka i ze szczytu schodów darł się, jak gdyby go ze skóry obdzierali. Potrząsnąłem nim z całej siły, wrzeszcząc, żeby przestał się mazgać. Potem sam zacząłem wołać mamany.

- A potem?

- A potem... - Jean-Claude się wzdrygnął. - Didier się pośliznął i spadł ze schodów, które nasza matka, przykładna francuska burgeoise, pastowała i froterowała, żeby się błyszczały jak lodowisko.

- Co było potem? - spytała Katherine, obawiając się tego, co usłyszy w odpowiedzi.

- Skręcił kark - szepnął Jean-Claude. - Szyja tego słodkiego aniołka złamała się jak patyk. Maman i papa uważali, że go pchnąłem, ale ja tego nie zrobiłem. Przysięgam na Boga. Tysiące razy się zastanawiałem, czy mogłem w jakiś sposób go uratować.

Katherine podeszła do Jean-Claudea i pogłaskała go po rękę.

- Nie, nie mogłeś. Co było dalej?

- Maman płakała i histeryzowała, zresztą wszyscy bardzo rozpaczaliśmy. Rodzice zaczęli traktować mnie jak powietrze. Odrzucili mnie. Odzywali się do mnie rzadko, a jeśli już, to z gniewem. Cztery lata temu matka umarła na raka. Nie pojechałem na jej pogrzeb. Ojciec zmarł rok później.

- Czy rozmawiałeś z kimś o tym kiedykolwiek?

- Z Quentinem. Zobaczył mnie kiedyś, jak śpiewałem. Miałem wtedy piętnaście lat. Śpiewałem w chórze w kościele w Nimes, dokąd się przeprowadziliśmy po śmierci Didiera. Quentin przekonał mnie, że z moim wyglądem i głosem będę drugim Johnnym Halliday'em. Nie mówiąc o niczym rodzicom, wyjechałem do Paryża. Zapakowałem plecak i tyle mnie

widzieli. Quentin został moim menedżerem. Nie zawiadomiłem rodziców o moim miejscu pobytu, a oni na pewno mnie nie szukali.

- Szkoda, że wcześniej mi tego nie opowiedziałeś, Jean-Claude - rzekła Katherine, obejmując go mocno. - Teraz wszystko rozumiem.

Razem patrzyli na niebo. Zaczęło mżyć, turyści się rozeszli. W oddali zagrzmiało. Katherine spojrzała na Jean-Claudea, chcąc się przekonać, czy burza robi na nim jakieś wrażenie, ale on tylko się uśmiechnął i przytulił ją mocniej.

- Nie obawiaj się, chérie. Od tamtego dnia nie boję się ani grzmotów, ani błyskawic. A zajrzawszy jej głęboko w oczy, dodał: - Kitty, jesteś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek naprawdę kochałem. Jesteś jedyną osobą, którą byłem w stanie pokochać. Jeśli wydają się ci trudny... - Przerwał. - Sądzę, że „trudny” to zbyt łagodne słowo. „Niemożliwy” lepiej oddaje sytuację. Czy będziesz w stanie mi to czasami wybaczyć, najdroższa Kitty? Proszę cię o to, moja miłości!

Serce Katherine wypełniło się nadzieją. Z aprobatą skinęła głową.

- Tak, najdroższy, przebaczam ci. I obiecuję, że będę się starała cię rozumieć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Katherine rzuciła się z entuzjazmem w wir przygotowań do „Wszystkiego, co się świeci”. Dni wypełniały jej teraz przymiarki wspaniałych, wypracowanych kostiumów i peruk, przesłuchania francuskich i angielskich aktorów oraz próby z reżyserem Joe Havaną.

Joe uchodził za zdolnego reżysera dynamicznych miniseriali, jednak ostatnio w telewizji cieszył się mniejszym wzięciem. Był niskim, krępym Amerykaninem włoskiego pochodzenia, z siwymi niesfornymi włosami i cygarem przylepionym do warg niemal na stałe. To Quentin wpadł na pomysł, żeby go zatrudnić, mimo że po plajcie jego ostatniego filmu telewizyjnego wypadł z łask Hollywoodu. Katherine Joe się podobał. Nie była wprawdzie do końca przekonana, czy jego dosadny styl będzie odpowiedni dla filmu z epoki, ale teraz - kiedy znowu spędzała namiętne, pełne miłosnych zakłęb noc z Jean-Claude'em - mało się czymkolwiek przejmowała.

Codziennie rozmawiała przez telefon z Tommym, który spędzał przyjemnie czas z Toddem w Hamptons i wcale się nie śpieszył do Paryża. Katherine było to na rękę. O jeden kłopot mniej. Tommy przysiągł jej, że zerwał z narkotykami, w Paryżu jednak mógł znowu ulec pokusie. Na pewno lepiej służyły jego zdrowiu zabawy na świeżym powietrzu w Hamptons, nie mówiąc o tym, że ojciec Todda umiał trzymać dzieci krótko. W Paryżu panowała magiczna letnia atmosfera. Jean-Claude po swojej spowiedzi stał się zupełnie innym człowiekiem, czułym i bardzo kochającym.

Kiedy zaczęły się zdjęcia, wszyscy co wieczór spotykali się w barze u Ritza, żeby chwilę pogawędzić o wydarzeniach dnia. Pewnego razu wpadł tam jak bom ba Joe. Włosy stały mu dęba. Usiadł ciężko, rzucił podniszczony scenariusz na stół, do kelnera warknął:

- Budweisera, ale biegiem - a do nich: - Ten scenariusz śmierdzi,

- Rychło w czas o tym mówisz - zauważył ironicznie Jean-Claude. - Od sześciu dni kręcimy. Powiedz, czego mu brakuje?

Joe zaczął pić piwo prosto z butelki.

- Sieć mówi, że jest nie dopracowany. Nie mówiliby tak, gdyby napisał go jakiś laureat Pulitzera.

- Nie mamy czasu na przerabianie scenariusza - zaproponowała Katherine. - W połowie września muszę wrócić do „Skeffingtonów”.

- Wiem o tym, ale sieć straszy, że jeśli nie zatrudnimy jakiegoś uzdrowiacza scenariuszy, to zakręcą nam kurki - rzekł Joe. - Dobrego fachowca. Musimy go znaleźć jeszcze dziś.

- Nie da rady - zdenerwował się Jean-Claude. - Po pierwsze żaden dobry pisarz nie siedzi z założonymi rękami, czekając na propozycje, po drugie nie przerwiemy teraz zdjęć i nie każemy wszystkim czekać. Nie moglibyśmy sami go jakoś dopracować?

- Nie moglibyśmy - odparował Joe. - Sieć mówi, że ten scenariusz jest do niczego i kręcenie według niego niechybnie skończy się katastrofą.

- Przecież to nieprawda - obruszyła się Katherine. - Wszyscy wiemy, że to świetny scenariusz.

- Pewnie, że świetny - zgodził się Joe. - Niestety, gość, który włączył nam zielone światło, wyleciał właśnie na zbity pysk, a nowy gość od miniseriali wielkim głosem domaga się, żebyśmy uwspółcześnili dialog pod młodzież. Dajecie wiarę?

- To bzdura - obruszył się Jean-Claude. - Ach, wy Amerykanie. Chcecie uwspółcześniać osiemnastowieczną francuszczyznę!

- Przyznaję, że to jest niemałe wyzwanie - rzekł Joe. - Ale dobry uzdrowiacz scenariuszy poradziłby sobie z tym i to nawet prędko. Jeśli chcemy nakręcić ten film, moi drodzy, musimy na to pójść.

- Może wziąć Stevena? - zaproponowała Katherine. - Stevena Leigha. Świetnie przerabia dialogi i z tego, co wiem, jest akurat wolny. Wystarczyłaby mu jedna noc, żeby przerobić ten scenariusz. Robi to na okrągło w „Skeffingtonach” i sieć go uwielbia. Co wy na to?

- Dzwoń do niego - rzekł Joe, zapalając cygaro, których dziennie wypalał przynajmniej dwanaście. - Niech natychmiast wsiada w samolot.

Stevenowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Od dwóch miesięcy nie pracował i był już bliski obłądu. Bez Mandy i dzieci czuł się bardzo samotny, ale jeszcze bardziej brakowało mu Katherine - żartowania z nią, pogawędek, patrzenia na jej piękną twarz. Teraz już wiedział, że ją kocha. Zawsze ją kochał i zawsze będzie ją kochał.

Kiedy ją znowu ujrzał w jednym z gabinetów producentów, pomyślał, że chyba nigdy nie wyglądała ładniej. Napięcie, które dostrzegł na jej twarzy i w oczach podczas tamtego przyjęcia, zniknęło. Doszedł do wniosku, że jej małżeństwo się w końcu dotarło. Bardzo dobrze, pomyślał, a raczej kazał sobie pomyśleć.

Przez tydzień pracowali razem nad nowym dialogiem, a po dziesięciu dniach Steven wymyślił coś, co było na tyle nowoczesne, że sieć znowu zgodziła się włączyć im zielone światło. Główne zdjęcia zaczęły się trzydziestego lipca.

Steven wsadził głowę przez drzwi przenośnej garderoby Katherine. Siedziała przed lustrem, przecudna w osiemnastowiecznej sukni z białej satyny, połyskującej biżuterii z prawdziwymi brylantami, masywnej wysokiej białej peruce, która spływała na jej ramiona falami i lokami. Aż dech mu zaparło.

- Wejdz, prawie skończyłam.

- Istna królowa śniegu. Pięknie wyglądasz - powiedział, a ciszej spytał: - Wszystko dobrze?

- Tak, dzięki, wszystko wróciło do normy. Wiem już, co zmusza Jean-Claude'a do takiego zachowania.

- Co, na miłość boską?

- Nie mogę ci powiedzieć, Steve. Może, kiedy indziej. W każdym razie chyba się dogadaliśmy. Nie proszę cię o litość dla niego, ale o wyrozumiałość. - Spojrzała na niego pytająco.

- „Masz to u mnie jak w banku” - odparł, marszcząc czoło. - Z czego to?

- „Słodki ptak młodości”. - Uśmiechnęli się do siebie.

- Świetnie. Podciągasz się.

Rozległo się stukanie do drzwi i asystent reżysera zawołał:

- Do roboty, Kitty. Czekamy na ciebie!

Steven ścisnął jej ramię.

- Powodzenia, kochanie. Wiem, że na pewno będziesz doskonała.

Jean-Claude nie założył biura w studiu jak inni producenci, lecz wynajął pokój w hotelu, w tym samym korytarzu co ich apartament, tylko dalej. Tu zainstalował swoje cuda techniki i jeśli tylko nie odbywał narady z Joem Havaną, nie telefonował do sieci i Lwa Łupiny, siedział przy komputerach. Poza późnymi obiadami, które jadal w romantycznych paryskich bistrach, Katherine praktycznie go nie widywała. A mieliby mnóstwo tematów do rozmowy, jako że ich film przyciągnął bardzo dystyngowanych aktorów z Francji i Anglii. Główne role otrzymali Sir John Gielgud, Nigel Hawthorne i Jeanne Moreau, w postać Ludwika XV zaś wcielił się Gerard le Blanche, pięćdziesięcioletni Francuz o tak zniewalającym uroku, że gwiazdorem był nieprzerwanie od trzydziestu lat. Siwiejące włosy dyskretnie pokrywał kasztanową farbą, seksapilu jednak nie stracił. Po czterech latach znoszenia humorów Alberta Amorye'go Katherine z radością przyjęła perspektywę partnerowania takiemu czarującemu mężczyźnie.

Zdjęcia trwały już trzy tygodnie, kiedy pewnego dnia do jej garderoby wpadła z impetem Brenda.

- Przed chwilą dzwoniła Maria. Wpadła w histerię, bo ci od elektryczności zagrozili, że wyłączą prąd w twoim domu.

- Co takiego? - Katherine przygotowywała się do sceny z Sir Johnem Gielgudem i była trochę poddenerwowana. Wkuwała kwestie, a charakteryzatorka w tym czasie pudrowała na białą jej wydatny biust. Poduszki wepchnięte pod piersi Katherine wypychały jej biust do góry. W pasie była ściągnięta boleśnie do pięćdziesięciu ośmiu centymetrów, na głowie miała perukę, wysoką na pół metra konstrukcję ze sznurów pereł, satynowych wstążek i zwojów cieniutkiego tiulu, której utrzymanie było nie lada zadaniem.

- Nie żartuję. Masz, czytaj. - Brenda podała Katherine kawałek papieru. - Ona odchodzi od zmysłów, Kitty. Musimy coś zrobić. Powiedziała, że jeśli wyłączą elektryczność, to ona odejdzie, a przecież w domu ktoś musi być. Z całej służby tylko Maria ci została.

- Przejdź do meritum, dobrze?- rzekła Katherine. - Sir John czeka na mnie na planie. Jestem już spóźniona.

- Proszę bardzo, meritum. Jak wiesz, wszystkie rachunki reguluje twój ukochany mąż.

- Wypisuje czek, ja je podpisuję, potem on je wysyła. O co więc chodzi?

- Czy podpisywałaś ostatnio jakieś czek? - - spytała Brenda.

Katherine zmarszczyła czoło.

- Prawdę mówiąc, nie podpisywałam niczego od czasu przyjęcia. Będzie już więcej niż miesiąc.

- Właśnie. Wiem, że nie powinnam zwracać ci tym głowy, ale Maria powiedziała, że nie tylko to wezwanie do zapłacenia za prąd jest już któreś z rzędu, ale również ludzie, którzy obsługiwali twoje przyjęcie, nie dostali żadnych pieniędzy. Wierzyciele dobijają się od tygodni, orkiestra, dostawcy - wszyscy. Maria dostaje szału.

- Gdzie są te rachunki? Dlaczego Jean-Claude nie dał mi żadnych czeków do podpisania?

- Jego spytaj.

Brenda pamiętała urazy dłużej niż słonie, a incydent z aparatem fotograficznym miała wciąż świeżo przed oczyma. Nie ufała Jean-Claudeowi, ale trzymała to dla siebie, ponieważ między Kitty a nim ostatnio znowu się ułożyło,

Katherine nigdy się nie zastanawiała, czy rachunki zostały zapłacone; jak większość aktorów słabo się orientowała w sprawach finansowych. Kiedy Jean-Claude przejął prowadzenie jej księgowości, idąc za jego radą początkowo telefonowała do banków i brokerów, żeby sprawdzić dane z jego komputera. Ale jak tylko nabrała pewności, że wszystko jest w porządku, przestała to robić.

- Porozmawiam z nim wieczorem, obiecuję, Bren, teraz nie mogę. Sir John czeka. Ojej, trzęsę się ze strachu jak galareta.

Wieczorem kręcili, wobec czego Katherine miała wolny następny ranek, na który zaplanowała zakupy z Brendą na Lewym Brzegu.

Przed wyjściem zapukała do biura Jean-Claudea.

- Czego chcesz? - Jean-Claude zachowywał się tak, jak gdyby nie chciał wpuścić jej do środka.

- Porozmawiać, najdroższy. To ważne.

- Dobrze, chodźmy do apartamentu.

Ale zanim zamknął za sobą drzwi, Katherine zdążyła się wśliznąć do jego sanktuarium. Paryskie biuro Jean-Claudea było kopią jego gabinetu w Los Angeles. Na meblach w stylu Ludwika XIV piętrzyły się segregatory, a na pięknym antycznym biurku stały obok siebie trzy różne komputery.

Ali, z rudymi włosami opadającymi na ramiona i w minispódniczce bijącej wszelkie rekordy krótkości, pilnie coś notowała. Na znak Jean-Claudea wstała i prędko wyszła.

- Miałaś iść na zakupy. - Jean-Claude był wyraźnie rozdrażniony.

- Teraz wychodzę, ale najpierw muszę o czymś z tobą porozmawiać.

- Nie powinnaś marnować wolnego czasu na chodzenie po sklepach i siedzenie u fryzjera.

Katherine nie odpowiedziała. Czy miała mu tłumaczyć, że rzadko chodzi na zakupy, a jeśli siedzi u fryzjera, to wyłącznie z powodów zawodowych? Rozejrzała się wokół siebie. Na tacce „do załatwienia” leżała pokaźna góra rachunków.

- Boże Wszechmogący, co te rachunki tu robią? Widzę co najmniej pięćdziesiąt nie zapłaconych rachunków. Dlaczego nie wypisałeś czeków, Jean-Claude?

- Nie pali się, chérie. - Rozsiadł się wygodnie w czarnym skórzanym fotelu, kupionym w najdroższym sklepie z meblami biurowymi na rue Madeleine, i zaczął patrzeć w sufit, dłubiąc jednocześnie w zębach złotą wykałaczką.

- Ależ, kochanie, ja tu widzę rachunki ze wszystkich firm kredytowych. Patrz! Visa, Diners, American Express. Jesteśmy im winni tysiące dolarów. Powiedz, dlaczego nie wypisałeś czeków?

Dalej patrzył tępo w sufit, a jego twarz przybrała wyraz, który Katherine już знаła.

- Idę teraz na zakupy. Jeśli nie zapłaciłeś rachunków, to nie przyjmą ode mnie żadnej z tych kart kredytowych.

- Nie przejmuj się, cherie. Już się wszystkim zająłem. Posłałem im wyciągi z banku. Nie rób tyle zamieszania. Wszystko będzie dobrze. - Jego gderliwy ton mówił: „radzę ci, zamknij się, bo pożałujesz”.

Katherine gniewnym gestem odsunęła papiery i komputery na brzeg biurka.

- Radzę ci wypisz te czeki teraz - rzekła, pochylając się ku Jean-Claudeowi. - Rozumiesz, co mówię? Nie po południu, nie jutro, lecz teraz.

Spojrzał na nią spode łba. Katherine ubrana była w beżowe spodnie i jedwabną bluzkę. Zupełnie nie ma tyłka, pomyślał beznamiętnie. Owszem, radził jej zrzucić trochę wagi, ale nie kazał zamieniać się w szkielet. Dobrze, że te kostiumy wypychały ją i pogrubiały w odpowiednich miejscach.

- Może wypiszę, a może nie wypiszę.

- Radzę ci jednak wypisać - rzekła Katherine złowrogo. - W przeciwnym razie wyślę wszystko do Kena i każę jemu się tym zająć.

Jean-Claude wbił w nią zimne spojrzenie.

- Nawet nie próbuj, cherie. Powiedziałem ci, że się tym zajmę. Płacenie rachunków należy do mnie, więc rób to, co do ciebie należy i przestań się wtrącać w nie swoje sprawy.

Ale Katherine, która nie dawała łatwo za wygraną, pomachała mu przed nosem garścią rachunków.

- To są moje sprawy. Jak śmiesz mi mówić, żebym się nie wtrącała, skoro to są moje sprawy.

- Grosza przy duszy nie miałaś, kiedy się poznaliśmy. Pójdiesz z torbami, zapamiętaj moje słowa, Katherine Bennet. - Jego twarz zrobiła się czerwona z wściekłości. - Nie znasz się na interesach. Zbankrutujesz, jeśli zrezygnujesz z mojej pomocy.

„On w to wierzy” - pomyślała Katherine. Była wstrząśnięta tym odkryciem, ale nie chciała się dalej kłócić. Jean-Claude rządził jej domowym kontem, ale ona miała jeszcze konto osobiste.

- Niech będzie, jak chcesz - powiedziała. - Ale chyba sam widzisz, że się trochę zagalopowałeś.

Co rzekłszy, energicznie trzasnęła drzwiami, wróciła do apartamentu i ze swojego konta wypisała czek za elektryczność.

- Masz, Brendo, - wyślij zaraz to ekspresem do Marii. I na miłość boską, chodźmy wreszcie na te zakupy.

- Na frasunki nie ma jak sprawunki - Brenda uśmiechnęła się z ulgą. - Należy ci się nagroda.

Ale ku ogromnemu zdumieniu Katherine w żadnym z butików nie przyjęto jej kart kredytowych. Gdy raz po raz odmawiano jej sprzedania towaru, wzbierała w niej wściekłość na Jean-Claudea. Wróciła do domu z zamiarem zrobienia mu karczemnej awantury, tymczasem na biurku zastała sto starannie wypisanych czeków, czekających na jej podpis. Bardziej od czeków zaskoczył ją Jean-Claude: czarujący, słodki, kochający.

Nie zamierzała się nabrać na jego słodką minę.

- Czy wiedziałaś, że wszystkie moje karty kredytowe zostały zablokowane? - rzuciła się na niego od progu. - Przeżyłam taki koszmar kiedyś w Nowym Jorku, kiedy urząd skarbowy „wycofał” całą forszę z mojego konta bankowego w poczet tak zwanych nie zapłaconych podatków. Obiecałam sobie wtedy, że już nigdy nie pozwolę się tak upokorzyć. I nie pozwolę, Jean-Claude, nie pozwolę.

Przystojną twarz rozświetlił uwodzicielski uśmiech. Jean-Claude podszedł, żeby objąć Katherine, ale ona odsunęła się od niego ze złością.

- Uspokój się, cberie, uspokój się, na Boga Ojca - próbował ją mitygować. - Jesteś podekscytowana, rozpalona i zachowujesz się jak rozzłoszczone szczenię. Biedne dziecko, za ciężko pracuje.

- Pewnie, że za ciężko pracuję - wybuchnęła. - Codziennie muszę się nauczyć nowych kwestii i ledwo żyję od noszenia tych wszystkich gorsetów i peruk. Na domiar złego, ni stąd ni zowąd się dowiaduję, że nie mam żadnych pieniędzy. Niech cię szlag trafi, Jean -Claude, czy ty chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa?

- No już dobrze, cberie. - Delikatnie pogłaskał ją po włosach. - Już wszystko dobrze, Kitty. Wiesz przecież, że potrafię takie sprawy doprowadzić do porządku, prawda?

Katherine popatrzyła na jego spokojną twarz. Otoczył ją ramionami, ale ona wcale nie poczuła się od tego bezpieczna i kochana.

- Na miłość boską, skończ z tymi głupimi gramami - szepnęła. - Ja już tak dalej nie mogę. Szczerze ci mówię.

- Coś sobie wyobraziłaś, Kitty. Robię tylko to, co jest dla ciebie najlepsze. Kocham cię bardziej niż siebie. - Pogaskał ją po plecach, a Katherine westchnęła, bo poczuła, że wbrew swojej woli mięknie. Przytulił ją mocniej, mrucząc cicho: - Nie wolno ci mnie opuścić, Kitty, nie wolno ci nawet o tym myśleć. Jeśli mnie opuścisz, to...

- To? - Nie odpowiedział, tylko odpinał jej jedwabną bluzkę, muskając czułymi wargami jej szyję. - Co zrobisz, Jean-Claude?

- Zabiję cię - powiedział i uśmiechnął się anielsko. Po czym ją pocałował, wziął na rękę i zaniósł do sypialni.

Wkładając cienki koronkowy peniuar do sceny gwałtu, Katherine drżała pod wpływem nieuzasadnionego zdenerwowania. Czuła się krucha, delikatna jak ten kostium, który zresztą tak tylko wyglądał, bo naprawdę był niezniszczalny. Gerard le Blanche go z niej zrywał, a krawcowa zszywała do następnego ujęcia. Była to skomplikowana kombinacja szyfonu, jedwabnych wstążek i cielistego elastiku, sprytnie pomyślana, dająca złudzenie nagości, odsłaniająca akurat tyle, żeby nie urazić czujnych cenzorów telewizyjnych. Ponieważ Joe chciał nakręcić całą scenę w jednym ujęciu, poziom adrenaliny znacznie wszystkim podskoczył, gdy zaczęli kręcenie.

W scenie tej do komnaty wchodzi pijany król i zastaje Paulette de Waldner (graną przez Katherine) szperającą w jego kufrze. Obrzuca ją inwektywami, zaczynają się sprzeczać, aż w pewnej chwili król mówi: „Zaczynam się zastanawiać, moja droga Paulette, czy przypadkiem nie jesteś tą kobietą, na którą czekałem przez całe życie” i z jednoznacznymi zamiarami rusza w jej stronę. Paulette tłucze butelkę i usiłuje go nastraszyć, wymachując wyszczerbioną szyjką, ale król nic sobie z tego nie robi i łapie ją w pól.

Kręcąc tę scenę, Katherine w postaci Gerarda widziała Ludwika XV. Zmysłowy, gwałtowny, groźny. Zahipnotyzowana jego namiętnością traciła panowanie nad sytuacją. Gra stawała się rzeczywistością. Czas cofał się do pewnej wilgotnej nocy w Wersalu w 1776 roku. Katherine była krewką Paulette de Waldner, kobietą, którą fascynował, a zarazem mierzył król Francji.

Scena walki, która teraz następowała, była wyreżyserowana do najdrobniejszych szczegółów, ale do tej pory aktorzy tylko ją próbowali i markowali w zwolnionym tempie. Gerard rzucił Katherine na sofę, ona zaś, robiąc uniki przed jego natarczywymi rękami i ustami, w pewnej chwili zdołała mu się wyrwać i zeskoczyła na podłogę, ale nie uciekła, bo on zdążył złapać skraj jej peniuaru i zerwać go z niej. Katherine upadła i wtedy doszło między nimi do prawdziwej walki, która skończyła się tym, że Gerard podniósł ją z podłogi i zaniósł do łóżka. Tam zaczął zmuszać ją do uległości, ale wtedy Joe zawołał:

- Cięcie! - a do nich powiedział: - To było piękne, kochani, doskonałe.

Ekipa nagrodziła ich brawami. Gerard przytulił Katherine, która w tej samej chwili poczuła przeszywający ból w brzuchu i zgięła się z głośnym jękiem. Steven przyskoczył do niej, ale Katherine nie była w stanie wydusić z siebie słowa; potrzęsnęła tylko głową i upadła na sofę.

- Boli - wyszeptała, wskazując miejsce między sercem a żołądkiem. - Okropnie boli.

- Wezwijcie pogotowie! - zarządził Steven biały jak ściana.

- Jezu Chryste, trzy tygodnie zdjęć za nami i główna aktorka dostaje ataku serca - mruknął Joe. - Takie moje zafajdane szczęście.

- Czy tylko to cię obchodzi? - spytał zaczepnie Steven. - Film?

- Nie, nie tylko film - wybuchnął Joe - ale chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym zadzwonił do sieci i sprawdził, czy Donna Mills jest wolna. Mieliśmy już dość problemów z tym filmem. Jeśli Katherine Bennet ma zachorować, bądźmy na to przygotowani, w przeciwnym razie znajdziemy się w wielkich tarapatkach.

Steen przyłączył się do aktorów i ekipy, zebranych wokół Katherine jęczącej z bólu na kanapie. Joe tym czasem nie przestawał gderać.

- A niech to wszyscy diabli porwą. Czemu od razu nie zaangażowałem Donny?

Ambulans na sygnale zawiózł Kitty, Brendę i Stevena do pobliskiego szpitala. Sanitariusze przełożyli Kitty na wózek i zostawili w korytarzu. Steven trzymał ją za rękę, podczas gdy pielęgniarka zadawała Brendzie nie kończące się pytania o ubezpieczenie i numery karty kredytowej Katherine. Na ławce siedziała Cyganka w zaawansowanej ciąży, z jednym dzieckiem uczeponym brzegu jej spódnicy, drugim, płaczącym na rękę, i głośno lamentowała w niezrozumiałym języku.

- Czy... wybuchła... trzecia wojna światowa? - spytała Katherine w przerwach między bólami.

- Nie, to normalne odgłosy w izbie przyjęć. Sami szczęśliwi ludzie - próbował żartować Steven, patrząc z przerażeniem, jak Katherine się skręca pod wpływem nowej fali bólu.

- Proszę jej pomóc, na miłość boską! - wykrzyknął, łapiąc za rękaw przechodzącego stażystę. - Ona ma atak serca. Potrzebny jest lekarz.

- Wszystko we właściwym czasie, msieur, we właściwym czasie - odparł stażysta, wyszarpując rękę. - Ta pani nie jest tu jedyną ranną osobą.

- Ranną? Ona nie jest ranna. Ona ma zawał, atak serca - usiłował wytłumaczyć mu Steve. - Nie widzi pan, że umiera? Błagam pana, niech pan coś zrobi.

W tej chwili prędkim krokiem podeszła zaaferowana Brenda z dwoma stażystami i pielęgniarką.

- Musiałam im powiedzieć, kim jest Kitty, Steve. Nie było innego sposobu skłonienia ich, żeby się nią zajęli.

Katherine powieziono dokądś wózkami. Kiedy Brenda i Steve usiłowali pójść za nią, pielęgniarka ich zawróciła.

- Tutaj nie wolno wchodzić, msieur. Proszę poczekać w hallu, sil vous plait.

Na sali Katherine oddzielono od innych pacjentów cienkim parawanem i bezceremonialnie rozebrano do pasa, po czym przyczepiono do jej ciała mnóstwo elektrod. Pielęgniarka zbadała jej serce, a następnie zrobiła jej zastrzyk, po którym Katherine zrobiła się bardzo senna i niewątpliwie by zasnęła, gdyby nie nagły rwetes i błyskanie fleszy.

- To ona! To Katherine Bennet. Dzień dobry madame Trująca Brzoskwinia. Jak się czujesz? Spójrz w tę stronę, o, mon Dieu, ta nieboraczka wygląda okropnie! Sil vous plait, oui, spójrz na mnie. O, tak. Merci beaucoup! Merci, madame Katherine.

Twarz patrząca na nią znad aparatu fotograficznego miała szczerze rysy paparazza. Skąd on się tu wziął? W jaki sposób się dowiedział, że ona tu leży? Nie zdążyła jednak znaleźć odpowiedzi na te pytania, bo zaczął działać zastrzyk, pod wpływem którego szybko zapadła w niebyt.

Ali otworzyła swoim kluczem drzwi do biura Jean-Claudea. Jak zwykle panował tu nienaganny porządek, wszystkie szuflady segregatorów były zamknięte, a komputery nakryte schludnymi pokrowcami. Ali pomyślała, że pewnie Jean-Claude śpi na wąskim łóżku w przyległym pokoju i przebiegł ją dreszcz. Niedawno przyjechała. Miała nadzieję, że w Paryżu Jean-Claude będzie się z nią często kochał. Marzyła o tym. Zupełnie zwariowała na jego punkcie, była w nim szaleńczo zakochana.

Na palcach weszła do sąsiedniego pokoju, uważając, żeby go nie obudzić. Jean-Claude, wyrwany ze snu, potrafił się bardzo złościć. Nie знаła jeszcze mężczyzny, który by tyle sypiał. I tyle się kochał. Na samą myśl o tym zadrżała na całym ciele. Zazwyczaj kochali się rano, zaraz po jej przyjściu do pracy. Budziła go, wsuwając się pod prześcieradła i głaszcząc go delikatnie. Podniecało ją to, że zawsze był gotowy. Wystarczyło, że musnęła go opuszkami palców.

W porze lunchu przerywali pracę na zjedzenie kanapki i wypicie kieliszka wina, i znów ją brał. Musiał zakrywać jej usta dłonią, żeby nikt nie słyszał jej ekstatycznych krzyków. Wieczorem, kiedy wychodził na spotkanie z żoną, robił z nią na odchodnym jeden szybki numer, równie dobry, jeśli nie lepszy od porannego i południowego. Ali, teraz dwudziestoletnia, zdążyła mieć po drodze kilku chłopców, żaden z nich jednak nie dorównywał męskością i namiętnością Jean-Claudeowi.

Wsunąwszy głowę za drzwi, z radości aż jęknęła. Był tam, spał jak dziecko, ze złotymi włosami rozrzuconymi na poduszce, muskularną ręką położoną w poprzek opalonego torsu. Drżąc z podniecenia, zdjęła obcisłe spodnie i koszulę. Postanowiła, że zrobi mu niespodziankę. Włożyła specjalną bieliznę, którą trzymał pod kluczem w szufladzie na

segregatory, a do której tylko ona miała dostęp. Potem usiadł wygodnie rozparta w fotelu, w jego ulubionej pozycji i poczeka, aż Jean-Claude się obudzi.

Kombinacja elastycznych pasków pozostawiała większość jej erogennych miejsc odkrytych. Ali cicho zachichotała. Ciekawe, jaką minę miałaby ta stara małpa, jego żona, gdyby wiedziała, co się naprawdę dzieje w tym biurze. Zresztą, co mnie to obchodzi, pomyślała wzruszając ramionami. Jej świat ograniczał się do Jean-Claudea i nie chciała, żeby kiedykolwiek to się zmieniło.

- Gdzie do cholery podział się Jean-Claude? - grzmiał Steve.

- Żebym to ja wiedziała - odparła smutno Brenda. - Dzwoniłam do hotelu. Powiedzieli mi, że wyszedł, ale nie wiedzą dokąd. Niech no tylko się znajdzie, już ja mu powiem do słuchu.

- Powinien być tu, przy niej. Beznadziejny palant.

- Oboje wiemy, Steve, jaki z niego gagatek. Boję się jednak, że on to robi celowo. Tak czy owak, to kawał drania.

Późnym popołudniem zadzwoniła sekretarka Jean-Claude'a.

- Przekazano nam wiadomość o pani Valmer - powiedziała zdyszczanym głosem. - Jak ona się czuje?

- Nie wiemy, wciąż ją badają - odparła ostro Brenda. - Gdzie jest jej mąż?

- W biurze. On... jeszcze śpi.

- Jak to śpi? Jest prawie czwarta.

- Wiem - odparła Ali przeproszającym tonem. - To okropne. Próbowалаm go obudzić, ale bez skutku. On już taki jest - zachichotała.

- Wiem, jaki on jest, choć wolałabym nie wiedzieć - rzekła Brenda. - Słuchaj, Ali, musisz go obudzić. Powiedz mu, że Kitty jest poważnie chora. Niewykluczone, że miała zawał.

- Och, mówiłam mu o tym, bo dzwonił też w tej sprawie pan Havana. - Ali udawała dzielną sekretarkę. - Ale pan Valmer przewrócił się na drugi bok i znowu zasnął. Chyba nie spał w nocy, bo jak przyszłam dziś rano do pracy, on już był w biurze.

- Jak to miło z jego strony. Dobrze, Ali, powiedz te mu śpiącemu królewiczowi, że jesteśmy w szpitalu i po zostaniu tu rak długo, jak długo Kitty będzie nas potrzebować.

- Czy Tommy został już zawiadomiony?

- Nie chcemy go zawiadamiać. Mógłby się wystraszyć - rzekła Brenda smutno. - Choć pewnie o wiele bardziej się wystraszy, gdy jego matka umrze.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W pokoju hotelowym panował półmrok, ale Brenda domyśliła się, że Katherine nie śpi.

- Cześć - powiedziała, podchodząc z tacą do łóżka. - Jak się czujesz?

Kitty usiadła z wysiłkiem.

- Dużo lepiej, kochana. Rany, jak mi wstyd. Obawiam się, że w gazetach piszą prawdę. Katherine Bennet nie cofnie się przed niczym, żeby zwrócić na siebie uwagę. - Uśmiechnęła się blado.

Brenda postawiła tacę na zawalonym rzeczami no cnym stoliku.

- Za dużo pracujesz, Kitty.

- Wszyscy za dużo pracujemy - odparła Katherine, zjadając z apetytem rogalika. - Najważniejsze, że już się dobrze czuję. Nie masz pojęcia, Brendo, jak się wystraszyłam, kiedy poczułam w piersi ten ból. Byłam pewna, że już po mnie. Nigdy nie przeżyłam podobnego bólu.

- Lekarz powiedział, że takie bóle są charakterystyczne dla nieżyty żołądka - rzekła Brenda, poprawiając jej poduszki. - Człowiek myśli, że umiera.

- Nieżyt żołądka? Tylko tyle? Ale wstyd! - zachichotała Katherine i zabrała się do jajecznicy. - Rany, już widzę te tytuły. Dumną Paulette de Waldner rozboleł brzuch po walce z królem Ludwikiem. Jaki wstyd. Pomyśleli na pewno, że jestem histeryczką.

- Lekarz powiedział, że musiałaś się zdenerwować i dlatego dostałaś skurczów żołądka. Zwykle powodem tej dolegliwości jest silny stres.

- Ja i stres? Dobrze sobie - wzruszyła ramionami Katherine, popijając herbatę. - Nawet nie wiem, co to znaczy.

- Lekarz powiedział, że bóle się nie powtórzą, jeśli będziesz unikać stresów, Kitty - rzekła Brenda, a w myśli dodała: „oraz swojego męża”.

- Czy Tommy wie, co się stało?

- Zadzwoiłam do niego. Opowiedziałam mu, ale dość oględnie. Idą dziś do kina na film ze Schwarzeneggerem.

- Dobrze zrobiłaś, Brendo. Tommy ma dość zmartwień. Zupełnie wystarczy mu to, czego się dowiedział o Johnnym.

- Słuchaj, Johnny jest sam sobie winien. Jeśli ktoś wypala sześćdziesiąt papierosów dziennie, sam się prosi o kłopoty.

- Nie wiem, jak Tommy zniesie jego śmierć. On Johnnynego naprawdę kocha. - Oczy Katherine się zaszkliły.

- Nie myśl o tym, Kitty - rzekła Brenda. - Masz dość własnych kłopotów. Nie stwarzaj sobie dodatkowych.

Skończywszy jajecznicę, Kitty spytała:

- Są jeszcze jakieś wiadomości?

- Coś ci pokażę - rzekła Brenda, wręczając Katherine „Le Figaro”. - To cię wytrąci z równowagi, ale musisz to zobaczyć. Telefon się dziś mało nie urwał. Wszyscy pismacy na świecie dopraszają się o wywiad na temat twoich przeżyć „na krawędzi śmierci”.

- Ach, to ten drań! - przypomniała sobie Katherine, patrząc na fotografię. - Jak on się dostał do szpitala?

Brenda wzruszyła ramionami.

- Tacy się wszędzie wcisną. Ciesz się, Kitty, że zdążyliśmy cię przykryć. Pięć minut wcześniej miałaś cycki na wierzchu.

- Dzięki Bogu i za to. - Katherine znowu zerknęła na fotografię. - Wyglądam okropnie. Co za niegodziwiec.

- Wyglądasz rzeczywiście nie najlepiej - potwierdziła Brenda.

- I dodali mi lat! - Katherine aż podskoczyła. - Czterdzieści cztery! Coś takiego!

- Typowe dla szmatławców, nawet francuskich. Chyba nie zamierzasz się nimi przejmować, Kitty.

- Nie zamierzam. - Wsunęła się pod prześcieradła.

Wyglądała w tym momencie tak bezbrinnie, że Brendzie serce się ścisnęło. Poprawiając przykrycia, powiedziała niby od niechcienia:

- Aha, Jean-Claude zaglądał tu wczoraj wieczorem, ale byłaś nieprzytomna. Za chwilę tu przybędzie z bukietem róż i gorącą miłością.

- To dobrze. - Katherine zamknęła oczy i westchnęła. - Stęskniłam się za nim.

- Tak myślałam, kochanie - mruknęła Brenda, unikając wzroku Katherine, bo przed oczyma miała scenę, którą zobaczyła, gdy poprzedniego wieczora weszła do biura Jean-Claudea. Na jego łóżku siedziała Ali, która głaskała go po głowie i szeptała mu do ucha czułe słówka. Brenda postanowiła, że nie powie o tym Katherine. W każdym razie, nie teraz. Może za jakiś czas.

Tydzień po wyzdrowieniu Katherine do jej garderoby urządzonej w przyczepie kempingowej wpadł Jean -Claude i rzucił na toaletkę gruby plik czeków.

- Podpisz - rozkazał.

Katherine akurat była w trakcie sznurowania gorsetu, tego dnia ciaśniejszego niż zwykle. Wstrzymując od dech, starała się pomagać tym, którzy dwa razy dziennie dokonywali tego znienawidzonego przez nią ceremoniału.

Zacisnęli gorset tak mocno, że była bliska zemdlenia. Martwili się o nią, bo ostatnio zrobiła się blada i bardzo słaba.

- Nie w tej chwili, najdroższy - powiedziała cicho. - Nie widzisz, że jestem zajęta?

Jean-Claude udał zdziwionego.

- No jak sobie chcesz, Katherine - rzekł lekceważącym tonem. - Ale przypilnuj, żeby Brenda wysłała je dziś ekspresem.

- Rozkaz, szefie. Jak pan każe - odparła Brenda, nie patrząc w jego stronę.

Jean-Claude skrzywił się. Nie kryli już, że żywią do siebie wrogość. Brenda planowała, że powie Katherine o Ali, ale na razie nie miała odwagi zadać jej bólu. Odsuwała to na spokojniejsze czasy, chciała to zrobić po skończeniu filmu.

Blackie i Mona dalej zaciskali tasiemki gorsetu. Jean-Claude obserwował ich zmagania, stojąc już w drzwiach.

- Nie chcesz chyba - rzekła Katherine z trudem łapiąc oddech żebym się spóźniła na plan filmu, którego sam jesteś producentem.

- Oczywiście, że nie. Czy ja cię kiedykolwiek do tego skłaniałem? - obruszył się i wyszedł, tak silnie zatrzaskując za sobą drzwi, że przyczepa kempingowa zatrzęsała się, a buteleczka z pudrem w płynie spadła na podłogę.

- Przemily facet - rzekła Brenda, kręcąc głową. - Nadaje nowe znaczenie słowu „dzentelmen”.

Tego wieczora Katherine podpisała czeki na łączną sumę dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, a Brenda wysłała je ekspresem do Los Angeles. Tydzień później, gdy kręcili w Chartres, z banku przyszedł faks następującej treści: „Z przykrością informujemy, że kwota na koncie Katherine Bennet nie wystarczy do zrealizowania czeków, które do nas ostatnio wpłynęły. Jesteśmy zmuszeni wstrzymać wypłaty powyżej kwoty 47 000 dolarów. Prosimy o radę w tej sprawie. Z poważaniem Henry S. Belver, menedżer Banku Amerykańskiego”.

Brenda była wstrząśnięta. Katherine niedawno jej mówiła, że dzięki Jean-Claudeowi miała na koncie prawie siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. I nagle konto okazało się puste! Co się stało? „Nadszedł czas złożyć wizytę w jaskini lwa” - mruknęła do siebie.

W Chartres Jean-Claude na biuro wynajął pokój w zajezdzie. Brenda wkroczyła tam bez zapowiedzi i w milczeniu podała mu faks z banku.

Jean-Claude zmiął go i wrzucił do kosza.

- Bzdura. Wiesz, jakie są banki, Brendo. Przypuszczalnie przelali pieniądze Kitty na któreś z jej innych kont. Musieli się pomylić.

- Znam ten bank. Trzymamy w nim pieniądze od pięciu lat. Oni się nie mylą.

- Więc zadzwoń do nich. Spytaj, co zrobili z pie niędzmi Kitty.

- Pytam o to ciebie. Ty jesteś tym geniuszem od pieniędzy, finansowym cudownym dzieckiem. Jesteś osobą, która czuwa nad finansami Kitty, osobą, którą Kitty obdążyła całkowitym zaufaniem.

- Uważasz, że zrobiła błąd, tak? - Jego oczy nabrały niebezpiecznego blasku. - Według ciebie powinna trzymać się takich jak ona sama. Aktorów. Wyrzutków i pijaków w rodzaju Johnny'ego Benneta.

Jego pogardliwy ton jeszcze bardziej rozwścieczył Brendę.

- Johnny może jest pijakiem, ale więcej w nim człowieka niż w tobie. A teraz posłuchaj mnie uważnie, Valmer czy jak tam brzmi twoje nazwisko. Nie powiem Kitty o zniknięciu jej pieniędzy. Praca przy tej wilgotnej pogodzie, w nieprawdopodobnie niewygodnych kostiumach poważnie odbiła się na jej zdrowiu. Szpital, utraty przytomności - w tym tygodniu zemdlą już dwa razy. Do tego denerwuje się chorym kolanem Tommy'ego, stanem Johnny'ego. Jak by tego wszystkiego było jeszcze nie dość, zanadto przejmuje się swoim wyglądem. Nagadałeś jej, że jest za gruba i ona teraz traci za dużo wagi. Kitty nie dowie się o tym taksie, Jean-Claude, ale ty lepiej zrób coś w sprawie tej forsy, bo pożałujesz.

Ziewnął.

- Co ty możesz mi zrobić? - spytał, gapiąc się w sufit.

- Mogę opowiedzieć Kitty to i owo.

- Co mianowicie? - uniósł brwi.

- Wiesz co. Wzięłeś te pieniądze, Jean-Claude, więc lepiej je oddaj. Jeśli znajdą się z powrotem na koncie, obiecuję, że nie opowiem Kitty o tobie i tej rudej.

Zacisnęła kciuki za plecami. Oczywiście, że opowie, ale dopiero po zakończeniu filmu.

Jean-Claude oparł się wygodnie, splótł palce na brzuchu i przez dłuższą chwilę patrzył na Brendę zuchwale. Potem powiedział:

- Dobra, Brenda, zostaw to mnie. Pogadam z bankiem. Musiał się wkraść jakiś błąd komputerowy. Domyślam się, że część tych pieniędzy została przez omyłkę przelana na moje konto. Jestem niemal pewny, że coś takiego miało miejsce.

- Ja też tak myślę - rzekła Brenda, starając się, żeby nie zabrzmiało to ironicznie. Zmusiła się do uśmiechu. - W tej sytuacji mogę spokojnie wrócić na plan. Czy zaszczybisz nas dziś swoją obecnością?

- Nie, mam za dużo pracy - rzekł, odwracając fotel tyłem do niej. - Zobaczę się z Kitty dopiero wieczorem. - Co rzekłszy, zaczął stukać w klawisze komputera.

Na ostatnie dwa tygodnie przyjechał z Hamptons Tommy - opalony, wesoły. Trochę jeszcze kulał, ale niedługo mieli mu zdjąć gips. W starych zabudowaniach wiejskich i w zamku panował chłód, gdzie indziej natomiast powietrze było parne jak w tropikach. Tommy obserwował kręcenie filmu, trochę zwiedzał miejscowe muzea, wkrótce jednak zaczął się nudzić. Brenda spytała Katherine, czy może go zabrać na wycieczkę gastronomiczną.

- Po tej wyzerce wrócę pewnie dwa razy grubsza - stwierdziła melancholijnie.

- Ale co się najesz, to twoje - odparła Katherine. - Zazdroszczę ci.

Nazajutrz Jean-Claude oświadczył Katherine, że jakaś niecierpiąca zwłoki sprawa wzywa go do Newady. Tego wieczora Katherine jadła kolację ze Stevenem w starej restauracji w Chartres, gdzie światło było przyćmione a jedzenie wyśmienite - w lokalu przeznaczonym dla Francuzów, nie nastawionym na turystów. Steven w dalszym ciągu zajmował się poprawianiem scenariusza i robił to znacznie lepiej, niż się spodziewano.

- No a co tam z twoim złotym chłopcem? - spytał niby od niechcienia.

Światło świecy odbijało się w jego brązowych oczach. Tego wieczora wyjątkowo nie włożył okularów. Katherine pierwszy raz zwróciła uwagę na jego grube rzęsy i mądre spojrzenie. Włosy, zwykle zwisające nad czołem, zaczesał starannie do tyłu, co nadawało mu wygląd chłopca z dobrego domu.

Rozluźniona kilkoma kieliszkami Chateau Lafitte nabrała ochoty na zwierzenia.

- Wiesz, czasami myślę, że jesteśmy najgorszym małżeństwem pod słońcem - stwierdziła. - Kłopot polega na tym, że Jean-Claude nagle zrobił się bardzo tajemniczy. Nigdy nie był specjalnie otwarty, ale teraz zupełnie przestał mi cokolwiek mówić. Zupełnie jak gdyby prowadził drugie życie, w którym dla mnie nie ma miejsca.

Nie chciała Stevenowi opowiadać o kłopotach z pieniędzmi. To było jej zmartwienie, sama musiała dać sobie z tym radę. Odsunęła od siebie sałatkę z trufkami i zapaliła papierosa.

- Jego nawet chyba przestał interesować ten film - dodała, marszcząc czoło.

- Faktem jest, że jeszcze ani razu nie przyszedł na plan - rzekł Steven i pomyślał, że Katherine ma smutne oczy.

- Właśnie. Czasami myślę, że jego interesują tylko pieniądze z tego filmu, nie sama produkcja. Wiesz, ja się chyba nie nadaję do małżeństwa.

- To, że jedno się rozpadło, a drugie jest dziwaczne, nie znaczy jeszcze, że się nie nadajesz, Kitty. Wycofaj się z tego, jeśli nie jesteś szczęśliwa. Każdy ma prawo do popełnienia błędu. Nie rób z siebie męczennicy.

- Nie robię - odparła. - Nie mam takich skłonności.

- To rzuć go. Kup mu bilet w jedną stronę do Palookaville.

- Palookaville? Z czego to?

- Nie pamiętasz „Nad brzegiem rzeki”?

- Oczywiście, że pamiętam.

Steve dolał jej wina i powiedział:

- Pozbądź się go, Kitty. Zapomnij o wszystkim i zacznij od nowa. Jean-Claude nie jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie.

- Widzisz, ja go chyba jeszcze kocham, a poza tym znam powody jego zmiennych nastrojów. To dość skomplikowana i trudna sprawa - zakończyła, pijąc wino w zamyśleniu.

- W takim razie zostań z nim, ale miej oczy i uszy otwarte i, na miłość boską, bądź czujna.

- Tak właśnie robię, Steve. Nie martw się o mnie. „Czemu miłość jest taka ślepa?” - pomyślał Steve, a głośno powiedział:

- Śliczna jesteś! - I uniósł kieliszek.

- Ty też. - I oboje się roześmiali.

Brenda, która musiała się wreszcie zwierzyć komuś ze swoich podejrzeń wobec Jean-Claudea, opowiedziała Stevenowi, co widziała i czego się domyślała. Nie był tym ani trochę zaskoczony.

- Od początku przeczuwałam, że to kawał drania. Kitty jest dziewczyną z miasta, nie widziała wcześniej świni z bliska.

- Czy ty kiedykolwiek bywasz poważny, Steve? Z czego to?

- Z „Młodych lwów”. Bardzo dobra książka, niedoceniony film. A co do twojego pierwszego pytania, to owszem, bywam niekiedy poważny, zwłaszcza gdy chodzi o Katherine.

- I co my z nim zrobimy?

- W tej chwili jeszcze nic - odparł Steve. - Kitty wciąż na nim zależy. Dajmy jej spokojnie skończyć film, a sami obserwujmy rozwój sytuacji i czekajmy. W razie czego jakoś jej pomożemy.

Jean-Claude czuł się znudzony Katherine. Znudzony jej zbyt chudym ciałem, znudzony jej przesadną miłością do głupiego synalka, znudzony jej lękami, narcyzmem, neurozami. Nie mógł też patrzeć na tę okropną Brendę, żyjącą w jej cieniu. Wiedział, że Brenda też za nim nie przepada.

Prawdę mówiąc, znudzony był też Ali, ale ona przynajmniej nie miała zahamowań i uprawiała z nim każdy rodzaj seksu. Z Kitty nawet tego nie próbował. Z jej opowiadań o małżeństwie z Johnnym wynikało, że nie zasmakowała ani w sado-masochizmie, ani w podglądactwie. Kitty była bochenkiem białego chleba, typową Amerykanką, konwencjonalną w sprawach seksu. Na szczęście ostatnio była tak zmęczona, że zasypiała, ledwo przyłożyła głowę do poduszki. Ich pożycie seksualne zostało zepchnięte na dalszy plan.

Jean-Claude łaknął seksu, tak jak większość ludzi potrzebuje jedzenia i picia. Nie był specjalnie wybredny. Nie miało dla niego większego znaczenia, z kim go uprawiał; praktycznie wystarczała mu jako tako wyglądająca kobieta, a czasami ładny chłopiec. Kiedy jednak złapał taki kąsek jak Katherine Bennet, zrozumiał, że musi się do niej dostosować. Wiedział, co jej będzie odpowiadało. Deklaracje wiecznej bezwarunkowej miłości, romantyczna namiętność, silny popęd. Wszystkie kobiety się na to łapały, ponieważ mężczyźni albo nie mieli pojęcia, jak je uwodzić, albo byli na to zbyt leniwi. Jego to nie dotyczyło.

Jean-Claude w bardzo wczesnej młodości przestudiował markiza de Sade i Henry Millera. Przeczytał mnóstwo książek na temat obsesji seksualnych i fetysyzmu, nie mówiąc o Freudzie, Jungu, Masters i Johnson, a na wet Shere Hite. W szkole bez najmniejszej trudności rozkochiwał w sobie młodszych kolegów, a kiedy został piosenkarzem, wprost nie mógł opędzić się od kobiet. Do perfekcji opanował sztukę uwodzenia i rozmaitych erotycznych gier, którymi kobiety były zafascynowane. Znał się na kobietach, wiedział, które guziki należy przyciskać, jemu samemu jednak chodziło tylko o zaspokojenie apetytu - trzy, cztery, a nawet pięć razy dziennie. Seks znaczył dla niego tyle, co jedzenie i picie. Seks jednakże dawał mu wielką władzę nad kobietami i Jean-Claude wiedział, jak ją maksymalnie wykorzystać.

Obejrzał się krytycznie w lustrze nad umywalką. Czas chlapać wodą utlenioną na te ciemne odrosty. Na szczęście nie musiał farbować sobie włosów łonowych, które i bez tego były dość jasne. Spojrzał na zegarek. Do odlotu samolotu zostało tyle czasu, że zdąży zafundować sobie jedną małą przyjemność. Otworzył drzwi do przyległego pokoju, gdzie na

łóżku siedziała Ali w wyczekującej pozie. Zawsze gotowa, pomyślał z przekąsem. Pogardzał nią nawet wtedy, gdy ogarniała go wielka żądza.

- Zdejmij ubranie - rozkazał. - Ale powoli.

Ali spełniła polecenie. Miała zaróżowione policzki, oczy błyszczące z niecierpliwości. Rozbierała się powoli, zmysłowo, tak jak ją nauczył.

Jean-Claude podszedł do łóżka, uniósł ją za długie rude włosy i zmiądzzył jej wargi pocałunkiem, który był zarówno namiętny, jak i brutalny. Ali zadrżały kolana. Kiedy język Jean-Claudea zaczynał swoje wycieczki krajoznawcze po wargach kobiet, od razu nogi się pod nimi ugiwały. Katherine często mawiała, że niewątpliwie całowanie studiował na uniwersytecie. Zerwawszy ubranie z sekretarki, dokonał dzieła z taką namiętnością, że zaczęła go błagać o jeszcze. Ale nie miał już na to czasu. Tym razem musiało jej wystarczyć. Zaspokoił żądzę. Teraz co innego mu było w głowie.

Biorąc prysznic, Jean-Claude przypomniał sobie Eleonorę Norman. To była kobieta podobna do niego. Kobieta, która dla uzyskania seksualnego zaspokojenia zrobiłaby wszystko. Jej ekstrawagancja przekraczała wszelkie granice. Opowiedziała mu kiedyś, że jako siedmioletnia dziewczynka została zmuszona do stosunku ze starym reżyserem filmowym. Jean-Claudea ta historia niewiarygodnie podnieciła, nawet bardziej niż uprawianie miłości. Lubił po akcie leżeć nagi obok Eleonory, głaskać od niechcienia jej imponujące, wypełnione silikonem piersi i słuchać o tym, co stary wstręciuch robił małej słodkiej dziewczynce. W pewnej chwili Eleonora zaczynała jęczeć z pożądania, a wtedy Jean-Claude żądał, żeby go błagała, i ona błagała. Jeszcze jak błagała. Nie było rzeczy, której by wtedy nie zrobiła dla niego. Tak, Eleonora Norman była dla niego odpowiednią partnerką.

Spędził wiele godzin rano i po południu, uprawiając z nią miłość w łóżku, na podłodze, w basenie, w czasie, gdy Kitty ciężko pracowała. Przyjemność, jaką Eleonora czerpała z uwodzenia męża rywalki, była równa strachowi przed tym, co Jean-Claude by jej zrobił, gdyby kiedykolwiek zdradziła jego tajemnicę. Eleonora dobrze go poznała. Odkryła najciemniejszą stronę jego natury, lecz - podobnie jak inne kobiety, które spotkały go na swej drodze - nie potrafiła z niego zrezygnować. Władza Jean-Claudea nad kobietami była niemal nadnaturalna.

Zaraz po powrocie z podróży do Newady Jean-Claude zapowiedział, że odsyła Tommy'ego do Los Angeles. Według niego Katherine poświęcała synowi za dużo czasu.

- Masz się uczyć roli i spać, bo to jest potrzebne dla twojej urody - rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Katherine spojrzała na niego lodowato. Przepęłniła się miara.

- Mam nadzieję, że tylko żartujesz - powiedziała.

- Potrzebny jest ci odpoczynek - rzekł, spokojnie studiując swoje odbicie w lustrze. - Wyglądasz zupełnie jak zmora.

- Dziękuję - odparła gorzko. - Tommy nie wróci do Stanów, lecz pojedzie ze mną do Antibes i do Wenecji. Przestań mną rządzić, Jean-Claude. Tym razem nie dam się wciągnąć w twoje gry.

Przed chwilą skończyła grać z Tommym w scrabblesi, a teraz zamierzała położyć się do łóżka. Sama.

- Zarywasz noce, przesiadując z tym rozpuszczonym szczeniakiem, a potem gazety piszą, że się postarzałaś. - Ujął ją za brodę, żeby z bliska przyjrzeć się jej twarzy. Katherine odepchnęła jego rękę.

Ona też widziała gazety. Dzięki specjalnemu oświetleniu Lazla wyglądała na planie młodo, najwyżej na trzydzieści lat, ale teraz była zbyt zmęczona, żeby się o to spierać. Zbyt zmęczona i, musiała to sobie szczerze powiedzieć, zbyt wystraszona. Zachowanie Jean-Claudea stało się tak dziwaczne, że nie potrafiła już przewidzieć, jak on się zachowa w danych okolicznościach. Gdy poruszyła temat separacji, powiedział:

- Jeśli się ze mną rozwiedziesz, sprzedam do gazet historię naszego małżeństwa. Opowiem im, jaka z ciebie straszna dziwka, okropna jędza i jak wszystkimi w pracy pomiatasz.

- Nie zrobiłbyś tego.

- A jakże, zrobiłbym. Jeśli mi się narazisz, Katherine Bennet, otworzysz puszkę Pandory, której istnienia nawet nie podejrzewasz.

Słyszając to wstała i wzięła się rękoma pod boki.

- Mam po uszy twoich impertynencji i pogroźek. Jeśli nie zmienisz swojego stosunku do mnie i nie zapanujesz nad swoimi humorami, wystąpię o anulowanie naszego małżeństwa.

- Wyjdiesz na straszną idiotkę - drwił z niej. - Zepsuta megagwiazda, która nie potrafi wytrzymać z jednym mężem dłużej niż trzy miesiące. Ludzie pomyślą, że masz nierówno pod sufitem, cberie.

- Już nie dbam o to, co ludzie o mnie pomyślą. To jest moje życie, a nie próba teatralna. Co wieczór nowa premiera. Jeśli mam być dalej taka nieszczęśliwa jak przez ostatnie kilka tygodni - to wolę się z tobą rozwieść.

- Tylko spróbuj, a twój poprzedni mąż wyda ci się przy mnie aniołem. Wezmę połowę twojego majątku. To dzięki mnie zarobiłaś tyle pieniędzy, Katherine, lepiej, więc mnie nie

drażnij. Ostrzegam cię, że podejmę odpowiednie kroki. Jestem sprytniejszy od ciebie. Tamta umowa się nie liczy. Nie próbuj się mnie pozbyć, bo nie jesteś w stanie tego zrobić, a jeśli nie odeślesz tego szczeniaka do domu, to przynajmniej zrób coś, żeby go tutaj nie oglądał.

- Odwal się, Jean-Claude. Mój syn zostanie tutaj, bo miejsce syna jest przy matce.

Odwróciła się na pięcie i wpadła na Brendę, która stała w progu.

- Ty tłusta małpo. Szpiegujesz nas? - rzucił się na nią Jean-Claude.

- Przestań, przestań! - wrzasnęła Katherine.

- Zabieraj się stąd. I nigdy się nie waź wtrącać między mnie a moją żonę, rozumiano?

- Wyjdź, Brendo, proszę - rzekła błagalnie Katherine. Dojrzała ból w oczach Brendy, ale nie mogła postąpić inaczej.

Jean-Claude był rozjuszony jak byk. Nie potrafiła przewidzieć, co zrobi za chwilę.

- Zostaw nas samych, słyszałaś?

- Oczywiście. Wiesz, Jean-Claude, wiele bym dała, żeby cię już nigdy nie oglądać.

Jean-Claude wypchnął Brendę za drzwi, zatrzasnął je i odwrócił się do Katherine z triumfującą miną.

- Teraz już wiesz, kto tu rządzi, Wielka Diwo. Kicham na twojego syna, chociaż tobie on się wydaje ósmym cudem świata. Ale ostrzegam cię, Kitty, lepiej mi się nie sprzeciwiaj.

Wyszedł. Chwilę potem Katherine usłyszała, jak przekręca klucz w zamku swojego biura.

„Spróbuj, musisz spróbować” - Katherine wiedziała, że powinna, ale bała się. I nie czuła się za dobrze. Nie mówiła o tym nikomu, ale praca przy filmie coraz bardziej ją męczyła. Czasami wysiłek związany ze wstaniem rano z łóżka przyprawiał ją o takie mdłości, że przez chwilę musiała posiedzieć na krześle z głową objętą rękoma. Dużo czasu zajmowało jej wzięcie prysznic i ubranie się. Ciągle czuła się chora, wymiotowała od czasu do czasu. Na planie nie rozstawiała się z buteleczką soli trzeźwiących; trochę jej pomagały. Chociaż wydawało się to mało prawdopodobne, zaczynała podejrzewać, że jest w ciąży.

Nie odważyła się powiedzieć o tym komukolwiek, bo by narobili szumu i zaraz sprowadzili lekarza na plan. Zaczęliby się nad nią trząść. Tego by nie zniosła. Już i tak zanadto się nią przejmowali. Odnosiła wrażenie, że życie toczy się w zwolnionym tempie; wiedziała jednak, że za wszelką cenę musi wytrzymać te ostatnie kilka tygodni do zakończenia filmu i nieznośne zachowanie Jean-Claudea.

Bała się go. Czuła, że potrafiłby ją zniszczyć, a nie miała czasu ani spokoju, żeby pomyśleć, jak się przed tym zabezpieczyć; ciągle ją dokądś wołano, zawsze trzeba. było iść do pracy.

Westchnęła ciężko, powąchała sole trzeźwiące, po czym weszła powoli na parny plan. W końcu września skończono w Chartres główną część filmu. Pozostały jeszcze dwa wieczory zdjęć w Antibes, a potem wyjazd do Wenecji, żeby nakręcić zakończenie filmu.

Drugiego popołudnia w Antibes Jean-Claude uparł się, że zabierze ich - Tommyego, Brendę i Kitty - nad morze. Katherine chętnie by się popalała, ale teraz nie mogła sobie na to pozwolić, bo jako Paulette musiała mieć mlecznobiałą cerę. Ale i tak miło jej się drzemało, w mknącej po Morzu Śródziemnym motorówce, z twarzą i ramionami przykrytymi ręcznikiem. Jean-Claude był tego dnia wyjątkowo czarujący, nie dawała się jednak złapać na ten haczyk. Chciała tylko jednego - żeby zostawił ją w spokoju. Jej namiętność do niego wypaliła się. Modliła się, żeby jej podejrzenie, że jest w ciąży, okazało się fałszywym alarmem. Westchnęła. Czuła się taka zmęczona. Marzyła, żeby jak najprędzej skończyć ten film, a potem małżeństwo z Jean-Claudeem.

Znaleźli plażę, gdzie urządzili sobie piknik pod parasolem. Jedli wiejskie pasztety, sery prowansalskie, świeże bagietki, a pili zachwycająco lekkie, ale idące do głowy Petale de Roses. Łódź kołysała się na falach. Po lunchu Katherine położyła się, żeby znowu się zdrzemnąć, Jean-Claude natomiast postanowił posurfować, w czym był, jak zresztą we wszystkim, co robił, mistrzem. Patrząc za nim, Tommy powiedział:

- Jestem wkurzony, mamuś, że nie mogę sobie posurfować. Mam już dość tego filmu. Można zwariować z nudów.

- Jeszcze tylko dwa dni, kochanie, i pojedziemy do Wenecji - odparła Kitty. - Zobaczysz, jak ten czas ci szybko zleci.

Tommy myślał o czymś przez chwilę, po czym rzekł:

- Nie chcę cię martwić, mamuś, bo wiem, że dość masz własnych problemów, ale tu chodzi o tatę. Tata ma poważne kłopoty. Dzwonił do mnie dziś rano, ale ja nie chciałem ci o tym mówić przed wycieczką... - przerwał.

- O co więc chodzi, kochanie? - spytała Katherine.

- Kiedy tata wrócił w zeszłym tygodniu ze szpitala, zastał pod drzwiami faceta z urzędu skarbowego z nakazem zapłacenia zaległych podatków.

- Wszyscy to dostają. Nic strasznego.

- Nie wiem, co dostają wszyscy, mamuś. W każdym razie ten gość powiedział tacie, że jeśli do końca sierpnia nie zapłaci dziesięciu tysięcy dolarów, to go zamkną do więzienia. - Tommy spojrzał na matkę z przerażeniem. - Tata naprawdę się wystraszył, ponieważ to jest ostatnie wezwanie czy coś w tym rodzaju. Możemy coś zrobić w tej sprawie? Możemy mu jakoś pomóc?

„Nie mam siły na to wszystko” - pomyślała Katherine, ale objęła Tommy’ego i powiedziała:

- Zrobimy, co tylko w naszej mocy, synku. Obiecuję, że postaram się mu pomóc.

Tego wieczora, gdy Blackie i Mona pracowali nad jej urodą, Katherine zastanawiała się, jak by dyplomatycznie skłonić Jean-Claude’a do wysłania pieniędzy Johnny’emu.

- Wysysa z ciebie krew jak pijawka - pieklił się Jean-Claude któregoś dnia. - Musisz zakręcić mu kurek. On i tak wszystko wydaje na narkotyki.

Katherine nienawidziła tych pyskówek, zwykle, więc dawała za wygraną, ale tym razem było inaczej. Więzienie? Nigdy by sobie tego nie darowała, nie mówiąc już o tym, że Tommy by jej nie wybaczył, gdyby Johnny trafił do więzienia.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pokazał się w nich Jean-Claude - ostatnia osoba, której tu się spodziewała - i wyciągnął ku niej pudełeczko z czerwonej skóry.

- To dla ciebie, cherie - powiedział i wręczył jej je z miną zakochanego mężczyzny. - Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

Katherine otworzyła pudełko, w którym na czerwonym aksamicie skrzyła się para pięknych kolczyków - idealnie dobranych, otoczonych podłużnie i okrągło szlifowanymi diamentami czarnych pereł. „Ciekawe, skąd go stać na takie prezenty” - przemknęło jej przez głowę. Kolczyki pochodziły od najdroższego jubilera w Nicei i musiały kosztować co najmniej dwadzieścia, trzydzieści tysięcy dolarów. Czy to były jej pieniądze?

- Są śliczne - powiedziała bez entuzjazmu - ale moje urodziny przypadają dopiero za osiem miesięcy. Po co więc ten prezent?

- Dla mnie każdy dzień z tobą jest świętem, cherie co rzekłszy, pocałował ją z tyłu w szyję, a Blackie i Mona wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Katherine odsunęła się, sięgnęła po papierosa.

- Są prześliczne. Dziękuję.

- Ty jesteś śliczniejsza. - Nachylił się, żeby pocałować ją w koniuszki palców. Katherine pomyślała, że to dobra chwila na pewną rozmowę...

- Zróbcie sobie z pięć minut przerwy, kochani. Muszę zamienić kilka słów z Jean-Claude’em - powiedziała do Mony i Blackiego.

Kiedy zostali w pokoju sami, Katherine opowiedziała mu o Johnnym.

- Raczysz sobie żartować - rzekł, marszcząc groźnie brwi. - Mam dać temu pijakowi dziesięć tysięcy dolarów? Mowy nie ma, cherie. Nie licz na to. Niech poprosi kogo innego, niech idzie do więzienia, to mu dobrze zrobi.

- Przykro mi, Jean-Claude, ale tym razem nie ustąpię. Nie mogę.

Twarz Jean-Claudea uległa metamorfozie, której tak nienawidziła.

- Nie dam temu draniowi ani centa, rozumiesz, Katherine! - ryknął. - Ani jednego zasranego centa.

- Ty nic nie dajesz, Jean-Claude. To są moje pieniądze. Czy jesteś taki ślepy, że nie widzisz, ile to dla mnie znaczy? Nie mówiąc o Tommym. Johnny jest jego ojcem, nie mogę się zgodzić, by ojciec mojego dziecka wylądował w więzieniu.

Jean-Claude zaczął wrzeszczeć na Katherine, jego głos rozchodził się po całym zamku. Ekipa filmowa niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Czas to pieniądz. Zostało im trzy dni na zdjęcia, a grafik był niezmiernie napięty. Jean-Claude najwyraźniej nic sobie z tego nie robił. Nie przejmował się, że wszyscy słyszą jego wrzaski i że czas ucieka.

- Posłuchaj, idioto - nie wytrzymała w końcu Katherine. - Nie wiem, za kogo się masz i dlaczego uważasz, że możesz mną pomiatać. Tak czy owak jutro wyślę pieniądze Johnny'emu i nic mnie przed tym nie po wstrzyma, rozumiesz?

- To będzie koniec! - zagrzmiał. - Koniec naszego małżeństwa, koniec z nami.

- Świetnie. Najwyższy czas. - Odłożyła papierosa i sięgnęła po sole trzeźwiące. Czuła, że jest bliska zemdlenia.

- Ty wredna jędzo. - Stał za jej krzesłem i patrzył na ich odbicie w lustrze. - Jesteś taka, jak opisują cię w gazetach.

- Tym bardziej powinienes odejść i zniknąć z mojego życia. - Serce Katherine biło jak młotem; przestraszyła się, że za chwilę znowu dostanie ataku. - Proszę cię wyjdź stąd i zostaw mnie samą. Na miłość boską, nie przeszkadzaj mi żyć i pracować.

- Tego właśnie chcesz? - krzyczał. - Tego właśnie chcesz? - powtarzał piskliwym głosem.

W jego oczach malowało się szaleństwo.

- Tak - odpowiedziała cicho, odchylając się do tyłu. - Tego właśnie chcę. To małżeństwo się skończyło. Chcę, żebyś zniknął z mojego życia i to natychmiast.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Potrzebna jest nam Katherine. Wszyscy na nią czekają. - Był to głos asystenta reżysera.

- Gównu mnie to obchodzi - warknął Jean-Claude. - Wynoś się. Do diabła z wami. Rozmawiam z żoną.

- Jean-Claude, nie możesz zatrzymywać pracy nad filmem - powiedziała Katherine.

Miała rozmazany makijaż i czerwoną twarz.

- Bo co? zaryczał. - Myślisz, że mi zależy na tym zasranym filmie? Narcystyczny śmieć. Spójrz tylko na to, spójrz tylko na to.

Lekceważąco dźgnął palcem jej delikatną ogromną perukę - prawdziwe dzieło sztuki z maciupeńkimi ptaszkami w klatkach zatkniętych między lokami, z płożącymi się różami i perłami wplecionymi na samym czubku. Złapał Katherine za ramiona i tak długo nią trząsał, póki ptaszki, perły i kwiaty nie zaczęły spadać na podłogę.

- Opamiętaj się, Jean-Claude, przestań! - krzyknęła Katherine.

Pochylił się nad nią. Katherine poczuła ukłucie prawdziwego strachu, czemu towarzyszyło wzmożone wydzielanie się adrenaliny.

- Ty dziwko. Ty głupia dziwko. Nie wiesz, co tracisz. Nigdy już nie znajdziesz kogoś takiego jak ja. Nigdy. Złapał ją za szyję i potrząsnął tak gwałtownie, że słabe ściany przyczepy kempingowej zadrżały i zaczęły migać światła. - Ty idiotko. Jestem twoim mężem. Na zawsze! Nie groź mi, że się ze mną rozejdziesz, słyszysz? Zabiję cię, jeśli to zrobisz.

Nie mogąc złapać powietrza, a co dopiero mówić, Katherine wbiła paznokcie w rękę Jean-Claudea, czując, że mdleje. Ujrzała przed oczyma czerwoną mgłę, a serce tak jej mocno waliło, jak gdyby za chwilę miało rozerwać piersi. Wtedy drzwi się otworzyły i do środka wpadli Steven z Blackiem.

- Co się tu dzieje? - krzyknął Steven.

Jean-Claude, który stał do nich tyłem, znieruchomiał. Po czym puścił Katherine i odwrócił się do nich z czarującym uśmiechem.

- Dobry wieczór, panowie. Poprawiałem właśnie żonie koafiurę. - Uniósł dłoń Katherine, pocałował jej wnętrze, szepcząc: - Czek dla Johna wysłę immediatement. Nie martw się, cberie. Uważaj sprawę za załatwioną. Auvoir ma belle. A tout a l'heure.

W drzwiach jeszcze się odwrócił.

- Jutro wczesnym ranem wyjeżdżam do Wenecji, cberie - powiedział niezmiennie uśmiechnięty. - Muszę urządzić biuro i przygotować wszystko na twój przyjazd.

Katherine była w stanie tylko skinąć głową. Gardło miała jak zasznurowane, nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Jean-Claude obrzucił ich ironicznym spojrzeniem i, trzasnąwszy z całej siły marnymi drzwiami przyczepy kempingowej, odszedł.

Odetchnęli z nieklamana ulgą. Katherine oparła się wygodnie w fotelu kosmetycznym i pozwoliła, żeby Blackie tamponami nasyconymi mleczkiem orzechowym ostudził jej rozpaloną twarz. Nie mogła sobie pozwolić na roztkliwianie się nad sobą. Nie mogła sobie pozwolić na zmęczenie lub chorobę. Musiała wziąć się w garść, doprowadzić wygląd do

porządku i nakręcić tę scenę, którą choćby nie wiem co, musieli dziś skończyć. Znowu poczuła ostry ból w dole brzucha. O Boże, spraw, żeby to nie była prawda, pomyślała. To nie możliwe, że noszę jego dziecko.

Zostało niecałe siedem godzin do zapadnięcia zmroku, a oni mieli jeszcze mnóstwo do roboty.

Weszła Brenda i w milczeniu zaczęła zbierać z podłogi części kostiumu Katherine. Bez słowa wręczyła je Monie, która zdjęła z głowy Katherine zniszczoną perukę, umieściła ją na stojaku i zaczęła od nowa upinać. Mona zawsze sprawowała pieczę nad fryzurami i strojami Katherine, która teraz oglądała w lustrze swoją zmalretowaną twarz, włosy i posiniaczoną szyję. Wyglądała, jak gdyby ktoś przeciągnął ją przez żywopłot.

- Co tu się do cholery stało? - spytała Brenda.

- Nic - odparła Katherine i spojrzała błagalnie na Monę i Blackiego. - Moglibyście iść na chwilę do fryzjera? Muszę zamienić kilka słów z Brendą i Stevenem.

Po ich wyjściu Katherine zabrała się do poprawiania makijażu.

- Ten gość bez wątpienia jest psychopata, kochanie - zaczął Steve. - Sadystycznym socjopata. Spotkałem już kilku takich, ale żaden mu nie dorównywał. Ci ludzie pozbawieni są moralności, za to potrafią kogo zechcą omotać swoim czarem.

- Dlaczego byłem taka głupia, że się dałam na to nabrać? - szepnęła Katherine. - Jak on to zrobił?

- Mój Boże, Kitty, to nie twoja wina - odparł Steve. - Jean-Claude jest klasycznym socjopata. Jest przystojny, obyty w świecie, czarujący, czuły, ale nie jest zdolny do uczuć i nie bierze pod uwagę uczuć i emocji innych ludzi.

- Czy to prawda, że socjopaci mają rozdwojoną osobowość, że potrafią latami oszukiwać przyjaciół i rodzinę, nie pokazując swej prawdziwej twarzy? - spytała Katherine.

- Prawda. Oni zresztą nie zdają sobie z tego sprawy. Jeśli takiemu powiesz, że jest socjopata, zaprzeczy. Są kłamcami pierwszej wody i zmierzają do celu po trupach.

- Do jakiego celu? - spytała Katherine.

Czuła się okropnie.

- Bogactwa, władzy, panowania nad bliskimi osobami. Tak mi przykro, kochanie.

- Sama jestem sobie winna. Dałam się mu zniewolić - szepnęła Katherine.

- To nieprawda, Kitty. Nie bądź dla siebie za surowa. Po prostu zaspokajał twoje aktualne potrzeby. Cudownie to robił.

- Trzeba mu przyznać, że jest bardzo szczwany - rzekła Brenda.

- Ale co ja mam teraz zrobić? - Katherine spacerowała w tę i z powrotem po małym pomieszczeniu przyczepy kempingowej. - On nad wszystkim panuje. Wszystko, co ma jakikolwiek związek z moimi pieniędzmi, kontraktami, interesami, bankami znajduje się w jego biurze, pod jego czujnym okiem. Setki teczek, wydruków komputerowych i rozliczeń z urzędem skarbowym. Odmawia wydania czegokolwiek mojemu prawnikowi. Zadbął o to, żebym nie miała dostępu do moich dokumentów. Są zamknięte w segregatorach, do których tylko on ma klucz.

- Chcesz powiedzieć, że wywiózł to wszystko z Los Angeles? - Steven zagwizdał przeciągle. - Taszczył to do Paryża, następnie do Nicei, a teraz do Wenecji?

- Tak, wozi to swoje biuro samolotem.

- Bardzo dziwne.

- A na moich kontaktach zaczęło brakować pieniędzy. Brenda usiłowała to ukryć przede mną, ale i tak się dowiedziałam.

- Przepraszam, że nic ci nie mówiłam, ale miałam na uwadze interes filmu - mruknęła Brenda.

- To okropne! - wykrzyknął Steven. - Nie mogę w to uwierzyć. Ile pieniędzy?

- Najpierw kręcił w sprawie znacznej sumy ze sprzedaży wysyłkowej, powiedział, że nie doszła, ale ja do nich zadzwoniłam i dowiedziałam się, że wszystko przekazali na moje konto. Bank z kolei poinformował mnie, że te pieniądze zostały przelane na inne konto niemal następnego dnia.

- Jakie konto?

- Skąd mogę wiedzieć? Ilekroć poruszam tę sprawę, Jean-Claude wpada we wściekłość, krzyczy, że nie mam pojęcia, o czym mówię, że jestem głupia. Potem ciągnie mnie do swego komputera i wyświetla te wszystkie liczby i mówi: „Patrz, Katherine, jesteś warta przeszło milion dolarów, więc przestań jęczeć”.

Steve pokręcił głową.

- Chętnie bym zabił tego skurwysyna.

- Czuję się jak na huśtawce. Kilka dni temu zagroził mi, że zniszczy moje wyciągi z banku i oświadczenia podatkowe i będę miała kłopoty z urzędem skarbowym. Potem stwierdziłam, że na konto nie tylko nie wpłynęła moja pensja producenta, ale również wyparowały z niego setki tysięcy dolarów. Muszę odzyskać informacje dotyczące moich finansów, ale nie wiem, jak to zrobić, bo to wszystko jest u niego pod kluczem. Teraz się boję, że on to zniszczy, żeby zatrzeć ślady swojej działalności.

- O rany, sprawa się okropnie komplikuje - rzekł Steve.

- Czy uwierzysz, że muszę go prosić o zgodę, jeśli chcę zajrzeć do jakiegoś mojego kontraktu. Kilka razy mi odmówił. Boże, ale byłam głupia. Wszyscy powiedzą, że sama tego chciałam. Tak ciężko pracowałam... wydawało mi się, że łatwiej będzie zdać się na niego.

- Jak możesz wciąż kochać tego faceta? Toż to straszny drań.

- Nie kocham go już, Steve, ale odkochanie się, tak samo jak zakochanie się w kimś, wymaga trochę czasu. Ktoś ostro zapukał do drzwi.

- Pani Bennet, musimy nakręcić tę scenę. - Asystent reżysera wydawał się bardzo zaniepokojony.

- Już idę - rzekła Katherine, wygładzając stanik sukni. Mona skończyła już naprawiać perukę.

- Do dzieła, dziewczynko - rzekł Steve. - Wracaj na plan. Jutro muszę polecieć do Los Angeles, ale nie martw się, pomyślę, jak cię wyciągnąć z tego bałaganu.

- Dzięki, Steve. Jesteś wspaniałym przyjacielem.

Wychodząc z samochodu, Katherine musnęła wargami jego policzek. Steve przez chwilę patrzył za nią.

- Ktoś musi zrobić porządek z tym psychopata - rzekł do Brendy - i zdaje się, że wypadło na mnie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Świadomość, że prawdopodobnie nosi dziecko Jean-Claudea, napelniała Katherine niekłamanym przerażeniem. Został już niecały tydzień zdjęć. Tyle czasu musi jeszcze kontynuować tę upiorną małżeńską farsę, a potem wróci do Los Angeles i podejmie kroki rozwodowe. Nie zależało jej, co na to powie świat. Za wszelką cenę chciała się uwolnić od męża.

Najpierw jednak należało dowiedzieć się, co Jean-Claude zrobił z jej pieniędzmi. W tym celu musiała otworzyć jego segregatory, znaleźć dyskietki komputerowe i odzyskać wszystkie dokumenty potrzebne Kenowi Stringerowi do wystąpienia o zwrot jej nadpłaconych podatków. Jean-Claude uparcie twierdził, że nie robił żadnych kopii, ale nikt w to nie wierzył. Miał wszystko i trzeba było mu to odebrać. Katherine odczuwała potrzebę zwierzenia się ze swoich planów komuś, komu mogła całkowicie zaufać. Jedyne Brenda stała przy niej niczym skała. Nie dałoby się tego powiedzieć o matce.

Vera zatelefonowała pewnego dnia z Nowego Jorku pod pozorem skonfrontowania z Katherine, co ostatnio piszą o niej w gazetach, naprawdę jednak chciała dać córce burę z powodu rys pojawiających się na jej małżeństwie.

- Liz Smith napisała w swojej rubryce, że Jean-Claude spędza z tobą coraz mniej czasu i że nie patrzysz już w niego jak w obraz. Czy to prawda, Kit-Kat?

- Nie, nieprawda, mam - odparła Kitty. - Czy dzwonisz do mnie tylko w tej sprawie?

- Jean-Claude to dobry chłopak, powinnaś się go trzymać, córeczko.

- Tak, mam - odparła.

Zastanawiała się, skąd matka może cokolwiek wiedzieć o Jean-Claudzie. Była ostatnią osobą, której zwierzyłaby się ze swoich kłopotów małżeńskich.

Potrzebowała jednak z kimś porozmawiać, wobec czego w wieczór poprzedzający wyjazd do Wenecji za prosiła Brendę na kolację. Ale ledwo wróciły do hotelu i usiadły w sypialni Katherine, pojawił się Jean-Claude.

- A niech go diabli - mruknęła Brenda i natychmiast wstała. - Dobranoc, Katherine.

Katherine usiłowała nakłonić ją do pozostania, ale Brenda była nieugięta.

Stojąc przed lustrem, Jean-Claude oglądał ze wszystkich stron swoją fryzurę. Miał na sobie nowe, w wystudiowany sposób niedbałe ubranie, na które składała się bardzo droga skórzana kurtka pilota o szerokich wywatowanych ramionach oraz odpowiednie spodnie i skarpetki w szczególnie mdłym odcieniu pawiego błękitu. Strój ten dziwnie kontrastował z jego poprzednimi eleganckimi garniturami - był pretensjonalny.

- Zdaje się, miałaś już wyjechać do Wenecji - zauważyła Katherine, siadając przed swoim lustrem, żeby wyszczotkować włosy.

- Chciałabyś się mnie pozbyć? - spytał zaczepnie i stanął za nią.

Obserwowała go z lękiem. Zauważyła znajomy błysk w jego oczach, spojrzenie drapieżcy, które kiedyś kochała, a teraz nienawidziła. Zaczął rozwiązywać satynowe ramiączka jej koszuli nocnej.

- Co robisz?

- A jak myślisz? - Szarpnął silniej jedno z ramiączek i koszula opadła, odsłaniając ją do pasa. - Uspokajam cię. - Roześmiał się nieprzyjemnie.

- Proszę cię, zostaw.

Podciągnęła koszulę, żeby zakryć piersi, ale Jean-Claude złapał ją za ramiona, podniósł z krzesła i odwrócił ku sobie.

- Proszę cię, zostaw - powtórzył, przedrzeźniając jej ton. - Jesteś moją żoną, Katherine. A może już o tym zapomniałaś?

- Jakże bym mogła? - Odsunęła się, lekko drżąc. „Co mi przyszło do głowy, żeby ubrać się w tę prowokującą bieliznę? Dlaczego nie włożyłam starego szlafroka frotte? - wymyślała sobie w duchu. - Dlatego - usprawiedliwiła się przed sobą - że jest strasznie gorąco". - Jestem zmęczona, a ten upał bardzo mi się daje we znaki. Rano wczesnie wstaję, muszę, więc iść już spać.

- Co ty powiesz? - Jego ton stał się jeszcze bardziej ironiczny. - Jest dopiero dziesiąta, cherie, a ja nie czuję się ani trochę zmęczony. - Rzucił ją na łóżko i zaczął lubieżnie całować.

Dotyk jego warg i brutalne wpychanie się jego języka w jej usta przyprawiły Katherine o wstręt. Ręce Jean-Claudea zaciskały się na jej szyi. Nie mogła znieść myśli, do czego to doprowadzi.

- Jean-Claude, proszę cię, przestań. Nie teraz.

- Przestań? Nie teraz? A dlaczego by nie teraz, moja królowo? - Jego palce zacisnęły się na jej gardle, gdy w ubraniu wtoczył się na nią.

Skórzana kurtka zalatywała zapachem wnętrza taniego samochodu, a towarzyszył mu inny - zapach bardzo tanich perfum, które chyba rozpoznawała.

- Opanuj się! - Odwróciła twarz od jego ust i spróbowała wysunąć się spod jego ciała, ale Jean-Claude był za szybki i za silny, a poza tym znowu ją dusił.

- Zamknij się, dziwko, bo w przeciwnym razie narobię ci takich sińców, że żaden makijaż ich nie zakryje - warknął i uderzył ją w twarz.

Katherine zaniemówiła ze zdumienia. Jean-Claude nigdy dotąd jej nie uderzył, a nawet nie groził, że to zrobi.

Chciała krzyknąć, ale jedną ręką zatkał jej usta, drugą zaś rozpiął spodnie i wszedł w nią z szaloną siłą. Zaczęła się modlić, żeby zniszczył to, co rosło w jej brzuchu. Po chwili wściekły, zaciskając rękę wokół jej szyi tak, że Katherine ledwo była w stanie oddychać, wysapał:

- Przypomnij sobie facetów, z którymi pieprzyłaś się gdzieś po kątach, Kitty. Wiem o nich wszystko. O oświetleniowcach, kamerzystach, kierownikach planu. Lubiałaś, żeby różni cię na całego, prawda, moja słodka? Przyznaj się, lubisz brutalną miłość. Nie musisz udawać przede mną niewiniątka.

„Co mu nagle przyszło do głowy?” - zastanawiała się Katherine. Nie mogła się doczekać, kiedy ten horror się wreszcie skończy, on natomiast starał się go przedłużyć, wygadując do tego różne świństwa. Wreszcie doszedł do szczytu i krzyknął triumfalnie. Zsunął się z niej bez słowa, zdjął kurtkę, rzucił ją na łóżko i wolnym krokiem udał się do łazienki.

Katherine ze złością kopnęła kurtkę, która spadła na podłogę z metalicznym dźwiękiem. Spojrzała zdziwiona - to z kieszeni wysunął się pęk kluczy. Klucze! Mnóstwo kluczy. Któreś z nich otwierają segregatory z jej dokumentami, segregatory zawierające jej przeszłość i przyszłość. Woda w łazience leciała pełnym strumieniem, a Jean-Claude śpiewał znienawidzoną przez nią piosenkę o zającu i lisie. Katherine podniosła klucze i przyjrzała się im badawczo. Część z nich była od zamków Yale i Banham, część od nowo zakupionych przez Jean-Claude drogich walizek Yuitton. W Europie nie skąpił na siebie pieniędzy.

Odkryła dwa klucze niewątpliwie od segregatorów - nie do pomylenia z innymi, małe, cienkie, identyczne. Obu nie miała odwagi zabrać, ale jeden... Odczepiwszy prędko kluczyk, schowała go do zasuwanej przegródki w torebce. Potem położyła się na łóżku. Była zmęczona, wycieńczona, ale serce biło jej radośnie. Kilka minut później Jean-Claude wyszedł z łazienki, susząc włosy ręcznikiem.

- Zaraz wyjeżdżam do Wenecji, chérie, żeby wszystko przygotować na twój przyjazd oznajmił.

Nie odpowiedziała, zajęta masowaniem obolałej szyi.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - spytał, sięgając po jej lusterko na rączce, żeby sprawdzić, czy może się obejść bez golenia. Jak na blondyna miał wyjątkowo ciemny zarost.

- A czego się spodziewasz? Podziękowań? Dlaczego jeszcze tu jesteś? Idź już.

- Nie powiesz, że będziesz za mną tęskniła? Mnie z pewnością będzie cię brakowało.

Katherine w milczeniu włożyła szlafrok.

- Na miłość boską, przed chwilą mnie zgwałciłeś. Nie zamierzam ci kłamać. Zachowujesz się jak zwierzę i wyobrażasz sobie, że będę za tobą tęskniła? Ty chyba nie masz po kolei w głowie.

- Nie mów, że ci się to nie podobało. - Zaśmiał się i znowu oddał się oglądaniu swojego zarostu. - Wszystkie kobiety to lubią. A teraz z innej beczki. Na twoim miejscu nie wypytywałbym dyrektora banku o stan konta. Milion razy przedstawiałem ci stan twoich finansów.

Katherine popatrzyła na męża z nie ukrywanym wstrętem, potem zaś wróciła do lustra skończyć szczotkowanie włosów. Jeszcze tydzień i rozprawi się z nim. On jednak na razie nie powinien się domyślać, że pod jej ręką ostateczną decyzję. Musi być od niego sprytniejsza. W każdym razie miała ten klucz od segregatorów - żeby tylko okazał się tym właściwym.

- Odpowiedz mi, Kitty, słyszysz?

Spuściła oczy, bo bała się, że Jean-Claude może czytać w jej myślach. Poczula w brzuchu okropny ból. „Żeby to było poronienie” - pomyślała.

- Z tymi pieniędzmi to chyba się pomyliłam - powiedziała wbrew swojej woli. - Pewnie przez to zmęczenie. Ostatnio nie całkiem jestem sobą, nie czuję się dobrze, może to początki jakiejś choroby.

- Przykro mi, że źle się czujesz. Wiesz, że cię kocham, chérie. Po skończeniu zdjęć pojedziemy razem w jakieś wspaniałe miejsce.

Słyszac jak jego głos zlagodniał, Katherine zmartwiała. Przestraszyła się, że przyjdzie mu do głowy jeszcze raz zaciagnac ja do lozka. Mina szaleńca sprzed kilku minut zmienila się w czuly uśmiech. Gładząc ją po szyi, powiedział:

- Wiesz, że chodzi mi tylko o twoje dobro, prawda? I wiesz, jak bardzo cię kocham?

Zagryzła zęby. Czula się chora. Ile razy już słyszała te uwodzicielskie, nieszczerze słowa? Jak mogła być taka głupia, żeby w nie wierzyć? - Zmusiła się, żeby spojrzeć na niego, na chwilę ich wzrok się spotkał. Widziała w jego oczach miłość i współczucie, na które się tak długo nabierała. Ale teraz zmadrzała. Jean-Claude nie był normalny. Socjopata, jeśli nie zgoła psychopata. Jeśli chciała się od niego uwolnić, musiała pokonać go jego własną bronią. Poczula się niewysłowienie znużona. Ciało miała obolałe, dręczyła ją myśl, że ma męża brutalą, łgarza i sadystę i że, co gorsza, stała się jego ofiarą. To ostatnie zupełnie nie było w

jej stylu, zawsze spadała na cztery łapy jak kot. Dobrze, że chociaż miała ten kluczyk. Fala się na pewno odwróci. Musi.

W drodze powrotnej do Los Angeles Steven zatrzymał się w Paryżu, żeby dowiedzieć się czegoś bliższego o mężu Katherine. W spisie mieszkańców Paryża nie istniał jednak żaden Jean-Claude Valmer urodzony 22 listopada 1947 roku. Wobec tego Steven przeszukał w dziale ewidencji urodzin i zgonów kartoteki z roku 45 i 46, następnie kilka roczników wcześniejszych i kilka późniejszych, ale nie znalazł nikogo o nazwisku Valmer. Gdy spacerował po ulicy, usiłując coś wymyślić, przypomniał sobie, że Jean-Claude w latach sześćdziesiątych był gwiazdorem muzyki pop.

Steve skontaktował się ze swoim starym znajomym Felixem Lafitteem, dziennikarzem z „Le Figaro” i otrzymał zezwolenie - jako scenarzysta, który musi uściślić pewne realia do filmu - na pobuszowanie w redakcyjnej „kostnicy”. Gdy przejrzał pogrupowane miesiącami i oprawione w ogromne okładki gazety z dziesięciu lat, głowa mało mu nie pękła. Potem przeszukał katalogi z nazwiskami, ale znowu nie znalazł żadnego Yalmera. Może Jean-Claude był gwiazdą muzyki pop, ale na pewno nie pod tym nazwiskiem.

Po południu Steven spotkał się z Felixem w kawiarni. Popijając absynt, patrzyli na ruchliwą paryską ulicę.

- To jest facet, którego szukam - rzekł Steve, wręczając Felixowi fotografię Jean-Claudea. - Poznajesz go?

Felix przyjrzał się uważnie fotografii.

- Gwiazdor muzyki pop, powiadasz? Kiedy?

- Chyba w latach sześćdziesiątych.

- Hm. Ten facet wydaje mi się znajomy. - Felix odsunął od siebie zdjęcie i przyglądał mu się, mrużąc oczy. - Jest naturalnym blondynem?

- Nie widziałem go au naturel, ale Katherine coś by chyba na ten temat powiedziała.

- Katherine Bennet. Oczywiście. To facet, za którego wyszła. Kilka tygodni temu wysłaliśmy do Wersalu kogoś, żeby przeprowadził z nią wywiad. Chcieliśmy zrobić jej zdjęcie z nowym mężem, ale nie można go było znaleźć.

- Macie z pewnością jakieś ich zdjęcia w dokumentacji Kitty - rzekł Steven. - Są małżeństwem od pięciu miesięcy. Zdjęcia ślubne, chociażby.

- Ślubne? A czy przypadkiem nie wzięli ślubu w Las Vegas?

- Owszem, ale jakiś czas potem wydali ogromne przyjęcie z tej okazji. Był na nim fotograf, który robił im zdjęcia do różnych magazynów, jak „Paris Match”, „Hola” i tym podobnych. Nie widziałeś ich?

- Nie - odparł Felix - ja nie czytam tych śmieci. Chodź, zobaczmy, co mamy w teczce pani Bennet.

Uważnie przejrżeli pudło 10-centymetrowej grubości z danymi o Katherine, ale jedyne zdjęcia, na których figurował Jean-Claude, pokazywały go albo z boku, albo ze spuszczoną głową. Poza paroma wczesnymi zdjęciami z londyńskiej premiery, na żadnym nie było go widać wyraźnie.

- Czekaj, czekaj. - Felix wyciągnął zamazane zdjęcie zrobione przez jakiegoś dziennikarza, gdy Jean-Claude i Katherine wychodzili z restauracji Le Dôme. - Ten facet zdecydowanie mi kogoś przypomina. Pogadajmy z naszym specjalistą od świata muzyki pop, może on nam powie, kim naprawdę jest ów doktor Jekyll.

Jak przystało na krytyka muzyki popularnej, Laurence Delanger miał pamięć encyklopedyczną. Siedząc za biurkiem, na którym piętrzyły się płyty kompaktowe i zwykłe, przez kilka minut przyglądał się w milczeniu fotografii Jean-Claudea; popiół z gauloisea spadał na jego wystrzępiony szary sweter.

- Taa, jasne, że wiem, kto to jest. Nazywa się, albo nazywał, Jean-Jacques Costello, ale to też nie było jego prawdziwe nazwisko. Pod koniec lat sześćdziesiątych nagrał kilka hitów, których tytułów nie pamiętam, za to przypominam sobie, że potem był uwikłany w jakiś skandal.

- Jaki skandal? - zainteresował się Steven. - Gdzie mogę się o tym dowiedzieć?

- Trzeba poszukać w archiwum - rzekł Laurence, puszczając kółka dymu w stronę sufitu. - Jeśli dobrze pokopać, to się wszystko znajdzie.

- Dzięki, Laurence. Jestem ci bardzo zobowiązany - rzekł Steven, po czym popędził z powrotem do „kostnicy”, gdzie bez większego trudu odnalazł teczkę Jean-Jacquesa Costella i niemal natychmiast trafił na to, czego szukał.

Jean-Jacques Costello był niezaprzeczalnie głośnym piosenkarzem we Francji przez krótki okres w roku 1967. Załączona fotografia pokazywała dziewiętnastoletniego młodzieńca o ciemnych falistych włosach. Ale twarz, choć dwadzieścia dwa lata młodsza i nieco okrągłejsza, bez wątpienia należała do Jean-Claude'a. Niewiele się zmienił. Wtedy nie miał jeszcze cieni i zmarszczek czterdziestoletniego mężczyzny, a włosy nosił trochę krótsze.

Nie patrząc na to, że zapada już zmierzch, Steven pilnie studiował teczkę Jean-Jacquesa Costella. Nie była gruba, większość wycinków prasowych pochodziła z 1967 roku.

Kariera piosenkarska Jean-Jacquesa Costella trwała krótko, ale Steven czytał wszystko po kolei. Krytyki, pochwały, sprawozdania prasowe, aż wreszcie trafił w konserwatywnym „Le Monde” na długi artykuł pt. „Gdzie się podział Jean-Jacques Costello?” Artykuł został napisany osiemnaście lat po zakończeniu kariery piosenkarskiej Jean-Claudea, konkretnie w 1984 roku. Jean-Jacques Costello - odpowiadała na postawione w tytule pytanie gazeta - zmienił imię i nazwisko na Pierre Rondeau. W 1983 roku Pierre opuścił więzienie, gdzie przesiedział siedem lat za bigamię i malwersacje.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wąsaty wenecki ochroniarz, Fabrizio, prędko prowadził Katherine i Tommy'ego przez lotnisko Leonardo da Vinci. Fabrizio niósł radiotelefon i tablicę z nazwiskiem Katherine, ona zaś szła ze spuszczoną głową, w ciemnych okularach, starając się unikać kontaktu wzrokowego z rojem turystów. Fabrizio zaprowadził ich do motorówki;

Brenda została na lotnisku, żeby dopilnować bagaży.

Pomknęli w stronę miasta. Za horyzontem stopniowo zniknęła ogromna pomarańczowa kula słońca. Na wysokich palach, wyznaczających drogę wodną, siedziały niewzruszone mewy; motorówka zwolniła dopiero przy ujściu małego kanału, a wtedy ciężka cisza otuliła ich jak mgła. Katherine zauważyła, że poza mruczeniem silnika nie dochodziły ich żadne dźwięki, temperatura zaś spadła o kilka stopni. Ciemne zabudowania po obydwu stronach kanału sprawiały wrażenie nie zamieszkanym; wydawało się, że stoją tam od ponad tysiąca lat. Woda była czarna i zamulona, powietrze - jak na sezon turystyczny - dziwnie nieruchome. Tu i ówdzie przemykały szczury. Panowała atmosfera ciężkiego przygnębienia. Katherine pomasażowała posiniaczoną szyję. Jean-Claude zastosował wobec niej przemoc fizyczną pierwszy i ostatni raz. „Nie pozwolę mu się zbliżyć do mnie” - obiecała sobie w duchu i mocno zacisnęła wargi. Z tym już koniec. Raz, dwa, trzy. Nie będzie tego ciągnąć jak Chińczycy zabijania.

„Ciekawe, gdzie podziewa się Steven” - zastanawiała się. Kilka razy dzwoniła do Los Angeles, żeby powiedzieć mu o kluczyku, ale nie podnosił słuchawki. Pomachała wesoło do Tommy'ego, który siedział z przodu i łamanym włoskim rozmawiał z kierowcą motorówki. Poprzedniego dnia francuski lekarz zdjął mu gips i oznajmił, że Tommy jest zdrow jak ryba i może znowu normalnie żyć.

Pokonawszy kręte boczne kanały, motorówka wpłynęła na tętniący gwarem Canale Grande. Po szerokiej arterii wodnej przesuwały się w tę i z powrotem wypełnione turystami duże vaporetti, czyli autobusy wodne. Uwagę zwracały zrujnowane, ponure pałace po obydwu stronach kanału, a także małe drewniane mola - przystanki autobusów wodnych.

W miarę jak zbliżali się do centrum miasta, zabudowania stawały się bardziej eleganckie. Schludne niebieskie i białe markizy silnie kontrastowały z chylącymi się ku ruinie kamiennymi budowlami, ze średniowiecznymi i barokowymi rzeźbami na drzwiach frontowych. Na niektórych balkonach kwitły kolorowe kwiaty. Każdy budynek miał swój charakter i historię, od wszystkich bił majestat.

W restauracjach na świeżym powietrzu, pod dachami z winorośli, amatorzy późnych kolacji, wpatrzeni w lekko wzburzoną szarą wodę, popijali wino. Nad kanałami wznosiły się wygięte w łuk mostki, a na skrzyżowaniach gondolierzy ubrani w tradycyjne pasiaste niebiesko-białe koszulki usiłowali wymusić pierwszeństwo na taksówkach i autobusach wodnych, doprowadzając do zamieszania. Od czasu do czasu Katherine odnosiła wrażenie, że mignęła jej jakaś kobieta z innej epoki, wytwornie ubrana i uczesana, z parasolką w ręku. „Duchy, z których Wenecja słynęła, czy zwykłe przywidzenia?” - zastanawiała się. Minęli dom, w którym niegdyś mieszkał Byron. Podobno poeta co rano przepływał kanał wpływ, żeby zjeść śniadanie w Barze Harry’ego po drugiej stronie. Bar ten wciąż serwował najlepsze śniadania we Włoszech, ale teraz nikt by się nie odważył zanurzyć w brudnej wodzie Canale Grande.

W końcu taksówka zatrzymała się przy jakichś małych, zbyt wąskich drzwiach. Katherine rozejrzała się zdziwiona. W oddali majaczyła podobna do ogromnego polukrowanego ciasta kopuła kościoła Santa Maria della Salute.

- Nie jedziemy do Palazzo Albrizzi? - spytała.

- Si! Si! Signora, to jest Palazzo Albrizzi - odparł Fabrizio. - Pałac ma dwa wejścia, ale droga do głównego jest o tej porze bardzo zatłoczona. Pójdziemy piechotą, tą uliczką, to niedaleko, signora, kilka kroków. Scuzi.

Szefowie filmu pytali Katherine, czy w Wenecji nie chciałaby się zatrzymać w palazzo, w którym będą kręcić. Byłaby z dala od turystów, a zarazem blisko planu, co oszczędziłoby jej wysiłku związanego z poruszaniem się po mieście.

Fabrizio ruszył energicznym krokiem przez gwarne targ owocowo-rybny, Campo della Pescaria, od czasu do czasu szepcząc coś ochryple do radiotelefonu. Artyści, przycupnięci na składanych stołkach, utrwalali na płótnie widoki, o których marzył każdy malarz. Kolory domów były istną orgią barw. Na oświetlonej neonówką wystawie sklepu rzeźniczego czerwieniły się wszystkie gatunki mięsa. Na wystawie sklepu spożywczego zielona bazylika sąsiadowała z gigantycznymi grzybami, zwanymi porcini, a między dojrzałymi fioletowymi figami i połyskującymi żółtymi paprykami rozpychały się ogromne pomarańczowe dynie. Katherine wciągnęła nosem powietrze, w którym ostry zapach dojrzałych brzoskwiń mieszał się z zapachem świeżych ryb i czosnku.

Z targu owocowego odchodziło mnóstwo uliczek z budynkami o wysokich kopułach i sklepikami, na wystawach, których obok tanich ubrań leżała szklana biżuteria, maciupkie gondole z pomalowanej cyny, skórzane torebki, ramki do fotografii oraz różnej wielkości wspaniałe lustra weneckie. W witrynach sklepów z maskami przyciągały oko

błazny, żartownisie, satyrzy, maski z ogromnymi nosami Pinokia, maski diabelskie, anielskie, maski postaci ze znanych tragedii i komedii oraz wyszukane złote i srebrne maski ze strusimi piórami.

- Wiesz, mamuś, kupię sobie taką jedną na bal maskowy - rzekł Tommy z uśmiechem.

Fabrizio pędził teraz uliczką tak wąską, że ludzie z okien mogli podawać sobie ręce. Wprawdzie dochodziła dopiero szósta, ale ściemniło się i zrobiło dziwnie cicho - słyszeli tylko echo swoich kroków. Fabrizio skręcił w lewo, potem w prawo, a gdy doszedł do skrzyżowania trzech uliczek, przystanął niepewnie i podrapał się w głowę.

- A sinistra? A destra? Myślę, signora, że teraz trzeba pójść w lewo. Si, si, w lewo. Proszę za mną, signora. Do tego palazzo czasami trudno trafić. Proszę za mną.

Na małym brukowanym placu, gdzie drzewa przewyższały domy, stał rozpadający się pałac Albrizzich. Fabrizio stanął przed masywnymi drzwiami z ciemnego jak ebonit mahoniu, w którym wyrzeźbiono twarze uśmiechniętych Maurów, i nacisnął dzwonek. Jego odgłos odbił się echem po całym placu.

Wokół nie było nikogo, jeśli nie liczyć chłopca w krótkich spodenkach, który pobiegł za piłką i zniknął w jednej z wąskich uliczek, ginącej w niezgłębionych otchłaniach Wenecji.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i ich oczom ukazał się lokaj nie z tej epoki, który spytał:

- Czego chcesz?

- Ciao - pozdrowił go Fabrizio. - Ciao, Alessandro. Ecco la signora Bennet e suo figlio. Signora, to jest Alessandro, kamerdyner. To ja już pójdę. - Skłonił się, błysnął złotym zębem i ruszył do wyjścia. - Do widzenia, droga signora.

- Myślałam, że zostajesz z nami, Fabrizio.

- Ah no, signora. Scuzi.

Fabrizio będzie z signora tylko wtedy, kiedy signora pracuje. Kiedy signora przebywa w palazzo, Fabrizio nie będzie z signora.

- Czy nie polecili ci, żebyś strzegł mojego bezpieczeństwa przez cały czas?

- Ah no, signora, nie polecili. Gdyby polecili, signora, to oczywiście bym został. Scuzi, signora. - Spojrzał na zegarek. - Muszę iść. Za pół godziny oczekują mnie w ministerstwie. Scuzi. Arrivederci, signora. - Skłonił się, powiedział kilka słów po włosku do radiotelefonu i zniknął w nieruchomym, dziwnym zmierzchu.

- No cóż - wzruszyła ramionami Katherine. - Traktujmy to jak przygodę.

- Dobrze będzie - pocieszył ją Tommy. - Wiesz, mamuś, to miejsce jest trochę dziwne i niesamowite, ale ogólnie fajne. Szkoda, że my z Brendą nie będziemy tutaj mieszkać.

Lokaj wymamrotał coś i dał im znak, żeby poszli za nim. Znaleźli się w szerokim ciemnym hallu, gdzie farba prawie całkiem zeszła ze ścian, tu i ówdzie odpadł gips i odsłonił surowe cegły. Echo ich kroków na marmurowej posadzce przyprawiało Katherine o dreszcz. Za całe źródło światła służyła jedna mała, mrugająca żarówka w ogromnej latarni oprawionej w kute żelazo. W miarę jak się posuwali, w hallu robiło się coraz ciemniej. Wydawało się, że w powietrzu czai się śmierć. Fama głosiła, że w pałacu straszy duch pięknej contessy, której mąż przed czterystu laty odrąbał głowę w napadzie szaleńczej zazdrości. Katherine zmusiła się, żeby myśleć, o czym innym.

W ciemnych kątach stały wazony z suszonymi kwiatami, a na stołach pod ścianami lśniły marmurowe popiersia arystokratów o zmarszczonych czołach.

- O, a co to? - spytał Tommy, wskazując na herb, który na jednej połowie pola przedstawiał księcia w szyszaku ze złotymi piórami, na drugiej zaś - dłoń w rękawicy wznoszącą do góry miecz.

- To jest herb rodziny Albrizzi, która zamieszkiwała ten pałac przez pięćset lat - odpowiedział stary lokaj łamaną angielszczyzną.

- A teraz tu już nie mieszkają? - zainteresowała się Katherine.

- Niestety, signora, ostatni księżę Albrizzi przed dwudziestu laty uległ przykremu wypadkowi, a że nie miał dzieci, to... - Alessandro wzruszył ramionami. - Ród Albrizzi skończył się... che peccatto ...fuuna tragedia enorme.

- Niesamowite miejsce. Jak myślisz, mamuś, ile lat liczy sobie ten pałac? Założę się, że co najmniej tysiąc.

- No, może nie aż tyle - odparła Katherine. - Przypuszczam, że przebudowano go w dziewiętnastym wieku.

Wspinali się za Alessandrem po szerokich, spękanych schodach, pokrytych wytartym czerwonym chodnikiem. Na piętrze Katherine wyjrzała przez okno z szybek oprawionych w ołów. Wychodziło na ciemny dziedziniec, na którym pokręcone gałęzie drzew rywalizowały o dostęp do słońca. Schody doprowadziły ich do przepastnej sali, gdzie podłoga była mozaiką białych i czarnych marmurowych płytek, sufit zaś ozdabiały wykute w kamieniu głowy Murzynów i putta. Sala ta miała kilkoro rzeźbionych drewnianych drzwi.

- Tutaj co roku rodzina Albrizzich wydawała bal maskowy - oznajmił dumnie Alessandro. - Tutaj urządzimy bal maskowy do pani filmu, signora, dokładnie taki sam.

Katherine pokiwała głową, podziwiając barokowy splendor pomieszczenia. Powiodła wzrokiem po obrazach na ścianach. Alessandro wprowadził ich na inne, mniejsze, kręcone

schody, którymi doszli do sypialni Katherine. W sąsiednich pokojach krzatali się już Blackie i Mona, rozpakowując swoje akcesoria.

Pachniało tu wilgocią; okna wychodziły na mały ciemny dziedziniec. W pokoju Katherine wisiały czerwone jedwabne zasłony, przez które przebijało słabe światło lamp ulicznych. Z wysokiego sufitu patrzyły w dół nimfy, pasterze oraz kpiąco uśmiechnięty diabeł.

- Jezu, mamuś, to istny horror. Naprawdę musisz tu zostać?

- Spanie tu musi być niezwykłym przeżyciem - stwierdziła Mona, wieszając bogato zdobioną osiemnastowieczną suknię balową Katherine. - Na samą myśl o spędzeniu nocy w tym gmaszysku dostaję gęsiej skórki.

- Podobno tu straszy - powiedział Blackie, unosząc brew. - Ja, oczywiście, nie wierzę w duchy, było nie było, jestem z Los Angeles. My się boimy tylko trzęsień ziemi. Naprawdę masz tu mieszkać?

- Tak, choć może, rzeczywiście, nie jest to najlepszy pomysł - odparła Katherine, patrząc w zamyśleniu na krwiste zasłony. - Komu przyszło do głowy zawiesić takie zasłony w sypialni?

- Cały ten pałac jest dziwny - zgodził się Blackie. - Rozmawiałem z właścicielem. Mówi, że tu straszy od ponad czterystu lat.

- Och, przestań, Blackie - zdenerwowała się Mona. - Wystraszysz Katherine.

- Przecież wszyscy wiemy, że to bzdury - rzekł Blackie, układając ołówki i pędzle w wojskowym porządku na przenośnej toaletce. - Ale widziałem obraz kobiety, która została tu zamordowana, i nie jest to tylko malowidło olejne, zapewniam cię.

- Gdzie ona jest? - ożywiła się Katherine. - Chcę ją zobaczyć.

- W jadalni - odparła Mona. - Może pomyślisz, że jestem głupia, ale uważam, że nie powinnaś tu spać, Kitty. Tu nie jest bezpiecznie.

Katherine spojrzała na zabytkowe łoże ze szkarłatnym zbutwiałym baldachimem.

- Nie wierzę w duchy i zjawiska nadprzyrodzone.

- Nie mów tak - zdenerwowała się Mona. - Nie wywołuj wilka z lasu. Wiesz, co? Zmierz tę nową suknię, zobaczymy, czy pasuje.

Gdy w sypialni cienie zaczęły się pogłębiać, a ponure elektryczne światła niepewnie mrugać, Katherine prze szedł dreszcz.

- Ja wprawdzie nie wierzę w duchy, ale niechętnie o tym myślę, że masz tu spędzić noc, Kitty - stwierdził Blackie.

- Czuję, że ktoś jest tu z nami, w tym pokoju - dodała Mona i zadrżała. - Dostałam gęsiej skórki.

- Dobrze, dobrze, skończcie już. Macie rację. Wygraliście. Użyję swych wpływów, żeby szefowie znaleźli dla mnie jakiś hotel. Ale rozumiecie, że w tej sytuacji jedno z was będzie musiało tu zostać. - Katherine uśmiechnęła się szelmowsko, oczy jej błyszczały.

- Mowy nie ma - zaprotestowała Mona. - Wolałabym spać na placu św Marka.

Franco, włoski kierownik produkcji, znalazł dla Katherine pokój w hotelu Cipriani; mieszkali tam Brenda i Tommy. Przepraszał, że nie był w stanie załatwić jej pokoju w hotelu, w którym wraz ze swoim biurem zainstalował się Jean-Claude.

- Signor Valmer zapewniał nas, że signora życzy sobie mieszkać w Palazzo Albrizzi - tłumaczył się. - Signor Valmer powiedział, że pani potrzebuje spokoju i chce być sama. Bardzo przepraszam.

- Nie przepraszaj, Franco. Ulżyło mi, że nie muszę spać w tym pałacu. Powiedz mi, czy wierzysz, że straszy tam duch zamordowanej contessy?

- Nie wierzę w duchy. Ale nie twierdzą, że ich nie ma. Zastanawiam się jednak, czemu Jean-Claude tak nalegał, żeby umieścić panią w tym pałacu?

Katherine wzruszyła ramionami. Zachowanie jej męża stało się zbyt dziwaczne, żeby zawracać sobie nim głowę. Należało jednak koniecznie coś zrobić, żeby nie przyszedł na plan. Wszystko jedno w jakim humorze był w tej chwili, nie miała ochoty go oglądać i zamierzała temu zapobiec, bez względu na konsekwencje. Powiedziała, więc o tym Francowi.

- Ależ Jean-Claude jest producentem. Nie mogę mu zabronić przyścia na plan. Siedzę w tym interesie trzydzieści lat i nie słyszałem jeszcze, żeby zawieszono w prawach jakiegoś producenta.

- Franco, chyba chcesz, żebym dotrwała do końca filmu w jednym kawałku. Spójrz na to! - Katherine ściągnęła z szyi szyfonową chustkę, odsłaniając czarne i granatowe sińce.

- Jean-Claude to zrobił?

Pokiwała głową.

- Mogę porozmawiać z Joe Havaną, jeśli wolisz. Ale wiadomo, jaki z niego nerwus. Jak zobaczy te sińce, gotów się rzucić na Jean-Claudea z pięściami. Zostały tylko dwa dni zdjęć. Nie chcemy chyba awantur.

- Zdecydowanie nie chcemy - odparł Franco.

Miał dość zmartwień na głowie - zmieszczenie się w grafiku, niepewna pogoda oraz kontrakt z kolejną wytwórnią amerykańską, która wkrótce miała zawitać do Wenecji na

zdjęcia. Przekroczyli już znacznie budżet i w żadnym wypadku nie mogli sobie pozwolić na jakiegokolwiek wypadki.

- Na twoim miejscu postawiłabym strażników przy wszystkich wejściach do pałacu. Zadzwoń do niego i powiedz, że nie życzę sobie go widzieć i że zabraniasz mu wstępu na plan.

- O Boże, łatwo ci mówić - Franco był zrozpaczony.

- Wiesz, co? Najlepiej sama to zrobię - stwierdziła Katherine.

Katherine nie zastała w hotelu Jean-Claude'a. Nie chcąc wtajemniczać w swoje sprawy Ali, poprosiła, żeby Jean-Claude zadzwonił do niej po powrocie z Rzymu, dokąd, jak twierdziła sekretarka, wezwwały go pilne interesy. Jakie znowu pilne interesy? Katherine żałowała, że nie może porozmawiać ze Stevenem, ale ilekroć dzwoniła do Los Angeles, nie było go w domu. Obmyśliła pewien plan. Poprosi Brendę, żeby pod byle pozorem wyciągnęła Ali z biura, a ona w tym czasie dostanie się do swoich dokumentów. Brenda na pewno się zgodzi. Chętnie brała udział w każdej zabawie.

Był upalny poranek. W niebieskiej wodzie laguny za hotelem skrzyło się słońce. Katherine cieszyła się, że nie jest w ponurym palazzo. Poprzedniego wieczora sfotografowali wnętrza, tego wieczora mieli skończyć zdjęcia. Została im do nakręcenia ważna scena balu maskowego, punkt kulminacyjny filmu. Teraz jednak był dopiero poranek, cudowny poranek w Wenecji, dziesiąta godzina. Można się przyłączyć do Brendy i Tommy'ego, którzy z samego rana wybrali się na plażę.

Katherine włożyła czarny kostium i krótki płaszcz kąpielowy. Wychodząc z pokoju, chwyciła okulary słoneczne, kapelusz słomkowy i płócienna torbę. Na dworze wciągnęła pełną piersią czyste ciepłe powietrze i od razu poczuła się weselsza. Wszystko będzie dobrze. Pokonała inne przeszkody życiowe, pokona i tę.

Kiedy znalazła się na plaży, od razu dostrzegła dziwne poruszenie na brzegu morza - jacyś ludzie coś krzyczeli, a w oddali rozlegał się słaby dźwięk syreny pogotowia ratunkowego. Zobaczyła, że coś albo ktoś leży na piasku, a kiedy podeszła bliżej, przez tłum przedarł się dozorca plaży i zaczął biec w jej kierunku. Jak na sygnał wszyscy odwrócili się w jej stronę - w oczach, które na nią patrzyły, malowało się współczucie. Dozorca położył rękę na jej ramieniu.

- Tak mi przykro, signora. Mam bardzo złą wiadomość. Musi się pani przygotować na szok.

- O Boże... Tommy...?

Dozorca coś mówił, ale ona go nie słuchała. Rzuciła się biegiem w stronę morza i rozpychając gapiów dotarła do czegoś, co rzeczywiście było ciałem. Nie Tommy'ego, lecz Brendy, która sprawiała wrażenie nieprzytomnej. Tommy tulił do siebie jej głowę.

- Brenda nie żyje, mamuś, Brenda nie żyje. Utopiła się. Z mojej winy.

Niemal jednocześnie Katherine opanowały dwa sprzeczne uczucia - ulga, że Tommy'emu nic nie grozi, i wstyd, bo w pierwszej chwili ucieszyła się, że umarła jej najlepsza, najbardziej zaufana przyjaciółka, a nie syn.

Później opowiedziano jej, co się stało. Brenda nie była świetną pływaczką, lecz bardzo lubiła morze, a Tommy, wyzwolony z kuł, tryskający energią, zaproponował, żeby się ścigali, kto pierwszy dopłynie do oddalonej o blisko kilometr rafy. Brenda do rafy dopłynęła bez trudu, ale powrót okazał się dla niej zbyt wielkim wysiłkiem i mniej więcej w połowie drogi serce odmówiło jej posłuszeństwa. Kiedy dozorca plaży zorientował się, że coś z nią nie tak, było już za późno.

- O mój Boże. - Katherine naląła sobie brandy.

Nie mogła uwierzyć, że odeszła jej energiczna, wesoła przyjaciółka i najlepsza kumpelka Tommy'ego, który szlochał teraz rozpaczliwie. Katherine pomyślała, że ze względu na niego musi być dzielna, choć guz w gardle wielkości melona sprawiał, że się dusiła.

- Powinna pani mieć jakieś towarzystwo - rzekł dyrektor hotelu. - I dobrze by było, żeby doktor dał pani coś na uspokojenie.

- Zaraz zadzwonię do znajomych - odparła cicho Katherine.

- Może ja zadzwonię, signora - zaproponował dyrektor. - Pani nie powinna się denerwować.

Tymczasem niebo pociemniało, a w oddali zaczęły odzywać się grzmoty. Popijając brandy, Katherine przypomniała sobie opowiadanie Jean-Claudea o wypadku jego brata. Wzruszyła ramionami.

Blackie i Mona, którzy w swoim hotelu dochodzili do siebie po nocnych zdjęciach, przybyli do Cipriani bez zwłoki razem z Franco. Tommyemu lekarz dał tabletkę nasenną; Katherine doradził lekki środek uspokajający. Nie przyzwyczajona do pigułek, była lekko oszołomiona, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała Mona.

- To Jean-Claude.

Katherine odruchowo sięgnęła po słuchawkę. Na dźwięk jego głosu zrobiło się jej zimno.

- Kitty, musiałem pilnie jechać do Rzymu. Wszystko w porządku, cherie? - spytał zatroskanym głosem.

- Nie, nie w porządku. - Opowiedziała mu bez emocji, co się stało.

- O, chérie, tak mi przykro. Natychmiast kochanie przyjeżdżam.

- Nie, Jean-Claude, nie przyjeżdżaj. Nie chcę cię widzieć. Ani dziś, ani kiedykolwiek - powiedziała, zagryzając zęby.

- No wiesz. - Jego głos stwardniał. - Chyba nie mówisz tego poważnie, chérie. Na pewno nie mówisz tego poważnie.

- Mówię jak najbardziej poważnie. - Serce biło jej jak młotem, ale dzięki tabletkie czuła się spokojna. - Franco będzie z tobą rozmawiał. Jestem teraz zbyt zmęczona, żeby prowadzić tę dyskusję. Oddaję mu słuchawkę.

- Przekazawszy słuchawkę, osunęła się na kanapę.

Tommy spał w pokoju obok. Katherine poczuła dreszcze. „Muszę wziąć się w garść, jeszcze tylko jeden dzień, muszę skończyć ten film” - pomyślała. Jutro będzie opłakiwać Brendę, zamartwiać się nieudanym małżeństwem, teraz nie mogła sobie na to pozwolić.

- Kitty, ty dziś nie jesteś zdolna do pracy - stwierdził Blackie, który podszedł, żeby pomasaować jej plecy. - Wykluczone, żebyś dziś wyszła na plan.

- Jak możesz tak mówić? - zdenerwował się Franco. - Musimy dziś nakręcić tę scenę. Rozmawiałem już z firmą ubezpieczeniową. Nie zapłacą za niezdolność Katherine do pracy z powodu zdenerwowania. Wiem, że to straszne, wiem, że to bezduszne, ale musimy nakręcić tę scenę dziś wieczorem.

- Ty chyba nie jesteś człowiekiem - obruszył się Blackie.

- Słuchaj, taka właśnie jest telewizja - próbował tłumaczyć mu Franco.

- Franco ma rację, Blackie wtrąciła się Katherine. - Musimy kręcić, chcę tego i wiem, że Brenda też byłaby za tym. Nakręcimy tę ostatnią scenę, a jutro polecimy do Stanów. Chcę jak najszybciej stąd wyjechać, wszyscy chcemy.

- Dobrze. A co z Tommym? Nie jest w najlepszym stanie. Sądziś, że może lecieć samolotem?

- Lekarz dał mu coś na sen. Mona zostanie z nim na noc. Jutro Tommy będzie wyspany, wypoczęty. On jest młody. Najpierw jednak muszę porozmawiać ze Stevenem. Dostałam od niego dziwną wiadomość, że jest w Paryżu. Czy może wiesz, Franco, gdzie Steve się zatrzymał?

Franco pokręcił głową.

- W Paryżu jest dziesięć tysięcy hoteli, trudno do wszystkich dzwonić. Jestem jednak pewny, że jak tylko usłyszysz o Brendzie, sam zadzwoni. Agencje prasowe już się z nami skontaktowały.

- Pewnie - stwierdziła Katherine ponuro. - Czy Mona może zostać z Tommym?
- Może - odparł Blackie. - Ja się zajmę twoją peruką. Naprawdę dasz radę grać?
- Muszę - odparła Katherine i spojrzała na Franca. - O ile dotrzymasz obietnicy, Franco.
- Dotrzymam. Wzmocniłem strażę przy wszystkich drzwiach.

Steven trzasnął z wściekłością słuchawką. Najpierw nie mógł znaleźć telefonu łączącego z zagranicą, a kilka godzin później, gdy w końcu dotarł do hotelu, w Wenecji nie zastał ani Kitty, ani Brendy, ani nikogo z ekipy. Bez przekonania wykręcił numer telefonu komórkowego Kitty. Rzadko działał, bo Brenda zwykle zapomniała naładować baterię. Telefon komórkowy był połączony z automatyczną sekretarką, którą Brenda włączała w hotelu lub w swoim biurze. Urządzenie to też często zawodziło, ale istniała szansa, że Brenda jest gdzieś w pobliżu i wysłucha jego wiadomości.

Musiał koniecznie ostrzec Kitty; miał przeczucie, że grozi jej niebezpieczeństwo. Spojrzał na zegarek. Trzecia trzydzieści. Pojechali pewnie na zdjęcia. Jak, do diabła, nazywa się ten pałac, w którym kręcili? Nie mógł sobie przypomnieć.

To, co odkrył w „kostnicy”, bardzo nim wstrząsnęło. Jean-Claude był dwukrotnie aresztowany. Raz za bigamię i przywłaszczenie pieniędzy bogatej wdowy, za co odsiedział kilka lat, drugi raz za szantaż. Znowu w grę wchodziła kobieta - kobieta, z którą w tym czasie mieszkał. Tym razem z niezrozumiałych powodów umorzono śledztwo. Ostatnia wzmianka w gazetach o Jean-Claudzie pochodziła z roku 1985, kiedy to w hotelu Mamounia w Marakeszu poślubił włoską spadkobierczynię wielkiej fortuny. Miał wtedy trzydzieści osiem lat, spadkobierczyni osiemnaście. Przedstawiał się jako Pierre Rondeau. Potem już o nim nie pisano. Czy nadal był mężem tej dziewczyny? Jeśli się z nią nie rozwiódł, to drugi raz popełnił bigamię. A więc jego małżeństwo z Katherine było nieważne.

Steven wiedział o napadach furii Jean-Claudea; teraz - kiedy znał jego przeszłość - miał uzasadnione powody, żeby się niepokoić o Katherine. Zatelefonował do recepcji, żeby spytać o najbliższy samolot do Wenecji.

- Ostatni bezpośredni samolot do Wenecji odlatuje o siedemnastej, ale obawiam się, monsieur, że już go pan nie złapie.
- Niech to wszyscy diabli. Czy mogę się dostać do Wenecji w jakiś inny sposób?
- Może pan polecieć z lotniska Charles de Gaulle do Rzymu, a na lotnisku darnino złapać o dwudziestej samolot do Wenecji. Będzie pan na miejscu o dwudziestej pierwszej piętnaście. A potem... - Steven usłyszał szelest papierów. - Jest także bezpośredni samolot z

Rzymu do Wenecji o dwudziestej drugiej dwadzieścia, który ląduje na miejscu w przybliżeniu o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Mówię „w przybliżeniu”, ponieważ jest to prywatna linia, która odwołuje lot, jeśli nie ma zbiera dość pasażerów.

- Jak mogą w ostatniej chwili odwołać lot? A co mają robić ludzie, którzy już są na lotnisku? - Steven czuł, że za chwilę się wścieknie, ale pomyślał, że jeśli zaraz nie wyruszy z hotelu, to nie złapie żadnego samolotu z Rzymu do Wenecji.

- Przykro mi, msieur. Nie odpowiadam za linie lotnicze - rzekł recepcjonista lodowato.

- Ja tylko udzielam informacji.

- Dobrze, dobrze, przepraszam - rzekł Steven. - Proszę mi zarezerwować miejsce na oba loty. Jeszcze dziś muszę być w Wenecji. To bardzo pilne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jean-Claude siedział w swoim biurze w hotelu Danielli, bawiąc się przyciskami nowoczesnego japońskiego urządzenia, które umożliwiała mu podłączenie się do nowej kosztownej sekretarki automatycznej Katherine i wysłuchanie, co kto miał jej do powiedzenia. Udało mu się przekonać Brendę, że bez nowej sekretarki nie da się żyć i teraz, słuchając wiadomości pozostawionej przez Stevena, dziękował niebiosom za natchnienie.

„Kitty, kochanie, jestem w Paryżu, ale zamierzam złapać najbliższy samolot do Wenecji. Dowiedziałem się czegoś o przeszłości Jean-Claudea. Niestety, nie są to dobre wiadomości. Jean-Claude nie jest tym, za kogo się podaje. Siedział w więzieniu, ma sporo grzechów na swoim koncie. Malwersant i... siedzisz dobrze? ...bigamista. Nie jesteś jego żoną, Katherine. Staraj się nie zostawać z nim sama, a najlepiej unikaj wszelkich kontaktów. Opowiem ci wszystko, jak się zobaczymy. A teraz muszę pędzić, żeby złapać ten samolot. Pa”.

Na twarzy Jean-Claudea malowała się wściekłość. „Wpadłem! - syknął do siebie. - Nie bądź jednak taki pewny swego, Steven. Wyprzedzam was o jeden krok, a zaraz zrobię następny”.

Palazzo Albrizzi. To on wymyślił, żeby nakręcić tam scenę balu. Dobrze wiedział o jego ponurej historii. W więzieniu studiował okultyzm; przeczytał opisy dziesiątków nadnaturalnych zdarzeń, które miały miejsce w starych pałacach i zamkach na całym świecie. Od czasu zamordowania contessy Albrizzi przed czterystu lary wiele różnych osób poniosło tam śmierć w nie przewidzianych, a czasem tragicznych okolicznościach.

Dziwaczne miejsca w rodzaju Palazzo Albrizzi przemawiały do poczucia humoru Jean-Claudea. Nie wierzył w duchy, demony i zabobony, ale inni wierzyli, a siła sugestii potrafi wiele zdziałać.

Zadzwoił telefon. Jean-Claude poczekał, żeby przez automatyczną sekretarkę usłyszeć, kto dzwoni i dopiero wtedy podniósł słuchawkę:

-Tak?

- Jean-Claude? Tu Franco Fabbri - zaczął tamten niepewnie. Nie darzyli się wielką sympatią. Jean-Claude przez dziewięć tygodni zdjęć tylko dwa razy pokazał się na planie; ekipa filmowa uważała go za żigolaka pasożytnącego na Katherine.

- O co chodzi?

- Porozmawiajmy szczerze o dzisiejszym wieczorze.

- Do rzeczy.

Franco jeszcze raz powiedział Jean-Claudeowi, że Katherine nie życzy sobie jego obecności na planie. Jean-Claude najpierw chwilę milczał, potem zaczął robić pod adresem Katherine nieprzyzwoite aluzje. Franco pozostał na to obojętny.

- Co mnie do tego? Ostrzegam cię tylko, żebyś się trzymał od niej z daleka - zakończył.

Jean-Claude patrzył zdumiony na telefon. Zakazali mu wstępu na plan jego własnego filmu. Był producentem, od niego zależało, czy ten film powstanie! Film, który wymyślił dla tej głupiej niewdzięcznej dziwki.

- Jeszcze zobaczymy, kto tu rządzi. Jeszcze się porachujemy, Wielka Diwo.

Kiedy o czwartej Blackie zawiózł Katherine do palazzo, kamerdyner przekazał jej, żeby jak najprędzej zadzwoniła do Stevena w Paryżu. Chciała to zrobić bezzwłocznie, ale się okazało, że z powodu burzy Wenecja jest odcięta od świata; nie można było zadzwonić ani z Wenecji, ani do Wenecji.

Joe Havana był załamany tą pogodą.

- Niech to szlag trafi - grzmiał, patrząc na niebo, ono zaś odpłacało mu tym samym. - Jak w takich warunkach mamy nakręcić scenę na kanale?

Znajdowali się nad kanałem w pobliżu głównego wejścia do Palazzo Albrizzi. Filmowali ostatnie długie ujęcie przybycia gondoli z wytwornie ubranymi gośćmi na bal, który Paulette de Waldner wydała na cześć króla Ludwika. Nakręcenie tej sceny, w której gości grali statyści, wymagało nie lada gimnastyki. Co gorsze, w kadr co chwilę wjeżdżały autobusy z turystami obwieszonymi aparatami fotograficznymi, niebo przecinały błyskawice, które sprawiały, że kopuła na bazylice św. Marka wyglądała jak bajeczny tort weselny, a reflektory migotały. Grzmoty w tle z kolei przeszkadzały nagrywaniu dźwięku, wobec czego Franco namówił Joego, żeby przejść do kręcenia scen balu.

- To jest ostatni dzień zdjęciowy - przypomniał mu. - Mamy jeszcze masę roboty.

W sypialni na górze Blackie włożył Katherine perukę i ucharakteryzował ją. Katherine była blada jak ściana i miała dreszcze.

- Źle się czuję, Blackie. Czuję, że tutaj straszy. Ty się nie boisz?

- Słuchaj, wiem, że jesteś wykończona nerwowo. Ale jeśli nawet tu straszy, te duchy nie zrobią ci nic złego. Przeczytaj książkę Shirley MacLaine; to są tylko cierpiące dusze, które nie mogą zaznać spokoju.

- Zupełnie jak ja - uśmiechnęła się krzywo Katherine.

- Coś mi się wydaje, że to Valium działa na ciebie odwrotnie niż trzeba. Nie zaczynaj sobie niczego wmawiać. Chodź, zaopiekuję się tobą. Zejdźmy razem na dół. Nie pozwolimy, żeby na nas czekali.

Katherine usiadła w krześle reżysera w rogu sali balowej i paliła papierosa za papierosem. Valium stepiło jej zmysły; czuła się dziwnie beztroska. Za każdym razem, gdy przypominała się jej Brenda, starała się skierować myśli, na co innego albo zgoła nie myśleć o niczym. Teraz liczyła się tylko praca. Jak skończą dziś te sceny, będzie mogła opłakiwać tragicznie zmarłą przyjaciółkę i koniec swojego małżeństwa, bo nie żywiła najmniejszych wątpliwości co do tego, że jej małżeństwo się skończyło. Franco dał słowo, że do palazzo nie dostaną się żadni nieproszeni goście, a szczególnie Jean-Claude.

Bardzo niewygodny był ten ciężki kostium i upudrowana biała peruka z długimi lokami francuskimi opadającymi na jedno ramię. Wieńczył ją ważący z tonę frywolny trójgraniasty kapelusz ze srebrną klatką, w której siedziały wypchane gołębie. Na szyi Katherine zawieszono były sznury pereł i diamentów, a obcisłe rękawy ze srebrnej satyny, zebrane w koronkowe mankiety, krępowały ruchy jej rąk. Gorset sukni cisnął ją niemilosierdzie. Czuła, że pogrubiała w pasie i serce się jej ścisnęło, gdy uświadamiała sobie przyczynę. Jaki perwersyjny los sprawił, że zaszła w ciążę, choć przez szesnaście lat się jej to nie zdarzyło? O konsekwencjach tego wypadku wolała nie myśleć. Połknęła następną pigułkę. Parna przedburzowa pogoda sprawiła, że Katherine od śniadania nic nie jadła i teraz czuła się bardzo słabo. Powąchała sole trzeźwiące, powachlowała się wielkim wachlarzem ze srebrnej koronki.

- Dobrze się czujesz? - spytał Franco.

- Dobrze, Franco, dzięki - odparła, zmuszając się do słabego uśmiechu. - Steven nie dzwonił?

- Nie. Ale z powodu burzy nie działają wszystkie telefony. Kiedy przychodzi burza, Wenecja wraca do średniowiecza.

- Steven pewnie jest dalej w Paryżu.

- Dobrze, że przynajmniej Jean-Claude nie próbował się tu dostać - rzekł Franco.

- Dzięki Bogu. - Ręka, w której trzymała papierosa, zadrżała.

- No dobrze. Ty tymczasem sobie odpoczywaj, a my za kilka minut będziemy gotowi. Nie potrzebujesz czegoś? - spytał.

- Nie. W razie czego mam pod ręką Pabrizia.

W pewnym momencie Katherine poczuła na sobie czyjś wzrok. W ciemnym kącie sali balowej stał wysoki mężczyzna. Na głowie miał długą, ułożoną w loki perukę z czasów

Karola II, czarny kapelusz z szerokim rondem i powiewającymi strusimi piórami, a na twarzy maskę tak przerażającą, że Katherine przebiegł dreszcz.

- Kto to? - spytała Fabrizia.

- To Olivio, tutejszy aptekarz. Zatrudniono trochę statystów. Chce go pani poznać, signora?

Katherine wzdrygnęła się.

- Nie, dziękuję.

Odchyliła głowę do tyłu, żeby przyjrzeć się imponującemu, niemal trójwymiarowemu sufitowi, na którym anioły dmuchały w trąbki i grały na harfach. Ozdobny szlaczek w złote fluer de lys podkreślał szczegóły płaskorzeźb. Z tyłu wisiał ogromny obraz przedstawiający śmiejącego się satyra, który wylaniał się z ciemnych niebios rozrywanych błyskawicami. Kiedy patrzyła na obraz, zahipnotyzowana twarzą demona, rozległ się tak silny grzmot, że sala balowa zadrżała w posadach. Błyskawica rozjaśniła wnętrze palazzo i na chwilę zrobiło się jasno jak za dnia.

- Co to ma być do diabła?

- Joe Havana był w wyjątkowo podłym humorze.

- To tylko burza, signor Havana, o tej porze w Wenecji są często burze - starał się go uspokoić Pablo, asystent reżysera.

- Jeśli o tej porze w Wenecji są często burze - rzekł Joe, naśladowując włoski akcent Pabla - to czemu to zasrane studio nic mi o tym nie powiedziało? - Spojrzał oskarżycielsko na Franca. - Dlaczego ty nic mi nie powiedziałeś?

Franco, którego przyszła kariera znalazłaby się pod znakiem zapytania, jeśli by nie wykonali zaplanowanych na ten wieczór zdjęć, zaczął przeproszać.

- Nie wiedziałem nic o żadnych burzach, Joe. Z raportu, który otrzymaliśmy, wynikało, że we wrześniu jest tu zawsze ładna pogoda. Powiem ci, że w ciągu ostatnich czterech lat zrobiłem tu trzy filmy i zawsze była ładna pogoda.

Pablo popatrzył na Franca z politowaniem.

- O tej porze roku w Wenecji nigdy nie jest ładnie. Wenecja ma swoje własne życie, uczucia i rozum - stwierdził, ale powstrzymał się od dodania, że może Wenecja i Palazzo Albrizzi gniewają się na filmowców za zakłócanie ich spokoju.

- Dobra, ta okropna burza się trochę uspokoiła, robimy, więc scenę na kanale! - wrzasnął Joe. - Mamy tylko sześć godzin na tę zasraną robotę, więc bierzmy się za nią, na miłość boską.

Przez następne pięć godzin ich pracę zakłócały tylko bardzo odległe odgłosy burzy. Wreszcie przysza kolej na scenę w jadalni. Katherine od razu poczuła, że z portretu contessy emanuje coś dziwnego, jak gdyby zazdrość, ale po tylu tabletkach valium była zbyt oszołomiona, żeby się przejmować. W pewnej chwili odniosła wrażenie, że dama na portrecie patrzy na nią groźnie. Uznała to za przywidzenie, ale na wszelki wypadek odwróciła głowę.

Wtem powiew wiatru przewrócił wazon z kwiatami na stole; kaskada czerwonych i białych płatków upadła na dywan, układając się w kształt zakrzywionej szabli tureckiej.

- Bułat. Czymś takim właśnie została zabita contessa - szepnął Alessandro do statystów, z których niektórzy pracowali tu jako służący, i przeżegnał się.

Na widok płatków na dywanie tamci poszli w jego ślady.

- Zły znak, signora, bardzo zły - szepnął Alessandro do Katherine.

Ogromny kandelabr zachwiał się. Na ścianach ukazały się długie, niesamowite cienie statystów. Katherine znowu napotkała na sobie wzrok mężczyzny w czarnej masce. Dlaczego napęlił ją takim strachem? Przecież to tylko aptekarz. Inne maski były jeszcze bardziej groteskowe. Odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na portret contessy Albrizzi. W migającym świetle oczy hardej arystokratki zdawały się hipnotyzować. Alessandro podszedł do obrazu i coś szepnął po włosku. Tylko słowa mała donna miały jakiś sens. Katherine poczuła, że dostała gęsiej skóry. Postanowiła, że zostanie w tym pokoju tylko tak długo, jak długo będzie to absolutnie konieczne.

Z powodu uszkodzenia telefonów nie mogła za dzwonić do Tommy'ego. Przypomniała sobie Brendę i łzy napłynęły jej do oczu, łzy, które dusiła w sobie przez całe popołudnie. Nie wolno jej teraz się rozpłakać, nie w trakcie zdjęć. Była aktorką i miała tu coś do zrobienia. Połknęła kolejną różową pigułkę, tracąc rachubę, ile ich już dziś wzięła. Wiedziała tylko, że cudownie kojący smutek. Oparła się wygodnie i na chwilę przymknęła oczy. W końcu Franco oznajmił, że statyści zostali zwolnieni.

- Bierzemy się do zbliżeń głównych postaci - powiedział.

Na ostatnie kilka ujęć z Katherine i Gerardem ekipa przeniosła się na drugi koniec sali balowej. Ale burza znowu się wzmogła i wiatr sprawił, że światła zaczęły mrugać. W pewnej chwili rozległ się grzmot tak ogłuszający, jak gdyby dwa odrzutowce spadły na dach palazzo, na chwilę zrobiło się jasno niczym w południe, po czym zgasły wszystkie światła elektryczne. Zostały tylko migające świece w kinkietach na ścianach. Ale chwilę potem powiał silny wiatr, zdmuchnął świece i wydał krwawe zasłony jak żagle statku.

- A niech to wszyscy diabli wezmą! - wrzasnął Joe Havana, wrywając sobie z głowy resztki włosów. - Co z tym cholernym generatorem?

Sandy, kierownik planu, podrapał się w głowę.

- Przepraszam cię, Joe, ale generator wysiadł. Zdaje się, że ta pani ma dziś już dość naszego kręcenia. - Z nerwowym chichotem spojrzął na portret.

- Napraw go, na miłość boską - ryczał Joe. - Musimy jeszcze zrobić te cztery ujęcia do kompletu.

- Niestety, nie da rady - odparł Sandy. - Piorun uderzył w obwód, który zasilał generator. Generator nie działa i nie...

- Gównu mnie to obchodzi - przerwał mu Joe. - Napraw go.

- Potrafisz? - spytał Franco.

- Pewnie, jakieś trzy, cztery godziny pracy przy latarkach i zrobione - rzekł Sandy.

- Za trzy, cztery godziny będzie już świtać. A niech to pokręci - Joe oparł głowę na rękach i westchnął. - Po takiej wpadce nie dostanę już nigdy żadnej roboty.

Zaczął się naradzać z Frankiem i Pablem. Kilka minut potem Franco zaklaskał, żeby skupić uwagę obecnych.

- Postanowiliśmy kontynuować tę scenę jutro. Przykro mi, jeśli koliduje to z waszymi planami podróży, ale tak zrządził los, a od przypadków losowych, dzięki Bogu, jesteśmy ubezpieczeni. - Nagrodzono go pomrukiem aprobaty.

- Zarządzam zbiórkę na czwartą po południu dla ekipy i statystów, na piątą dla pani Bennet i pana le Blanche. Życzę wszystkim dobrego wieczora, którego już zresztą niewiele zostało.

Wszyscy zaczęli śpieszyć się do wyjścia; filmowcy spakowali swój ekwipunek, pozostawiając pudła, lampy łukowe i płótno tapicerskie w kątach.

Blackie wręczył Katherine malutką latarkę.

- Ale afera - powiedział. - Słuchaj, przepraszam cię, ale wysłałem twoją garderobianą do domu, bo skarżyła się na ból brzucha. Sądzę, że po prostu dostała pietra, jak światło zgasło. Przyślę jedną z tutejszych pokojówek, żeby pomogła ci się rozebrać.

- Nie, nie trzeba - odparła Katherine, która wolała się rozebrać sama niż w obecności nieznajomej. - Jeśli rozsznurujesz mi gorset, dam sobie radę.

Oświetlając drogę latarką, weszli powolnym krokiem po krętych kamiennych schodach do jej garderoby. Rozległ się kolejny grzmot. Katherine nerwowo obejrzała się za siebie. Czy wyobraźnia płatała jej figla, czy znowu dojrzała w rogu tamtego mężczyznę w

czerni? Podobno wszyscy statyści dawno sobie poszli. Pokręciła głową. Najwyraźniej ze zmęczenia miała omamy wzrokowe.

- Gdzie się podział Fabrizio? - spytał Blackie, rozluźniając tasiemki jej gorsetu.

- Właśnie. Przez cały czas był blisko mnie, widziałam go jeszcze kilka minut temu.

- Miał nie spuszczać cię z oka - zauważył Blackie.

- Pewnie poszedł do toalety - powiedziała Katherine.

Blackie zdjął jej kapelusz, potem odpiął z głowy wszystkie ptaszki i perły. W czasie kiedy przecierał brzeg peruki watą nasyoną acetonem, rozległ się kolejny, bardzo donośny grzmot, a niebo za oknem rozświetliła zygzakowata błyskawica.

- Koszmar. - Katherine usiłowała się roześmiać.

Wtem ktoś zawołał z dołu:

- Hej, Blackie, idziesz wreszcie? Odjeżdża już ostatni samochód do hotelu.

- Jesteś pewna, że poradysz sobie sama? - spytał Blackie.

- Pewnie. O mnie się nie martw, Fabrizio będzie na mnie czekał w gondoli. Idź już, Blackie, nie pozwól, żeby odjechali bez ciebie. Ja też chcę stąd wyjść jak najszybciej, wobec czego najlepiej będzie, jeśli rozbiore się w hotelu.

- Szybciej, Blackie - niecierpliwił się Franco. - Ostatnia szansa dojechania do hotelu samochodem.

- Chodźmy. - Blackie wziął swoją torbę i razem wyszli z ciemnego pokoju. - Zatrzymaj latarkę, Kitty.

Blackie zszedł głównymi schodami. Przebiegając hali, Katherine odniosła wrażenie, że słyszy wołanie Jean-Claude'a.

Zatrzymała się, ale wokół panowała cisza. Katherine czuła się tak lekko, jak gdyby płynęła. Znowu usłyszała głos, który ją wołał, ale zagłuszył go potężny grzmot. Przebiegając przez salę balową, poczuła, że coś ją przyciąga do jadalni, do portretu contessy. Nie dała się jednak ponieść impulsowi, tylko biegła dalej, unosząc ciężką spódnicę do góry. Nagle usłyszała za sobą kroki i znowu głos Jean-Claude'a. Otworzyła tylne drzwi i wybiegła na mały brukowany plac, oświetlony tylko jedną mrugającą lampą. Na placu nie było żywego ducha. Gdzie się podział Fabrizio z gondolą?

Czarna woda kanału połyskiwała -w błyskach piorunów, ale Katherine nie widziała nigdzie ani gondoli, ani gondoliera w znajomym złotym słomkowym kapeluszu. Stała tak niezdecydowana, nie wiedząc, dokąd pójść, co robić. Błyskawica znowu rozświetliła plac i znowu Katherine usłyszała za sobą głos wołający jej imię. Odwróciła się w stronę pałacu - z

okna na parterze patrzyła na nią czyjaś twarz. Mężczyzna w czarnej masce. Przez odgłosy burzy przebił się głos, który wołał:

- Kitty, Kitty, chérie, to ja, twój mąż. Muszę z tobą porozmawiać, kochanie. Zaczekaj.

Katherine ze strachu zaczęła uciekać. Wpadła w najbliższą uliczkę, która była tak wąska, że delikatna tkanina jej sukni zaczęła się o szorstki mur. Szarpiąc ją, Katherine wypuściła latarkę z ręki. Nie miała czasu, żeby jej szukać. Należało jak najszybciej się stąd wydostać. Ślizgając się na mokrym bruku, pobiegła labiryntem nie oświetlonych, krętych uliczek, modląc się o błyskawicę, żeby zobaczyć, gdzie jest. Gdy przystanąła dla zaczerpnięcia tchu, usłyszała w oddali dźwięk, który przyprawiał ją o przerażenie. Odgłos kroków. Kroków Jean-Claude'a i jego błagalny głos:

- Jeśli uratujesz komuś życie, Kitty, to należy ono do ciebie. Uratowałem ci życie, chérie, jesteś, więc moja.

Nie uratował jej życia. O co mu chodziło? Zupełnie postradał zmysły? Katherine nie miała jednak czasu na rozmyślanie. Pośliznęła się, upadła, podniosła się i znowu zaczęła uciekać. Nie miała pojęcia, dokąd biegnie; wiedziała tylko, że musi uciec od Jean-Claude'a. On był jej wrogiem. Myśl o tym, że miały się znowu do niej zbliżyć, może ją zgwałcić, dodawała jej niespodziewanej energii.

Gdzieś -w oddali zegar na wieży wybił czwartą rano. Czwarta rano - o tej porze weneccjanie spali głębokim snem. Katherine zdała sobie sprawę, że jej wołanie nie zbudziłoby nikogo. A nawet gdyby udało się jej kogoś wyrwać ze snu, Jean-Claude bez tmdu wmówiłby mu, że są małżeństwem, które się posprzeczało.

Pobiegła kolejną wąską uliczką, zawadzając o mury krynoliną. Dla zachowania równowagi chwytiała się kruszących się, dziurawych murów. Gdy poczuła zapach zepsutych ryb, uświadomiła sobie, że jest gdzieś niedaleko Pescarii. Modliła się, żeby jakiś rybak wrócił właśnie z połowu, ale wiedziała, że jeszcze na to za wcześnie. Przebiegła między pustymi straganami po bruku śliskim od rybich łusek. Kroki Jean-Claudea wciąż dudniły za nią, jego głos błagał ją, żeby się zatrzymała.

Uniosła spódnicę, pokonując cuchnący teren najprędzej jak mogła, ale coraz głośniejszy odgłos kroków z tyłu mówił jej, że Jean-Claude ją dogania. Nie było sensu krzyczeć, tylko straciłaby resztę oddechu. Na placyku panowała cisza i ciemność, a w wychodzących nań oknach z żelaznymi prętami nie było żadnego znaku życia.

Katherine przypomniała sobie, że Pescaria przechodziła dalej w Rialto, które prowadziło na plac św Marka. No, tam to już na pewno spotka jakiegoś człowieka.

Kolejna błyskawica oświetliła uliczkę pełną sklepów. W ciągu dnia przechodziły tędy tysiące turystów, teraz nie było tu ani jednej mewy, ani jednego gołębia, tylko odór rozpadających się odpadków. Zawadziwszy obcasem o kamień, prawie upadła; zrzuciła buty, uniosła wysoko zabłoconą spódnicę, wdzięczna losowi, że nie ma na sobie pończoch. Stwierdziła, że na bosaka biegnie się jej o wiele łatwiej.

Kroki Jean-Claudea były tuż tuż. Przymiłał się:

- Kitty? Kitty, Kitty, Kitty! Nie uciekaj ode mnie. Jestem twoim przeznaczeniem. Jestem twoim mężczyzną na całe życie, mężczyzną, na którego tak długo czekałaś. Mężczyzną, którego kochasz. Mówiłaś mi, że mnie kochasz, prawda, Kitty? Powiedziałaś, że będziesz mnie kochać do końca życia, tak samo jak ja Kocham cię.

Zatrzymał się. Katherine przystanęła wówczas i zgięła się w pół, usiłując złapać oddech. Poczowała w brzuchu silny ból, znajomy ból. Taki sam ból przeżyła dwa lata przed urodzeniem się Tommy'ego. To poronienie. Dobrze, ale nie teraz, proszę cię, Boże, nie w tej chwili. Deszcz przestał nagle padać i w uliczce zapadła śmiertelna cisza. I wtem:

- Kitty, Kitty, Kitty. Chodź do swego męża, proszę cię, Kitty, najdroższa Kitty. - Głos Jean-Claudea mamił, uwodził.

Przemawiał do niej jak do kota. Musiała mu uciec. Nie potrafiła przewidzieć, co mógłby zrobić, gdy by ją dopadł. Był szalony.

Na lotnisku w Rzymie Stevena poinformowano, że z powodu złej pogody samolot do Wenecji nie odleci.

- Niech to diabli - zdenerwował się. Może mógłbym wynająć prywatny samolot, helikopter, cokolwiek? Muszę jak najszybciej dostać się do Wenecji, to sprawa życia i śmierci.

- Bardzo mi przykro, signor - stwierdziła spokojnie urzędniczka Alitalii w eleganckim białoszarym mundurku. - Dziś nic nie lata. Zakłócenia pogodowe. Powiedziano nam, że być może samolot wystartuje o drugiej w nocy. To znaczy, jeśli pogoda się poprawi. A na razie musi pan czekać, signor, jak wszyscy inni pasażerowie. Proszę napić się cappuccino. Mamy tu przyjemny barek.

Steven udał się do budki telefonicznej. Było pół do drugiej, może więc Brenda i Tommy zdążyli już wrócić do hotelu. Niestety, recepcjonista powiedział, że telefon w apartamencie nie odpowiada. W tej sytuacji Steven wykręcił numer automatycznej sekretarki Brendy i nagrał jeszcze jedną pilną wiadomość.

Katherine szła na palcach wzdłuż pasażu, trzymając się blisko witryn sklepowych. Kiedy zbliżyła się do kanału, odgłosy jak gdyby się zmieniły. Mury odbijały głuche echo, ale jej serce tak biło, że ledwo cokolwiek słyszała. Wspięła się po kilku omszałych niewysokich stopniach, wąskich jak dla dziecka, i znalazła w kolejnym labiryncie krętych uliczek. Przystanęła pod kamiennym mostkiem, z którego kapąła woda. Gdy nadśluchowała kroków Jean-Claude'a, coś przemknęło koło jej stóp - na pewno szczur. Wrzasnęła. Jean-Claude musiał to usłyszeć. Rzuciła się znowu do ucieczki.

Po odgłosie jego kroków wiedziała, że jest coraz bliżej; słyszała nawet, że się śmieje. Chyba biegł coraz szybciej. Jean-Claude miał dobrą kondycję. Trzy razy w tygodniu chodził do siłowni, grał w tenisa i w squasha, biegał, zdrowo się odżywiał. Nagle uliczka, którą biegła, skończyła się. Odchodziły od niej dwie inne - jedna na prawo, druga na lewo. Katherine skręciła na lewo.

Jean-Claude też przystanął na kilka sekund. Po czym znowu ruszył. Z westchnieniem ulgi Katherine skonstatowała, że pobiegł w przeciwnym kierunku. Rzuciła się w ciemne, kręte przejście tak wąskie, że jej spódnica zaczepiła o występ w murze. Gdy szarpnęła ją rozpaczliwie, rozległ się głośny trzask rozdieranej tkaniny. Znowu uderzył gdzieś piorun i zaczął padać ulewny deszcz. Kamienie pod nogami Katherine stały się śliskie jak lód.

Uliczka nie była oświetlona, a ciemne okna domów przywodziły na myśl zamknięte oczy. Coś uderzyło ją w twarz, przestraszyła się, ale okazało się, że to tylko sznur do suszenia bielizny. Wtem wąskie kręte przejście otworzyło się na główną drogę wodną. Katherine westchnęła z ulgą. Ktoś musi tu być. Jacyś robotnicy jadący autobusem wodnym na ranną zmianę, kierowca motorówki, gondolier. Ktokolwiek.

- Pomocy! - krzyknęła. - Pomocy!

Nie przejmowała się, że Jean-Claude ją usłyszy, licząc, że zaraz nadejdzie pomoc. Niestety, tu też nie było żywej duszy. Przycumowane w zatoczce, pokryte brezentem, puste gondole kołysały się niebezpiecznie. W oddali majaczyła kopuła bazyliki św. Marka; Katherine pobiegła w jej kierunku.

Znowu usłyszała za sobą kroki i upiorne wołanie Jean-Claudea:

- Chodź tu, Kitty, Kitty, Kitty. Chodź tu. Bądź grzeczną dziewczynką, kochanie, wróć do swojego męża,

Katherine znalazła się na kolejnym skrzyżowaniu, gdzie trzy wąskie uliczki rozchodziły się w trzech różnych kierunkach. Gdy kolejna błyskawica rozjaśniła kanał, znad którego unosiła się żółta mgiełka, oczom Katherine ukazał się niewielki mostek. Suknię miała tak nasiąkniętą wodą, że ledwo się mogła poruszać i każdy krok był torturą, ale przypływał

adrenaliny dodał jej nowych sił. Rzuciła się w tamtą stronę. Kalecząc bosc stopy o ostre krawędzie wąskich wypolerowanych stopni, wbiegła zdyszana na mostek. Modliła się, żeby droga ta prowadziła na Rialto, gdzie w końcu musi spotkać jakiegoś człowieka.

Zerknąwszy za siebie, dojrzała ciemną postać swojego prześladowcy. Nagle, jak za sprawą jakiegoś cudu, znalazła się na Rialto, nad Canale Grande. Nie było tu jednak żywej duszy. Z powodu burzy motorówki nie jeździły i wszystko było zamknięte na głucho. Katherine padała już z nóg - ból w brzuchu stał się nie do zniesienia, z trudem łapała powietrze. Na prawo od siebie ujrzała otwartą bramę kościoła. Przebiegając przez nią zaczepiła resztą spódnicy o metalowy pręt; szarpnęła nią zniecierpliwiona.

W kościele pachniało piżmem. Mroczne wnętrza oświetlały tylko dwie pełgające świece na stole wotywnym. Katherine weszła do środka. Gdyby się tu ukryła na godzinę lub dwie, Jean-Claude by jej nie znalazł. O pół do szóstej ruszą vaporetti, zbiorą się rybacy na Pescarii. Bardzo ostry ból przeszył jej wnętrzności, zgięła się z jękiem i wtedy dojrzała niszę, w której spoczywała bezgłowa marmurowa statua kobiety w sukni. Katherine zerwała z siebie resztę swojej zniszczonej sukni balowej. Tasiemki gorsetu sztywne od deszczu cięły jej palce, ale musiała go wreszcie zdjąć. Pod spodem miała bawełnianą koszulkę i legginsy, torebkę z pieniędzmi i papierosami. Teraz należało tylko ukryć suknię.

Podeszła do chrzcielnicy. Zwinąwszy suknię w kłębek, upchnęła ją pod ławkę. Gdy kolejne błyskawice rozświetliły wnętrza kościoła przez zakończone łukowato witraże, ujrzała ołtarz z figurą Chrystusa na krzyżu; krew spływała z jego ran. Katherine spróbowała zdjąć perukę, ale okazało się to zbyt trudne. Miała mdłości, zaschło jej w gardle i drżała ze zdenerwowania. Najchętniej by się teraz położyła, zasnęła i obudziła, jak już będzie po wszystkim. Wiele by dała za to, żeby się znaleźć z powrotem w Los Angeles z Brendą i Tommym i żeby istnienie Jean-Claudea okazało się tylko złym snem.

Niestety, istnienie Jean-Claudea było rzeczywistością. W jej wyobraźni nabrał on charakteru demona. Była pewna, że Jean-Claude chce ją zabić. „Nie wolno ci mnie opuścić, Kitty, nie wolno ci nawet o tym myśleć. Jeśli mnie opuścisz, to... zabiję cię” - dźwięczało jej w głowie.

Martwą ciszę kościoła zakłócały jedynie stłumione odgłosy burzy. Oczy Katherine stopniowo przyzwyczyły się do ciemności. Kiedy następna błyskawica rozdarła niebo, dostrzegła za ołtarzem wąski korytarzyk. Gdy wspinała się nim, strome stopnie kruszyły się pod jej stopami. Katherine nie miała najmniejszego pojęcia, co jest na górze i dokąd idzie. Wiedziała tylko, że musi się ukryć. Zbierając resztki sił, szlochając z wysiłku, wdrapała się na górę.

Jean-Claude rozglądał się niezdecydowanie po Rialto. Zgubił swoją ofiarę. Niech to diabli wezmą. Tak mu dobrze szło do tej pory - udało mu się wkręcić między statystów, unieszkodliwić Fabrizia. Dokąd ona pobiegła? Musi ją odnaleźć, musi ją odzyskać, zanim Katherine pozna jego tajemnicę. Jeśli wyjdzie na jaw, że wciąż jest mężem tej głupiej Włoszki, wyląduje w pudle, a na samą myśl o tym robiło mu się zimno.

Zawsze go gubiła jego uroda. Ale dopiero w więzieniu przekonał się, jak to źle być zbyt przystojnym. Gwałcenie nocą przez współwięźniów skończyło się, gdy znalazł sobie protektora w osobie liczącego metr osiemdziesiąt osiem wzrostu Haitańczyka, ale sam już nie wiedział, co było gorsze. Nie, do więzienia nie wróci. Musi przekonać Kitty, jak bardzo jest do niej przywiązany, musi ją znowu w sobie rozkochać i w jakiś sposób unieważnić małżeństwo z Włoszką. Włoski adwokat obiecał mu, że to załatwi. Tylko czemu to trwało tak długo? Za długo.

Zerwał z siebie przemoczony płaszcz i cisnął go do kanału. Gdy odwrócił się z powrotem twarzą do Rialto, dostrzegł strzęp srebrnej tkaniny na bramie kościelnej.

Tutaj się schowała! W kościele! Znalazł ją! Pchnął bramę, która zamknęła się za nim bezgłośnie. Nie musiał się już śpieszyć, wiedział, że Katherine mu stąd nie ucieknie. Kiedy wchodził wolnym krokiem do świątyni, uniosła się za nim szara mgiełka kurzu z podłogi.

- Kitty? - szepnął. - Chodź tu, Kitty, Kitty, Kitty. Wiem, gdzie jesteś, cherie. Wyjdź, Kitty, wyjdź do swojego ukochanego męża.

Pilot dwusilnikowego śmigłowca popatrzył niechętnym wzrokiem na złowrogie niebo, a potem na zegarek.

Mamma mia, tę noc na pewno długo będzie pamiętał. Od miesięcy planował, w jaki sposób ją spędzi ze swoją wenecką dziewczyną. Jej mąż wreszcie wyje chał na całe dwa dni, a ona czekała na niego wyperfumowana i gotowa. Niech to diabli wezmą. Niech diabli wezmą tę burzę i błyskawice. Kiedy to się wreszcie skończy? Poszedł do kontroli ruchu powietrznego.

- Jakie są szanse, że burza w Wenecji prędko się skończy? - spytał dyżurną w stacji meteorologicznej.

- Nie skończy się przed czwartą rano. W każdym razie tak nam powiedziano. Ale już nieco zelżała. Prawdę mówiąc, zaczęło się przejaśniać. Jeśli zgodzi się pan wziąć dodatkową zmianę, to wieża kontrolna się zgadza na start za czterdzieści minut.

- Grazie, grazie, cara. - Pilot podskoczył z radości i pocałował dziewczynę w oba policzki. Wszystko będzie dobrze, zobaczy się z dziewczyną. Do jej mieszkania dotrze wprawdzie dopiero o piątej rano, ale co to szkodzi? Mają dla siebie cały jutrzejszy długi dzień.

Tuż przed czwartą rano, bladym świtem, samolot linii lotniczych Iberia odleciał wreszcie do Wenecji, Steven zajął miejsce przy przejściu. Poza nim w samolocie było ośmiu pasażerów, którzy zerkali nerwowo na odległe błyskawice. Steven nie przejmował się piorunami; chodziło mu tylko o to, żeby dotrzeć do Kitty przed Jean-Claude'em.

Katherine doszła do końca schodów. Panowała tu ciemność, choć oko wykol. Usłyszawszy szelest na kamiennej posadzce, mało nie wrzasnęła. Poruszała się, trzymając ręką ściany. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, wyraźnie nie miało rogów ani okien. Wprawdzie słyszała grzmoty, ale nie widziała piorunów. Poszperała w torebce przytwierdzonej do paska w poszukiwaniu zapalniczki. W jej nikłym świetle zobaczyła, że znajduje się w dzwonnicy, którą prawie w całości wypełniał potężny dzwon, zardzewiały i pokryty pajęczynami. Nie używano go od lat. Pod ścianą stało coś, co wyglądało jak figura przykryta podartym workiem. Postanowiła, że przeczeka tu niebezpieczeństwo. Zresztą nie miała, dokąd pójść. Zgasiwszy zapalniczkę, zaczęła się posuwać wzdłuż ściany. Nagle coś ją zatrzymało. Uniósłszy rękę, stwierdziła, że zahaczyła peruką o żelazny szpikulec wystający ze ściany. Szarpnęła głową i poczuła ból wrywanych włosów. Było jej wszystko jedno, czy zostanie łysa. Musiała pozbyć się tej peruki. Krzyknawszy boleśnie, uwolniła głowę.

Niczym drapieznik śledzący ofiarę Jean-Claude szedł śladem zapachu Kitty. Poznawał ostry zapach jej nowych perfum o nazwie Brzoskwinia. Kościół wydawał się nim wypełniony, z czego Jean-Claude wnioskował, że Kitty nie odeszła daleko. Zdjął buty i w skarpetkach zaczął się bezgłośnie wspinać po schodach, którymi ona przed chwilą wchodziła. Zatrzymał się. Burza jak gdyby zelżała. W ciszy, która teraz panowała, słyszał przyspieszony oddech Katherine. Gdzieś zawarczał pies i zapiął kogut, a potem zegar kościelny wybił piątą. Niedługo się rozwidni. Trzeba jak najprędzej ją odnaleźć. Jean-Claude doszedł do dzwonnicy.

- Kitty? Wiem, że tu jesteś. - Słyszał jej oddech. - Wiem, że tu jesteś, cherie, więc proszę cię, wyjdź. Potrzebuję cię, Kitty, nie mogę żyć bez ciebie, cherie, musimy porozmawiać - przemawiał kusząco, posuwając się przy ścianie.

I wreszcie ją znalazł. Uśmiechnął się do siebie. Sprytna, przykryła się workiem. Przesunął dłońmi do góry i trafił na loki jej grubej peruki.

Przez otwór w dachu poranne światło zaczęło rozjaśniać mrok dzwonnicy.

- Odnalazłem cię, moja mała Kitty - szepnął Jean-Claude i energicznym ruchem ręki ściągnął worek.

Stał twarzą w twarz z figurą nagiego mężczyzny z odchyłoną w tył głową w bezgłośnym rechocie. Miał wyciągnięty język, a na głowie białą perukę Kitty.

- Niech cię diabli wezmą, dziwko! - mruknął Jean -Claude.

Usłyszał szelest i teraz już zobaczył Katherine, która skradała się do wyjścia. Podeszedł do niej bez pośpiechu, uśmiechając się czarująco.

- Kitty, chérie, nie próbuj uciekać ode mnie. Jestem twoim mężem i uwielbiam cię, o czym dobrze wiesz. Zapomnijmy o nieporozumieniach. Przecież widzisz, jak cię kocham.

- Nie zbliżaj się do mnie - rzekła Katherine, posuwając się w kierunku schodów.

Jean-Claude zrobił następny krok.

- Nie jesteś moim mężem, nienawidzę cię...

- Wymaż z pamięci ostatni miesiąc, chérie, błagam cię, zacznijmy od nowa.

W mrocznym świetle jego uśmiech wydawał się zdenerwowanej Katherine uśmiechem szaleńca. Twarz miał zabrudzoną czarną farbą z maski, włosy przylegały do głowy. Przypominał groteskowo uśmiechniętą czaszkę.

- Nie podchodź bliżej, Jean-Claude - szepnęła Katherine. - Nasze małżeństwo się skończyło.

- Ależ, chérie, ja cię kocham. Jesteś dla mnie całym życiem. Proszę cię, Kitty, porozmawiajmy! - Zrobił krok do przodu, żeby ją dotknąć, ale Katherine uchyliła się.

Czy to możliwe, że kochała kiedyś tego mężczyznę do utraty rozumu? Tego maniaka, socjopatę? Przypomniała sobie słowa Stevena: „Na tym świecie są dwa rodzaje ludzi, ale Jean-Claude nie należy do żadnego z nich. On jest klasą samą dla siebie. Jest socjopatycznym psychopatą, a z takimi nigdy nie wiadomo, kiedy objawią swoją najgorszą stronę”.

Zimne i wilgotne palce dotknęły jej policzka; krzyknęła i zrobiła krok w dół. Jean-Claude chciał ją złapać, ale Katherine przywarła płasko do ściany. Jego ręka trafiła w pustkę, stracił równowagę. Spadając po schodach, krzyczał tak okropnie, że gniazdujące na szczycie dzwonnicy gołębie wpadły w popłoch i wzbiły się w powietrze. Burza, która przedtem trochę ucichła, znowu się wzmogła. Rozległ się grzmot i błyskawica rozświetliła mroczne, nierówne ściany klatki schodowej prowadzącej na dzwonicę. Jean-Claude upadł na marmurową posadzkę. Zapadła cisza.

Katherine bardzo powoli zeszła na dół i pochyliła się nad skrzyconym ciałem męża.

- O Boże - wyszeptwała. - O Boże, co ja zrobiłam? - W tej samej chwili poczuła kolejny przeszywający ból w brzuchu i upadła obok Jean-Claudea.

EPILOG - ROK PÓŹNIEJ

Na otomanie przed telewizorem siedział przystojny kruczowłosy mężczyzna. Jedną ręką pieścił kościste ramię przytulonej do niego rudej kobiety; drugą unosił do ust piątą już tego wieczora szklanek Jacka Danielsa. Nie odrywał oczu od ekranu, bo za moment mieli ogłosić nazwiska aktorek nominowanych przez Akademię Telewizyjną do tytułu „Najlepszej Aktorki Filmu Telewizyjnego lub Serialu”.

- Jak sądzisz, misiu, kto dostanie Nagrodę Emmy? - spytała jego towarzysza.

Pokręcił głową i wypił do końca alkohol. Zanim wieczór się skończy, wypije jeszcze dziesięć szklanek, żeby tę kobietę, jego żonę móc potem zaspokoić. Mamie Montpelier, nie najmłodsza już, za to bardzo bogata, doskonale wiedziała, czego od niego żądać w zamian za mieszkanie w rezydencji w Palm Beach, używanie błyszczącego czarnego BMW, który mu kupiła, noszenie jeszcze bardziej błyszczących jedwabnych pastelowych garniturów ze sklepu Bijan z Beverly Hills, wysadzanego diamentami ciężkiego złotego Rolexa oraz odpowiedniej do zegarka bransoletki z inicjałami LDM. Lubiła ją. Pasowała do jej bransoletki z inicjałami MDM z piętnastokaratowych diamentów. LDM, Louis de Montpelier, niegdyś znany jako Jean-Claude Valmer.

Jean-Claude wiele zawdzięczał swojej nowej żonie. Za sprzeniewierzenie pieniędzy Katherine został skazany na trzy lata, a za bigamię na dwa. Otrzymał setki listów z wyrazami sympatii od kobiet spragnionych miłości, łącznie z ich fotografiami, kwiatami i prezentami. Ale tylko Mamie, która skontaktowała się z nim przez swojego prawnika, wiedziała, jak go wyciągnąć z więzienia.

Dzięki swojemu ogromnemu majątkowi i szerokim wpływom załatwiła, że z pięcioletniego wyroku odsiedział tylko dwa miesiące. Szybko wyciągnęła go z więzienia, ale powiedziała: Jeśli zrobisz jakiś niewłaściwy krok, wrócisz tam z powrotem. Jej prawnicy niewątpliwie dopilnowaliby, żeby po rozwodzie został mu tylko ten Rolex, bransoletka z inicjałami oraz pastelowe jedwabne garnitury.

Tak jak wciąż nienawidził Stevena Leigha za to, że odkrył jego przeszłość i zniszczył mu małżeństwo, tak samo dalej płonął namiętnością do Katherine. W więzieniu zrozumiał, że nigdy jej nie zapomni. Mimo że oszukiwał ją i wykorzystywał, na swój sposób ją kochał. Teraz czekał, żeby zobaczyć Katherine na ekranie telewizora. Nie widział jej od ponad roku.

Mamie ścisnęła udo męża upierścienioną i pokrytą wątrobowymi plamami ręką.

- Myślisz, że ona wygra? - syknęła podniecona.

Czekając na ogłoszenie nominacji do Nagrody Emmy, Katherine wróciła pamięcią do tamtego poranka w Wenecji.

Kiedy o świcie znalazł ich ksiądz, oboje leżeli nieprzytomni u podnóża schodków prowadzących na dzwonnice. Katherine zemdląła podczas poronienia, Jean-Claude z powodu urazu głowy, złamania w kilku miejscach rąk i nóg oraz zmiążdżenia rzepki. Cudem przeżył ten upadek, choć Katherine czasami myślała, że dla niego byłoby lepiej, gdyby się zabił.

Sprawa o bigamię okazała się szokująca nawet na standardy hollywoodzkie; jeśli ona ją przeżyła, to tylko dzięki wsparciu Stevena, Tommy'ego i Very. Wiele im zawdzięczała, zwłaszcza przyjaźni Stevena. Teraz, gdy rozwiódł się z Mandy, spędzał z nią coraz więcej czasu. Katherine chwilami przypuszczała, że z ich dowcipkowania, przywiązania i wzajemnego podziwu powoli rodzi się miłość. Ale Steven nie naciskał. Był zbyt mądry i za długo kochał ją skrycie, żeby popychać ją do czegoś, do czego nie była jeszcze gotowa. Jej matka wszelako nie miała takich zahamowań.

- Wydaj się za niego - zażądała. Odkąd zamieszkała w Los Angeles, żeby opiekować się córką oraz wnukiem, przestała cierpieć na astmę i zrobiła się bardzo apodyktyczna. - Nie znajdziesz lepszego mężczyzny. Żaden nie będzie cię tak kochał jak on.

- Daj mi trochę czasu, mamó - protestowała nieśmiało Katherine.

- Nie każ mu zbyt długo czekać, to dobra partia, Kit-Kat, a w twoim wieku coraz trudniej kogoś znaleźć.

Katherine spojrzała z uśmiechem na skupioną twarz Stevena wpatrzonego w scenę, na której Bili Cosby od czytywał nazwiska aktorek nominowanych do nagrody.

- Dostaniesz ją, malutka, czuję to przez skórę - szepnął, ściskając jej dłoń.

Katherine roześmiała się. Przyjemnie byłoby wygrać, ale teraz, kiedy w Stevenie znalazła coś cenniejszego i trwalszego niż sława, nie zależało jej na tym jakoś specjalnie.

Cosby powoli rozrywał kopertę zawierającą nazwisko zwyciężczynie:

- A Nagroda Emmy dla najlepszej odtwórczyni roli w filmie lub serialu telewizyjnym przypada... - zawiesił teatralnie głos - ... Katherine Bennet za „Wszystko, co się świeci”!

Na sali zawrzało. Tommy podskoczył do góry z radości i rzucił się, żeby uścisnąć matkę.

- Brawo, mamuś. Wiedziałem, że wygrasz.

Steven pocałował ją w rękę i rzekł:

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś najbardziej uzdolnioną aktorką na całej półkuli zachodniej?

- Niestety, już to słyszałam. - Przytuliła się do jego twarzy. - Dostyc. Muszę tam iść.

Przy akompaniamencie okrzyków i oklasków poszła z gracją odebrać nagrodę. Dookoła widziała podniecone twarze i wyciągnięte ręce - nie fanów, lecz jej kolegów, producentów, reżyserów, agentów, aktorów, ludzi, którzy wyglądali na szczerze wzruszonych.

Oczywiście, nikt nie był bardziej przejęty od Very, której jakimś cudem udało się załatwić miejsce w pierwszym rzędzie. Złapała córkę za rękę.

- Jestem z ciebie dumna, Kit-Kat, naprawdę dumna. I pięknie dziś wyglądasz.

Posławszy matce całusa, Katherine weszła na scenę. Stąd, trzymając w rękach złote trofeum, oszołomiona aplauzem, spojrzała na audytorium, na morze uśmiechniętych twarzy. Gdy wstali, żeby nagrodzić ją oklaskami na stojąco, pomyślała o Brendzie i o tym, jak by się teraz cieszyła. Oddając w milczeniu hołd przyjaciółce, przypomniała sobie słowa Brendy: „Jesteś tak diabelnie sławna”. „Gdziekolwiek jesteś, Bren - pomyślała Katherine - przyznajesz chyba, że to było warte zachodu”.